ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIV.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

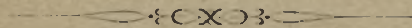
str.



Druk ukończono dnia 4 grudnia 1891 r.

PROSPEKT

na rok 1892.



Kończąc dawny a rozpoczynając nowy rok istnienia, czujemy się w obowiązku zawiadomienia czytelników, iż w pracy naszéj, zamierzamy wytrwać i nadal, w tym samym co poprzednio prowadząc ją duchu a starając się o jaknajszersze i jaknajlepsze spełnienie programu.

Nie będziemy przypominali, cośmy już dotychczas, przy pomocy autorów podzielających nasze poglądy, zrobili w celu uczynienia **Ateneum** *nie tylko wierném odbiciem prądów naukowych i społecznych doby dzisiejszéj, ale i organem myśli postępowéj, mającéj na widoku przedewszystkiém sprawy swego społeczeństwa w związku z ogólnym ruchem cywilizacyjnym. Mamy nadzieję, że każdy kto sprawiedliwie zechce ocenić usiłowania nasze, uzna w nich dążność do dawania umysłowi karmi zdrowéj, niezaprawnéj trucizną jednostronności i uprzedzeń, lecz będącéj wynikiem trwałych zdobyczy nauki i doświadczenia. Przekonani, że forma przystępna i piękna nigdy nie może zaszkodzić wywodom naukowym, dbaliśmy o to, ażeby prace pomieszczane w* **Ateneum** *odznaczały się jasnością, przystępnością a nieraz i wdziękiem.*

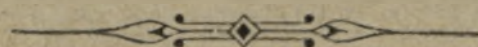
Cóż mamy obiecywać czytelnikowi na przyszłość? Nie bawiąc się w szumne frazesy i zapowiedzi, poprzestaniemy na oświadczeniu, że śledząc pilnie rozwój umiejętności i objawów życia cywilizacyjnego, zajmiemy się baczném i rozważném rozjaśnianiem zagadnień będących na czasie. Wszystkie punkty programu naszego postaramy się, o ile sił starczy, wypełnić; a więc zarówno dział poezyi i powieści, jak dziedzinę historyi, filozofii, nauk społecznych i przyrodniczych, kładąc wszakże zawsze nacisk największy na potrzeby życia naszego.

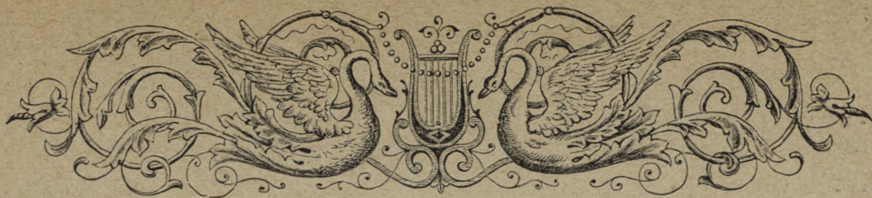
Osiągnięte już rezultaty co do rozpowszechnienia **Ateneum** *zachęcają nas i dodają otuchy w spełnianiu obowiązku publicysty-*

cznego. Nie wątpimy, że czytelnicy i przyjaciele naszego pisma zechcą dopomódz redakcyi, zarówno przez nadsyłanie swych uwag, przez żywe zainteresowanie się kwestyami poruszanemi przez nas, jako też przez zjednywanie nowych czytelników i prenumeratorów. Ponieważ wydawnictwo ***Ateneum*** *na zyski bynajmniéj obliczone nie jest, tém śmieléj odzywamy się z tą prośbą, która ma na celu zadzierzgnięcie silniejszych węzłów sympatyi pomiędzy piszącymi a czytającymi.*

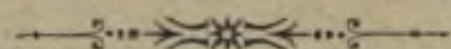
A więc do dzieła!

Redakcya.





KONTRASTY.



Zwiedzałam sławne gospodarstwo wiejskie w *dominium* N. w Galicyi.

Właściciele, jak zwykle, od ośmiu miesięcy w domu nie było, a choć na portretach w pałacu zamaszyści przodkowie szable do połowy wyciągali, rozpróżniaczona służba spała po przedpokojach, pył osiadał na albumach i wazonach, móle toczyły portyery i meble, a psy szczekać zapomniały na powitanie. Elegancki rezydent, pół Niemca, Francuza, pół dyabła, pokazywał mi wzorowe, co rok na wystawach obdarzane medalami gospodarstwo.

Przeszliśmy ogród warzywny, pełen szparagów, karczochów, ananasów, szwab ogrodnik wskazał, gdzie co „trajbuje i sztubruje“, lecz ja za płotem dojrzałam nędzne pólko zarośnięte heptą, z pod któréj lichéj, zgnębionéj marchwi, prawie widać nie było.

— A to czemu takie zaniedbane?

— Oh, to nie nasze—oburzył się pan rezydent.

— A czyjeż?

— To chłopskie. Ci ludzie, to nie umieją nawet marchwi uprawiać.

— A czy ich kto tego uczy?

— Przecież widzą, jak to się robi w ogrodzie.

— A, więc chłopaków wiejskich bierzecie na praktykantów?

— Oh, nie, pani, sprowadza się uczniów zdolnych.

— No, to jakże się chłop ma nauczyć?

— Czyż nie widzi?

— Jakto? którędy? przez te parkany! takiéj intuicyi wymagać trudno.

Poszliśmy dalej. Gorzelnia szła wybornie. Wracając z niéj przez rynek osady, nie mogliśmy się przedostać przez dwie okropne awantury, które właśnie były w stanie silnego alkoholicznego napięcia.

— Na miejscu konsumuje się jedna czwarta produkcyi, — objaśnił mnie mój *cicerone*.

— To się widzi... i słyszy... powinszować!

Ruszył ramionami. Poszliśmy w pole. Cudne zboża falowały od szosy aż pod las, na przestrzeni kilku kilometrów czarnoziemu, w jednym kawale. Gdzieniegdzie już było żniwo i gromady mężczyzn i kobiét pracowały żwawo. Na kawałku nieużytku palił się ogień, brzdąkała licha muzyczka i gotowały się gary wielkie z jadłem.

— Jak są płatni ci ludzie? za kopice robią, czy za pieniądze.

— Ani tak, ani tak! robią za tłokę.

— Ależ to fatalny zwyczaj!

— Cóż robić, oni są także chciwi wrażeń—*comme tout le monde!*

— Mój Boże, co za wrażenia! kilka godzin hulaszczego tańca, najgorsza wódka, najlichsza strawa, a nazajutrz w kieszeni ani centa!

— Niech im pani to wytłómaczy.

— Gdyby tu od dwudziestu lat nie było tłoki, byliby zapomnieli. Nie płacić w ten sposób i basta.

— *Prächtig!* kiedy to najpraktyczniéj!

Przy tych zdrowych, złotych łanach ta wstrętna tłoka wydała mi się czarą odurzającéj trucizny podawanéj robotnikowi za dzień pracy.

— A gdzież tu parafia?

— Daleko, pani, aż w miasteczku.

— Jest przecież kaplica w pałacu.

— Kapelan mszę odprawia, jak z księstwem przyjedzie.

— A wtedy ludzie przychodzą?

— Oh, nie.

— A to czemu?

— Do kaplicy przez trzy westibule się idzie, a tożby nam zabłocili!

— A szkoła jest?

— Będzie.

— Dawniéj była?

— Spaliła się.

— Czemuż nowéj nie budujecie?

— Co rok odkłada się suma pewna na nieprzewidziane wypadki, ale jeszcze nie było można.

— Więc szkoła to nieprzewidziany wypadek?

— Wszystko się od lat wielu wkładało w szpilkową kulturę.

— A gdzież ta kultura? — Mój przewodnik podał mi elegancką lornetę „*campagne*“, przez którą dojrzałam na płowym piasku wzgórzy rzędy wzorowo zasadzonych jodełek, już sporych.

— Za lat ośmnaście będzie cień i grunt się umocni.

— I wtedy dopiéro suma się obróci na szkołę?

— *Probablement*...

— A tamten las, na lewo, jakże prowadzicie?

— Wysokopiennie!—rzekł z dumą pan rezydent.

Z tego wysokopiennego jednak boru, wysuwać się zaczęły fury z drzewem, ciągnione przez nędzne, zbiédzone koniska, które ustawały co chwila, cierpliwie pod razami woźniców czekając na przybytek sił.

— Nie tęgie macie fornalki!

— Oh, to nie nasze! to chłopskie! naszych szkoda.

— Czemuż ci chłopi tak zabiedzili konie?

— Tutaj lud jest zły i niedbały — zawyrokował mój towarzysz z dogmatyczną pewnością, jakby mówił o gruncie, że kamienny lub piaszczysty, na co już rady nie ma.

— Może tylko zaniedbany, psuty?

— Od tylu lat patrzą, nic nie widzą, nie chcą!

— Może tak widzą, jak wasze „sztubry“ za parkanem!

— Pokażę pani nasze folbluty.

Poszliśmy ku szerokiemu miejscu, wysypanemu piaskiem, gdzie za baryerą masztalerz tresował pięknego ogiera. Zwierzę rwało mu się zrazu, ale pod grozą pręta, przy odgłosie granego na flecie przez grooma skocznego walca, koń cuda wyprawiał, okazując wielki rozwój inteligencyi i fantazyi.

Na łące za tym hipodromem pasło się stado ogromnych gęsi. Tak wielkich, tłustych i białych jeszcze nie widziałam.

— To, proszę pani, gęsi tuczone na pasztety.

— Biedne stworzenia... ledwie chodzą...

— Późniéj się je wsadza do ciasnych klatek, gdzie tak im wątroba wyrasta, że w końcu je zadusza.

— Same się tu pasą?

— Nie, jest tam ktoś pewnie.

Zbliżyłam się, chcąc zobaczyć jedną z największych gęsi, gdy tymczasem biała płachta się rozsuwa, to co brałam za czerwony dziób,

to jest czerwony rożek chusteczki—spada w tył, i ukazuje się główka dziecka. Dzieciak miał już lat 7, choć wyglądał na cztery, takie to mizerne, blade i nędzne.

— Cóż ty tu robisz? — Bezmyślnie dziewczynina spojrzała na mnie. — Jak ci na imię? Dawno tu siedzisz? czyje to gęsi? — Nic! żadnéj odpowiedzi. Dziewczynka patrzyła zrazu apatycznie, potém ciekawiéj, mruknęła parę razy: ahm, i zapadła w swój spleen dziecinny.

— Czemuż ona taka smutna?

— Cała rodzina taka chorowita.

— Biédni są?

— Pogorzeli niedawno.

— A straży ogniowéj tu nie ma?

— Oh, nie.

— Ani w pałacu?

— W pałacu i budynki, wszystko asekurowane.

— No, a chłopi?

— A palą się.

— To wstyd!

— My nie mamy czasu o nich myśléć. Może pani obejrzy jeszcze stajnię opasową przy browarze?

— O, nie, nie! dziękuję panu. Dosyć tego, co widziałam, aby miéć wyobrażenie o rodzaju kultury w *dominium* N.

Wyjęłam podróżną notatkę i nakreśliłam gniewnie parę linii.

— Czy wolno zobaczyć opinią pani o naszych tu zabiegach?

Podałam mu notatkę, a pan rezydent czytał żdziwionym głosem:

„*Dominium* N.—Tuczą się wątroby, tresują się konie, niszczeje zdrowie ludu, głupieją chłopskie głowy. Biada takiéj kulturze!“

— Pani ma swój sposób zapatrywania na kwestyę agrarną — rzekł z wyniosłą tolerancyą ten tonący w dobrobycie przybłęda.

— Tak, panie, ja nie pojmuję takiéj gospodarki, gdzie może się razem pomieścić—zamknięta kaplica i brak szkoły, zamknięta biblioteka i brak straży ogniowéj, dyplomy za pasztety, folbluty i — tłoka!

— Cóż robić, łaskawa pani, *les extrêmes se touchent!*

— To hasło waszéj kultury. Trafne! Szkoda, że takie zgodne z rzeczywistością!

Szczęsna.





LITERACI FRANCUSCY O SOBIE.

(Enquête sur l'évolution littéraire p. Jules Huret. Paryż, 1891, 1 t. 8-o str. XXI i 455).

Mamy przed sobą głosy sześćdziesięciu literatów, powieściopisarzy, poetów, krytyków i publicystów wszelkiego rodzaju, zaczynając od Zoli, kończąc na Renanie i zawadzając o takich nawet ekscentryków, jak p. Józefin Peladan. Mamy streszczoną, w kalejdoskopowym obrazie, kwintesencyę poglądu tych panów na tak zwaną i jakoby dokonywającą się w spółczesnéj beletrystyce francuskiéj ewolucyę piśmienniczego ruchu i artystycznéj twórczości. Pierwszy to raz, jeżeli się nie mylimy, nowoczesna metoda ankietowa doczekała się tak rozległego zastosowania w téj sferze. Daném było może p. Juliuszowi Huret otworzyć nową erę w dziejach krytyki literackiéj. A pan Huret nie jest sam krytykiém. Nie wiemy nawet czy jest literatem. Niezbadanemi są drogi, które obiéra Opatrzność. Drogą, obraną przez p. Huret, była reporterka, narzędziem interwiew. Od marca do lipca b. r. biegał on, łapiąc pana Claretie na ulicy, pana Verlaine w kawiarni, pana Huysmans w łóżku, pana Maeterlinck, aż za granicami kraju i ogłaszając protokóły tych wycieczek w *„Echo de Paris“*. Z tych protokółów i fejletonów codziennego pisma zebrała się obecnie spora, dopiéro co wydana książka, wzbogacona przyczynkiem wielorakich sprostowań, replik, protestacyi i złorzeczeń. Bo, ma się rozumiéć, ankieta, w ten sposób przeprowadzona, nie obeszła się bez wywołania strasznego wzburzenia i okrutnéj wrzawy w odnośnych kołach. Kocioł z wrzącą wodą, do któregoby wrzucono tuzin żywych szczupaków, tuzin węgorzy i kopę raków, mógłby dać wyobrażenie o tém co zaszło, przypuszczając, że raki, szczupaki i węgorze miałyby głos dla

objawienia swoich wrażeń. Szczęściem p. Juliusz Huret zdaje się być obdarzonym specyficzną i swojemu rzemiosłu odpowiednią anestezyą zmysłowéj czułości. Zatykał sobie uszy i pukał do drzwi sąsiednich.

Program ankiety, przezeń obmyślony, nie dał się jednak przeprowadzić w całości. Stanął najpierw na przeszkodzie opór pojedyńczych osobistości, zgoła niedostępnych przedsięwzięciom reporterskim, nawet wobec takiego wirtuoza jak p. Huret. W ich liczbie np. pana de Maupassant:

— „O panie! — z wielkiém zmęczeniem w głosie i z miną niezmiernie splenetyczną — błagam cię, nie mów mi o literaturze!... jestem bardzo cierpiący... bóle newralgiczne... jadę jutro do Nizzy... z rozkazu doktora... powietrze paryskie szkodzi mi... całkiem przeciwne mojemu temperamentowi... ten hałas... ruch gwałtowny... jestem rzeczywiście bardzo chory“...

— Jednak...

— „O literaturze!... nie mówię nigdy... Piszę, kiedy mi to sprawia przyjemność, ale mówić o tém, nigdy. Nie mam już zresztą żadnych stosunków w téj sferze... z wyjątkiem Dumasa syna. Ale nie zajmujemy się tém samém rzemiosłem, i nie mówimy nigdy o literaturze... jest tyle innych rzeczy... Tyle innych!... Na dowód, że panu nie kłamię: ofiarowano mi niedawno akademię... dwadzieścia ośm głosów pewnych. Odmówiłem, i krzyże także... i wszystko... Doprawdy nie zajmuje mnie to... Mówmy o czém inném, bardzo pana proszę“...

W odmiennym rodzaju, równie niemiłosiernym okazał się pan Raoul Ponchon, odpowiadając na wystosowaną doń odezwę listem następującym:

Mój drogi!

„Zamiast nudzić mnie (*me raser*) twojém *interview* wolałbyś pójść do d... Wiesz zresztą z góry wszystko, co mógłbym ci powiedzieć, a mianowicie to, że ja jeden i moi przyjaciele jesteśmy genialnymi ludźmi. A jeszcze moi przyjaciele? Twój całém sercem.

Raoul Ponchon.“

Drugim szkopułem, napotkanym przez pana Huret, była trudność utrzymania rozmowy w granicach przezeń zakreślonych, a nawet wprowadzenia jéj wkoło pożądanych przedmiotowych zapatrywań i teoretycznych wniosków. Bardzo znaczna część interwiewowanych nie dała się zgoła wywieść z obranego przez się znowu i upodobanego stanowiska, polegającego bądź na zapalczywém apologizowaniu własnego *ja*, razem — w najlepszym razie—ze szczupłem

gronem pokrewnych osobistości literackich, bądź na zajadłem szarpaniu, mieszaniu z błotem i pogrążaniu w nicość osobistości sąsiednich. Ankieta przemieniała się tym trybem tutaj w reklamę, ówdzie, według wyrażenia pana France, „w cyrkową walkę dzikich zwierząt“. Jednak i tą swoją stroną dzieło dokonane przez pana Huret nie stało się całkiem pozbawionėm ciekawości. Wyjrzał stamtąd, świat—światek dla równomierniejszego określenia—prawdziwie zdumiewający! Cudowne, głowę zawracające bogactwo samotnych ambicyi, uroszczeń, namiętności i złudzeń; cała niby podoceanowa wegetacya żyjątek, utajonych w głębinie, zanurzonych w piasku, zaprzepaszczonych gdzieś tam pod bezdenią obojętności i nieświadomości powszechnéj, ale ruszających się i uzbrojonych nawet, i stamtąd, z téj nicości, wypowiadających wojnę całemu światu.

Skądinąd zaś doszedł p. Huret i w obiektywnym kierunku do pewnych rezultatów, do sformułowania niektórych pozytywnych określeń; do wyrazu pojęć, uczuć i dążeń składających się poniekąd na obraz tego ruchu, o którego graficzne niejako wyobrażenie był się pokusił. Stąd, z kolei, pokuszenie się nasze na tém miejscu, o zapoznanie czytelników w najpobieżniejszy sposób, wedle wyznaczonego nam miejsca, z owemi rezultatami. Przyczém najwłaściwiéj zrobimy zapewne, trzymając się metody, którą obrał autor a raczéj twórca leżącéj przed nami książki, i poprzestając na streszczeniu pojedyńczych odpowiedzi, które zebrać mu się udało do swojego kwestyonaryusza. Kwestyonaryusz zaś ten daje się ze swojéj strony streścić w dwóch następujących pytaniach.

1) Czy przeważający dotychczas w beletrystyce francuskiéj podwójny kierunek, a mianowicie n a t u r a l i z m u w powieściopisarstwie, i tak zwanéj szkoły p a r n a s o w é j w poezyi, uważać należy za nakłoniony do swojego kresu, wyczerpany i bez jutra?

2) Co zastąpi ten kierunek? Do czego i do kogo należéć ma jutro?

Dla dokładnego przedstawienia dodać nam trzeba słówko o okoliczności, która skłoniła pana Huret do wystąpienia z temi zagadnieniami. Pan Huret nie zajmowałby tak wybitnego miejsca w hierarchii reporterów stołecznych, gdyby inicyatywy do jego publicznych wystąpień nie była mu dostarczyła tak zwana żywa, świeża, wczorajsza a k t u a l n o ś ć. W styczniu czy w lutym r. b. p. Maurycy Barrès, jeden—do owéj pory— ze wspomnianych wyżéj podoceanowych geniuszów, wegetujących na dnie i rozpościerających tam bujną florę swojego samolubstwa i koralowe rafy swojéj pychy, p. Maurycy Barrès ogłosił powieść p. t. „*Le Jardin de Bérénice*“. Co

skłoniło Anatola France, poważnego i surowego krytyka z „*Temps*“, do przeczytania téj powieści, pozostaje dotąd zagadką w pewnéj mierze. P. France bowiem — oskarżają go o to młodzi— przestaje zwykle na odczytywaniu klasyków XVII wieku, czasem tylko dla odświeżenia umysłu, sięgając w drugi i trzeci wiek po Chrystusie. Tym razem jednak nietylko przeczytał książkę pana Barrès, ale bez mała nazwał ją arcydziełem. Są tacy, którzy posądzają go o mistyfikacyjne jakoweś intencye w tym przypadku. Prawdopodobniejszém zdaje się być to, że szanowny krytyk uległ wpływowi rzeczywistego jakiegoś prądu, poruszającego atmosferę w jego otoczeniu. Było coś w powietrzu. Spółcześnie bowiem zaszedł drugi wypadek. Na bankiecie, który zgromadził, w tak zwanéj „łacińskiéj dzielnicy“ miasta, kilkadziesiąt najmocniéj rozczochranych czupryn téj okolicy, inny niepoznany geniusz, p. Jan Morèas, Grek rodem, obwołany został królem poetów, bezpośrednim następcą Homera — z pominięciem Wiktora Hugo — i wskazanym przez Opatrzność burzycielem nienawistnego „Parnasu“. Od owéj pory wprawdzie większa część uczestników tego bankietu wyrzekła się toastów na nim spełnianych, ale na razie entuzyazm był wielki a hałas jeszcze większy. Szyby zatrzęsły się na bulwarze St. Michel, i musiały trząść się silnie, skoro sam p. Bruneterière, w „*Revue des deux Mondes*“ ocknął się i nietylko dowiedział się o istnieniu nowéj szkoły poetycznéj pod godłem symbolizmu i (zakwestyonowaném już niestety obecnie) przywództwem pana Morèas, ale, według wyrażenia pana Coppée, „skompromitował“ akademicki przegląd, przyznając téj szkole prawo do bytu. Musiało być coś w powietrzu.

Z tego więc ruchu atmosferycznego wyszła ankieta pana Huret.

Zaczął p. Huret swoją pielgrzymkę, jak należało, od obozu, w którym, przypuszczalnie, mieszczą się spadkobiercy dogorywającego, przypuszczalnie także, naturalizmu. Obóz to tak zwanych psychologów. P. Bourget jest główną do téj pory ozdobą, p. Barrès nadzieją, a p. A. France powagą téj szkoły. Pójdziemy w ślad za panem Huret.

I.

U psychologów.

U pana France. Pytasz mnie pan czy naturalizm jest chory? Nie choruje, bo zdaje mi się rzeczą oczywistą, że już umarł. Nie cieszy mnie to zbytecznie, ale też i nie smuci. Skutek to naturalnéj reakcyi, któréj narzędziem zresztą stali się naturaliści sami.

„*La Terre*“ Zoli np., nie jest bynajmniéj dziełem realisty, ale, najwyraźniéj, idealisty zepsutego. Ci chłopi, którzy w dzień pracują jak bydlęta, a w nocy... Czy to możliwe? Wiemy przecież, że praca fizyczna zabija wrażliwość zmysłową, i naodwrót. Jest przytém druga przyczyna téj — prowizorycznéj, chcę wierzyć — śmierci naturalizmu. A mianowicie ta, że obecnie, czytaniem powieści bawią się już tylko same kobiéty. Mężczyźni nie mają czasu. Tym sposobem literatura powieściowa staje się coraz bardziéj literaturą salonową. A gdzież takiéj powieści jak „*La Terre*“ do salonu? Stąd szybkie powodzenie Bourget'a. Bracia Goncourtowie byliby mogli ocalić naturalizm przenosząc pole swoich badań w tę sferę, jak tego spróbowali poniekąd w „*Chérie*“. Ale wzięli się do rzeczy za późno. Zola zaś trafił na epokę chwilowego bezpodzielnego tryumfu demokracyi i pozostał — w kredensie. Pytasz mnie pan co zastąpi powieść naturalistyczną? Powieść psychologiczna oczywiście, któréj tradycyę podjął Bourget i do któréj garną się tacy nawet wychowankowie naturalizmu jak Maupassant, Hennique, Huysmans. Między młodymi, ci wszyscy prawie, którzy mają talent, Barrès, Loti, Rod, Lemaitre, de Vogüé, idą tą drogą. Czy w literaturze poetycznéj symbolizm jest równoległém następstwem téj ewolucyi? Niezawodnie. Drugostronna to reakcya przeciwko bezdusznéj, suchéj, stężałéj manierze Parnasistów. Leconte de Lisle, de Hérédia i inni obniżają się daremnie. Robią mi oni wrażenie tych starców, którym się zdaje, że kobiéty przestały być pięknemi, odkąd dla nich skończyła się młodość. Odkąd zresztą Coppée sam napisał wiersz w tym rodzaju:

„Je suis la froide et la méchante souveraine“.

odtąd nie może już być mowy o klasycznym półwierszu. Dla czego średniówka nie miałaby być umieszczoną tak dobrze między dwoma zgłoskami jednego słowa, jak między rzeczownikiem a przedimkiem? Co się tyczy zaś reguły hiatusowéj, która zabraniała pisać wierszem: *tu aimes*, a pozwalała pisać: *au haut de l'esalier*, nie znam nic niedorzeczniejszego. Pozostaje nieograniczona liczba zgłosek w wierszu, do któréj rości prawo nowa szkoła. Prowadzi to jawnie do zastąpienia wiersza prozą rytmiczną. Cóż stąd? Każda forma dobra dla artysty, kiedy artysta ma talent. P. Jan Moréas ma dużo talentu. Innych nie znam równie dobrze. A prawda! Zarzucają jeszcze symbolistom niejasność. To nie słusznie. Oczywiście poezya nie jest sztuką wulgaryzacyjną. Ale jeżeli się już dzisiaj nie rozumié tych panów, cóż to będzie za lat sto? Nieprawdaż? Lepiéj pisać jasno. Żegnam pana.

U pana Juliusza Lemaitre, krytyka literackiego „*Débats*'ów“. Zmiłuj się pan, jak możesz żądać mojego zdania tak *ex abrupto* w takiéj materyi? Musiałbym miéć przynajmniéj tydzień czasu przed sobą! Czy naturalizm kończy się? Oczywiście. Dla czego? Albo ja wiem. Dla tego, iż wszystko na świecie kończyć się musi, wszystko jest akcyą i reakcyą. Zresztą naturalizm to Zola i on jeden tylko. Daudet był tym wprawdzie, który najlepiéj zastosował teorye naturalistyczne, ale swoją drogą oprócz Zoli niemasz nic w tym kierunku. Goncourtowie? Goncourtowie to artyści, ale nie naturaliści bynajmniéj. Co zaś teraz będzie, skoro nie stanie naturalizmu? Będzie... Albo ja wiem co? Jesteśmy w pełnéj anarchii. Mówisz pan o psychologach? Znam jednego tylko, którym jest Bourget. Anatole France to moralista, Barrès humorysta w rodzaju Sterne'a. Dajże mi pan pokój z symbolistami! To nie istnieje; rusza się to i szmera tam pod ziemią, ale nie dobywa się na wierzch, pan mnie rozumiesz? Jan Moréas, ze swoim „*Pélerin passionné*“, jest po większéj części niezrozumiały, z wyjątkiem pół tuzina ładnych wierszyków, które są rozkosznemi piosnkami ludowemi. Ręczę panu za to, że nie ma ich dwudziestu, którzyby się rozumieli między sobą. Mistyfikacya to, być może szczera w połowie, ale mistyfikacya, i nic więcéj. Kiedy zaś jeden i drugi z nich pozbędzie się tych błazeństw z głowy, tedy zawędruje do „*Revue des deux Mondes*“, jak to już zrobili Wyzewa i Barrès. Do widzenia. Chcesz pan wiedzieć moje zdanie o Barrèsie? Barrès to ostatni delikatny i lekki pokwit renanizmu, przed ostateczném zepsuciem...

U pana Barrès (*W wytwornéj pracowni o ścianach założonych staremi malowidłami, o miękkich wschodnich sofach obok krzeseł w stylu Ludwika XIII i włoskich hebanowych sprzętów, wykładanych kością słoniową. Na dębowém biurku widać w kryształowym wazonie wiązkę kwiatów, przysłanych z Nizzy, tak jak każdego tygodnia, przez matkę Maryi Baszkirczef, znanéj w Paryżu zmarłéj artystki malarki*).

— Więc i pan sądzi, że naturalizm umarł?

— Oczywiście. W danéj chwili pojawia się pewien kierunek estetyczny; powoli nowe piękno, przezeń wytworzone, staje się formułą i tworzy szkołę: szkoła ta żyje, rozwija się, aż do chwili, w któréj uczniowie zacieśniają formułę; wtedy następuje śmierć. Zola zostawia jednak pomnikowe dzieło, które trwać będzie, choć mnie osobiście zainteresować nigdy nie mogło.“

— Któż więc, zdaniem pana, skorzysta z téj klęski naturalizmu?

— „Psychologowie, naturalnie. Powodzenie ich, tak wielkie w obecnéj chwili, wynika stąd, że posunęli swoje badania w kierunku zbyt zaniedbanym przez naturalistów. Ci zajęli się tylko zewnętrzną stroną namiętności ludzkich. Ja... to jest Bourget np. wziął się do badania tych namiętności, tak jak botanik bada roślinę, rozpatrując jéj korzenie, ziemię, z któréj czerpie swoje soki, powietrze, które ją otacza. Przytém psychologowie zmienili swoje pole obserwacyjne i uczynili je bardziéj zajmującém. Boć przyzna pan, że więcéj jest materyału do zajmujących spostrzeżeń w duszy cesarzowéj np. strąconéj z tronu, niż w duszy wyrobnicy, którą pijany mąż bije każdego dnia, wracając do domu...

— Czy nie jesteś pan także symbolistą?

— A któryż artysta nim nie jest? Sztuka polega właśnie na symbolizowaniu, to jest na tworzeniu typów, czyli symbolów. Jedni naturaliści chyba uchylili się od tego prawidła, unikając uogólnień, które są duszą artystycznéj twórczości. Tak zwani jednak właściwi symboliści dzisiejsi wydali dotąd jedną tylko książkę: „*Le Pélerin passionné*“ Jana Moréas'a. Ale oczywiście jest-to dopiéro początek, i możnaby w tym kierunku podwójnym dojść do poważniejszych rezultatów. Możnaby pisać p s y c h o l o g i e, które różniłyby się od opracowań Bourget'a w tém, że, nie poprzestając na analizowaniu pojedyńczych zjawisk, dążyłyby do wyrażenia prawd ogólniejszych, do udzielenia nowoczesnym pojęciom o rzeczach i o całém życiu ludzkiém w y r a z u n a m i ę t n e g o. Byłoby to rodzajem psychologii symbolicznéj. Jest obecnie, z temperamentami bardzo rozmaitemi, dużo młodych pisarzy, którzy szukają czegoś nowego, radząc się wyłącznie swoich natchnień osobistych. Znasz pan Andrzeja Maurel'a i jego „*Candeur*“?... Czytałeś pan powieści Jerzego Bonnamour'a: „*Fanny Bora*“, „*Représailles*“? A „*Contes pour les assassins*“ Maurycego Beaubourg'a, a „*André Marsy*“ Emila Hinzelin'a? To jeszcze nic. Gdybyś pan przejrzał „*Les Cahiers d'André Walter*“, ogłoszone bez imienia autora przez Andrzeja Gide'a i gdybyś mógł domyślić się, co Maurycy Quillot napisał w swoim „*Entrainé*“, który niebawem wyjdzie, dopiéro stałbyś się świadomym ostatnich objawów dokonywającéj się ewolucyi.

— Ale pan sam, czy starasz się wprowadzić do swoich książek tę formułę psychologii symbolicznéj, o któréj wspomniałeś?

— Próbuję. „*Le Jardin de Bérénice*“ jest ostatniém z trzech dzieł, w których starałem się wyrazić to, co nazywam: „*la culture du Moi*“; jest-to monografia, teorya indywidualizmu...

(W téj chwili oko reportera uderzone zostaje wizerunkiem ge-

nerała Boulanger, umieszczonym na biurku obok portretu gospodarza domu).

— Za pozwoleniem, czy symboliści nie byliby przypadkiem, w gruncie rzeczy, bulanżystami literatury?

— W istocie...

(Tu gospodarz domu, bez zająknienia, zaczyna powtarzać jedną z mów wygłoszonych przez się podczas ostatniéj walki wyborczéj, w ciągu któréj, jak wiadomo, został posłem w Nancy z ramienia generała Boulanger. W połowie jednak urywa, parskając śmiechem. Rozmowa bierze koniec).

U pana Pawła Hervieu. — Dajmy pokój formułom i metodom, kochany panie! Metoda naturalistyczna i metoda psychologiczna mają właśnie tę wspólną wadę, że są metodami, i zdają się wpajać ludziom to przekonanie, że za pomocą takiéj metody byle kto może napisać książkę, tak jak byle kto może coś wyhaftować na przygotowanéj kanwie. „Słuchaj, masz lat dwadzieścia pięć, masz oczy, uszy i pamięć dobrą, to dosyć. Byłeś w szkole, może nawet w wojsku, pracowałeś w jakiém biurze, jeździłeś welocypedem. To wyśmienicie! Teraz spróbuj przypomnieć sobie, co widziałeś, słyszałeś, czułeś, i opowiédz nam to wszystko. Wszystko co do joty. Napiszesz powieść doskonałą.

Oto metoda tych panów. Co się zaś tyczy symbolistów, mam dla nich szacunek, na który zaś zdają się zasługiwać samém zachowaniem się swojém wobec sztuki. Jest-to coś podobnego do nabożeństwa. Kiedy pogawędziwszy z którym z nich, biorę do ręki jego książkę, zdaje mi się, jak gdybym zobaczył na stopniach ołtarza księdza, z którym rozmawiałem przed chwilą. Ale widzę w obranym przez nich kierunku wadę wielką. Fizyologowie rozprawiają dotąd o tém, czy w naturze dziecko jest tworem mężczyzny, czy téż kobiéty. Trzymam za mężczyzną i mniemam, że w literaturze pisarz powinien być płci męskiéj i zajmować względem czytelnika naturalną rolę mężczyzny względem kobiéty w akcie tworzenia. Owóż, ze swojemi formami wdzięcznemi ale wątłemi, ze swoją wstydliwością, ze swoim sposobem uciekania i chowania się za firankę, mój przyjaciel Mallarmé i jego towarzysze robią mi wrażenie panienek. Ten rozkoszny Mallarmé, ten niezrównany myśliciel mówił mi raz, że nie rozumie, jakim sposobem można dać się drukować. Uważał to za rodzaj nieprzyzwoitości. Tfu, do licha!... Ale dobywa się na jaw może, w spółczesném piśmiennictwie inna ewolucya, któréj widzenie proroczе mieli bracia Goncourtowie już w 1856 roku, pisząc po przeczytaniu jednéj z powiastek Edgarda Poë: „Jest-to objawieniem czegoś,

o czém krytyka zdaje się nie mieć pojęcia: dzieła wyobraźni, którego analiza jest narzędziem; — przyszłéj powieści, powołanéj do opowiadania raczéj tego, co się dzieje w mózgu ludzkości, jak tego, co się dzieje w jéj sercu.“ To „coś“ bodaj czy się nie wyłania potężnie z książek pana Maurycego Barrès'a i ze świeżego, a oryginalnego talentu Maurycego Beaubourg'a w „*Contes pour les Assassins.*“

II.

U magów. („*Les mages*“).

Nimes, w marcu, 1891 r.

Szanowny Panie!

„Ogłosiłem przed kilkoma laty w „*l'Artiste*“ p. t. „Drugie odrodzenie francuskie i jego Savonarola“, studyum porównawcze między romantyzmem i... nicością, która po nim nastąpiła. Wykazałem niedorzeczność formuły literackiéj, wytworzonéj z frazesu, pożyczonego od Klaudyusza Bernard... Teoretycznie, naturalizm nie istniał nigdy: jego przedstawiciele, bez wyjątku, łączą nieświadomość zupełną historyi literatury, z zupełną nieudolnością do pojęć metafizycznych... Są to sankiuloci, to jest ludzie bez wykształcenia, kierujący się wyłącznie swoim temperamentem... Widzę w naturalizmie objaw synchroniczny z głosowaniem powszechném i antyestetyczny protagonizm motłochu: pisarz dworuje ulicy, tak jak dawniéj dworował królowi. Co się tyczy symbolizmu, właściwy symbolizm zamyka się w schematyzmie hieratycznym: słowo to ma wyłącznie znaczenie religijne albo hermetyczne... Nie rozumiem więc jego zastosowania do tego lub owego poety, pozbawionego przekonań religijnych i metafizycznych pojęć. Co się tyczy poematu p. t. „*Le Pelerin Passionné*“, jest-to utwór Szekspira, umieszczany zwykle razem z jego „*Adonisem*“ i z jego sonetami, który tedy nie wiem co robi w tém kółku zręcznych kuglarzy, przerzucających metrografią i leksykografią, i nazywających się dziwacznemi przezwiskami dla zwrócenia na siebie uwagi... Pytasz mnie zaś pan, co zastąpi wczorajszą sprosność malowideł i dzisiejszą grę słów a rytmów? P r o s t y t u c y a, szanowny panie, bo pisarz, który, zamiast narzucać swój ideał publiczności, ubiega się jedynie o wcielenie bieżącego ideału, zawsze poziomego, taki pisarz jest godnym domu publicznego. Wierzę w to, że przyszłość należy do p r o s t y t u t e k, w sztuce tak jak we wszystkiém, dlatego że wierzę w fatalny i bliski rozkład świata łacińskiego bez Boga i bez symbolu... Moja własna formuła literacka? Panie, teatr Odeonu odrzucił mojego „*Prince de Byzance*“, Komedya Francuska odrzuci

mojego „*Sar Merodack*“, a ponieważ z utworów moich najmniéj złemi są właśnie utwory sceniczne, przeto wprawiasz mnie pan w kłopot wielki. Odrestaurowałem psychologię heroiczną, to jest wytworzyłem sceniczne istności, różniące się od indywiduów żyjących tak dalece, jak tragiczna maska grecka różni się od zwyczajnéj głowy. Za pomocą przytém wskazówek uzyskanych w Bayreuth i pod wpływem ostatnich kwartetów Bethowena, odtworzyłem eumolpeę, czyli trzecią modłę poetyki i literatury starożytnéj... Co się tyczy mojéj ethopei, z któréj ósma i dziewiąta powieść wychodzą na świat w tym miesiącu, oto moja formuła: Jest jeden tylko temat w sztuce: Edyp, albo Orfeusz, albo Hamlet, to jest bohatér w walce z daną zagadką moralną lub socyalną... Utrzymałem tę formułę w dziewięciu ostatnich moich utworach i utrzymam ją jeszcze ze trzydzieści razy... Rozumiem wyłącznie sztukę dla idei, a przeto obciążam moje powieści całym balastem metafizycznym, wywołanym przez obrany przedmiot, zbyt pogardzając publicznością, abym mógł na chwilę pomyśléć o jéj przyjemności, i niewieścio zadowolniony z tego, że pozostaję zarówno trudnym do czytania, jak nieprzystępnym... Pytasz mnie pan wreszcie, co to jest m a g i z m? Magizm jest najwyższą kulturą — syntezą, która przypuszczać każe wszystkie analizy, najwyższym skombinowanym rezultatem hypotezy i doświadczenia, patrycyatem inteligencyi i uwieńczeniem nauki połączonéj ze sztuką. Pytasz mnie pan jeszcze o jego przyszłość? Panie, dopiéro co przeczytałem co następuje: „Tamtego wieczora M a g Papus ugaszczał u siebie, *29 rue de Trévise*, swoich współwyznawców M a g ó w paryskich. Pięciuset odpowiedziało na jego wezwanie. Ogółem zaś liczy ich stolica 10,000.“ Panie, takie ogłoszenia są szczytem nonsensu! Magizm nie ma żadnéj przyszłości, ponieważ w rzeczywistości znam pięciu tylko magów, siebie nie rachując: księdza Lacuria, margr. de St. Yves, pp. Guaita, Papus i Barlet... [1]). *Minimum* maga składa się z trzech rzeczy: geniuszu, charakteru i niezależności.“

Sar [2]) *Peladan.*

---

[1]) Autor niniejszego sprawozdania ma przyjemność znać osobiście dwóch z pomiędzy m a g ó w tu wymienionych. Ksiądz Lacuria uczęszczał przed kilkoma laty w Paryżu na piątkowe obiady ś. p. hr. Pusłowskiéj. Robił na piszącym i wszystkich podobno wrażenie zdziecinniałego staruszka, bawiącego się majactwami. Wyróżniał się długą brogą i długim tużurkiem, zastępującym sutannę.— Margr. de St. Yves, syn lekarza w szpitalu waryatów, ożeniony z panią Keller, rozwiedzioną żoną byłego dyrektora gł. spraw wewnętrznych w Królestwie, jest bardzo wykształconym człowiekiem, piszącym bardzo nudne książki i lubującym się w gustach dziwacznych, może dla zabawienia choréj żony.

[2]) Tytuł, mający oznaczać wysokie stanowisko pana Peladan w hierarchii magicznéj.

U pana Papus. — Czy istnieje związek naturalny między rozwojem magizmu a ruchem literackim? Niezawodnie... Magizm stanowi reakcyę przeciwko materyalistycznym doktrynom w nauce, tak jak symbolizm, psychologizm i dekadentyzm, w literaturze, przeciwko pozytywizmowi, z którego wyszła szkoła naturalistyczna. Józefin Peladan, Paweł Adam, Leon Hennique, a nawet Maurycy Barrès, są głównymi przedstawicielami tego kierunku... Sądzę jednak, że jest-to kierunek przejściowy... Wahadło zegarowe, wprowadzone w ruch, sięga najpierw do jednego krańcowego punktu, potém do drugiego i wraca do prostopadłéj dopiéro po licznych oscylacyach: „w literaturze dwoma punktami krańcowemi okażą się z jednéj strony naturalizm, z drugiéj symbolizm, między niemi magizm stara się przywrócić równowagę, wskrzeszając metodę, która długo pozostawała utajoną. Co z tego wyjdzie, przyszłość to pokaże...

III.

U symbolistów i dekadentów.

U pana Stefana Mallarmé. — Przybywasz pan w porę ze swoją ankietą, albowiem czas, w którym żyjemy, przedstawia nam widowisko nadzwyczajne, bez przykładu w historyi poezyi: jednego, drugiego i dziesiątego poety grającego na uboczu na piszczałce, która jest jego własną, a nie czyją inną i nucącego nutę, która mu się podoba. Po raz pierwszy poeci nie śpiewają na chórze u pulpitu i obchodzą się bez akompaniamentu organów. Wielki Hugo umarł niewątpliwie w przekonaniu, że razem z nim poezya sama złożoną zostanie do grobu na wiek cały... Nie rozumiał tego, że w społeczeństwie, pozbawioném stałéj podstawy i jedności, nie może być mowy o wytwarzaniu się sztuki, któraby była stałą i ostateczną... A i tego nie przejrzał, że stara forma wiersza nie miała w sobie nic absolutnego, koniecznego i wieczystego. Wiersz odnajduje się wszędzie w mowie ludzkiéj, wszędzie gdzie trafia się rytm, wszędzie, z wyjątkiem afiszów i czwartéj strony pism codziennych. Nawet w tém, co się nazywa prozą, widać wiersze, częstokroć cudowne. Ale właściwie niemasz prozy: jest alfabet i są wiersze mniéj lub więcéj ścisłe... Przeobrażenie zresztą, dokonywujące się tym sposobem w poezyi, przejawia się także w muzyce: miejsce dawnych melodyi, bardzo wyraźnie zarysowanych, zabiera nieskończony szereg ułamkowych dźwięków, które wzbogacają tkankę harmoniczną bez uderzania ucha silnym harmonicznym spadkiem... Tyle co do formy. Co się tyczy zaś treści, sądzę,

iż młodzi koryfeusze tego kierunku bliższymi są ideału poetycznego, niż Parnasiści, którzy dotąd obrabiają obierane przez się przedmioty, wzorem starych filozofów i retorów, przedstawiając rzeczy bezpośrednio. Sądzę przeciwnie, iż istotą poezyi jest aluzya... Nazywać przedmioty po imieniu, jest-to pozbawiać poemat trzech czwartych jego uroku, który polega na odgadywaniu. Poddawać (*suggérer*) te przedmioty czytelnikowi, oto szczyt poetycznéj twórczości, i oto istota tak nazywanego symbolu... Oczywiście, niezrozumiałość nastręcza się tutaj jako szkopuł poważny. Ale zachodzi pytanie, czy w danym razie niezrozumienie jest winą poety, czy téż czytelnika, niedostatecznie przygotowanego... Nie może być poezyi bez zagadki... Pytasz mnie pan, czy ruch, o którym mówimy, odemnie samego bierze swój początek? Nie cierpię szkół; nienawidzę profesorstwa w literaturze. Literatura jest z natury swojéj indywidualną. Stanowisko zaś poety, pośród dzisiejszego społeczeństwa, które mu odmawia środków do życia, jest z konieczności stanowiskiem człowieka, który odosabnia się dla wyrzeźbienia własnego nagrobka. Lubiłem zawsze młodych i współczułem ich usiłowaniom, stąd zapewne pozór przywódcy szkoły, który został moim udziałem. Pozór tylko; w gruncie rzeczy bowiem jestem samotnikiem... Jeżeli komu zresztą, to Pawłowi Verlaine należy się chwała pierwszéj reakcyi przeciwko nieomylności i nieczułości Parnasistów. W jego poemacie p. t. *Sagesse* pokazał się już nasz płynny i ruchomy wiersz dzisiejszy z dobrowolnemi dysonansami. Mój *Après midi d'un faune*, który tyle wywołał wrzawy i zgorszenia pośród Parnasu, pojawił się późniéj dopiéro, w 1875 roku. Tak Verlaine, przepyszny Verlaine, którego podziwiam zarówno jako człowieka i jako poetę, jest ojcem, prawdziwym ojcem wszystkich Młodych... Co się tyczy naturalizmu, zdaje mi się, iż zaczyna się on i kończy się na Zoli, a więc umrze z nim razem. Mam zresztą wielkie uwielbienie dla jego utworów. Sądzę tylko, że one nie mają nic wspólnego z literaturą. Z literatury Zola wziął tylko słowa, — reszty dostarczył mu jego cudowny temperament. O tém zaś, co robią tak zwani psychologowie dzisiejsi, mniemam, że jest-to powrót do formułek, w których zasmakował wiek XVIII-ty. Można istotnie podobać sobie w takiéj dysekcyi motywów duchowych; ale jest między tą sztuką a poezyą taka różnica, jaka zachodzi między pięknym gorsem kobiéty a gorsetem... Pytasz mnie pan o nazwiska Młodych, w których uznaję znamię oryginalnéj twórczości? Wymienię Karola Morice, Jana Moréasa, a ponad wszystkimi Henryka de Regnier. Jego ostatni utwór: „*Poëmes anciens et romanesques*“ jest po prostu arcydziełem.

U pana Pawła Verlaine. (*A raczéj w kawiarni „François-Premier“ na bulwarze St.-Michel, która zdaje się być właściwą rezydencyą tego poety, powtarzającego chętnie o sobie, że ma już tylko jednę matkę, to jest Dobroczynność publiczną i zatapiającego chętnie swoje marzenia i swoje smutki w kieliszku zielonego absyntu. Jego głowa „złego anioła, który się postarzał“ według określenia pana Huret, jest powszechnie znaną w dzielnicy łacińskiéj, razem z jego wyszarzanym makferlanem, pod którym pojawia się od czasu do czasu wspaniały, w oczy bijący żółty lub purpurowy krawat. Jego biografia pełna jaskrawych sprzeczności, zdumiewających wyskoków i przerażających zagłębień, wahająca się między peryodycznemi przystępami krańcowego sceptycyzmu, rozwiązłości wpadającéj podobno w sadyzm i pokutniczych wyrzutów sumienia. składa się sama przez się na bolesny poemat*). — Chcesz pan odemnie definicyi symbolizmu? Dlaczego się pan do mnie zwracasz z tém żądaniem? Wiész pan co? Ja mam zdrowy rozsądek; może mam to jedno tylko, ale mam, i nie rozumiem, o czém pan chcesz mówić... Symbolizm, to musi być słowo niemieckie. Ja jestem Francuz... Nowa szkoła? Rewolucya w sztuce? (z uderzeniem pięścią w stół, od którego przewraca się kieliszek napełniony zielonym płynem). Dajże mi pan święty pokój z tymi cymbalistami! Oni mają jeden tylko nowy sztandar, na którym stoi łokciowemi literami wypisane: Reklama!... Powrót do renesansu? A Rasyn? A Kornel? A La Fontaine, twórca wolnego wiersza? Czy ci nie istnieją? Czy to nie poeci francuscy przypadkiem? Słowo honoru, to za wiele głupoty!... I gdzie ich n o w o ś ć? Alboż Artur Rimbaud nie próbował tego wszystkiego przed nimi? Czego mu nie winszuję zresztą! I Krysińska nawet! [1]). I ja sam kiedyś, dla zabawy, ale nie dla pisania ewangelii!... Nie żałuję zaiste mego czternastostopowego wiersza. Starałem się nadać naszéj metryce więcéj giętkości, i to było rzeczą dobrą. Ale oni piszą teraz wiersze stonogie! To nawet nie nazywa się prozą... A przytém *ça n'est pas français, non ça n'est pas français!* A my przecież nie Rzymianie, ani Grecy, ale Francuzi, *sacré nom de Dieu!...* Mallarmé nazwał mnie ojcem tych Młodych? Niech mi dowiodą tego ojcostwa! Niech przeczytają moje wiersze—trzy franki i pięćdziesiąt centymów, na *Quai St.-Michel*, numer 3!.., Miałem uczniów, oczywiście. Jana Moréas między innymi. Ten jest moim synem. Ale niech mnie dyabli porwą, jeżeli wiem, skąd mi się uplągł z takim pawim ogonem. Ja jestem sobie mały, cichy ptaszek... I ptak francuski w dodatku, *cré*

---

[1]) Francuska rodem, zamężna za synem emigranta; autorka dość chwalonego zbioru wierszyków.

nom de Dieu! Dlaczego pozwoliłem, aby mi przyczepiono do pleców nazwę dekadentyzmu? Dlatego, że mi ją rzucono w oczy nakształt obelgi. Więc ją podniosłem do góry, niby bojowe hasło. Alboż zachód słońca nie wart jutrzenki? Alboż nie wszystko jedno, pod jakiém hasłem kto się bije, byle się bić! A co znaczy ta nazwa? Albo ja wiem! Ja jéj nie wynalazłem. Nic nie znaczy, i basta! Czy rozumiem wszystko, co oni piszą? A ktoby ich tam rozumiał. Czy oni sami się rozumieją? Mówią przecież o sobie, że są *des poêtes abscons.* Ha! ha! ha! Czy jestem zazdrosny o Moréasa? *Voui!!!* bardzo zazdrosny. Ha! ha! ha!

U pana Jana Moréas. (*Trzydzieści pięć lat podług jedynéj biografii, którą ogłosił p. Felix Fénéon; podług niektórych przyjaciół, przestał się starzéć od r. 1884. Zajmuje się dwiema tylko rzeczami: sobą i swojemi wierszami, i przyznaje to najchętniéj. Inne rzeczy nie obchodzą go, ponieważ nie mają żadnéj zrozumiałéj dlań wartości, ani inni ludzie, ponieważ nic nie rozumieją. „Jé m'en fiche“ i „tu né comprends pas“, z akcentem tłómaczącym się przez jego greckie pochodzenie, są jego ulubionemi przysłowiami*). — W gruncie rzeczy niemasz żadnéj nowéj szkoły, ponieważ każdy z nas zachowuje swoję indywidualność. Ale jest niewątpliwie pewien wspólny kierunek, który naturalnie uosabia się wybitniéj w indywidualnéj pojedyńczéj twórczości. Jest więc coś podobnego do szkoły, skoro jest wódz, a tym wodzem jestem ja oczywiście. Ja pierwszy w r. 1885-ym założyłem protest przeciwko przezwisku dekadentów, którém nas objuczono i ja pierwszy upomniałem się o nazwę symbolistów. Od téj pory chciano nauczyć mnie tego, że poezya była zawsze symboliczną. Wolne żarty! Jawną jest rzeczą, że poprzednikom naszym wszystkim, Parnasistom i romantykom samym po większéj części, brakowało symbolu, w pewném znaczeniu tego słowa, ponieważ w pojęciach, uczuciach, historyi i mitologii uwzględniali oni tylko odosobnione fakta, jako istniejące w sobie poetycznie. Stąd wady w koloraturze obrazów historycznych, mityczne pojęcia skurczone pseudo-filologicznym wykładem, ścieśnienie idei przez niedostrzeżenie naturalnych analogii, uwięzienie uczucia w anegdotce. Co wszystko, zwiększone i zgrubiałe, odnajduje się w naturalizmie, który jest prostą zgnilizną romantyzmu... Rzucają mi w oczy moje wiersze wielostopowe, ten np.:

„Et mes litières s'effeuillent aux ornières, toutes mes litières à grands pans.“

Tego samego rodzaju zarzuty czyniono w swoim czasie Wiktorowi Hugo. I tak samo oskarżano go o barbarzyństwo, kiedy, choć nieśmiało, próbował wprowadzać do języka poetycznego nowe wyrazy.

Osobiście zamierzyłem, i obiecuję sobie doprowadzić do skutku, w interesie literatury francuskiéj, rewolucyę daleko donioślejszą. Chodzi mi o całkowite odświeżenie języka, przez powrót do źródła romańskiego... Zarzut niejasności nie wzrusza mnie także. Są ludzie, którzy wszystko uznają za niejasne, prócz płaskości. ...Moje zdanie o innych pisarzach spółczesnych, prócz mnie? Wyrazić je mogę krótko. Wdzięczny jestem tak zwanym psychologom za to, że oswobodzili nas od naturalizmu, ale pozostają oni po za obrębem właściwéj twórczości artystycznéj. Zola? Jest-to dobry sobie powieściopisarz, tak jak Eugeniusz Sue. Bez żadnego stylu, tak jak Eugeniusz Sue. Daudet? Sztuka jest gmachem o wielu piętrach, Daudet mieszka w suterénach. Rówieśnicy moi? Znam kilku, Maurycego du Plessys, Rajmunda de la Tailhedè, Achillesa Delaroche, Ernesta Raymond, Woyciecha Saint Paul, o których przyszłości wróżę dobrze; ma się rozumiéć, jeżeli pójdą za mną. Jeżeli nie, tém gorzéj dla nich...

U pana Karola Morice (*autora książki przed dwoma laty wydanéj, p.t. „La Littérature de tout à l'heure“ i uchodzącego od owéj pory za estetyka nowego kierunku literackiego).* — Czy należę do szkoły symbolicznéj? Trzebaby najpierw, aby taka szkoła istniała. Ja i Jan Moréas mamy niektóre poglądy wspólne, ale na tém koniec. Jan Moréas przytém nie jest symbolistą. Używa on alegoryi; ale alegorya i symbol są to dwie różne rzeczy. Nakoniec, dla oswojenia młodego pokolenia z nowemi pojęciami o sztuce, brakuje mu pojęć. I tego brakuje mu tylko. Co się zaś tyczy formy, ja pozostaję wiernym urzędowemu wierszowi dwunastozgłoskowemu. Co myślę o psychologach, naturalistach i t. d.? Chciałbym im samym to powiedziéć. Zoli np.: Dosyć się napisałeś. Maurycemu Barrès i innym uprawiaczom swojego ja: Przestańcie się onanizować. Panu Sully-Prudhomme: Gdybyś pan był poetą! Alfonsowi Daudet: Dickens ma geniusz, ale bardzo licho pisze. Panu Loti: Pozbywaj się pan daléj swojego zapasu egzotycznych marzeń dla użytku mieszczuchów i pretensyonalnych histeryczek. Maupassantowi: Czyby ci się nie podobało bardziéj inne rzemiosło? Giełda np.? Kilku nieboszczykom, którzy dotąd hałasują i pontyfikują, Dumasowi np.: Bądźcież raz cicho! Wielkim krytykom: Sarcey'owi, Wolff'owi, pp. Fouquier, Lemaitre i t. d. Nie, tym nic nie mam do powiedzenia...

U pana René Ghil (*zaliczanego powszechnie do symbolistów, ale roszczącego pretensyę do utworzenia osobnéj szkoły, z nową formułą, którą uważa za ostateczną, pod nazwą: „évolutive-instrumentiste“*). — Panie! Verlaine ma lat pięćdziesiąt i napisał dotąd kilka poemacików o jednéj lub dwóch stronach druku. Mallarmé ma czterdzieści dzie-

więć, albo pięćdziesiąt lat i ogłosił „*l'Aprés midi d'un Faune*“, sto dwadzieścia wierszy ogółem, bardzo pięknych po większéj części, ale napisanych dwadzieścia lat temu. Moréas ma trzydzieści pięć lat, albo więcéj, i wydał wszystkiego trzy tomiki, bez żadnego związku między sobą. Nas jest dwudziestu ośmiu, którzy walczymy w imieniu metody ewolucyjnéj, mamy jeden w drugiego od dwudziestu do dwudziestu ośmiu lat, i piszemy ile atramentu starczy. To młodość prawdziwa! To prawdziwa poezya!... Symbol to głupstwo! Powrót do renesansu to kretynizm! Wiersze Jana Moréas'a to mirlitonowe wiersze, sklecone przez gramatyka. Chociażby zresztą który z tych panów miał talent, żaden z nich nie ma metody. Owóż, bez metody nie może już być dziś mowy o poezyi. I jest jedna tylko metoda godna tego imienia, to jest ta, którą wymyśliłem. Helmholz dowiódł, że dźwiękom instrumentów muzycznych i dźwiękom mowy ludzkiéj odpowiadają te same samogłoski harmoniczne... A przeto, dla wyrażenia danego uczucia, poeta winien nietylko szukać słów, dokładnie ten stan duszy określających, ale ubiegać się o dobór słów takich, któreby posiadały dźwięczność odpowiednią, tak żeby ich zestawienie, umiejętnie obrachowane, składało się na niezmysłowy i matematyczny równoważnik instrumentu muzycznego, któregoby kompozytor orkiestrujący swoję partycyę, użył w téj saméj chwili dla wyrażenia tego samego stanu duszy... Oto moja metoda. Rozumiész pan? Jeżeli nie rozumiész, toś taki sam idyota, jak Jan Moréas. Ale jest ich dwudziestu siedmiu oprócz mnie, dwudziestu ośmiu ze mną licząc—oto ich imiona, którzy rozumieją i do których należy przyszłość...

Pozostaje do zaznaczenia list pana Saint-Pol-Roux, który podpisuje się: Saint-Pol-Roux-le-Magnifique. Dlaczego? Dlatego, że będąc poetą i lubując się w przymiotnikach, powszednim trybem poetów, nie znalazł przymiotnika innego, któryby lepiéj określał jego talent, jego twórczość poetyczną i całą jego osobę. Przez co nie mniemał wcale być zarozumiałym. Albowiem bogowie zarozumiałymi być nie mogą. A pan Saint-Pol-Roux-le-Magnifique jest bogiem. Tak twierdzi. I bogami będą wszyscy ci, którzy zapiszą się do jego szkoły, czy raczéj do jego *ery* poetycznéj, która będzie „dyamentową“ erą poezyi, albo erą „przepyszności“ (*La Magnificisme*), albo erą pana Saint-Pol-Roux-le-Magnifique. Ma się rozumiéć, szkoła ta nie utożsamia się z symbolizmem, który jest kierunkiem przejściowym, ani z poetyką pana Jana Moréas'a, którego wiersze robią panu Saint-Pol-Roux-le-Magnifique wrażenie „trombonu wydającego dźwięk piszczałki.“ Na

czém zaś polega czy polegać ma nowa era, w ten sposób zapowiedziana, z tego zdać sprawę można jedynie własnemi słowami „przepysznego poety“, przytaczając je nadto w ich francuskiém brzmieniu; pokuszenie się o przekład byłoby bowiem przedsiewzięciem zbyt ryzykowném. Oto wyjątki, wybrane z pomiędzy najprzystępniejszych:

„*La poésie n'est pas uniquement de la musique, uniquement de la couleur... Le poète, braconant dans les fourrés du Mystère, ne le pipera qu'avec toutes les armes humaines réunies en faisceau... Dans la religion poétique l'âme est une harpiste dont la harpe est le corps: harpe à cinq cordes. Pincez une seule corde, vous avez la voix dans le desert égoïste et partial: pincez les cinq, voici l'expansive charité, voici la symphonie... Les cinq cordes de la harpe sont nos cinq sens, qui traquent, capturent, puis officieusement naturalisent, accessibilisent le suprême gibier dérobé par l'esprit... Le poète a pour boussole son intuition. La Beauté, châtiée, qui rôde parmi l'imagination humaine, lui sussure sa nostalgie. La Beauté brisée ne retrouvera sa perfection qu'à travers son grand regret de la Splendeur perdue: le Poète est le chancelier de ce regret...*“

I tak daléj przez dziesiątki kartek.

IV.

U naturalistów.

U pana Edmunda de Goncourt. — Ma się rozumieć, że wierzę w koniec naturalizmu. Ale myślę, że umrze on naturalną śmiercią, jak wszystko na świecie, nie zaś samobójstwem, jak chcą niektórzy. Półwiekowe życie jest średnim okresem trwałości wszystkich ruchów literackich za dni naszych. Pójdziemy precz; tylko nie widzę dotąd tych, którzy nas zastąpią. Po stronie tak zwanych młodych, którzy podobno nie są wszyscy młodymi, widzę programy, broszurki, malutkie tomiki w ośmnastce, ale ani jednego dzieła, co się zowie. Inni zaś: Huysmans, Maupassant, Mirbeau, Rosny, Margeritte, Hennique, należą bądź co bądź jeszcze do szkoły naturalistycznéj. Przytém, między owymi pseudo-młodymi nowatorami, dostrzegam samych poetów; nie sądzę zaś, aby w wieku dzisiejszym wielki jakikolwiek ruch intelektualny mógł być prowadzonym przez wierszokletów. Hugo był genialną anormalnością. Nie tylko to; sama forma powieściowa zdaje mi się przeżytą. Trzebaby znaleść coś innego. A psychologowie, pytasz pan? Rad z tego jestem, bo chciałbym raz skończyć z tą etykietą naturalizmu, którą nam przyczepiono do kape-

luszy, mimo, poniekąd, woli naszéj? Albo nie zrozumieliśmy wszyscy tego, że w każdém dziele obok strony fizyologicznéj powinna być uwzględniona i strona psychiczna? albo Zola nie napisał: „*Le Reve?*“, alboż ja sam nie napisałem: „*Madame Gervaisais*“, powieści psychologa tak dobrze psychologicznego, jak wszyscy psychologowie dzisiejsi?...

U Zoli. — Aha! przyszedłeś pan zobaczyć, czy jeszcze żyję? Jak pan widzisz. Cieszę się zdrowiem doskonałém, a mój wydawca Charpentier nie przysyłał mi nigdy pomyślniejszych wiadomości... Bardzo mnie zajęła zresztą ankieta, przeprowadzona przez pana. Bardzo byłem rad dowiedziéć się, co młodzi moi przyjaciele myślą i czują... Czują oni oczywiście coś, ale błąkają się mizernie dokoła formuły, którąby znaleść trzeba. Naturalizm umarł! Co to ma znaczyć? Że ruch rozpoczęty przez Balzac'a, Flaubert'a, Gontcourt'a i daléj prowadzony przez Daudet'a, przezemnie i przez innych, zbliża się do swojego końca? Być może. Mieliśmy swój czas i swoje miejsce dość okazałe... nie mamy prawa się skarżyć... Że ruch ten spotka się z reakcyą, która zawrze protestacyę nadchodzącego pokolenia przeciwko nauce, przeciwko niedostatecznym spełnieniom obietnic przez nią wygłoszonych? I to być może, jeżeli znajdzie się człowiek dla udzielenia potężnego wyrazu téj skardze rozbolałych zawodów... Wtedy reakcya zwycięską się stanie na jakie dziesięć, piętnaście lat, i naturalizm umrze w tém znaczeniu; ale nie umrze ta forma ducha ludzkiego, która fatalnie prze go do uniwersalnego badania; ta potrzeba szukania prawdy, gdziekolwiek ona jest, któréj naturalizm uczynił zadość w pewnéj mierze. Nadto zaś, trzeba człowieka, trzeba formuły. A oto, dla zrównoważenia olbrzymiéj pracy, dokonanéj w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, dla zamknięcia kolosalnéj ery, którąśmy przeżyli, dla wyrażenia tego powszechnego udręczenia umysłów wzdrygających się przed zwątpieniem i spragnionych jakiejkolwiek pewności, co nam przynoszą: za cztery susy lichych wierszy, skleconych w knajpie i owiniętych w niepewną jakąś etykietę symboliczną! Bo cóż nareszcie zrobili oni wszyscy, ilu ich jest, którzy zabijają nas z taką łatwością i chcą wywrócić jutro do góry nogami całą literaturę? Znam ich przecież nie od wczoraj... I lubię ich nawet, tém bardziéj, że nie masz między nimi ani jednego, któryby nas mógł ruszyć z miejsca. Bardzo miłe chłopaki. Czytam wszystko, co drukują, kiedy coś drukują, przerzucam ich przeglądy, ale czekam jeszcze wielkiego dzieła, zapowiedzianego od lat dziesięciu... Jest z nimi tak, jak z socyalistami, którzy zawsze za sześć miesięcy zawładnąć mają Francyą. Tymczasem nic się nie rusza... Przed dziesięciu laty słyszałem o Karolu Morice, „największym poecie tego wieku“, który

miał coś ogłosić. Zobaczysz, zobaczysz! Wytrzészczam dotąd oczy napróżno. Teraz przyszła koléj na Jana Moréas'a. Ten ma dopiéro *du toupet* co się zowie! „Wiktor Hugo i ja, ja i Wiktor Hugo!“ Dla tego, że napisał parę piosenek jakichkolwiek w rodzaju Bérengera. Bo reszta jest dziełem profesora gramatyki, który zwaryował, poezyą z apteki. To szaleństwo! Zapóźniając się nad takiemi błazeństwami, w téj chwili brzemiennéj wielką ewolucyą pojęć, ci młodzi, którzy mają wszyscy od trzydziestu do czterdziestu lat, robią na mnie wrażenie łupin orzechowych, tańcujących na wodospadzie Niagary... Dalibóg chętnie zobaczyłbym wychodzącą z ich rąk książkę jakąś, którąby nazwać można arcydziełem. Tém chętniéj, że nie masz między nimi jednego powieściopisarza. Ale niech mi pokażą tę książkę, niech się zgodzą chociąż między sobą dla nazwania jéj. Gdzie tam, każdy swoją! Więc miejsce jest jeszcze do zajęcia po nas... Przyszłość należéć będzie do tego albo do tych, którzy zrozumiéć potrafią duszę nowoczesnego społeczeństwa, którzy, oswabadzając się od teoryi zbyt ciasnych, obejrzą się za logiczniejszém, rzewniejszém pojęciem życia... Ale symbolistom zasię do przewodniczenia temu ruchowi, który nie może być ruchem wstecznym... *Il faudrait un bonhomme...* (po namyśle) zresztą, jeżeli będę miał czas, ja sam zrobię to, czego oni chcą...

U pana Huysmans. — Oczywiście naturalizm skończył swoją karyerę. Nie mógł przecież trwać wiecznie... Możnaby zapewne iść daléj w tym kierunku, biorąc np. pokolei wszystkie grzechy główne... Ale i tych by nie stało. Nawet z samogwałtem rzecz skończona, a Belgia wyprzedziła nas w artystyczném obrobieniu zjawisk syfilitycznych... Rzucony na tę drogę, naturalizm musiał dotrzéć do takiego zaułka bez wyjścia. Mówię o Zoli, choć wiem, że sięgać trzeba do Flaubert'a i do Goncourtów, ale nie od nich wyszła ta siła rzutu, która od jednego zamachu doprowadziła ruch cały do ostatecznego kresu. Ach ten Zola, co za siła w krzyżach!... Ale tam, gdzie przeszedł, nie ma już nic do zrobienia... Co pan chcesz robić? Cudzołóstwo episyerki z oberżystą?... Chyba szukać jakichś wyjątków rzadkich, potwornych... Wiem, jest jeszcze jeden temat, którego nikt nie tknął: Ksiądz! Ale ten pozostanie chyba zawsze nietkniętym [1]). Trzebaby samemu przejść przez seminaryum... Ale pan chciałbyś, abym panu mówił o symbolistach. Zmiłuj się pan, na co? Kiedy to

---

[1]) P. Huysmans przepomniał oczywiście powieść pana Mirbeau, wydaną przed dwoma laty p. t. „*L'Abbé Jules*“ (przypisek sprawozdawcy).

nie istnieje... Pan wierzysz w rzeczywistość téj formuły? Ja wierzę, że jest to olbrzymia mistyfikacya, obmyślona przez Anatola France, dla wyrządzenia psoty parnasistom i przez Barres'a, dla własnéj zabawy... Co i kogo widzisz pan *dans cette fumisterie?* Jana Moréas'a?... Wyobraź sobie pan kurę (i to jeszcze kurę nie francuską), któraby szukała ziarna w średniowiecznym słowniku Lacurne de St. Palaye'a... Zapewne jest tam między nimi kilku młodych dużego talentu: Descaves, Rosny, Margueritte i pański współpracownik Jan Lorrain, który wyśmienicie oddaje szmeranie zgnilizny paryskiéj, mocno przyskwarzonéj, mocno cuchnącéj dziczyzną (głaskając kota, z upodobaniem)... téj miłéj zgnilizny paryskiéj... Czy chcesz pan zobaczyć proszek do wypędzania złych duchów?... [1]) Ale pan znowu do psychologów mnie nawracasz. Czy i o tych myślisz pan, że istnieją? Wierz mi pan, nie oni to potrafią podstawić nogę Gontcourtowi. Kiedy się napisało „*La Faustin*“, można być spokojnym... Kogo zresztą widzisz pan między nimi? Bourget'a z jego powieściami dla żydówek, z jego psychologią herbacianéj zastawy? Barres'a z jego anemicznemi zabawkami dla dzieci? Ależ pierwszy lepszy proboszcz wiejski wié tysiąc razy więcéj od nich!... Pytasz pan dokąd tedy idziemy? Prawdę mówiąc nie wiem zgoła. Materyalizm rozpęka się; spirytualizm czysty jest niemożliwym; pośredni kierunek tak jak i gdzieindziéj przyprawia o nudności... Trzeba czekać Messyasza... Ale przychodzi mi myśl do głowy: czy Zola nie powiedział panu, że gdyby miał czas, tedyby poszukał sam owego c z e g o ś? Wiesz pan, onby potrafił... Młody jeszcze, może, jeśli zechce, przebić ten tunel, do którego zapchał naturalizm cały... Wtedy zobaczymy... Tędy na lewo do drzwi, kochany panie... Ostrożnie! to są relikwie autentyczne wielkiego świętego...

O d p a n a P a w ł a A l e x i s. 1) Depesza treści następującéj: „*Naturalisme pas mort. Lettre suit*“. 2) List dający się streścić, jak następuje: Naturalizm nie umarł dla tego, że *a*) ostatnia powieść Zoli „*L'Argent*“ miała 70 wydań; *b*) natura nie znosi próżni; owóż nie ma nic do postawienia na miejscu, jakoby opróżnionéem przez naturalistów. Z wyjątkiem Bourget'a, wszyscy psychologowie są tylko schorzałymi naturalistami, jak Rod np., którego Juliusz Vallés pytał zawsze: „Jak się miewa twoja macica?“ Symboliści zaś czy dekadenci nie istnieją zgoła...

U p a n a H e n r y k a C é a r d. Jakże pan chcesz twierdzić, że

---

[1]) Pan Huysmans wydał świeżo p. t. „*Là Bas*“ powieść, osnutą na tle demologicznych pojęć i praktyk, którym przypisuje dość rozległe zastosowanie w spółczesnéém życiu.

naturalizm umarł, kiedy nie narodził się on nigdy? A nie, przynajmniéj w znaczeniu powszechnie przyjętém jakiejś specyalnéj formuły literackiéj, jakiegoś artystycznego samotworu bieżącéj epoki. Po wszystkie czasy kierunek taki istniał obok literatury urzędowéj, czy po za nią. Zobacz pan, w epoce Ludwika XIV-go „*Le Roman bourgeois*“ Furetiere'a. Zobacz pan przedewszystkiém Saitn-Simon'a... Po wszystkie czasy zmysł oberwacyjny walczył z ideologią. Po wszystkie czasy byli ludzie lubiący marzyć i drudzy, którzy woleli patrzyć. Dajmy na to, że naturalizm spółczesny omylił się w zastosowaniu swoich teoryi. Cuvier swojego czasu omylił się także w wielu ze swoich założeń i wywodów. Nie przeszkodziło mu to być twórcą paleontologii i wielkim człowiekiem. I dajmy na to, że tenże naturalizm spotka się ze zwycięzką reakcyą. Życie składa się właśnie z ruchów i odruchów tego rodzaju. Gdyby znano lepiéj dzieje literatury XVIII wieku i historyę walki Baculard'a d'Arnaud z encyklopedystami, tedy wiedzianoby, że reakcya rozpoczęła się o wiele wcześniéj, niż powszechnie dziś przypuszczaném bywa... W każdym razie nie psychologowie nasi dzisiejsi zapewnią jéj zwycięstwo. Alboż psychologia jest nauką książkową! Na téj drodze dochodzi się z panem Pawłem Bourget do takich zdumiewających wniosków jak np., że: „Te panie miały upodobanie do ustronnego życia, ponieważ mieszkały w głębi podwórza“. To się nazywa znać „mechanizm serca ludzkiego“! a nie wiedzieć o tém, że zwykle mieszka się w podwórzu, kiedy nie ma się za co nająć mieszkania od ulicy... Co się tyczy zaś symbolistów, przypuszczam chętnie, iż szukają oni czegoś nowego, tylko nie wiedzą, jak się wziąć do znalezienia tego, czego szukają. A najpierw dla czego, będąc jakoby apostołami duchowości, nazywają się oni symbolistami, skoro symbol jest właśnie zmysłowym znakiem idei?... Wiem dobrze o co im chodzi... Oto siądę do fortepianu i uderzę akord. Zatkaj pan sobie uszy i odetknij je dopiéro po uderzeniu. Czy słyszysz osobne echo, które odbija się w ten sposób? Oni właśnie szukają tego echa... Może być, że z tego coś wyjdzie, chociażby punkt wyjścia był omyłką. Z alchemii wyszła chemia nowoczesna...

V.

U neo-realistów.

U pana Oktawiusza Mirbeau. Dla Boga, czego pan chcesz odemnie? Czego wszyscy ilu was jest, chcecie od nas? Wyglądacie Messyasza! Jakiego Messyasza? Ależ w żadnéj innéj epoce nie było podobnego rozkwitu artystycznéj twórczości! Prócz tych,

którzy szukają uosobienia naszego wieku w panu Halévy, czegoż najwybredniejsi żądać mogą, mając pod ręką takich pisarzy, jak Mallarmé, Verlaine, Mendès, Zola, Maeterlinck, Tailhade.... Mendès zwłaszcza! Gdzie szukać poety, któryby był bardziéj wykwintnym bardziéj osobistym, bardziéj poetą! Pamiętasz pan ten wiersz z „*Hesperus'a*“:

Un jet d'eau qui montait n'est pas redescendu“...

dla wyrażenia nieskończoności.

Symboliści... dla czego nie? Kiedy mają geniusz jak Henryk de Regnier, jak Karol Morice... Psychologowie... dla czego nie? Uważam „*Le Jardin de Bérénice*“ za arcydzieło...

(Odwożąc pana Huret na kolej wózkiem własnoręcznie kierowanym).

— Pytasz mnie pan w jakim kierunku rozwijać się będzie literatura powieściowa? W socyalistycznym naturalnie. Tak chce naturalna ewolucya pojęć, wio! wio! Duch buntowniczy robi ciągłe postępy, i dziwić się, wio! że biedacy nie strzelają częściéj w łeb milionerom, których spotykają... wio! Tak, wszystko zmieni się na raz, literatura, sztuka, wychowanie, wszystko, *après le chambardement général*... wio! wio! nuże! którego wyglądam, w tym roku, albo za rok, albo za lat pięć, ale którego się doczekam... wio! wio! jestem tego pewny!

VI.

U parnasistów.

U pana Leconte de l'Isle. To czego pan żądasz odemnie wprawia mnie w wielki kłopot. Znam wielu z pomiędzy tych młodych ludzi i nie chciałbym być przykrym dla nich, wyrażając to co myślę o ich sposobie pisania. Tém bardziéj, że..., właściwie, nic nie myślę, ponieważ nic a nic nie rozumiem... To jest rozumiem, że marnotrawią oni czas i młodość swoją... Ich język? Ich poetyka? Weź pan ten kapelusz, wsyp pan pewną ilość rzeczowników, przymiotników, zaimków i t. d. Teraz wysyp pan i czytaj: będziesz miał poemat symboliczny. W sam raz!... „Ależ my szukamy dopiéro!“ powiadają mi jedni i drudzy. Odpowiadam: Szukajcie sobie ile chcecie, ale nie w drukowanych książkach! Ja sam szukałem, i spaliłem z jakie cztery tysiące wierszy. Wy zaś z szukania waszego tworzycie szkołę i chcecie narzucić ją światu! Wasze przestawienia słów? Molierowski pan Jourdain wymyślił je oddawna: „*Belle Mar-*

quise, vos yeux me font mourir d'amour. D'amour, belle Marquise, i t. d. Czemu przypisuję powodzenie téj pseudo-szkoły? Brakowi talentu poprostu i wynikającéj stąd niemocy. Jest to reakcya, jeżeli pan chcesz, reakcya smarkaczy i impotensów przeciwko męskiéj i trudnéj do osiągnięcia twórczości — przeciwko nieczułości naszéj jak ją nazywają. Co znaczy chyba, że poeta, który nie opowiada w jaki sposób bierze się do zapięcia swoich portek, jest człowiekiem nieczułym! Dokąd idziemy? Nie wiem zgoła. Naturalizm był w teoryi nonsensem; w rezultacie stał się kupą gnoju. Rzecz z nim skończona. Romantyzm, który był nadewszystko egotycznym, wyczerpał wszystkie pojęcia, zostawiając niewykarczowanemi jedynie stare teogonie, w które próbowałem wcielić się. Teraz nie widzę wcale co pozostaje do zrobienia. Może i oni nie widzą tak samo, i dla tego biorą się do tłómaczenia starych rzeczy w języku niezrozumiałym... Jesteśmy w epoce upadku... dowodem obecność dekadentów. I będziemy w upadku, dopóki nie zjawi się mocarz jakiś, który uprzątnie połowiczne talenta, zdwojone pretensye i nakłoni wszystkich do ogólnéj estetyki przez siebie stworzonéj.

U pana de Heredia. Opowiem panu anegdotkę. Jeden z symbolistów, zataję jego nazwisko, aby nie sprawić mu przykrości— przyniósł mi poemat z wierszami o wielu stopach, naturalnie. Jeden wiersz siedmnastozgłoskowy uderzył mi oko. Były tam, obok siebie, dwa przymiotniki prawie jednoznaczące. „Czy nie zechciałbyś pan, powiedziałem młodemu poecie, pozbyć się jednego z tych przymiotników“? Bez namysłu zgodził się, ale dodał z westchnieniem: „Cóż robić, wiersz będzie miał tylko piętnaście zgłosek“...

U pana Franciszka Coppée. Moje zdanie o symbolistach? Nie wiem czy moje zdanie może być interesującém w téj materyi. Ci młodzi uważają mnie za starego safandułę i nie kryją się z tém w swoich małych przeglądach, które moja siostra czyta, bo ja nie mam czasu. Ja swoją drogą lubię młodych i cieszę się, kiedy się ruszają i krzyczą głośno i podnoszą głowę do góry. Trzeba, ażeby młodzież była żywą i wojowniczą... Tylko chciałbym rozumieć cośkolwiek, *sapristi*! a nic nie rozumiem. Oni powiadają, że nie piszą dla takich jak ja filistynów, że nie piszą dla nikogo, jeno dla sztuki. Łżą całém gardłem, kochany panie. Kiedy się nie chce pisać dla ludzi, tedy się nie drukuje... Skąd się wziął ten tak zwany symbolizm? A skąd się bierze za dni naszych tyle rzeczy ekscentrycznych, egzotycznych, cudacznych albo cudzoziemskich, powieść ruska, teatr duński, Bóg wié co jeszcze! Z tego, że się wszyscy nudzimy na śmierć i wszyscy brzydzimy się wszystkiém. Więc szukamy zabawy i ba-

wimy się w dyletantyzm. Anatole France, dla farsy, zakłada się o to, że ludzie uwierzą w jego uwielbienie dla stonogich wierszy, i wygrywa zakład. Brunetière, ten prefekt policyi w literaturze, dla zabawy wsiada na tego samego konika i kompromituje „*Revue des deux Mondes*“... A oni tymczasem bawią się w wielkich ludzi, i nazywają Wiktora Hugo „*un poète regrettable!* Można umrzéć ze śmiechu, słowo honoru! Chcesz pan papiérosa?... Nie mówię zaś, żeby z pomiędzy nich wszystkich nie mógł wyjść kiedyś prawdziwy poeta. Ale prawdziwi poeci nie rodzą się co dwadzieścia cztery godzin. I nie wystarcza wpisanie się do cechu spijaczy piwa czy absyntu w uprzywilejowanéj knajpie... Czy zaś ten prawdziwy poeta, jeżeli przyjdzie, zabije naturalizm, tego powiedziéć panu nie mogę, ponieważ nie widzę wcale tego, co nazywacie naturalizmem. Nie wiem co to i gdzie to jest. Widzę tylko Zolę! Goncourt, Zola i Daudet stanęli pod sztandarem Flauberta i zrobili dobrze, bo Flaubert jest cudownym pisarzem... Ale Goncourt jest artystą nie podlegającym żadnéj klasyfikacyi; Daudet ze swoją ironią, drgającą jak struna pod smyczkiem i z tą przedziwną delikatnością nerwów; Zola, którego kandydaturę popiérałem w akademii, i nie wyrzęknę się go, z pewnością — Zola... *c'est un rude bon homme, allez!* Ale między nimi i mną nie masz nic wspólnego zgoła!... I tak samo się ma z psychologami. Widzę jednego znowu, Bourget'a, którego niesłusznie sponiewierano w pańskiéj ankiecie. Jegomość, który postawił na nogi barona Desforges i typ kobiéty z „*Mensonges*“, wiész pan co?... Ale na nim koniec, bo Barrès... to prosty mistyfikator... Czy uważałeś pan, że kiedy pisze w „Figarze“, tedy pisze zrozumiale całkiem, prawie płasko... Wiem dobrze, że artykuły w „Figarze“ są dla filistynów, a rozdziały w „*Jardin de Bérénice*“ dla kogo innego. Ale ludzie, którzy z taką łatwością gaszą i zapalają swoją latarnię... gadaj pan co chcesz, są to dla mnie ludzie podejrzani. Tak jest, podejrzani...

VII.

U niezależnych.

U pana Augusta Vacquerie. Ha! ha! interwiewowałeś pan dwie kopy literatów i dowiedziałeś się pan od nich, że ludzie nie czytają już Wiktora Hugo. Oto są rachunki wydawców. Od daty jego śmierci sprzedano pojedyńczych egzemplarzy za ośm milionów franków! Więcéj niż milion fr. rocznie!... O symbolistach, psychologach i innych młodych, nic panu powiedziéć nie mogę. Czy

są ludzie, którzy czytają to, co oni piszą? Ja nie czytam. Nie mam czasu. W. Hugo zostawił tyle rękopisów...

Z panem Juliuszem Claretie (Rozmowa na ulicy w drodze do Teatru Francuskiego). Symboliści? Bardzo dużo talentu. Uderza mnie wielce rola, którą muzyka zabiera w sztuce pisania. Jeżeli pójdziemy daléj tą drogą, muzyka, najwięcéj zmysłowy ze wszystkich przejawów artystycznych, weźmie górę nad literaturą... Neo-realiści? Bardzo dużo talentu. Mirbeau powiedział panu, jeżeli się nie mylę, że sztuka musi się stać socyalistyczną, aby odpowiedzieć wymaganiom wieku. Arcy trafna myśl. Sue wyraził ją już przed pięćdziesięciu laty... Wszyscy ci panowie mają bardzo trafne myśli. Szkoda, że tak obgadują jeden drugiego... Czy wierzę tedy w ewolucyę artystyczną? Naturalnie! W powieściopisarstwie, w poezyi, tak jest! W teatrze? pytasz pan. Za pozwoleniem, jestem dyrektorem teatru. Z teatrem inna sprawa. Trzeba, uwzględniając nowe teorye, liczyć się także z bilansem każdorocznym. Czy mogą być zresztą nowe teorye, w téj materyi? Sądzę, że wszystkie sformułowane zostały przez Goethe'go w przedmowie do Fausta... Aktorzy czekają na mnie. Żegnam pana.

Z panem Gustawem Kahn (w restauracyi przy śniadaniu). Pytasz pan o młodych? Moréas nie ma zgoła talentu, ale ma go więcéj jeszcze od innych. Karol Morice? Z tym inna sprawa. Ten dostał do rąk stary kuferek Stefana Mallarmé, znalazł coś na spodzie i tém żyje. Żadnego talentu. Wolę Zolę. Ten ma talent, ale paskudne rzemiosło. Wolę nawet Pawła Alexis, choć to co pisze, śmierdzi. Tak jest, wolę ten naturalizm szczery od nowych sandwiczów, do których razem z naturalizmem wchodzą skrzypce, grające pod oknami przy blasku księżyca. Rozumiesz pan, że mam na myśli Rosny'ego. Daj mi pan pokój z Maupassantem. To kupiec wycofany z handlu, który nauczył się pisać czytając *La Vie parisienne*. Daudet? Pani Daudet, Juliusz Stinde, który także naśladuje Dickensa, jest mniéj znanym... Gdybyśmy mieli krytyków... Ale mamy tylko Juliusza Lemaitre, który bierze lekcye tańca, aby mieć powodzenie w salonach i Anatola France, który zajmuje się tłómaczeniem dla dam biblioteki, którą mógł mieć Ś-ty Antoni, kiedy był nawiedzanym przez pokusę... Jedném słowém oto moje zdanie: uważam najgorszego z poetów symbolistów za lepszego dziesięć razy od najlepszego naturalisty. I basta.

VIII. U teoretyków.

U pana Renan. Naturaliści, psychologowie, symboliści... są to dzieci, które ssą swój palec.

K. W.



ŚWIETNY LOS.

OBRAZEK.

(Dokończenie) *).

V.

Z rana wstał Wolski z łóżka drżący, bezsilny, długą chwilę trzymał się rękami za poręcz krzesła, zanim się odważył parę kroków naprzód postąpić. Zebrał jednak siły i dowlókł się do fotelu. Przechodząc, spojrzał w lustro: wyglądał strasznie... czoło i twarz jak z wosku... oczy szklane... dolna warga obwisła bezwładnie. I z taką twarzą mógł jeszcze łudzić, że jest zdrów!...

— Ha, bo... bo... nikt właśnie w tę twarz nie spojrzał!

Usiadł w fotelu, przysłonił ręką oczy...

O południu przyszedł doktór, a jednocześnie przyjechała Lena. Doktór znalazł go znacznie zdrowszym, silniejszym, zalecił teżsame proszki i jaknajwiększy spokój.

— Za parę tygodni pan prezes zapomni o chorobie! Serce prawie w porządku, a o tym bólu w boku wspominać nie warto! Więcéj tam urojenia, fantazyi, niż choroby! Wszak prawda, co? jak się popogodzimy z nerwami, to i ten ból zniknie... A zatém, jaknajwiększy spokój, tymczasem tylko to nam potrzebne!...

Wolski słuchał, jak się słucha brzęczenia dokuczliwego komara; nawet tytuł „prezesa“ nie zwrócił jego uwagi... Spokój... oh, tak!... żeby mógł zdobyć spokój! Żeby mógł zapomniéć o wszystkiém, i żyć jak kamień w ciszy słonecznéj.

*) Patrz „Ateneum“ za m. listopad r. b., str. 204.

Doktór uścisnął zimną rękę:

— Kiepsko, ale pociągnie jeszcze parę tygodni — rozmyślał, patrząc z pogodnym z uśmiechem w szklane oczy chorego.

Weszła Lena z bukietem fiołków przy popielatym staniku, w kapeluszu z popielatą gazą, zawiązaną po angielsku pod brodę; w lekkiém srebrzystém obramowaniu prześlicznie wyglądała delikatna twarz i duże czarne oczy. Stanęła w progu. Wolski podniósł głowę, wyglądał Maksa.

— Samaś? a mąż?—Obrzucił ją niespokojnym wzrokiem.

Lena pocałowała w milczeniu jego rękę.

— Cóż robi Maks? dlaczego nie przyjechał?

Usiadła przy nim na krześle, zdejmowała zwolna rękawiczki.

— Czy ja wiem!—odrzekła po namyśle. — Miał jechać, wyszedł na ganek w kapeluszu, z pledem, wrócił do pokoju i kazał oznajmić, że nie pojedzie!

Wolski miał taką minę, jak gdyby nie rozumiał ani słowa.

— Jakto?... dlaczego?...—spytał wpatrzony w twarz Leny.

Wzruszyła ramionami w milczeniu.

— On jest najnieszczęśliwszy z ludzi—odrzekła po chwili—sam nie wié, czego chce! Ja też nie wiem, co na to poradzić! Robiłam i robię, co mogę, ale wszystko napróżno!

Miała łzy w oczach; widząc przerażoną twarz ojca, uśmiechnęła się smutnie i raz jeszcze ucałowała jego zimną ręką.

— Najszlachetniejszy z ludzi, on taki... dziwny!... — szepnęła wpatrzona w okno.

Wolski chciał o cóś zapytać, poruszył drżącemi wargami...

On go już widział takim nieraz... przez kilka dni słowa jednego doczekać się nie mógł... znał jego apatyę... pamiętał urywane frazesa o „podłéj głuszy“ o „marném życiu“, o niedołęstwie, które go zjadać poczyna...

Zżymał się, słuchając tych banialuk. Hamletem nazywał!... Nie przypuszczał jednak, żeby mu to życie psuło...

— Najnieszczęśliwy z ludzi!—powtórzył zwolna—on!

Kiwał głową z gorzkim uśmiechem.

Lena wstała, przeszła się parę razy po pokoju.

— Pojedziemy zagranicę, ojcze? — spytała, stając przed nim; — jedźmy! Ojcu to na zdrowie posłuży... Maks pozbędzie się mnie na parę miesięcy—dodała ciszéj.

Spojrzał na nią zdumiony — on miałby jechać... dokąd? i po co? Doznawał w téj chwili takiego wrażenia, jak gdyby stofuntowe kule miał u nóg, a ktoś go do chodzenia nakłaniał!

Patrzał na nią i—zapominał, o co go pytała?

— Najnieszczęśliwszy z ludzi!... — szeptało mu coś w duszy, a gorzki uśmiech wciąż drgał na ustach.

— Jedźmy, ojcze!

— Nie wiem jeszcze, może... zobaczymy...

Przysunęła się z krzesłem do niego.

— Niech i on z nami jedzie! Ruch, zmiana miejsca... to go zbudzi! Ojciec nie wié, ile szlachetnych myśli drzémie w nim bezużytecznie! Ojciec nie zna go tak dobrze, jak ja go znam! On nie lubi mówić o sobie... ja... podsłuchałam jego naturę... to... to piękna dusza! Nikt go nie zna! On sam już zwątpił o sobie i stąd ta apatya!...

— Cóż ja na to poradzę... Wszak go na nowo stworzyć nie mogę... z prawdziwéj choroby uwalnia śmierć, albo medycyna, z urojonéj zaś...

Rozłożył ręce i zamilkł.

— Najnieszczęśliwszy z ludzi! a cóż? to jest możliwe... Kiedy człowiek zawsze tylko w siebie wpatrzony, to mu w końcu w oczach mienić się zaczyna, — czarnego od białego odróżniać nie umié! Najnieszczęśliwszy z ludzi! No, proszę! gdzie to się nieraz nieszczęście gnieździ!...

Westchnął; z zaciśniętych ust, z ostrego wyrazu twarzy Lena poznała, że go ten wyraz bolał dotkliwie. Zafrasowana, gniotła w rękach końce gazowéj woalki... Może niepotrzebnie nadmieniła mu o tém... ale to się jéj mimowoli z duszy wyrwało... nie wiedziała prawie, co mówi... Zresztą, tak jak jest, nadal być nie mogło, a ona sama na to nie poradzi!

— Ojciec mnie nie zrozumiał... ja przypuszczam, mnie się tak zdaje... że człowiek szczęśliwy, lub chociażby zadowolony, inaczéj musi wyglądać... może zbyt jaskrawo określiłam jego usposobienie... może zbyt wiele pragnę dla niego... a może sama winną jestem!... Inna na mojém miejscu musiałaby wyzyskać uczucia... a ja... ja... szczęśliwą byłam, że on mnie kochał!

Wolski patrzał na nią uważnie; w jéj ożywionych oczach, zarumienionéj twarzy czytał, że broniła męża całą duszą, że nawet cień niechęci ojca chciałaby od niego oddalić!

— Harpagona mu trzeba, nie takiéj kobiéty!—zżymnął się na tę myśl; przed oczami stanęła Wolska czerwona, z siwemi latającemi oczkami, zawsze pod bronią i prawie zawsze... zwycięska! Oto, co on miał w życiu!

Gorąca obrona Leny złagodziła nieco przykre wrażenie, w du-

szy jednak pozostał niesmak i smutek, który dlatego tylko nie rozwijał się, ani zapuszczał głębiéj korzeni, że już sił po temu nie było... Słowa Leny takie wyraźne, dotkliwe na razie, stopniowo zlewały się w nieokreślony chaos... drgały mu w uszach, mieszały się w pamięci, tworzyły drażniący niepokój w osłabionym mózgu... jedno tylko zdanie pozostało w całości, jak wyrzeźbione...

— Najnieszczęśliwszy z ludzi!

Słuchając i odpowiadając wciąż, to jedno miał tylko na myśli, kiwał głową i uśmiechał się gorzko.

— Więc powiadasz, że on nieszczęśliwy! — zapytał nagle, w chwili, gdy Lena była już pewną, że go uspokoiła, i że on o tym nieszczęsnym frazesie zapomniał. Zamilkła, patrzyła mu w oczy ździwiona, i on patrzył na nią: w szklanym wzroku był już tylko słaby odblask życia, woskowa twarz przerażała martwym spokojem.

— On nieszczęśliwy!—powtórzył jak automat.

Lenie żal go się zrobiło; gryzła wargi, nozdrza drgały, miała minę dziecka wstrzymującego się od płaczu.

— Ależ nie! tego nie mówiłam! — zawołała — powiedziałam tylko, że on tak wygląda!... ja mogę się mylić... niech się ojciec nie przeraża!

Wzruszył ramionami.

— Ja?... a cóż... ja?

Zamilkł; w myślach stanął Maks, jako człowiek zupełnie mu obcy... nawet widzieć go nie pragnął...

— A cóż ja?... zrobiłem, co mogłem... teraz niech on robi, co może... nie chce — trudna rada... Mnie to już nie obchodzi wcale... ździwiłem się co prawda... ale ani żalu... ani trwogi nie czuję... Niech ginie, jeżeli mu się tak podoba... i owszem, niech ginie!... ale ja już i do tego ręki nie przyłożę!...

Spojrzał na Lenę, po twarzy jéj łza za łzą spływały zwolna...

Błogie ciepło rozlało się w piersiach, szum i brzęczenie w sercu ucichły na chwilę... położył skostniałą dłoń na jéj ręku.

— On nie może, nie powinien zginąć! — szepnęła stanowczo. — Każdy zmarnieć potrafi, jeżeli w najcięższéj chwili wszyscy go odstąpią...

Gryzła wargi, usiłując zapanować nad głosem.

— On teraz apatyczny, wpółmartwy... bo w tych warunkach żyć nie może... Niech mu nawet cały świat zazdrości, to jeszcze rzeczy nie zmieni... On się już oswoił i pogodził się pozornie ze swojém niedołęstwem, ale zgwałcona natura mści się za swoje... nie do tego

był stworzony... on przecież miał swój cel, którego nie wyrzekł się dotąd, a tylko nie ma siły przerzucić się na inną drogę... Więc dlatego ma ginąć?... a ja mam na to patrzéć i czekać!... Nigdy!...

Jéj szczere uczucie zelektryzowało Wolskiego: wyprostował się, mrugnął kilkakrotnie, usiłując zebrać myśli.

— Sił nie ma! Rozum, nauka, serce najszlachetniejsze, ale sił brak! Nieraz już próbowałam go stąd wyrwać, rzucić między ludzi, żeby go wir pracy porwał. Ociąga się... Rozmiękł!... Oh, żebyż przynajmniéj jemu z tém dobrze było. — Pogodziłabym się może z jego wieczystém milczeniem, z zardzewiałą apatyą! Ale on zgorzkniał, stetryczał, sam sobą pogardzać zaczyna... A to straszne... to go zabija powoli!... On rolnikiem nie będzie, nie może i nie chce... Więc trzeba go ze wsi wyrwać; wszak dotąd miał dość czasu, żeby się przekonać, że to praca nie dla niego.

— Nikt go do téj pracy nie zmusza... może żyć, jak mu się podoba!... Przez trzy lata drzémie sobie na wsi, a chwała Bogu, dotąd idzie wszystko jak dawniéj! W tym wypadku dlatego tylko mówi się o wielkich rzeczach, żeby nie robić małych... Tak jest na wsi, tak będzie wszędzie...

— To nieprawda!

Wolski drgnął, podniósł na nią oczy.

Lena zaczerwieniła się, spokorniała odrazu, nie wiedziała, czy ma przepraszać ojca, czy w dalszym ciągu bronić męża... spojrzała na niego błagalnie.

— Niestety, do téj „nieprawdy“ doszedłem przez wiele prawd widocznych, dotykalnych! Nie jestem zakochany, a zatém i ślepym być nie mogę, czego mocno żałuję... Wolałbym ślepotę, niż jasnowidzenie. Cóż robić... Starość ma straszny garb, z którym trudno bujać w obłokach, a jest nim—znajomość ludzi i doświadczenie!

Mówił łagodnie, z uśmiechem, parę razy ścisnął ją zlekka za rękę...

Lena czuła, że stary ma w części racyę, tém większy żal ją ogarniał.

— Znają go teraz z najgorszéj strony! — szepnęła w duszy — więc późniéj, chociażby gwiazdy z nieba zbiérał, to mu już chwilowego niedołęstwa nie przebaczą.

Używając liczby mnogiéj, właściwie miała na myśli tylko ojca; w towarzystwie bowiem Maks uchodził za uczonego oryginała, który dzięki swéj dziwacznéj naturze, z czasem może podwoić ojcowską fortunę!... Nie gra, nie pije, nie hula wcale, nie bawi się ani w konie wyścigowe, ani w żaden sport zgubny, jak chów bydła rasowego, po-

stępowe maszyny, albo chociaż powozy i liberya! Gospodarkę zostawił w ręku wytrawnego rządcy, a sam usunął się za piec i pysznie zrobił! Mógłby od czasu do czasu urządzić balik, polowanie... Nie chce, bo ceni spokój i porządek w domu, o stosunki nie chodzi mu wcale!... Zgryźliwi nazywali go czasem „*cochon*“ z francuska, a to dla odróżnienia od ojca, którego zawsze „łapigroszem“ nazywano; rozsądni zaś i praktyczni, zarówno starzy, jak i młodzi mieli dla niego uznanie: w całéj okolicy i w mieście nazywano go „bardzo porządnym człowiekiem.“ Lena o tém wiedziała, lecz cóż ją to mogło obchodzić!

— Ojciec za surowo go sądzi!—rzekła zcicha—ma on przed sobą jeszcze całe życie... ojciec zobaczy...

— Ja... zobaczę!—machnął ręką.—Czego dotąd nie widziałem, tego już nie zobaczę, moje dziecko! No, ale o tém nie mówmy. Czego ty chcesz właściwie? Co mogę, to zrobię—dla ciebie.

Lena ścisnęła w rozpalonych dłoniach jego skostniałą rękę.

— Jedźmy, ojcze! lato spędzimy gdzieś u wód, dokąd ojca lekarze wyślą, a potém ja potrafię podsunąć mu pewne plany, wiem, co on lubi i co mu najłatwiéj do przekonania trafi! Byleby go raz z téj ogłuszającéj ciszy wyrwać.

— Jedźmy!

— Kiedy?

— Jaknajprędzéj!

Lena zarzuciła mu ręce na szyję, a na woskowym policzku wycisnęła gorący, serdeczny pocałunek.

— Ach, mój ojcze!... życiebym dała, żeby on mógł być szczęśliwy.

Łzy miała w oczach, ale te dobre łzy szczęścia, które największą ulgę sercu przynoszą.

— Więc ty go tak kochasz?

Milczała—zwróciła ku niemu rozpromienioną, prześliczną twarzyczkę.

— Najnieszczęśliwszy z ludzi!... — powtórzył w duszy raz jeszcze.

Lenie jakby skrzydła urosły! Nie mogła usiedzieć na miejscu, zabrakło dla niéj powietrza w dusznym gabinecie chorego.

— Do matki wpadnę na chwilkę—rzekła, nakładając rękawiczki; — nie byłam u niéj od niepamiętnych czasów, wrócę za godzinkę i natychmiast piszę do Maksa.

Na wspomnienie o matce, Wolski skrzywił się niechętnie; staréj Orlickiéj nie cierpiał!

Wyszła. Wolski przeprowadził ją wzrokiem.

W gabinecie zaległa głęboka cisza; dwie smugi światła słonecznego słały się po podłodze, napełniając pokój łagodném ciepłem wiosenném.

Wolski skurczył się w fotelu, łokcie oparł na poręczach: siedział nieruchomy, bezmyślny; pamiętał doskonale treść rozmowy, ale myśléć w dalszym ciągu nie mógł.

— Najnieszczęśliwszy z ludzi! — powtórzył machinalnie, skrzywił usta.

Promień słońca, posuwając się nieznacznie, oblał jego twarz woskową, pokrytą od połowy policzków krótkim siwym zarostem — chude zżółkłe ręce obwisłe z poręczy fotela. Przymknął oczy. Słońce i cisza do snu go usposabiały. To wszystko, o czém mówił i słyszał, znikało z pamięci, senna odrętwiałość ogarniała go zwolna. Chwilowe podniecenie wyczerpało ostatecznie; oddychał coraz wolniéj, jakby się bał spłoszyć słońce i błogą ciszę!

Westchnął, straszny ból odezwał się w boku. Wolski zgrzytnął zębami, otworzył oczy, podniósł głowę.

— Ha, żeby już raz... skończyć! — szepnął przez zaciśnięte zęby.

Machnął ręką.

— Szczęśliwi czy nieszczęśliwi, niech tam radzą sobie sami — dość już, oh, dość!...

Maks stanął mu w myślach, jak żywy—wysoki, z rudawą brodą, z zimnemi oczami.

— Najnieszczęśliwszy z ludzi!

Wolski kiwał głową, a zbladłe usta drgały jak w febrze.

— Żeby już raz skończyć!—powtórzył.

Oczy łzami zaszły; podniósł rękę i przycisnął zlekka powieki.

VI.

Wizyta Leny nie była nigdy niespodzianką dla matki. Orlicka czekała córki codzień, przeczuwała jéj przyjazd, a przeczucie to nie zawodziło jéj dotąd. Tego dnia, kiedy córka miała ją odwiedzić, od rana już dręczył ją gorączkowy niepokój. Ubierała się starannie, do codziennéj sukni z czarnego kaszmiru brała czysty kołnierzyk, czarną koronkę zawiązywała na siwiejące włosy, ręce drżały z pośpiechu, uśmiechała się nieznacznie, powtarzając jak w obłędzie jeden tylko frazes:

— Dziś Lena musi przyjechać!

Chodziła parę godzin po salonie, paląc jeden papiéros za drugim.

W dzień oczekiwania niezdolna była do żadnego zajęcia; książka i robota leżały na zwykłém miejscu; Orlicka chodząc, spoglądała na zégar bronzowy, stojący na konsoli pod kloszem. Wysoka brunetka z pysznemi oczami, dziś jeszcze była wspaniale piękną; zapomniała o swéj urodzie od czasu, kiedy Lena zaczęła błyszczéć w świecie. Ile ta dziewczyna dała jéj chwil szczęścia, upojenia, tryumfu, ukrytego pod pozornym spokojem! Salon roił się nieraz mnóstwem strojnych lalek świeżych i umalowanych, posażnych, z tytułami, eleganckich i pretensyonalnych zarazem, do tego tłumu wchodziła ona ze swoją prostą, śliczną dzieweczką, i naraz rozlegał się szmer... zrozumiały tylko matczynemu sercu. Były piękniejsze ód niéj, ale ona jedna posiadała ten magnetyczny urok pociągający wzrok i serce. Urokiem tym oczarowała przedewszystkiém matkę: Orlicka w towarzystwie słuchała, uśmiechała się, odpowiadała czasami, ale wzrokiem, słuchem i sercem była wciąż przy córce, która za każdym razem coraz bardziéj czarowała wytwornością, nieposzlakowanym spokojem i prostotą!

— To... moje... dziecko!...—powtarzała z bijącém sercem — czasami uczuwała łzy w oczach, które zresztą na karb słabego wzroku i zbytecznego oświetlenia zaliczała.

Pochwały i zachwyty przyjmowała zwykle w milczeniu. Śmieszyły ją nieraz dytyramby oszołomionych tancerzy, którzy w myślach porównywali może jéj śliczną dzieweczkę z najpotworniejszemi istotami, i po namyśle dopiéro oddawali pierwszeństwo „pięknemu okazowi“, którego główną przynętę stanowiła świeżość zawsze pożądana.

Piękność dał Bóg, ona zaś dała córce naukę, a w części i charakter wytrwały, spokojny, może trochę za poważny. Dziewczyna wdzięczną jéj była za to. Dawniéj, kiedy matka uczyła się z nią razem, słuchając najakuratniéj wykładów drogo opłacanych nauczycieli, po każdéj lekcyi Lena całowała gorąco jéj rękę, rozumiały się doskonale.—Orlicka przez cały czas mozolnéj nauki nie odstąpiła od nakreślonego planu.

— Niech ma naukę, nic więcéj dla niéj zrobić nie mogę...

Był to jedyny dowód miłości z jéj strony, jedyny rodzaj pieszczoty.

Żałowała w duszy, że nie mogła jéj dać bogactwa! Myśl ta z początku nie wyraźna, stopniowo stała się dokuczliwą zmorą —

Lena bogata, byłaby panią swego losu, uboga, miała zaledwo kilka lat świeżości i urody,—a potém?...

Orlicka przymykała oczy, myśląc o téj ciemnéj, zagadkowéj przyszłości.

Podczas kilkunastu lat pożycia z mężem używała tylko skromnego dostatku. Mąż, budowniczy gmachów rządowych, mógł zrobić świetną fortunę,—pozostawił jéj ciężko zapracowaną emeryturę i bardzo skromny kapitalik. Szanowała go i kochała przedewszystkiém może za tę nieposzlakowaną uczciwość, uśmiechała się pogardliwie, słuchając o „świetnych rezultatach“ szczęśliwego przedsiębiorstwa. Świat nadużyć, szacherek, wyzyskiwań wszelkiego rodzaju, z którym musiała stykać się od czasu do czasu, tylko wstręt i pogardę budził; wdzięczna była mężowi za to, że ręka, którą jéj podał na progu życia, pozostała czystą i pracowitą aż do chwili zgonu. Sama potrafiłaby zadowolnić się połową tych dochodów, które jéj zostawił. Dla Leny pragnęła nieokreślonéj jakiéjś świetności, — z początku miał to być tylko byt dostatni, który stopniowo coraz szersze rozmiary przybierał. Marzenia te nieraz nazywała „głupim obłędem“, drwiła z siebie w duszy, nabawiwszy się uprzednio jakimś planem ułożonym na wzór bajek o zaczarowanéj królewnie. Z czasem jednak, gdy Lena dorosła, zmora stawała się coraz dokuczliwszą. Ostrożnie, z pewném zażenowaniem i nieśmiałością zaczynała żałować nieposzlakowanéj przeszłości, zanadto czciła i kochała męża, żeby cieniom jego robić zarzut z uczciwego życia; nie, on nie powinien był i nie mógł być innym... Ale żeby ona miała innego męża, byłaby może mniéj szczęśliwa, a może bardzo nieszczęśliwą, ale za to dziś Lena nie potrzebowałaby troszczyć się o przyszłość! oh, ta troska! to życie bez jutra! Marne, pełne kłopotów życie w szarym tłumie, w najlepszym razie ozłocone uczuciem — i piękna, świetnie wykształcona kobiéta! Czasami żałowała, że Lena jest tak piękna, to znów wyrzucała sobie, że uczyła ją śpiewu, muzyki, że zbyt starannie ukształciła ją od dziecka.

— Do takiego obrazu niezbędne są złote ramy!

Myśl o pracy przejmowała ją trwogą.

— Nie, to nie dla niéj... ona nie mogłaby... zresztą, jaka praca? Piękne to w teoryi, ale w praktyce chyba nie ponętne!

Unikała téj myśli; wolała już bawić się układaniem scen na wzór bajek o zaczarowanéj królewnie. Porządna, pracowita, praktyczna, nigdy w życiu nie traciła tyle czasu na „głupie mrzonki“, jak teraz na starość! Jedyną drogą do szczęścia było zamężcie—bogate

w dodatku — warunek ten tak zrósł się ze wszystkiemi jéj planami, że o biédnym mężu dla córki, tak jak o pracy, bała się myśléć.

Na szczęście, Lena, jakby przeczuwając plany i kombinacye matki, któreby zdołały zatruć spokój dziesięciu matkom, sama o swoją przyszłość nie troszczyła się wcale. Douczała się po trochu wszystkiego dorywczo i systematycznie, jak się zdarzyło... przebąkiwała coś nawet o uniwersytecie, zachęcając matkę wpół żartem, wpół seryó, żeby z nią razem studenckiego życia spróbowała.

— Niech się mamie zdaje, że jestem chłopcem!—żartowała, wpatrzona badawczo w twarz matki.

Orlicka projekt ten traktowała żartobliwie. Znała naturę kobiéty: Lena uczyła się, pracowała z takim zapałem, jak inne tańczyły, stroiły się, kokietowały; był to ulepszony sposób zużywania młodych sił do czasu, zanim miłość pochłonie całą duszę! Ile razy zastanowiła się dłużéj nad projektem Leny, zawsze w końcu wzruszała ramionami pogardliwie: byłaby to tylko kilkoletnia zwłoka w osiągnięciu istotnego celu. Przedewszystkiém bała się dla córki losu starzejącéj się sawantki, którój nauka nie wystarcza, a życie nic już dać nie chce! Widziała i takie! kończyły najczęściéj porwaniem jakiegoś idyoty, którego zamęczały spóźnioną czułością i podejrzliwością. Nie zaprzeczała jednak, wogóle unikała dłuższéj rozmowy w tym przedmiocie, bojąc się wywołać „stałe postanowienie“. Kiedy jednak rok za rokiem przechodził, nie przynosząc żadnéj zmiany, a Lena pomimo dwudziestu dwu lat nie myślała wcale o przyszłości, Orlickę ogarniał dręczący niepokój. Zaczęła podejrzéwać dobry humor Leny i zamiłowanie do nauki. Była przekonaną, że dziewczyna gryzie się, niepokoi, zazdrości koleżankom i kuzynkom, wysuwającym się za mąż jedna po drugiéj, pozornie nadrabia rezonem i udaje zapał do pracy! Orlicka nie czuła, że własne swe myśli i uczucia przypisuje córce, a im więcéj sama cierpiała, tém szczerzéj współczuła córce!

— Żeby téż nie miéć ani odrobiny kokieteryi! Oto, do czego prowadzi tak zwana mądrość i przesadna powaga!

Nie potępiała jeszcze nauki, ale gdyby miała młodszą córkę, kto wié, czy nie zmieniłaby systemu wychowania? Szpetne, głupie kokietki lepiéj wychodziły, niż jéj piękna, starannie wykształcona córka... W zadowolenie wewnętrzne nie wierzyła... Spokój Leny wydawał się jéj coraz bardziéj podejrzanym. Powoli wdrażała się do podjazdowych zaczepek, usiłując podrażnić ambicyę. Od niechcenia niby, bez cienia przechwałek wspominała swoję młodość, wielkie powodzenie w towarzystwie...

— W twoim wieku byłam już od dwu lat mężatką! — dodawała wzruszona wspomnieniem minionego szczęścia.

— Więc podług mateczki już ja parę lat zmarnowałam? Tém smutniéj, że i za przyszłość nie ręczę!

Orlicka patrzała na nią pytająco.

Lena wzruszała ramionami z żartobliwą rezygnacyą.

— Cóż robić, oswajam się powoli z nazwą staréj panny!

Orlicka w tych słowach słyszała odcień poirytowania i złośliwości.

— Aha, wstyd i żal! tém lepiéj, pieczone gołąbki nie lecą do gąbki!

Po każdéj takiéj rozmowie oczekiwała zmiany; prawie pewną była, że poważna dotąd, naturalnie wesoła dziewczyna przemieni się naraz w elegancką kokietkę! Nie gniewałaby się na nią o to ani trochę; owszem, młodość ma swoje prawa; myśl tę w najrozmaitszéj formie podsuwała córce przy każdéj sposobności. Wprawdzie wśród licznych znajomych nie było ani jednego, któregoby chciała wziąć za zięcia, gniewało ją jednak, że Lena traktuje wszystkich obojętnie, że nie stara się zdobyć sobie otoczenia.

— Ja miałam trochę więcéj szczęścia do ludzi, niż ty — powtarzała po każdym wieczorze — nie byłam tak wymagająca, nie patrzałam zbyt wysoko, i lepiéj na tém wyszłam!

I znowu nie spostrzegła, że własne swoje myśli przypisuje córce.

— Po co mam tracić czas z tymi, którzy mnie się nie podobają? Jak się zakocham, to postaram się podobać — zobaczy mateczka.

— Oby to już raz nastąpiło! — odpowiadała Orlicka z serdecznóm westchnieniem.

To ciągłe nawoływanie do ataku, połączone z drażniącém powątpiewaniem, wytworzyło pewien chłód w stosunku matki do córki.

Lena upadała na duchu, coraz częściéj przychodziło jéj na myśl, że może w istocie ma w sobie coś odrażającego, bezwiedną jakąś wadę, która od niéj mężczyzn odstręcza?... W chwilach takiego zwątpienia było jéj strasznie ciężko na duszy. Zamknięta w pokoju rozważała nieraz swoje usposobienie: coby się z nią stało, gdyby los prócz nauki i pracy nie dał jéj nic więcéj? Na razie stawiała się dość hardo wobec tego przypuszczenia, miała kilka gotowych odpowiedzi, a jednocześnie czuła żal do siebie za dobrowolne udręczenie.

— Wszystko to bardzo piękne, ale jeżelibym miała żyć bez miłości, to wolałabym nie żyć!—powtarzała z bijącém sercem.

Ona tyle razy zazdrościła bohaterkom przeróżnych powieści! Tyle razy przeżywała z niemi chwile podniosłe, rozpaczliwe, chwile największego szczęścia i najstraszniejszego bólu, mimowoli jakby zahypnotyzowana potęgą nieznanego uczucia, odczytywała kilkakrotnie każdą scenę, w któréj analiza serca ludzkiego przeprowadzona była mniéj więcéj zgodnie z jéj własném usposobieniem: tyle myśli bezwiednie prawie zapożyczyła z przeczytanych książek, że z tych słów i uczuć w wyobraźni jéj pozostał cały szereg scen, które miała przeżyć sama w przyszłości, do których przenosiła się myślą, ilekroć była podniecona silniejszém jakiemś wrażeniem: muzyką, śpiewem, świetnością balu, widokiem cudzego szczęścia, nieokreśloną tęsknotą i tą oddaloną jeszcze zapowiedzią miłosnego głodu, który wkradał się już zwolna do duszy! Po każdéj przymówce matki, mniéj lub więcéj dotkliwéj, Lena wracała do swego pokoju, obojętna, z nieokreślonym uśmiechem na ustach, zabierała się do pracy, ślęczała nad ulubioną historyą, wczytywała się w opisy, notowała daty, pochłonięta pracą, zdawała się zapominać o całym świecie; naraz odsuwała książkę, z rękami skrzyżowanemi na piersiach siedziała nieruchomo. Wątek myśli rwał się i mądre i głupie sprawy znikały z pamięci, odzywało się tylko uczucie żalu stłumione na razie, które rozwijało się w sercu, gdy myśl śledziła fakty i daty.

— Więc cóż mam robić? Wszak wolałabym być szczęśliwą, niż uczoną... lecz cóż ja na to poradzę?... Chętnie sprawiłabym przyjemność mamie, — ale tymczasem mama mogłaby mi nie robić nieprzyjemności.

Orlicka każde ostrzejsze słówko starała się wynagrodzić zdwojoną czułością, kochała swoję dziewczynę bez granic. Brak wrażliwości, pewną sztywność i skrytość Leny przypisywała całemu pokoleniu, zmniejszając o ile można winę córki.

— Takie one wszystkie teraz! Ha, może to i lepiéj? My za dużo duszy mkładałyśmy w miłość do męża, do dzieci... One bez téj miłości mogą się obejść, może to i lepiéj!

Uśmiechała się przytém smutnie,

— Biedna Lena! czeka na filozofa, a nie widzi w koło siebie ludzi...

Uwagę tę powtórzyła córce przy sposobności.

Lena zaśmiała się serdecznie! Dotąd bowiem ten „on“ nie miał żadnego stanowiska w świecie, ani w nauce, był to przedewszystkiém ukochany.

— Czy mateczka zechce wyświadczyć mi jedną wielką łaskę? — spytała z udaną powagą. — Jeżeli zaprojektuję zostać żoną uczonego, literata, lub co najgorsza filozofa,—niech mateczka zabroni mi tego pod błogosławieństwem, czy zgoda? Lękam się bowiem, żeby miłość nie stłumiła we mnie rozsądku.

— Nie bój się, wasza miłość przychodzi wówczas tylko, gdy ją rozsądek zawoła!

— Więc jak można przypuścić, żeby ktoś sobie dobrowolnie wybiérał filozofa na codziennego towarzysza? Nie, mateczko, w téj kwestyi teorya nie doprowadzi nas do żadnych rezultatów! Czekajmy! Może przyszłość pokaże, iż na spóźnione szczęście warto było czekać. Jak mateczka myśli?

Lena wiedziała, że taki zwrot w rozmowie sprawiał matce pewną przyjemność.

Zwątpienie, niesmak, wywołany przymówką matki, znikał wkrótce pod wpływem silniejszych wrażeń: w kółku jéj towarzyszek uczono się i pracowano nie na żarty; starsze, młodsze, a nawet bardzo młode garnęły się do książek; czytano wspólnie, wspólnie słuchano wykładów, projektowano przy tém, naradzano się niby przed walną jakąś kampanią. Od czasu do czasu list jakiś z Paryża, Genewy, Zurychu, wywołał gorącą dysputę, rozbudził silniejsze pragnienie wiedzy. A po każdém takiém zebraniu, Lena czuła się podniecona, rozentuzyazmowaną, chodziła po pokoju, powtarzając w myślach silniejsze zdania swoich towarzyszek, albo ustępy z listu, w którym tamta szczęśliwsza, czy energiczniejsza tylko, opowiadała swoje życie studenckie, życie pracowite, mozolne, przeplatane wesołemi chwilami i częstą troską o chleb powszedni! Zazdrościła jéj całą duszą! Ze łzami w oczach, z wypiekami na twarzy, układała w myślach plan swojéj podróży, przeżywała dzień po dniu to życie upragnione, którego pragnęła tém silniéj, im większe trudności stawały na przeszkodzie. Po chwilowém uniesieniu wracała do rzeczywistości—wyczerpana siadała na kanapie pod lustrem, z głową odrzuconą na poręcz, z przymkniętemi oczyma rozmyślała nad tém, czy... czy nie warto byłoby raz skończyć z tą głupią komedyą?

Do rozumnego, pracowitego życia nie miała sił i energii — tak, stanowczo sił i energii jéj brakło; cóż z tego, że wychwalają jéj zdolności, pracowitość, kiedy ona na żaden stanowczy krok zdobyć się nie może! żyje z dnia na dzień jak mól na książkach i to cała jéj wartość, cała zasługa! Parę dziewczyn uczy niby, a raczéj sama się uczy kosztem ich czasu, ot i wszystko! Warto żyć dla takich wzniosłych celów! A jednak nie mędrsze od niéj i nie zasobniejsze, dobijają się

nauki, stanowiska, no, i zdobywają czasami. Więc poco żyć, kiedy sił brak, a z bezsilnością pogodzić się nie można? Zdarzało się, że podczas tych rozmyślań Orlicka uchylała drzwi zlekka; wpatrzona w rozpaloną twarz córki, zbliżała sią zwolna.

— O kim?—pytała z tajemniczym uśmiechem.

Lena patrzała jéj w twarz szeroko otwartemi oczyma.

— O kim marzysz? co? Ach ty hipokrytko!

Tuliła jéj głowę do piersi, a na czole składała serdeczny pocałunek. Prawie zawsze był w rezerwie jakiś domniemany konkurent, wielbiciel, którego imię drgało na tajemniczo uśmiechniętych ustach mateczki; Lena nie domyślała się nawet, do kogo wymierzone były półsłówka i półuśmiechy; siedziała apatyczna, milcząca; jeżeli to usposobienie wzbudzało niepokój lub obrażało matkę, całowała gorąco jéj rękę.

— No, bo i cóż ona winna, że zrozumiéć mnie nie może?—powtarzała w duszy; łzy cisnęły się do oczu, w takiéj chwili czuła się najnieszczęśliwszą pod słońcem.

— Jeżeli nie wyjdzie za mąż, zamęczy mnie i siebie! Już ma napady staropanieństwa — rozmyślała Orlicka — Ach, niechby ją brał pierwszy lepszy, byleby już raz skończyć z fantazyami, kwaśnym humorem, z temi kaprysami, które życie zatruwać zaczynają.

Wybuch ten był tylko dowodem bezsilnéj czułości i niepokoju; w istocie nawet Maks Wolski, bogaty, wykształcony, pierwsza partya w całéj okolicy, nie zachwycił jéj zbytecznie, na razie nawet nie podobał się jéj wcale: był sztywny, małomówny, oświadczył się za trzecią wizytą, o żadnych przygotowaniach do ślubu słuchać nie chciał! Na wzmiankę o wyprawie wzruszał ramionami nieznacznie, spoglądał na Lenę uśmiechali się do siebie z pobłażliwém lekceważeniem! Orlicka była szczęśliwa i niezadowolona zarazem. Ona zupełnie inaczéj przedstawiała sobie te błogie chwile przedślubne! Kłopoty, przygotowania, ten cały kram, rwetes, towarzyszący spiesznie robionéj wyprawie, te tysiące drobnostek, o których ona powinna byłaby pamiętać, obmyśléć, przygotować, zapełniłyby czas od rana do nocy, przypomniałyby najlepsze chwile z jéj własnéj przeszłości, pozwoliłyby jéj przeżyć raz jeszcze dawno minioną młodość! Spodziewała się zwierzeń. westchnień, zachwytów, pragnęła raz jeszcze odetchnąć atmosferę szczęścia i miłości, miała w pogotowiu tysiące rad, uwag, przestróg, cały zapas przepisów, zdobytych doświadczeniem, przechowanych w pamięci i w sercu; gromadzonych na użytek ukochanéj jedynaczki, z którą spodziewała się raz jeszcze przeżyć najrozkoszniejsze, najmilsze chwile w życiu kobiéty! Wszystkie te oczekiwania, nadzieje,

pierzchały zwolna, wobec dziwacznego zachowywania się narzeczonych, którzy niemal cały dzień spędzali poza domem na długich spacerach, albo na rozmowie sam na sam w salonie. Coraz więcéj zajęci sobą, witali się i żegnali jak starzy przyjaciele, ściskając się za ręce, patrząc sobie w oczy, jak gdyby do głębi duszy zajrzéć chcieli.

Orlicka, podpatrując przez drzwi uchylone te powitania i pożegnania, wzruszała ramionami, zdziwiona i oburzona zarazem.

— Pocałunki zapewne na starość chowają — powtarzała z ironicznym uśmiechem.

Nie dziwiła się, że Lena unika rozmowy o miłości, że się przed nią nie zwierza ze swych uczuć, była przekonana, że idzie tylko dla karyery.

— No, i ma racyę, zawsze to lepiéj niż stare panieństwo. A jednak, smutno teraz na świecie!—dodawała w duszy.

Czuła się zawiedzioną, rozczarowaną, jakby okradzioną z rozkosznych wrażeń, których wyczekiwała z taką niecierpliwością, które należały jéj się, jako przywiązanéj matce. W tych warunkach małżeństwo Leny zadawalniało ją tylko do pewnego stopnia: była spokojna o jéj przyszłość i nic więcéj — strona wyobraźni, fantazyi, a nawet uczucia została niezadowolona... Orlicka posmutniała, spoważniała, na córkę spoglądała z pewną niechęcią, mając do niéj trochę żalu za doznany zawód. Wprawdzie w przyszłości były jeszcze dzieci... pielęgnowanie w chorobie, trwoga i troski, przeżywane wraz z młodą matką.

— Ale, któż wié, może oni nie będą mieli dzieci... dziś wszystko jest możliwe!

Nigdy jeszcze młode pokolenie nie wydawało się jéj tak marném, jak przez te kilka miesięcy, narzeczeństwa córki.

Lena nie przeczuwała niezadowolenia matki; żyła jak w gorączce: po długich, naprzemian wesołych i poważnych rozmowach z Maksem, wracała do siebie z rozpaloną twarzą, z błyszczącemi oczyma. Wesołość i spokój znikały, opanowywał ją kolejno szał i odrętwienie, całemi godzinami siedziała wpatrzona w twarz Maksa, a którą wciąż miała przed oczami jak żywą. W pierwszych czasach znajomości zauważyła, iż był wysoki, poważny, miał spokojne oczy, cichy głos i dużo poważnego humoru, takim widywała go zwykle w salonie i podczas długich spacerów. Ale kiedy została sama i z bijącém sercem, z rozpaloną głową rozpamiętywała jego spojrzenia, słowa, uścisk ręki, zasłaniała twarz rękami, w myślach powstawał straszny zamęt, nie potrafiłaby określić, jakim jest w istocie, wiedziała tylko, że on ją kochał szalenie. Szalał za nią! Czytała to w jego oczach,

w głosie... On bez niéj nie mógłby żyć teraz! Ależ i ona... Dziwna rzecz, jak też ona mogła żyć dotąd bez miłości? Czyż to było życie? Było to raczéj spychanie dnia po dniu w jakąś przeszłość monotonną, bezcelową! Wszystkie marzenia i chęci wydawały się jéj teraz prawie dziecinnie śmieszne! Jak niegdyś, zabierając się do nauki, spakowała do skrzynki raz na zawsze stare lalki, tak teraz mogłaby to zrobić ze swemi projektami i marzeniami. Lekko jéj było na duszy; ból, tęsknota, żal, apatya, pragnienie śmierci, pierzchły, jak dręcząca zmora nocna wobec wschodzącéj jutrzenki.

— Życie... dobra rzecz! — powtarzała z przymkniętemi oczyma, uśmiechnięta do chaotycznych myśli, których porządkować nie miała zamiaru.

Nie wiedziała, jak się to stało i kiedy, była szczęśliwą, że się stało!...

— Jeżelibym teraz umarła... to przynajmniéj w chwili śmierci wiedziałabym, że żyłam!...

Łzy stawały w oczach; zestawienie śmierci ze szczęściem sprawiało jéj niewypowiedzianą rozpacz.

— Jeżeli to szał... to w każdym razie wolę go niż najpiękniejszy rozum... byleby tylko trwał jaknajdłużéj... do końca życia!...

Naturalnie, że do końca życia trwać musi... Złagodnieje troche, przybierze poważniejszą formę... przecież i teraz wobec Maksa jest wesoła, swobodna. prawie obojętna. On nie domyśla się nawet, jak szalenie ona go kocha!

— Mateczka musi być zadowoloną!

Unikała jednak rozmowy z matką; o uczuciu swojém nie mogłaby mówić z nikim na świecie; bała się szablonowych pytań, ciekawego zaglądania w najskrytsze tajniki serca, zresztą i słów odpowiednich na wyrażenie swego uczucia nie miała. Była szczęśliwa. Nietylko matka, ale i świat cały mógł to czytać z jéj twarzy — cóż więcéj nad to mogłaby matce powiedzieć.

Orlicka oswoiła się niby z jéj milczeniem, ani jednėm słówkiem nie poruszała drażliwego przedmiotu; od czasu do czasu tylko, wychwalając Maksa, rzucała parę uwag o jego sztywności, skrytości, przypuszczała, iż był strasznym egoistą, bardzo zarozumiałym, podejrzéwała go o gderliwość i szorstkie obejście, przepowiadała, że za parę lat zrobi się niechlujnym safandułą, pomimo, że teraz był pedantycznie porządnym; dziwiła się, że człowiek tak majętny, skoligacony, żył jak odludek, unikał towarzystwa... reszty domysłów nie dopowiadała, ale z zaciśniętych warg, ze znaczącego spojrzenia można było wyczytać, że wiedziała o nim coś więcéj, że jéj badawcze oko

zajrzało do głębi jego skrytéj natury! Wiedziała, że uwagi te najmniejszego wpływu na uczucia córki nie wywrą, nie zachwieją jéj postanowienia i do zerwania małżeństwa nie przyczynią się wcale. Nie ryzykowała tedy nic a nic, a sprawiała sobie trochę ulgi, wylewając w ten sposób żółć i żal, nagromadzone w niezadowoloném sercu. Upokarzała nieco pyszną swém szczęściem córkę, przypominając jéj, że i to nadmierne szczęście, o którém nawet z matką mówić nie raczy, ma swoje ciemne, nawet czarne strony!

Lena śmiała się, żartowała z tych drapieżnych uwag, wyśmiéwała rudą brodę i czerwoną twarz Maksa!

— Zły i szpetny! tém lepiéj! kobiety nie będą za nim szalały! Czuję, że byłabym strasznie zazdrosną.

— Obyś jak najdłużéj zazdrosną być mogła! — dodawała Orlicka z proroczém westchnieniem—zazdrość jest dowodem miłości!

Lena zwracała rozmowę na inny przedmiot; nie probowała wcale bronić Maksa. Wiedziała, że jest szlachetny, rozumny, lubi naukę; podzielała jego pobłażliwość i wyrozumiałość, jego gusta i upodobania; żeby jeszcze mogła mu dodać trochę żywotności i zapału — byłby idealnym człowiekiem! Zresztę, co ją mogły obchodzić jego zalety i wady? Gdyby był innym, nie pokochałaby go może tak szalenie!

Frazes ten powtarzała jeszcze w kilka miesięcy po ślubie, kiedy przez wiosnę i lato żyli sobie w Mogilnicy, jak para szczęśliwych odludków, zapomnianych od całego świata! Bawili się jak dzieci, wymyślając codzień nową rozrywkę, ale zawsze tylko w granicach własnego terytoryum.

— A kiedyż w gospodarstwo bawić się zaczniemy? — zapytywała Lena z udaną powagą.

Oboje nie lubili zajęć wiejskich; Maks gładził brodę i ziewał, słuchając relacyi rządcy; Lena nie probowała nawet wkraczać w zakres zatrudnień ochmistrzyni.

— Jak zbankrutujemy!—odpowiadał Maks poważnie—wcześniéj nie warto, przyśpieszylibyśmy smutny koniec, który bez naszéj pomocy może nigdy nie nastąpi.

— Masz racyę! poco przykładać rękę do własnéj zguby? Zrobią to za nas nasi wyręczyciele!

Już w tych słowach było trochę niepokoju, którego Maks nie dostrzegł, czy też nie zrozumiał.

W jego monotonném życiu te pierwsze miesiące były uroczym snem, którym nie mógł się nacieszyć i nasycić! Piękna, ukochana kobiéta zbudziła w nim nowe, nieznane mu dotąd życie; takiéj właśnie potrzebował! dowcipem i żywością dopełniała jego apatyczną, ociężałą

naturę, ożywił się, odmłodniał, dużo mówił, od rana do nocy był w ruchu; park, las, pola, bydło, konie i ludzie, całe otoczenie, na które dawno już przestał zwracać uwagę, ożyło nagle, nabrało uroku, zachwycał się staremi drzewami, wraz z Leną podziwiał wdzięczne szpalery, robił z parę mil dziennie po lasach, bagnach, po wertepach i wąwozach, a wróciwszy do domu, powtarzał z głębokiém przekonaniem, że Mogilnica, to świetna miejscowość, można tu żyć jak w raju i o całym świecie zapomniéć, całował przytém żonę w usta, a wzrokiem po raz setny powtarzał, że jest bardzo szczęśliwy!

Czuł jednak, że to go wkrótce zmęczy... W dni słotne chętnie zamykał się u siebie na godzinkę, potém na dłużéj... Rozparty w fotelu za olbrzymiém biurkiem, palił zwolna cygaro, wpatrzony przymkniętemi oczyma w okno, poza którém widniały szeregi drzew pożółkłych, ginących gdzieś w mglistéj przestrzeni jesiennego poranku. Stworzony był na samotnika. Cisza, ta głucha cisza, w któréj nie słychać nawet uderzenia kochającego serca, była dla niego najwłaściwszém otoczeniem... Powtarzał to sobie już nieraz, wówczas, gdy zamierzał zostać uczonym badaczem. Kiedy w obszernym, wytwornie urządzonym gabinecie gromadził książki w bronzową skórkę oprawne, dobiérał odpowiednie sztory do okien, a chodząc po miękkim dywanie, z przyjemnością myślał o tém, że stłumiony odgłos własnych kroków, nie przeszkodzi mu myśléć poważnie! Wówczas już powtarzał sobie, że tylko w samotności i ciszy doskonale pracować można i powoli wrastał w to życie bez szmeru, które miało go do poważnéj pracy usposobić. Zakochał się, ożenił, wesoły promień szczęścia olśnił go i ogrzał zarazem. Powoli jednak blask zaczynał nużyć oczy, przyzwyczajając do wpatrywania się we własną szarą duszę!

Miał rozpoczęte dwie prace z dziedziny flory krajowéj; badał mchy i grzyby! Notatki do pierwszéj złożone były na biurku pod psem bronzowym, mającym na szyi obrożę z napisem *„fidele“*; drugą paczkę przyciskał sfinks, który służył do zapalania zapałek. Obie serye zebrał jeszcze za czasów studenckich, teraz rozebrał, pogatunkował i pod przycisk włożył, drwiąc w duszy z tych skromniutkich zapasów! Między studentem zbiéraczem, a dojrzałym sceptykiem utworzyła się przepaść, w któréj utonął zapał, pociągając za sobą wiarę i wolę!

VII.

Kiedy po kilku miesiącach niezwykłego ożywienia uczuł się trochę zmęczonym, jakby wykolejonym, przypomniał sobie notatki... za-

mierzoną pracę w ciszy i samotności... i zatęsknił do dawniejszego życia!...

On nie miał w sobie nic, a przynajmniéj miał w sobie bardzo mało z natury zwykłych szczęśliwców! To co innym wystarczało na całe lata, jemu zaledwie na kilka miesięcy wystarczyć mogło... Uśmiechał się nieznacznie do téj swojéj wybrednéj natury i wzruszał ramionami, jakby usprawiedliwiając się sam przed sobą — palił przy tém cygaro jedno za drugiém.

A kiedy po parogodzinném rozmyślaniu wychodził z gabinetu milczący, trochę znudzony, Lena witała go prawie zawsze jedném pytaniem:

— Pracowałeś trochę, co?

Patrzał jéj w oczy błyszczące życiem i energią. Z tém swojém wiecznie jedném pytaniém wydawała mu się trochę śmieszną. Więc podług jéj pojęcia, dość było zasiąść przy biurku, wziąć pióro i puścić w ruch warsztat mysli! Żałował, że nadmienił jéj o zamierzonych i rozpoczętych pracach; wiedział, że do nich nie wróci, gdyż były zbyt marne i nie budziły w nim zajęcia; miał przecież dość czasu i zasobów, żeby zrobić coś porządnego, ale mówić z nią o tém nie chciał, bo i sam z sobą jeszcze o tém nie mówił.

— Czytałem trochę odpowiadał. — Strasznie to wszystko głupie i nudne!

— Co? Przecież nie nasze życie?

— No, nie... to chyba jedno coś warte na świecie!

Słuchała zdziwiona. Nie pozował wcale: ociężałe powieki, przygarbiona figura, apatyczny wyraz twarzy, zdradzały istotne znudzenie, bezsilność, z którą walczyć nie chciał, czy nie mógł. Oczom jéj przedstawiał się nowy człowiek, którego w nim dotąd nie podejrzewała — zaciekawiał i przerażał zarazem. Śmiała się z téj apatyi; a chociaż w duszy trwożyła nieco, probowała słowa jego w żart obrócić. Nie bronił się i nie zaprzeczał, tylko coraz niechętniéj wracał do tego przedmiotu. Na słowa jéj pełne zapału wzruszał ramionami nieznacznie.

— Przekonasz się z czasem, że wszystko to wielkie głupstwo— odpowiadał wpatrzony przed siebie jak lunatyk. Tłumaczył jéj przytém, że kto chce cośkolwiek porządnego stworzyć, nie może się rozmieniać na drobną monetę, musi skupiać siły w jednym kierunku, że wszelkiego rodzaju „zżymanie się“ jest przywilejem nerwowych natur niewieścich.

— Rozumiem teraz, dlaczegoś wybrał mchy i grzyby! gdyż nawet ślimak byłby dla ciebie organizmem zbyt żywotnym! Nie poradziłbyś

sobie z tą odrobiną krwi i ciepła, właściwych najmarniejszym stworzeniom. Wszak prawda?

Uśmiéchał się w milczeniu. Wiedział, że go rozumié. O tylu rzeczach rozmawiali z sobą przed ślubem, że teraz już nic prawie nie mieli sobie do powiedzenia. Lubił jéj zapał trochę naiwny, wywoływał bowiem świéży rumieniec, blask oczu czynił ją wymowną i prześliczną zarazem; nie potrafiłby żyć ze spokojną, ślamazarnie głupią kobiétą. Zauważył przy tém, że ile razy nadmienił o zamierzonéj „pracy“ o „skupianiu sił i myśli“, pokorniała znacznie, robiła się nad wyraz miła i serdeczna; była ambitną, nie wystarczał jéj kochający mąż, pragnęła jeszcze sławnego i zasłużonego człowieka! Rys ten zauważył w niéj już dawniéj. Obok urody, był to dla niego najsympatyczniejszy rys w jéj charakterze. Jeżeli w istocie potrafi zrobić cośkolwiek porządnego, będzie zmuszony poświęcić temu znaczną część życia, uznania, sławy może nigdy nie zazna, zato ona zrozumié go i oceni; jéj niemy zachwyt zawczasu już sprawiał mu trochę przyjemności! Wśród bardzo pospolitego otoczenia, wobec sąsiadów, którzy widzieli w nim tylko bogatego sąsiada, uczonego dziwaka, albo sknerę dumnego z ojcowskiego majątku, ona jedna kochała w nim i ceniła człowieka nauki no... i znakomitość w przyszłości!

Znakomitość!... Tak, zapewne... niezłe... to! a przedewszystkiém jest to jedyny cel jasny i zrozumiały!.. ale czy... warto?

W granatowym kubraku, obszytym czarnym barankiem, z rękami w kieszeniach, ze zgasłém cygarem w zębach, rozmyślał czasami nad tém całemi godzinami, chodząc po gabinecie. Przez okna widniało ołowiane niebo jesienne, w obszernym domu zalegała głucha cisza...

Maks wstawał około dziesiątéj, przez parę godzin pił bardzo mocną herbatę, włóczył się potém po parku, czasami czytał kilka godzin zrzędu. Do gawędy tylko nie miał żadnéj ochoty. Całemi dniami nieraz nie przemówił ani słowa. Widział zdumioną, zaniepokojoną twarz żony, czytał w jéj oczach żal i oburzenie, czasami nawet ślady łez dostrzegał, przyglądał się wówczas swoim paznogciom, gładził brodę, zły był na siebie i... milczał.

— Oswoi się, przywyknie! Trudno! natury swojéj nie zmienię!

Uśmiéchał się pogardliwie na samą myśl o walce z samym sobą! Całował ją w czoło od czasu do czasu, albo położywszy jéj rękę na swojéj dłoni, bawił się machinalnie cienkiemi palcami. I pocałunki i pieszczoty wyglądały raczéj na zdawkową monetę, na jakiś odruch mimowolny minionéj czułości. Nie potrzebował przecież okazywać jéj swego przywiązania, znała go, a więc nie mogła wątpić, że kiedy

pokochał, to już na całe życie, ale miłość jakkolwiek głęboka i szczera, krępować w niczém nie powinna, więc pocóż ten smutek, te... łzy.

— Eh! oswoi się! Zresztą, cóż on jéj powié? Im dłużéj zastanawiał się nad swojém usposobieniem, tém silniejszą czuł odrazę do jakiegokolwiek przymusu!

Tak upływały im całe tygodnie, miesiące całe! Z początku Lena probowała walczyć z ogarniającém odrętwieniem: wchodziła do jego gabinetu pod różnemi pozorami na chwilkę, a przesiadywała godzinę i dwie, czytając z nim razem, kiedy do rozmowy nie miał ochoty. Wdzięczny jej był za to; widział, że kocha go całą duszę, że drży o swoje szczęście, które w zupełności od jego spojrzenia, uśmiechu, od jego humoru zależy. Chmurny z początku, wypogadzał się zwykle pod koniec, widząc jak wzrokiem łowiła każdy cień na jego twarzy, jak usta jéj drgały od tłumionego westchnienia! Przyciągał ją wówczas ku sobie, gładził ręką włosy, albo ująwszy pod brodę patrzał w twarz, a jednocześnie dziwił się w duszy, że miłość jego tak gwałtowna przed ślubem, złagodniała odrazu, zmieniła się w spokojne, pełne pobłażliwości przywiązanie. Gdyby miał siostrę, kochałby ją podobném uczuciem! Nie zauważył nawet, iż coraz rzadziéj zaglądała do niego; kiedy się znudził, albo zmęczył czytaniem, wychodził sam do niéj, zaglądał do jednego, do drugiego pokoju, jeżeli nie znalazł, wracał do gabinetu i wkrótce zapominał, że jéj szukał. Parę razy, kiedy z powodu jéj choroby sam jeden zasiadł do stołu, uczuł dziwną pustkę, nie jadł obiadu, cały czas potém siedział przy jéj łóżku, rozmyślając o różnych rzeczach. Czytał w tym czasie poważne dzieło swego kolegi przyrodnika, a chociaż zaledwo połowę przeczytał w dziesięciu miejscach na marginesie zapisał ołówkiem „idyota“; wynotował sobie dużo głupich rzeczy, któremi zamierzył podzielić się z autorem w pierwszym liście. Lubił go bardzo, cenił jego energię, rozum i naukę, książka miała wartość, zdobyła już nawet uznanie, a on w niéj znalazł z dziesięć śmiertelnych głupstw, którychby nie popełnił, gdyby sam zabrał się do napisania czegoś podobnego. Tryumfował w duszy, a więc mógłby już dotąd być trochę sławnym, gdyby się raz zabrał do pracy. Chciał o tém pomówić z Leną przy obiedzie, może dlatego głównie przyszedł do jéj pokoju, ale zastał ją wpółsenną, z bolącą głową, milczał tedy i rozważał w myślach słabe strony książki; sprawiało mu to wielką przyjemność, rad był nawet, że w téj chwili nie może mówić o tém z Leną, coraz nowe szczegóły wyrastały mu w pamięci, jutro będzie mógł to jéj znacznie lepiéj przedstawić.

Nazajutrz zabrał się do ponownego odczytania miejsc najsłab-

szych, a w kilka dni potém Lena wyprawiła mu hałaśliwą scenę: była strasznie rozdrażniona, nie wiedziała może, co mówi, po wielu wymówkach powtórzyła kilkakrotnie, że tak dłużéj żyć nie chce i nie może i t. d. Słuchał, mrugając szybko oczyma. Nie tłómaczył się, nie pytał, czekał, czém się to skończy. Wiadomość o natychmiastowym wyjeździe przyjął z pozorną obojętnością, przeprowadził ją na ganek i wsadził do powozu... Gdy odjechała, spojrzał na zegarek. Za kwadrans odchodził pociąg. Cały ten kwadrans stał na ganku z rękami założonemi za plecy, patrzał na drogę. Wiedział, że ją wyprzedzi do miasta i prawie był pewny, że ona w tym stanie podrażnienia do matki nie pojedzie. Myślał o tém zwolna, urywanemi frazesami, jakby ta strona duszy już nieco rdzewiéć zaczęła, patrzył wciąż na drogę, bojąc się, żeby odwróciwszy oczy i myśli razem od tego przedmiotu nie odwrócić!... Stopniowo jednak ogarniał go żal i niepokój, spojrzał na zegarek, do pociągu zostawało jeszcze z dziesięć minut... Tak jak stał w kubraku, ze zgasłém cygarem w zębach w zmiętéj dżokejce poszedł przez park ku stacyi. Całą drogę stał na ganku wagonu. Wszelkie kolizye, nieporozumienie, całą tę drobniutką sieć powikłań różnorodnych, które dzisiejszy wybuch wywołały, odłożył na stronę, nie sięgał w przeszłość, widział, że się coś popsuło i zapragnął naprawić jak najprędzéj. Pociąg wlókł się; Maks mimowoli brwi ściągał i parę razy obejrzał się za konduktorem; oprzytomniał jednak w porę i wzruszył ramionami nieznacznie.

Zanim powóz jéj zajechał przed dom Wolskich, Maks stał już na ganku:

— Jakieś ty dziecko! — szeptał, wysadzając ją z powozu, jakieś ty dziecko Leno! A ja myślałem, że mam żonę, która mnie kocha i rozumié!

Cały dzień potém Lena miała łzy w oczach; powiedziała mu, że drugiéj takiéj sceny nie przeżyje, że on nie powinien narażać jéj na taki żal szalony, że więcéj niż śmierci boi się jego apatyi i zobojętnienia.

— Cóż ja na to poradzę — odrzekł — wiem, że nie potrafiłbym żyć bez ciebie, ale czy potrafię być innym, nie wiem.

A jednak czas jakiś był innym: zelektryzowała go wybuchem szalonéj miłości. Nawet do gospodarstwa zaczynał nabiérać upodobania. Zrana wychodzili codzień w pole oboje. Lena była szczęśliwa, że go zmusiła do rannego wstawania, że mu dostarczyła kilka pięknych godzin, które zwykle spędzał w łóżku, albo przy nieskończenie długiéj herbacie z cygarem, na niedołężném znudzeniu, przerywaném ziewaniem! W polu, wśród zieleniejącego zboża, w słonecznéj won-

néj atmosferze, robiła honory domu z tak pysznym humorem, iż mimowoli dostrajał się do jéj usposobienia.

— No cóż, tu wcale ładnie?—szczebiotała mu nad samém uchem.

— Ależ ja to znam lepiéj od ciebie, kozo dzika; po tych wszystkich miedzach harcowałem niegdyś na kiju za ojcem.

— I pomimo to nie nabrałeś chęci do gospodarstwa?

— Nie chcę pozbawiać mego rządcy chleba, on ma już pięcioro dzieci, a my dotąd ani jednego.

— Daj mu chléb łaskawy.

— Wolę sam być na łaskawym chlebie u niego, mam przynajmniéj tę pewność, że ani mnie, ani jemu chleba nie zabraknie.

— Więc niech cię weźmie za wójta.

— Co mu po takim niedołędze!

Śmieli się wesoło. Lena przytulona do jego ramienia, osłaniała go parasolką.

Przyglądał się jéj uważnie, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział ją tak blisko, od czasu do czasu całował ją zlekka w policzek.

— Śliczna jesteś! — szeptał do ucha.

— Wiem o tém; przed rokiem byłam nawet najpiękniejszą z kobiét; czytałam to w twoich oczach; może nieprawda?

— Przedślubne rozmowy oczyma, to podrabiane dokumenta; mogłabyś je oddać za to jedno „śliczna“, które ci w téj chwili powiedziałem.

— Ja też nie wzdycham za przeszłością!

— Jesteś szczęśliwa?

Spojrzeli sobie w oczy.

— Może znowu uciekniesz!

Podała mu usta do pocałunku.

— Masz racyę! Mogilnica to jedyny kąt, w którym żyć warto. Tu nawet można byłoby wiele zrobić...

Fantazyował na ten temat bardzo zajmująco, miewał świetne pomysły; w dziesięciu takich majątkach potrafiłby prowadzić gospodarkę, ale tylko w słowach.

— Ojciec twój powinien był kupić dla ciebie jakieś królestwo z licytacyi.

— W którém ja skazałbym na celibat wszystkie złośliwe kobiéty.

Sprzeczali się jak para zakochanych dzieciaków. Zapomnieli że mają już za sobą ową zimę, podczas któréj on całemi dniami drzémał, albo czytał zamknięty w gabinecie, ona zaś, przerażona jego apatyą, chwilami studyowała go jak zupełnie obcego człowieka

Znała go teraz dokładnie i zawczasu mogła przewidzieć wszelką zmianę w jego usposobieniu.

Nie zdziwiła się wcale, gdy po chwilowym wybuchu opuścił skrzydła...

Niemal wszystkie jego apatyczno-pesymistyczne frazesy umiała na pamięć.

— Szkoda czasu na gospodarkę...

— Człowiek zamienia się w maszynę przy téj pracy— kończyła, gryząc wargi.

Spoglądał na nią z uśmiechem; nie słyszał ironii w jéj głosie, nie domyślał się, że szydzić z niego zaczyna; wierzył, że się zgadza bezwzględnie na każde jego zdanie. Ona sama opiérała się jak mogła ironii i szyderstwu! Pomimo to burzyła się w niéj od czasu do czasu silna energiczna natura! Ile razy weszła do gabinetu i zastała go wyciągniętym na otomanie przed drzemką albo po drzemce, wzruszała ramionami nieznacznie, traciła chęć do rozmowy, a na ustach mimowoli prawie osiadał pogardliwy uśmiech. Jeszcze gorzéj usposabiały ją wszelkie negatywno filozoficzne uwagi o znikomości przeróżnych celów, do których dążyli „poczciwi ludziska", rojąc się tłumnie na wszelkich możliwych drogach, drepcząc wciąż wkółko ze świętą wiarą, że idą naprzód! Słowom tym towarzyszył niekiedy stłumiony zgrzyt szyderstwa czy zazdrości, osłonięty parnasowym spokojem, albo tą ironiczną niedbałością, z jaką się zwykle o drobnych sprawach ludzkich odzywał. W takich chwilach wyglądał jak średniowieczny rycerz pokutujący wśród liliputów! Wysoki, barczysty, z dużą rudą brodą, z wyrazem energii w grubych rysach i głębokich oczach, patrzał jak lunatyk, przerywając swoje majaczenie przeciągłém ziewaniem.

— Maniak, czy niedołęga?

Słowa te jak błyskawica migały w zdumionym umyśle Leny, kiedy zapatrzona w niego błyszczącemi oczyma, gryzła wargi, żeby nie wybuchnąć zjadliwym sarkazmem. Bała się tych myśli; oburzała się w duchu na swoję gwałtowną naturę! A po każdym takim stłumionym wybuchu przytaczała mnóstwo faktów, rzucających świetny blask na umysł i charakter Maksa! Widziała przecież nieraz, jak zapalał się do pięknych, podniosłych rzeczy; wierzyła święcie, że z całym spokojem oddałby życie za ideę, w którąby wierzył; ceniła w nim tę mądrą obojętność na komfort, zbytek, na te drobiazgi życiowe, w których roztapia się dusza filistra! Wspominając o czasach studenckich, drwił ze swego pysznego gabinetu, z miękkiego dywanu i wspaniałych draperyi, wśród których „kości mu rozmiękły". I do

tych „spraw drobnych“ zapalał się czasami: w okolicy błąkała się myśl towarzystwa wzajemnéj pomocy; mówiono o kasie, którąby od lichwy i banków ratowała, o moralnych zobowiązaniach, mających podtrzymać i podnieść ducha upadającego, w powietrzu unosiły się myśli i projekta, dla których w codziennem życiu form brakło. Maks przez kilku tygodni jeździł na posiedzenia, wróciwszy, w gorących słowach podziwiał trzeźwość, logikę, szlachetny zapał „liliputów“. — Snuł plany, sięgał myślą w daleką przyszłość, gotów był przyjąć wszelkie możliwe zobowiązania. A gdy z téj olbrzymiéj chmury, brzemiennéj piorunami projektów, spadł drobniutki deszczyk w postaci jakiéjś spółki handlowéj, ratującéj byt kilku, albo kilkunastu sąsiadów, Maks ochłonął, wytrzeźwiał odrazu, ze snu gorączkowego przebudził się znowu średniowieczny rycerz, a bujając się w fotelu na ganku obok wypchanego niedźwiedzia, milczał całemi dniami, wypoczywał po gwarnych zebraniach, na których tyle słów i czasu stracił.

Lena widziała te wybuchy, znała ich źródło, ale raptownéj apatyi zrozumiéć nie mogła!

— On... chory! — szepnęła raz do siebie, ot tak znienacka, jakgdyby w chwili objawienia, czy jasnowidzenia. — Zatrzymała się na tym wyrazie i przez bardzo długą chwilę nie zaprzeczała i nie potwierdzała. Chciała się oswoić z tą myślą, czy może w błyskawicznym procesie mózgowym, z którego nie zdawała sobie sprawy, zważyła w mgnieniu oka wszelkie za i przeciw, przemawiające za tym domysłem?

— Chory! — powtórzyła z cicha.

Myśl ta zamiast ją przerazić, złagodziła naraz bolesne uczucia trwogi, ironii, zażegnała rodzącą się pogardę.

— Chory!...

Litość, współczucie, niemal macierzyńskie przywiązanie wypowiedziały się w tym wyrazie, który oddawna już dojrzéwał w duszy, na który się złożyły najlepsze siły kochającéj istoty.

Ironia i szyderstwo nie odrazu się poddały, zrywając się od czasu do czasu wobec niezrozumiałych i wstrętnych objawów przypuszczalnéj choroby, ale chwile takie były strasznie ciężkie.

Lena coraz baczniejszą zwracała uwagę na stan zdrowia męża.

On jakby podzielając to przypuszczenie, zakrzątał się koło swéj osoby, nadmieniał coraz częściéj, że mu coś jest, nie mógł określić, co mu było w istocie, ale raz wpadłszy na tę drogę, zdobył cel do rozmyślań i kombinacyi. Rady lekarskiéj zasięgać nie myślał, wiedział bowiem, że w subtelne choroby zagłębiać się nie umieją, zresztą, czyż to „podłe życie“ warto było trosk i zachodu. Zrobił już swoje, wła-

ściwie nic nie zrobił, ale kiedy zapędził się w pesymistyczném dowodzeniu, lubił pozować na znacznie starszego, niż był w istocie.

Nastały tedy dni mniemanego cierpienia, od rana już bywał kwaśny, milczący, jadał mało, skarżył się na bezsenność, probował morfiny i coraz gorliwiéj wczytywał się w dzieła, traktujące o hydropatyi, hypnotyzmie, czas jakiś był zwolennikiem homeopatyi, a jednocześnie odnajdywał w sobie zarodki wszelkich cierpień, uleczonych cudownemi środkami. Z domu nie wyjeżdżał prawie, u rodziców nawet bywał coraz rzadziéj; sprawił sobie jedwabny trykot, który nosił najsumienniéj, od czasu do czasu przykładał plaster raz na piersiach, to znów między łopatkami, i codzień na czczo przełykał parę pigułek Mattejego z mikroskopijnych flaszeczek. Wśród ciszy i samotności, kiedy zagłębiony w fotelu z plastrem na piersiach, z watą w uszach, przeżuwając pastylki, czytał nojnowsze dzieło, traktujące o cudownych środkach nieuznawanych dotąd przez medycynę, przerywał raptownie czytanie, i przymrużywszy oczy, wsłuchiwał się we własny organizm! Psuło się tam coś na dobre... drgało w sercu... rzężało w płucach, szumiało w głowie... drgało i targało w kolanach i w łydkach... z żołądkiem dawno był w niezgodzie, a w krzyżach strzykało coraz częściéj! Kiedy po téj nieméj konsultacyi ze samym sobą, otworzył oczy... żal i strach go ogarniał! Czuł się kompletnym bankrutem i to w trzydziestym piątym roku życia!

Wobec tego choroba ojca, jakkolwiek uporczywa, nie przerażała go zbytecznie, nie mógł o niéj myśléć długo, wciąż bowiem własne niebezpieczeństwo stawało mu w pamięci... był prawie pewny, że ojciec go przeżyje! Ilekroć Lena, wróciwszy z miasta, opowiadała o groźnym stanie ojca, Maks słuchał ze smutnym uśmiechem. Nie chciał jéj martwić! Widział, że w ostatnich czasach wzięła się energicznie do gospodarki, że ją to bawi, zajmuje, spoglądał pobłażliwie na jéj zabiegi około przysporzenia groszowych zysków, słuchał nawet, gdy mu swoje mrówcze plany opowiadała.

— Jeżeli ją to zadawalnia, têm lepiéj! Mniéj sił, więc i wymagania mniejsze! Zdrowie! Ha! zdrowie to wielki skarb! — dodawał z westchnieniem, jak gdyby stał już nad grobem, albo co najmniéj z dziesięć lat uporczywego cierpienia miał za sobą.

Czasami zdawało mu się, iż Lena zbyt lekkomyślnie traktuje jego cierpienia. Gdy on z trudnością suwał się po gabinecie, rozmyślając o stopniowym paraliżu, uleczonym cudownie za pomocą hypnotyzmu, ona natarczywie namawiała go na przechadzkę, wyciągała prawie gwałtem z pokoju, wmawiała, że ruch, skuteczniéj jeszcze niż hypnotyzm, leczy zarodki najgroźniejszych chorób, prosiła i oburzała

się na przemiany, traktowała go jak rozpieszczone dziecko, które wprzód należy rozbawić, a potém przekonać!

— Zresztą, cóż to siedzenie w zamknięciu pomoże?— powtarzała coraz częściéj— trzeba się leczyć, trzeba zmienić sposób życia, otoczenie... Wiesz co?... Jedźmy gdziekolwiek!

Maks zżymał się na samo przypuszczenie o zmianie miejsca, o podróży o jakimkolwiek ruchu przymusowym; brak systematycznych wygód zabiłby go niezawodnie... przeżywał bowiem jakieś przesilenie organiczne, wymagające przedewszystkiém ciszy i samotności. Stan taki nie mógł trwać długo, ufał w swój organizm, który dopiéro w ostatnich czasach sprawiał mu tak smutne niespodzianki. U Bernheima spotkał parę razy opis podobnych symptomatów szczęśliwie wyleczonych hypnotyzmem, to mu dawało do myślenia, coraz bardziéj przechylał się ku téj metodzie, tracąc jednocześnie wiarę w cudowność Mattejego! Już nawet gotów był sprobować, gdy zaszła groźna zmiana w stanie zdrowia ojca. Maks wyzdrowiał nagle, kilka dni przepędził w mieście, potém jeździł co rano, a wracał wieczorem; ojcu się polepszyło, natomiast on uczuł znowu brak sił i brak woli będące zapowiedzią wszelkich możliwych dolegliwości. Zmęczył się, zmartwił, i kto wié, może zrujnował się ostatecznie! Nigdy jeszcze wola i siły nie osłabły w nim do takiego stopnia, jak podczas tych ostatnich tygodni. Stracił sen, o jadle nie chciał słyszéć, a pod sekretem codzień zażywał morfinę!...

Lena przyglądała mu się w najwyższém przerażeniu; mówić z nim o tém nie mogła. Przy pierwszém zaraz słowie, błagał ją, żeby mu dała święty spokój, a w tém „błaganiu“ było tyle stanowczego oporu, że jéj słowa konały na ustach, a w oczach łzy wysychały! Drętwiała z żalu i bezsilności. Sto razy może miała już o tém mówić z ojcem, choroba i przygnębienie starego zamykały jéj usta. Dopiéro dziś bezwiednie prawie wykrzyknęła, że ten Maks, któremu tylko ptasiego mléka brakło, był najnieszczęśliwszym z ludzi!...

— Najnieszczęśliwszy z ludzi!

Słowa te stary powtórzył kilkakrotnie z tak bolesném rzężeniem w piersiach, że od tego głosu serce jéj zamierało! Cóż robić, raz przecie trzeba było koniec temu położyć.

Koniec! Ależ to początek zaledwo!

VIII.

Wyszedłszy od Wolskich, szła zwolna w stronę mieszkania matki. Słońce wiosenne grzało rozkosznie, na ulicy co kilka kroków

spotykała znajomych; oglądali się za nią, uśmiechali się do niéj zdaleka. Piękna, bogata kobiéta, widywana zwykle w wytwornym powozie, szła pieszo, zmieszała się z tłumem ulicznym, nadawało jéj to urok eleganckiéj popularności. Starsi panowie szczególnie, wtajemniczeni w majątkowe sprawy Wolskich, spoglądali na nią z zachwytem, jakgdyby pochwalali i podziwiali ją zarazem. W towarzystwie nazywano ją *„petite fée“*, co miało stanowić analogię do zaczarowanego pałacu w Mogilnicy, gdzie się dostała cudem, ot tak, zapomocą szczęścia i nic więcéj! Ten i ów przyśpieszył kroku, wpatrzony w nią z uprzejmym uśmiechem, chciał przywitać zbliska, przejść z nią kilka kroków i powiedziéć przytém parę najbanalniejszych w świecie grzeczności, już nawet rękę ku niéj wyciągnął, Lena skinęła głową i szła daléj.

Żal jéj było starego, bez potrzeby zatruła mu ostatnie chwile. Nie umiała sobie radzić, postępowała nieraz wbrew wszystkim swoim zasadom i poglądom! Przez tę parę lat nie zostało w niéj ani jednego rysu z dawniejszéj teoretyczki. Powinna byłaby zerwać z człowiekiem, którego szanować nie może, od którego z łatwością zarazi się apatyą i egoizmem.

Wszystko to prawda, ale cóżby się stało z tym dużym dzieciakiem, z tym bezsilnym utopistą, gdyby jéj przy nim nie było? coby się z nim stało?

Wzruszyła ramionami.

Tamta dawniejsza teoretyczka, przykrawająca świat do swoich zasad, wydała się bezduszną formułką i niczém więcéj. Nie znała siebie wówczas, nie domyślała się nawet, że ma duszę, która do życia potrzebowała miłości i poświęcenia!

Na schodach zatrzymała się chwilkę, nie chciała, żeby matka wyczytała z jéj twarzy to, o czém nigdy z sobą nie mówiły.

Orlicka już przy drzwiach zmierzyła ją od stóp do głowy, w salonie zaś, zdejmując jéj z głowy kapelusz, ucałowała w czoło, w oczy, ujęła pod brodę i wpatrzyła się w twarz uważnie.

— No cóż? — spytała głębokim głosem.

Lena stłumiła oddech, milczały przez chwilę.

— Nic, wszystko dobrze! — odrzekła z doskonałym spokojem, poprawiła przed zwierciadłem włosy, uśmiechając się do swojéj pięknéj twarzy.

Orlicka przeszła się pokoju. Na ustach jéj zastygł tajemniczo ironiczny uśmiech. Gdyby przed chwilą jednėm serdecznėm uściśnieniem Lena dała jéj poznać, że potrzebuje współczucia, całe skarby

serca macierzyńskiego oddałaby dla téj swojéj ukochanéj jedynaczki; Lena skryta, spokojna, wzbudzała w niéj prawie nienawiść!

Od ludzi wiedziała, że Maks jest dziwak, tetryk, morfinista, życie z nim istném piekłem być musi, od córki ani cienia skargi doczekać się nie mogła.

— Ha, niech cierpi, kiedy jéj z tém dobrze!

— Cóż u mateczki słychać? Wszystko po staremu?

Ująwszy matkę pod rękę, chodziła z nią po pokoju.

Rozmowa nie szła. Lena udawała, że nie widzi badawczych spojrzeń matki. Opowiadała z rozkosznym uśmiechem, jak wygląda Mogilnica na wiosnę.

— Ale ty w tym raju na męczennicę wyglądasz — szepnęła Orlicka.

— Ojciec mnie niepokoi, źle z nim, wyjeżdżamy za granicę.

— I Maks?

— Nie wiem, to jest, tak, i Maks, ależ naturalnie! — odrzekła zmieszana

Orlicka odtrąciła ją z lekka, odstąpiwszy parę kroków, zmierzyła ją wzrokiem.

— Po co ty go bronisz? Dlaczego ty kłamiesz przedemną, przed matką? Czy ja mniéj mam prawa do waszéj doli i niedoli niż cała zgraja ludzi obcych, którzy wiedzą przecież co się u was święci? Całe miasto mówi o nim jak najgorzéj, a ty udajesz przed matką, że jesteś najszczęśliwszą! Więc ja za moją pracę, poświęcenie, miłość, nawet odrobiny serca i szczerości otrzymać nie mogę!

Zaśmiała się ironicznie; skrzyżowawszy ręce na piersiach, zaczęła chodzić po pokoju, wpatrzona w podłogę.

Lena odeszła od okna, usiadła w fotelu. Piękny żółty ceter wyszedł zwolna z drugiego pokoju, zatrzymał się przy niéj i położył głowę na jéj kolanach; kręciła w palcach miękkie, kosmate ucho, spoglądając w okno. Czekała co powié matka; wrazie powtórnego wybuchu postanowiła milczéć. W tych plotkach było dużo prawdy, ale ona mówić o tém nie chciała i nie mogła!

Orlicka gryzła wargi, nozdrza i brwi drgały; przeczuwała, że jéj gwałtowność rozbije się o chłodny upór córki.

— Dlaczego milczy? Skarga, żal, pociągnęłyby za sobą tysiące zwierzeń, mnóstwo drobnych szczegółów, składających się na życie dwojga ludzi, sprzężonych z sobą na wieki. Tam rozwijał się może cały dramat ze wszelkiemi szczegółami ukrytéj walki, chwilowych zwycięstw, tryumfów, zwątpienia i rozpaczy zarazem. Słyszéć, mówić o tém, to tryumfować i cierpiéć wraz z nią, to żyć młodém, peł-

ném życiem, w którém nawet najsroższy ból znośniejszym jest od martwéj pustki na starość!

Orlicka czuła się pokrzywdzoną, odepchniętą; milczenie Leny zaliczała na karb nieufności, braku przywiązania. Ta wypieszczona córka najgorszego męża kochała więcéj niż ją, matkę! Usta drgały, milczała, żeby nie wybuchnąć bolesnym wyrzutem!

— Jadą zagranicę— przemknęło jéj naraz w myślach. Wiadodości téj nie wyzyskała dotąd, przejęta żalem i oburzeniem. Uspakajała się stopniowo; a widząc, że Lena nie ma zamiaru rozpoczynać rozmowy, zagadnęła ją znowu urywanym głosem, nie mogąc zapanować nad wrzącém uczuciem.

— Skądże ten nagły projekt, kto wyjedzie i kiedy?

Stanęła przed nią z surowym wyrazem w twarzy.

Lena podniosła głowę:

— Mateczka gniewa się na mnie?

Przycisnęła jéj rękę do ust gorąco.

Gniéwa się! Ależ ona kocha ją tylko i nic więcéj! Przez miłość, jedynie przez miłość pragnie jéj duszę i serce miéć na dłoni, grzebać się w najtajniejszych myślach i uczuciach, dotykać najdrażliwszych stron duszy, przez miłość jedynie! Dla niéj tylko żyje, ale treści do tego bezcelowego życia, ona powinna dostarczyć! Cóż, kiedy ona tego zrozumiéć nie chce czy nie umié!

Orlicka westchnęła ciężko, usiadła naprzeciwko córki przy oknie; Lena trzymała jéj rękę w swoich dłoniach.

Rozmowa o Wolskich nie należała do najłatwiejszych. Orlicka ich nie cierpiała. Stary był podłym zdziercą, Wolska słynęła ze złości i sknerstwa! Przy każdéj sposobności chętnie wytykała ich wady, powtarzając skwapliwie co o nich w mieście mówiono. Chciała przez to dać poznać Lenie, że wchodząc w bogatą rodzinę, nie wszystko jeszcze zdobyła, że tu, w domu matki pozostawiła dobre imię, szacunek ludzi, byt skromny ale uczciwy... Był to jeszcze jeden sposób przyciągania ku sobie serca córki, które coraz bardziéj lgnęło do obcych!

Tym razem Lena starała się mówić tylko o chorobie i niebezpieczeństwie; przedstawiała groźny stan ojca, wspomniała z zamierzonéj podróży...

— Bóg go słusznie karze, że go dotąd piorun nie zabił... rzecz dziwna! Tyle krzywdy ludzkiéj cięży na jego sumieniu!

— Z któréj ja korzystam—dodała zcicha Lena.

Spojrzały na siebie; w umyśle Orlickiéj kombinacya ta pojawiła

się poraz pierwszy. Świetny los córki uważała jako rzecz należną jéj wdziękom i rozumowi, a że źródłem téj świetności było ździerstwo i krzywda ludzka... nad tém nie zastanawiała się nigdy... zresztą taka jest zwykła koléj na świecie!

— Nie bardzo tam używasz!—odrzekła niechętnie i zaczęła mówić o projektowanéj podróży.

Udobruchała się ostatecznie; obecność córki była jedyną rozkoszą w jéj życiu, wpatrzona w nią, wsłuchiwała się w każde jéj słowo, usiłując zapomniéć o tém, że wkrótce będą musiały się rozstać na kilka dni, na tydzień, czasem na cały miesiąc!

Po obiedzie Lena poszła do swego pokoiku, żeby kilka słów do Maksa napisać. Pokoik pozostał takim, jakim go zostawiła w dzień ślubu: niebieskie ściany, niebieskie mebelki, biureczko pod oknem i ta niebieska kanapka pod lustrem w owalnych ramach, na któréj tyle spazmatycznych chwil przepędziła!

Wspomnienia te wydawały się jéj teraz prawie śmieszne! Nauka i praca nie uchroniły jéj przed szaloną miłością, — a dziś... czy przydały się jéj na co?

— Nie miałam i nie mam... charakteru!—szepnęła, jakby usprawiedliwiając przed sobą swoje dawniejsze i dzisiejsze cierpienia!

Siedziała przed biurkiem z twarzą w dłoniach ukrytą.

— Napiszę mu, że wyjeżdżam z ojcem i nic więcéj... Żebym mogła wyjechać i nie wrócić... Ale ja tego nie potrafię... Stworzoną jestem na niańkę!... wrodzone instynkta niewolnicy osłaniam pozorami miłości i poświęcenia... w istocie zaś nie mam siły iść sama przez życie... nie potrafię zadowolnić umysłu i serca pracą i nauką. Nie mogę!... Kto wié... prędzéj może zniosłabym poniewierkę, niż samotność!...

Opuściła ręce na kolana, wpatrywała się w okno przysłonięte koronkową sztorą,—oczy łzami zaszły, gryzła wargi, a cienkie nozdrza drżały zlekka.

— Wyciągnę go z niedołęstwa i apatyi na czas jakiś i — nic więcéj, a może i tego nie dokażę... dotąd o podróży słuchać nie chce!...

Drgnęła, jak gdyby otrząsając się z ponurych myśli.

„Z ojcem jest bardzo źle,—pisała zamaszystém, wyraźnem pismem,—za parę dni wyjeżdża za granicę, ja mu towarzyszę; nie wiem, co postanowisz, sądzę jednak, że wobec niebezpieczeństwa zapomnisz o swoich dolegliwościach i pojedziesz z nami.

Lena."

Nigdy jeszcze nie przemawiała do niego takim ostrym rozżalo-

nym tonem. Słowa te wyrwały się z głębi duszy, gdzie pod warstwą przywiązania kiełkowały niechęć i zwątpienie.

Kiedy po długiéj rozmowie z matką, po kilkakrotném pożegnaniu, zdołała nakoniec wyjść z mieszkania, na ulicach zmrok już panował. Przed bramą czekał na nią powóz.

— Z naszym panem źle... było trzech doktorów... — mruknął stangret.

Zatrzymała się na stopniu i mimowoli zgniotła list w ręce.

Na ganku spotkał ją lokaj.

— Źle z panem — rzekł tajemniczo — posłali już po młodego pana.

W gabinecie otworzono oba okna, podniesiono rolety. Wolski leżał na otomanie bez surduta, z rękami wyciągniętemi wzdłuż ciała; powietrza mu brakło, oddychał z coraz większą trudnością. Na biurku paliła się lampa przysłonięta zielonym abażurem, w gabinecie panował półcień, w głębi rysowała się wyraźnie biała poduszka, białe rękawy koszuli wyciągnięte nieruchomo, i stopy w białych skarpetkach.

Wolska stała w oknie, z twarzą zwróconą do pokoju ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Nie wiedziała, co robić. Na biurku leżały dwie świeżo napisane recepty, ale chory po odejściu lekarzy machnął ręką na znak, żeby po lekarstwa nie posyłać. Leżał jak martwy; ile razy zbliżyła się do niego—przymykał oczy.

— Nic mu nie będzie... zwykły atak... po co wczoraj wyjeżdżał... po co się trząsł po bruku—powtarzała, wpatrzona w leżącego, a w duszy czuła strach i niepokój.

— A tu ani żywego ducha!

Wzruszyła ramionami. Maks to skończony idyota, niedołęga, który dla chwilowego spokoju wyrzekłby się zbawienia; ona nigdy nie wierzyła ani w jego rozum, ani w charakter; ależ ta... uwielbiana synowa... dlaczego zemknęła, widząc, że jest tak źle?...

— U matki siedzi!

Uśmiechnęła się pogardliwie.

Bóg wié, skąd stanęły w myśli jéj własne wizyty u ciotki przed dwudziestoma laty... Pochyliła głowę i z pod czoła spojrzała w ciemną głąb gabinetu... Przed oczami stanął jakiś zbiedzony, nieśmiały geometra, czarniawy, chudy, z wąsami obwisłemi, jak u chińczyka... z rękami oliwkowego koloru o nabrzmiałych żyłach... Był to jedyny człowiek, który w niemym zachwycie wpatrywał się w nią, jak w obraz! Odczuwała ten zachwyt i co drugi dzień chodziła do ciotki, u któréj mieszkał... Geometra znikł gdzieś, nie przemówiwszy do

niéj ani słowa... Pamiętała o nim długo... w końcu znikł i z jéj pamięci. Raptem, w téj oto chwili w ciszy ciemnego gabinetu, zarysował się przed nią wyraźnie tam w głębi, na tle otomany, gdzie leżał mąż jéj nieruchomy, z głową odrzuconą na poduszki, ciężko oddychając!

Wolska zacisnęła powieki; gdy widmo znikło, obejrzała się przez ramię na podwórze. Było już prawie ciemno; dokoła klombu biegła szeroka droga usypana piaskiem, na prawo przed otwartą stajnią stał powozik wyprzężony, którym dziś zrana przyjechała Lena; z ganku dolatywała cicha rozmowa... zasłyszawszy głos Leny, Wolska odeszła od okna, siadła przy biurku, oparła głowę na ręku.

Lena wsunęła się ostrożnie; obrzuciwszy okiem gabinet, zbliżyła się do chorego. Otworzył oczy.

— Lena?... to dobrze... doktorowi powiész, że śpię — wyszeptał, wpatrzony w nią szklanemi oczami.

Wolska wstała, pochylona nad biurkiem szukała czegoś przez chwilę; wyszła, przymknąwszy drzwi zcicha.

W pokoju zapanowała grobowa cisza. W otwartych oknach wiatr poruszał zlekka jedwabne firanki; z głębi ciemnego podwórza dolatywał urywany szept dwu ochrypłych głosów: lokaj opowiadał stangretowi przebieg dzisiejszego ataku.

— Kiepsko... zczerniał... do siebie niepodobny... z tego już chyba nie wyjdzie!

— Każdy pod Bogiem... dziś żyje... jutro gnije!...

Wolski zwrócił oczy w stronę okna.

Lena wstała: rzuciła niespokojnym wzrokiem na chorego, na okno...

— Siedź! — szepnął; ze słowem tém głuchy jęk wyrwał się z piersi.

Położyła mu rękę na czoło; otworzył oczy, usta drgały, chciał mówić i bał się, żeby głosem nie zbudzić bólu...

— Dlaczego Maks nie przyjechał... czekałem... Maks...

Zamilkł; na czoło wystąpiły krople potu.

Ból gwałtowny, który go dręczył przez cztery godziny, ustępował stopniowo... ogarniała go błoga senność, przymykał oczy, bał się zasnąć, żeby silniejszym oddechem nie zbudzić uśpionego cierpienia... Po chwilowéj drzémce otwierał oczy, wodził wzrokiem po pokoju... serce drgało, przebudzanie się męczyło go... chciałby zasnąć... zaledwo przymknął powieki, strach go ogarniał... Podczas cierpienia czuł życie w silnie bijących tętnach... wraz z bólem znikły i siły — drętwiał, stygł zwolna, myśl tylko i pamięć odrętwiéć nie mogła. Był

zupełnie przytomny, słyszał dokładnie ruch zégara w kącie na hebanowéj kolumnie. Spojrzał w tę stronę; natężywszy wzrok, dostrzegł, że wskazówka stała na dziesiątéj.

— Po Maksa posłali?—szepnął.

— Posłali.

Westchnął. Bólu ani śladu!... Czekał przez chwilę... pot spływał z czoła, serce biło coraz słabiéj.

— To śmierć!—szepnął w duszy.

Żadnego echa! Słowo to wczoraj jeszcze budziło w nim resztkę sił, żal i trwogę—teraz czuł, że cierpienie znikło bezpowrotnie, lecz wraz z niém uleciało i życie!

— Śmierć! — powtórzył. W duszy panowała grobowa cisza. Wpatrzył się w głąb pokoju... powoli... zebrawszy resztkę sił... podniósł rękę... Ręka spadła na czoło, zsunęła się na piersi... i tu pozostała!... Westchnął zcicha.

Lena strwożona śledziła ruch ręki.

— Ojcze!—szepnęła ze łzami w głosie.

Wyraz zmęczenia znikł z twarzy, powieki opadły, poruszył raz jeszcze ustami, może raz jeszcze o Maksa chciał zapytać?

IX.

Nazajutrz o południu otworzono dla publiczności salon, udekorowany kirem i roślinami. Pośrodku na wysokim katafalku spoczywał Wolski, woskowa twarz miała wyraz smutnego spokoju; nad głową, spoczywającą na białéj atłasowéj poduszce, poruszały się zlekka szerokie liście palmy. Po obu stronach katafalku, pomiędzy cyprysami i kolumnami z bluszczu paliły się świéce w wysokich lichtarzach; u nóg na wzorzystym dywanie, przykrywającym stopnie katafalku, złożono trzy olbrzymie wieńce ze świeżych kwiatów: zapach fiołków mieszał się z zapachem wosku i jedliny.

Publiczność, przeważnie urzędnicy z banku i ich rodziny, podążała gromadkami od bramy przez podwórze zalane słońcem, — pośrodku w klombie kwitł biały bez i żółte akacye, ptaszki śpiewały wesoło!

Przed bramę zajeżdzały powozy i dorożki. Znajomi, koledzy, kroczyli uroczyście po szerokiéj ścieżce, wpatrzeni w cztery okna po lewéj stronie ganku, zaszłonięte kirem.

Tłoczono się w przedpokoju; u drzwi, skąd najlepiéj się przedstawiał wspaniały katafalk z całą masą pysznych roślin i dwoma

szeregami świéc gorejących, stawali bliżsi znajomi, dawniejsi podwładni wsuwali się ostrożnie do sali, kupili się w milczeniu po jednéj lub po drugiéj stronie przy ścianie, skąd dokładnie mogli widziéć ostry profil nieboszczyka, czarne, krótko przystrzyżone włosy, najeżone nad czołem i duże ucho, ukryte do połowy w atłasowéj poduszce.

Dygnitarze i znajomi wynosili się bardzo prędko; urzędnicy zostawali dłużéj, oparci plecami o ścianę, z kapeluszami w rękach, wpatrywali się w nieboszczyka.

Śmierć nastąpiła prawie nagle... patrzano się po sobie, wzruszano ramionami nieznacznie.

Szaniawski i Dąbek, „prawe ręce“ nieboszczyka, przestali obok siebie dobre pół godziny; w końcu wysunęli się z sali cichaczem, szli w milczeniu przez podwórze z odkrytemi głowami.

— Nosił wilk, ponieśli i wilka,—mruknął Dąbek w bramie.

Szaniawski obejrzał się na okno kirem zasłonięte, pokręcił głową.

— Niech mu ziemia będzie lekką!—szepnął z westchnieniem.

— Skończył już... co tam! Nie byłby ten, byłby drugi... każdego dźwigać trzeba... Im kto niżéj stoi, tém mu ciężéj.

Podali sobie ręce.

— Do jutra na pogrzebie?

— A cóż, trzeba już wytrwać do końca!

Rozeszli się w przeciwne strony.

Dwóch „gogów“ zajechało amerykanką, ubraniem i figurą podobni do siebie, jak bracia: obaj w piaskowych garniturach, w dżokejskich czapeczkach, w żółtych rękawiczkach, obaj przesiąknięci stajnią i dobrém cygarem. Jeden rumiany, z płowym wąsikiem, drugi znacznie starszy, zwiędły, ale lekki i sprężysty.

Szli przez podwórze, trzymając się pod ręce.

— Nieboszczyk był złym prorokiem — rzekł blondyn — przepowiadał, że stracę fortunę w lat kilka.

— A tyś stracił w przeciągu jednego roku.

— Nie całą!

— Nie zgadł tedy... to dziwne! On również dobrze znał się na ludziach, jak na pieniądzach!

— Dałeś mu dowód zaufania, zastawiając w banku dwa majątki!

— Cóż chcesz, mój drogi! należy podtrzymywać pożyteczne instytucye.

Na ganku spoważnieli obaj, stanęli we drzwiach naprzeciwko

katafalku; zdjęli dżokejki; obaj byli łysi. Brunet pierwszy dał łokciem znak do odwrotu; blondyn wodził wzrokiem po sali wspaniale udekorowanéj.

— Ciekaw jestem, ile téż zostawił? — szepnął do towarzysza, schodząc z ganku.

— Robił, co mógł, — ale na téj drodze dużo zrobić niepodobna... kontrola!

— W każdym razie, syn ma zabezpieczoną egzystencyę szanowanego obywatela?

— Na to go stać! W szubrawca bawić się nie potrzebuje, chyba przez amatorstwo.

— Mazgaj!

— Dzieci geniuszów najczęściéj bywają idyotami.

— A co wiesz o dzieciach idyotów?

— Mój drogi, co to nas może obchodzić, obaj nie mamy potomstwa!

Wskoczyli do amerykanki; odjeżdżając, zapalili cygara.

Wieczorem ruch ustał. Zamknięto bramę, na ganku pozostali dwaj lokaje, z krepą na rękawach fraków.

W sali, przy drzwiach dwu starych księży drzémało przy stoliku, na którym paliły się świéce w srebrnych kandelabrach i leżały otwarte modlitewniki.

Teraz dopiéro zapanowała tu powaga śmierci. Sinawy obłok dymu unosił się nad katafalkiem, zapach kadzidła mieszał się z wonią więdniejących kwiatów; wśród grobowéj ciszy słychać było leciuchne łuskanie knotów u świéc woskowych; szerokie liście palm zwieszały się nieruchomo nad głową nieboszczyka.

W kącie, przy ścianie stała Lena, oparta plecami o ramę okna, jéj blada twarz rysowała się wyraźnie na czarném tle pokoju. Przesiedziała tu cały dzień obok Maksa. Milczeli oboje; od czasu do czasu on ściskał ją za rękę; parę razy zaczynał pytać o ostatnie chwile nieboszczyka i wnet dodawał, odpowiadając na własne myśli:

— Nigdy sobie tego nie przebaczę!

Z gorączkowym pośpiechem załatwił wszelkie szczegóły smutnych przygotowań, i dopiéro gdy wszystko było skończone, usiadł obok niéj w kącie sali. Kilka razy próbowała go stąd wyprowadzić choć na chwilkę,—potrząsał głową przecząco.

Usta mu drgały, zaciskał powieki, żeby nie płakać.

Lena tuliła się do jego ramienia. Ile razy Maks wpatrzył się dłużéj w ostry profil ojca, widniejący między liśćmi bluszczów i cyprysów, ona śledziła uważnie smutny wyraz jego twarzy; łza za łzą

spływały jéj po policzkach, spadały na czarny stanik. Maks odczuwał jéj myśli, od twarzy ojca zwracał oczy na jéj śliczną, bladą twarzyczkę, ściskał za rękę serdecznie.

Parę razy do sali wchodziła Wolska w grubéj żałobie, z twarzą zaczerwienioną od płaczu; stawała między niemi i katafalkiem; wysoka, pleczysta, z podniesioną głową, zasłaniała im na chwilę nieboszczyka.

Wówczas Maks szeptał do ucha Leny, żeby wyszła odetchnąć świeżém powietrzem, prosił ją o to, lecz w oczach jéj czytał zawsze jedno pytanie:

— A ty?

Zostawali oboje.

Pod wieczór matka przysłała po Maksa, wyszedł i pozostał z matką parę godzin.

Lena wstała z krzesła; oparta plecami o ścianę, czekała na niego wpatrzona we drzwi, prowadzące do pokoju matki.

W koło niéj ruch cichł powoli, za ostatniemi gośćmi wysunęli się i obaj księża. Została sama z nieboszczykiem; w szeroko otwartych drzwiach, naprzeciw katafalka, stał siwy lokaj w czarnym fraku, podniósł głowę, patrzał uważnie w woskową twarz nieboszczyka-pana.

Maks wrócił,—Lena spojrzała na niego pytająco.

Usiadł w fotelu, ręce oparł na poręczach; wpatrzony w czarną przestrzeń gryzł wargi. Lena położyła rękę na jego ręce, zaniepojona, czekała co jéj powié.

Milczał, głęboko zapadłe oczy błyszczały gniewem; nigdy jeszcze nie widziała go takim podnieconym; parę razy spojrzał przelotnie na profil ojca, spuścił oczy...

— Wiész? — szepnął ochrypłym głosem — matka już zdążyła mówić ze mną o interesach.

Zatarł ręce, wszystkie palce wsunął w rudą czuprynę.

— Ha, już! — zawołał, rozpierając się w fotelu, ręce znowu na poręczach położył.

Wzburzony był strasznie, trudno mu było nawet z żoną mówić o tém, co go spotkało.

Zerwał się z miejsca, spojrzał na nieboszczyka i usiadł.

Czarna sala, katafalk odbierały swobodę ruchów, starał się zapanować nad sobą, ściągnął brwi, usiłując skupić myśli.

Policzki i uszy pałały, rumieniec ten wywołały ostre słowa matki... i to tak zaraz... prawie przy trupie ojca!

Skrzywił się pogardliwie; pamiętał każde jéj słowo, ale tu wobec ojca nie śmiałby powtórzyć!...

Widział niespokojny wzrok Leny... już miał jéj powiedziéć o wszystkiém, przysłonił ręką oczy i czekał... aż się uspokoi... W téj ciszy grobowéj nie chciałby wymówić ani jednego słowa, któreby majestat śmierci znieważyć mogło.

Po co on tam szedł do niéj... a raczéj po co ona mówiła mu to dziś, w pierwszych chwilach żałoby? Wszak jutro, pojutrze dość byłoby na to czasu, wysłuchałby w milczeniu, cierpliwie i wyszedłby od niéj bez tego żalu, bez téj pogardy, któréj może już nigdy stłumić w sobie nie zdoła.

— Biédny ojciec! Podniósł oczy na profil.

Dwie łzy spłynęły mu po policzkach.

— Biédny ojciec!

Nawet w myślach nie chciał powtórzyć zarzutów, czynionych przez matkę.

— Zmarnował mój majątek głupiemi ulepszeniami!...

Ten jeden zarzut utkwił mu w pamięci.

— On zmarnował! — uśmiechnął się smutnie, wpatrzony w profil ojca.

— No, cóż, do Mogilnicy już nie wrócimy — rzekł do Leny, — matka wymawia nam chléb łaskawy...

Zamilkł, pożałował słów wypowiedzianych...

— Sama majątkiem będzie rządzić, i słusznie, to jéj własność... lubi gospodarkę... a nam razem wszystkim może byłoby za ciasno... Zresztą, ja zawsze miałem zamiar zabrać się do pracy naukowéj... Sprobujemy innego rodzaju życia... co?

Uśmiechnął się do niéj.

Lena chwytała każde jego słowo wzrokiem i słuchem. Podniecony, wzburzony, odzyskał naraz energię, odmłodniał, zapomniał o chorobie; w oczach błyszczała silna wolna, rozbudzona doznaném poniżeniem.

— Uporządkujemy interesa z większego... choć może tu nic prawie do porządkowania nie będzie... a potém w świat... szukać pracy i chleba!... Ha... należało to zrobić przed trzema laty...

Przesunął ręką po czole, zamyślił się wpatrzony w woskowy profil ojca... Pod wpływem śmiertelnego spokoju gniéw znikł, oburzenie pierzchło, nawet żal i niechęć przycichły chwilowo...

— Słusznie... matka ma racyę... ze mnie żaden gospodarz... zmarnowałbym się na wsi ostatecznie... taki tryb życia szkodliwy był

dla mnie... czułem to... Teraz będę zdrów, zobaczysz! Nie będzie czasu na chorobę... Jak myślisz, Leno?...

Mówił to jeszcze pod wpływem doznanego upokorzenia, ale ona wiedziała, że słów swoich i postanowienia nie cofnie. Znała jego uśpioną ambicyę, drzémiącą dumę, wiedziała, że gdy się w nim dusza obudzi, to już jéj żadna siła ponownie ukołysać nie potrafi. — Tylko co do wytrwałości obawiała się trochę.

— Zobaczymy!—powtarzała w duchu.

— Dobrze, że ojciec tego nie widzi — szepnął Maks jakby do siebie.

— Kto wié!—odrzekła również cicho Lena.

— Zresztą i on tak samoby postąpił, gdyby był na mojém miejscu, prawda?

Spojrzeli na siebie.

W oczach Leny było może więcéj nadziei, niż wiary, natomiast w sercu odżyła dawna miłość.

— Zobaczymy!—szepnęła w duchu.

Ostoja.





ZASIEDLENIE UKRAINY.

II *).

(W EPOCE LITEWSKIÉJ).

Widnokrąg przeszłości Ukrainy coraz bardziéj się nam rozjaśnia, jednoczesna praca nad wykryciem i wyświetleniem odnośnych źródeł, tak w samym Kijowie jak i u nas poczyna przynosić coraz obfitsze i dojrzalsze owoce: wychyla się z ciemni gęstéj mgły, prawdziwszém obliczem, kozaczyzna pierwotna; występuje téż, na tle ogólném społecznych ewolucyi na Ukrainie, coraz wydatniéj i sprawa jéj zasiedlenia.

W zakresie tym pierwszorzędne miejsce, z natury rzeczy, należy wydawnictwu komisyi archeograficznéj kijowskiéj.

Z największą tedy uprzejmością witamy (przy końcu roku ubiegł. wydany) i II-gi tom VII-éj części jéj „Archiwu“, obejmującéj akta dotyczące zasiedlenia Rusi ukrainnéj, któréj to części tom I-szy znany już jest naszym czytelnikom (p. „Ateneum“ za r. 1888).

Bogaty, ciekawy niezmiernie materyał obecnego tomu poprzedzony jest wstępem, znanego nam badacza prof. Władimirskiego - Budanowa, który wziął sobie za zadanie przedstawić, oparty na wydawanym materyale, zarys zaludnienia południ.-zachod. Rosyi, od drugiéj połowy XV-go w. do unii lubelskiéj (1569).

Treść to zbyt interesująca, ażebyśmy mieli prawo zbyć ją ogólnikami; tém bardziéj, gdy sam autor zarysu nadto i swemi na przed-

---

*) Patrz „Ateneum“ 1888, t. I, 115—138, 308—319.

miot poglądami — bliżéj i żywiéj znów tu nas osobiście dotyka, znów nam rzucając rycerską rękawicę.

Zakres wstępnego studyum autora szeroce został przezeń ogarnięty; pewne działy onego obrobione prawie wyczerpująco.

Wstęp ten rozpada się na 4 odłamy, których treścią:

1-go. Zewnętrzne losy dziejowe ludności Rusi południowéj r. 1471—1569.

2-go. Osłabienie postępu kolonizacyi w pierwszéj połowie XVI-go w.

3-go. Sposoby zasiedlenia.

a 4-go. Kierunek kolonizacyi, oraz skład etnograficzny ludności Rusi południowéj.

Uprzedzamy wszakże z góry, że nie cała Ruś południ. wzięta tu pod rozwagę, lecz wyłączniéj powiaty jéj stepowe, ukrainne — „Ukraina“ jedn. słow. w ściślejszém znaczeniu: bez Wołynia i Polesia, nawet kijowskiego, nie mówiąc już o Haliczu. Najzupełniéj zbytecznie zato pociągnięte tu Podole, koronne już wtedy, a tak ściśle zespolone z Rusią Czerwoną, która na innéj aniżeli Ukraina rozwijała się drodze.

I.

Losy dziejowe ludności ukrainnéj ściśle są zespolone z losami księstwa kijowskiego, w którego skład, za udzielnych tu rządów, pod zwierzchnictwem litewskiém, potomków jednego ze starszych synów Olgierdowych, Włodzimierza, wchodziła i cała stepowa „Ukraina“. Po śmierci Symeona Olelkowicza księstwo kijowskie zostało 1471 r. przeobrażone na województwo. Pierwszym onego wojewodą został Marcin Gastold—katolik, „lach“ (w tym razie wyjątkowym).

Fakta to znane dobrze. Prof. B. daje im przecie oświetlenie zbyt romantyczne. Oto—„rzecz zrozumiała—powiada—że po śmierci ks. Symeona, polska partya w państwie litewskiém pośpieszyła znieść ostatni szczątek samoistności politycznéj ziemi ruskiéj: kijowski tron książęcy, istniejący od czasów przedhistorycznych, osłaniany wiekową świątobliwą pamięcią Włodzimierza św. i Włodzimierza Monomacha, został nakoniec opróżniony na zawsze“. Robi to wrażenie jak gdyby ów tron kijowski trwał nieprzerwanie w swéj świetności, od Włodzimierza św. wieki całe; jak gdyby w gruzach Kijowa nie założyli sobie byli legowiska baskaki wielkich chanów; jak gdyby — po spędzeniu ich stamtąd przez Litwę, Olgierdowicze — Włodzimierz, oraz jego syn i wnuk przedstawiali

niby jakąś nową linię książąt kijowskich, snujących dalej tradycye zamierzchłe Rurykowiczów. Gdy tymczasem była to udzielność doraźna, któréj syna Olgerdowego 1395 roku pozbawił już był Kiejstutowicz Witold, poczém aż do powołania 1443 r. na stolec Olelka, namiestniczyło w Kijowie, z ramienia hospodarów zwierzchniczych, kilku innych i kniaziów i niekniaziów litewskich. Nie „polska“ również partya znosiła w Kijowie ostatnie szczątki samoistności „ziemi ruskiéj“; mógłby był tego dokonać i taki ks. Michał Gliński—u steru władzy, dla wzmocnienia spoistości państwowéj.

Doniosły wielce téż, zdaniem p. B., i wielce ujemny wpływ wywarło na losy ludności całego południa owo zniesienie udzielności księstwa kijowskiego. Zagarnięcie onego pod władzę bezpośrednią hospodarów, siedzących wśród obcéj Rusi gniazdowéj Litwy, nie podniosło wcale jakoby siły obronnéj kraju. Dla państwa, poddanego wpływowi interesów katolickich i polskiéj kultury, sprawy Rusi południowéj stawały się prawie „obcemi“. Od czasów Kazimierza Jagiellończyka wszelkie pomysły rządu litew. zwracały się ku zachodowi. Ulegając obcym interesom, niweczyła Litwa własne swe siły w walce z Moskwą, wywoływanéj téż po części następstwem unii z Polską. Wobec czego Kijowszczyzna, po utracie udzielności, stawszy się tylko „ukrainą“ w. księstwa, skazana była, mimo to, na obronę od najazdów koczowników własnemi siłami jedynie. Co więcéj, państwo litewsko-ruskie, dzięki unii osobistéj z Polską, powoli (w ciągu XV i XVI-go w.) przejmowało się właściwościami ustroju politycznego polskiego, t. j. ściśle stanowéj klasowéj organizacyi ludności, nie przydatnéj niby wcale dla potrzeb takiéj obronności, jakiéj wymagały ówcześnie ziemie ukrainne. Osłabiona władza państwowa nie jest w stanie zapewnić im dostatecznéj obrony. Uniża ona gminy miejskie, oddając ich środki a zarazem i własne poważne obowiązki w (niezdarne a najczęściéj i samolubne) ręce starostów. Skupione siły państwa zanikają, przechodząc zwolna do właścicieli prywatnych, których zabiegi o zasiedlenie pustyń, paraliżuje stała dążność podniesienia powinności osadników na rzecz własną jedynie. Podobny stan rzeczy wywołał, już nawet przed unią lubelską, konieczność niby wewnętrzną „kozaczyzny“, t. j. usiłowań, przedsiębranych przez sam lud do zakolonizowania kraju na swą własną rekę, choćby wbrew widokom rządu i interesom ziemian. Takie oto, powiada badacz kijowski, przyczyny wewnętrzne osłabienia kolonizacyi ziem ukrainnych w XV i pierwszéj połowie XVI-go w.

Tu już nietylko samo oświetlenie, ale i zestawienie faktów —

pewnych z domyślnemi, branie dowolne *post* za *propter*, sprowadza błędny koloryt w uwydatnieniu traktowanego przedmiotu.

Najprzód nie stały się obcemi dla Litwy, sprawy jéj „ukrainy“ południowéj, po zniesieniu księstwa kijowskiego—bardziéj niż to było przedtém, po wskrzeszeniu i podniesieniu onego przez siedzących na jego stolcu wasalnym, litewskich również, dynastów. Niepodobna téż za wiele wagi przywiązywać do samego faktu rzeczywistéj, lecz krótkotrwałéj (1443—71) owéj udzielności Kijowa. Co do saméj zaś Litwy — zanadto jest znaną jéj zapamiętała antagonia z Polską, od pierwszego bliższego z nią zetknięcia się, aż do unii 1569 r., mimo wspólnéj, panującéj dynastyi katolickiéj, ażeby nie widziéć, że polityka jéj pilnowała własnych, nie zaś cudzych interesów. Nie łatwo téż zrozumiéć, co za wpływ miéć mogła unia z Polską na wzmocnienie współzawodnictwa niepohamowanego między Litwą a Moskwą; gdy była to jedynie sprawa walki o supremacyę nad Rusią, między Gedyminowiczami a Monomachowiczami — sprawa Litwy nie Polski. Nie ku zachodowi téż przeważnie miała Litwa zwróconą uwagę. Wprawdzie uczucie samozachowawcze wobec zawisłéj nad nią wciąż grozy od strony przeciwnéj, pochylało ją z natury rzeczy bardziéj ku zachodowi; ale stanowiąc, co do przeważającego żywiołu i kultury, państwo „ruskie“ właściwie, nie zaniedbywała ona i ruskich swych ziem ukrainnych. Ziemie te zaś południowe, chociaż przy ówczesnym na pół średniowiecznym ustroju politycznym w. księstwa litewskiego, musiały w potrzebie ciągłéj obrony liczyć przedewszystkiém na własne siły, za to miały sobie zapewnioną faktycznie dość rozległą autonomię, dającą im swobodę ruchu— tak pod przewodem zwierzchniczym „marszałka ziemi wołyńskiéj“, jak i poszczególnych starostów. Czyby przedłużenie litewskiéj udzielności kijowskiego księstwa mogło było zapewnić pewniejszą jego „ukrainie“ obronę—rzecz wątpliwa.

Katastrofa, jaka wprędce po zniesieniu udzielności Kijowa całą Ukrainę spotkała, długi następnie bezład co do skutecznéj obrony i kolonizacyi, etc.,—nie były to téż skutki tylko przyczyn wewnętrznych, spoczywających w charakterze kierunku rozwoju państwa litewskiego. Ani tu co znaczą poważnie: wczesne wyodrębnienie się, pod wpływem polskim niby, klas społecznych i oparta na tém organizacya polityczna, osłabiająca siłę obronną; obezwładnienie starego trybu „horodów“ gmin miejskich; rozdawnictwo ziem zamkowych, etc.

Przemożnego, decydującego znaczenia są tu bardziéj przyczyny zewnętrzne: nieustanne a groźne wznoszenie się potęgi Moskwy, na razie zaś, groźniejsze jeszcze, nagłe zjawienie się u granicy południowéj (w Krymie) spotężniałego na nowo tatarstwa, które—obok daw-

nego niszczycielskiego zapędu nomadów — poczyna brać już od pobratymców zwierzchniczych (od 1478 r.) w Stambule i natchnienia religijne „dżyhadu“—wojny świętéj z giaurami.

Dotyka tego przewrotu w świecie muzułmańskim prof. B., jak należy; znaczenie onego tylko przedstawia jednostronnie.

Skutki przewrotu onego dla ziem ukrainnych aż nadto są pamiętne. Krótko mówiąc, Mengli-Girej chan, zdobywa 1482 r. Kijów i pustoszy doszczętnie południowy kraj cały. Następne zaś spustoszenia doprowadzają wprędce do tego, że granica od południa, sięgająca dotąd brzegów morza Czarnego, cofa się ku północy (po dawnemu) aż za Roś; tak, że wśród zamienionego na pustynie stepu, tylko zamki ukrainne trzymają się, jakby na oazach, odosobnione.

Jeżeli to więc stać się mogło, to nic właściwie nie przyniosła niby Litwie unia jéj dynastyczna z Polską, nic téż Rusi ukrainnéj zjednoczenie jéj bezpośrednie z Litwą — mniema autor. Z małemi wyjątkami, Ruś południowa zmuszona bronić się od najezdców sama, bez pomocy zastępów zbrojnych litewskich; Litwa zaś nie znajduje w potrzebie należytego poparcia od Korony.

Sąd to atoli niesłuszny.

Co do zwierzchniczéj Litwy naprzód: ażeby interesy ukrainnego południa nie miały jéj leżéć na sercu, były dla niéj obcemi prawie: na to w odpowiedzi przypomnimy jeszcze choćby to tylko, że nie ukraińscy ziemianie przecie wznoszą ukrainne zamki najobronniejsze: Kaniów, Czerkasy, Bracław—naprawiają je, a nawet strzegą. Bez stałych zasiłków, na rozkaz władzy hospodarskiéj, z wierzchołków Dniepru, Prypeci etc., nie byłyby w stanie strażnice ukrainne (i co za tém idzie) i tak skromnie, jak to było, trzymać się w epoce pierwszych wysileń ku wydźwignięciu się z ruiny, któréj i, butnie współzawodniczący z Jagiełłowiczami, potomkowie Olelka, na pewno, również zażegnać byliby nie zdołali. Nie wcielenie tedy bezpośrednie Kijowa do Litwy wywołało osłabienie sił onego obronnych.

Tém mniéj przyczyniała się do tego unia dynastyczna téj ostatniéj z Polską.

Unia ta dwóch, tyle różnych a współzawodniczących z sobą zawzięcie, politycznych społeczeństw nie zapewniała im wprawdzie wzajemnéj każdorazowo pomocy. Wobec tak strasznéj, jak tatarska ówcześnie, grozy, zbyt mało one się orężnie — jednoczesném wystąpieniem — w chwili samego najazdu koczowników, wspierały. Ale przecie, co było rzeczą niemniéj ważną, miały one zapewnione sobie wzajem pokój i bezpieczeństwo na całéj linii własnego rozgranicza, dozwalające na swobodne zupełnie zwracanie ich sił względnych przeciw

koczownikom. Zresztą, byliż i Polacy z Witoldem 1399 r. nad Worskłą, jak 1489 r. pod królewiczem Albertem, u Kopystrzyna, z Lachami „Ruś i Podolanie.“ W 1491 r. odpierają Zawolców „Wołyńcy z Lachami“ też wspólnie. Że obrona stała od Tatar ciężyła przedewszystkiém na samych-że mieszkańcach ukrainnych — starostach hospodarskich, kniaziach i niekniaziach — rzecz oczywista i naturalna. Nic zatém pewniejszego, jak to, że „nie Polacy“ ówcześnie bronili litewskiéj ukrainy; jak i to, że podobnież nie śpieszyła i Litwa z gotowością popierania ich zamierzeń na południu, chociażby tu chodziło o szersze widoki dynastyczne (jak np. 1497 r. co do Wołoszy) jéj że Jagiellonów. Na to z p. B. zgoda. Nie zgodzilibyśmy się tylko na zabarwienie, nieco za sentymentalne, faktów przez szan. profesora. Nie gorszy nas téż wcale, głęboko polityczny, a tak fatalnie zniweczony przez niechęć Litwy, zamysł „zagarnięcia (owéj) chrześciańskiéj, sąsiedniéj i przyjaznéj krainy, skazanéj na ofiarę samolubnych dążności Jagiellonów.“ Gorszy tylko wielce niesforność szlachty małopolskiéj, nie chcącéj wystąpić przeciw Tatarom, gdy ci po klęsce bukowińskiéj niszczą srodze Podole i Wołyń. Nie powtórzymy jednak z p. B.: „na takie to klęski narażało Ruś południową mniemane współdziałanie Polski w obronie ukrainnych granic ruskich!“ Nie nazwiemy téż z nim „hypotezą“ tylko—użyteczności związku Litwy z Polską dla wzajemnéj obrony od barbarzyńców; nie weźmiemy podobnież i srogiego najazdu tatarskiego 1575 r. za fakt ilustracyjny, który miał „pokazać Rusi i Litwinom, ile pożytku otrzymali oni w zamian utraty przez nich swéj politycznéj samoistności w 1569 r.“ Nie podniosła wprawdzie unia ani sprężystości władzy najwyższéj, ani ogólnych, w zasadzieześrodkowanych odtąd, sił obronnych; ależ nie w tém spoczywała doniosłość tego faktu. Dla stawienia czoła ówczesnéj potędze muzułmańskiéj, choćby nawet Tatarów jedynie, stanowiących tylko przednie jakby czaty zastępów, grożącego chrześciańskiemu światu z po za murów carogrodzkich, chalifa islamu, nie wystarczała ani sprężystość rządu, ani zcentralizowanie w jego ręku sił obronnych. Gdyby tego było dosyć, nie podlegałoby tymże samym spustoszeniom w owéj epoce państwo moskiewskie, które już było pochłonęło nawet dwa chanaty (kazański i astrachański) i pilnowało lepiéj swych granic, aniżeli Litwa. W znacznéj mierze wprawdzie ułatwiała koczownikom ich przewagę nie powściągnięta antagonia Moskwy z Litwą, ale chyba niesłuszném byłoby przypisywać ową antagonię samą — unii téj ostatniéj z Polską, jak gdyby bez téj unii Gedyminowicze uchyliliby napewno czoła przed potomkami Dołhorukiego i Kaléty. Z dru-

giéj zaś strony, nie pod Polski też wpływem wytworzyły się nad Donem takież same fakty (kozactwo), co na Dnieprze.

Koniec końcem jednak, jeśli ostateczna (1569 r.) unia Litwy z Koroną nie sprowadziła za sobą zdeptania potęgi bisurmanów, jak unia początkowa (1386 r.) dała możność podkopania sił krzyżactwa, to przecie — po wcieleniu Ukrainy do Polski dopiéro — rozpoczął się na jéj „polach dzikich“ na prawdę raźniejszy ruch kolonizacyjny.

II.

Po spustoszeniu ziemi Kijowskiéj, razem z resztą Rusi południowéj, przez Batu-chana, przyszła ona była znów powoli, dzięki zwycięstwom Olgierda i Witołda, a zapobiegliwości kilku swych książąt udzielnych z linii Włodzimierza Olgierdowicza, do pewnego stopnia zasiedlenia. Nie posiadamy dostatecznéj faktycznie podstawy do unaocznienia sobie istotnego stanu tego zasiedlenia w przededniu nowego jéj zniszczenia na początku ostatniéj ćwierci XV wieku. Wszakże ułomek spisu osad, sporządzony wprędce po przetworzeniu jéj na województwo, a więc koło 1471 r., chociaż obejmuje zaledwie powiat żytomirski i część kijowskiego (bez Kijowa), dostarcza nam przecie wiązkę faktów donośnych. Znajdujemy tam oto, na ogarniętéj jego zakresem przestrzeni, osad daleko więcéj, aniżeli ich przedstawiają lustracye późniejsze (1545, 1552 r.). Nie jedna z nich leży potém pustką, niejednéj też i nazwa z czasem zanikła. Miasta (podane): Żytomierz, Cudnów, Winnica — ludniejsze w téj epoce, niż w następnéj. Sioła zaludnione słabo, ale zaznaczana ilość osadnika wskazuje jednak na dość znaczne rozwinięcie gospodarki. Sioła te ciążą ku miastom. Miasto (horod) ze swemi siołami stanowi „włość“. Są też i „dwory“, t. j. majętności prywatne, stanowiące ogniska gospodarcze; do nich przypisane „przysiółki.“ W wieku XVI-ym dwory takie w powiatach ukrainnych w. ks. litew. znikają. Osadnicy wogóle nie są to włościanie czasów późniejszych, siedzący na drobnych działkach, lecz gospodarze, z których każdy trzymał znaczny ziemi kawał, uprawiany przy pomocy zależnych uczęstników. Co do klas społecznych, występują w owym spisie (1478 r.) nazwy wielce urozmaicone: mieszczanie, sługi, kunicznicy, kołanni, ludzie nowi, bartnicy, dannicy, ciągli, hultaje, polanicy, łowcy, socznicy, jesacznicy, nakoniec czeladź. Po za mieszczanami widoczne tu trzy klasy główne: 1) sługi, 2) „ludzie“ (ciągli) — jedni i drudzy wolni, oraz 3) czeladź niewolna. Większość ludności wiejskiéj stanowią „sługi“ — klasa ludzi, trzymających pewne działki ziemi pod obowiązkiem służby wojskowéj i wolnych od cięża-

rów podatkowych. We włości kijowskiéj cała ludność sioła składa się czasem ze sług jedynie; w żytomirskiéj — sług mniéj w porównaniu z dannikami, choć i tu spotykają się sioła wyłącznie przez sługi zajęte. W taki sposób,—powiada prof. B.,—państwo XV-go wieku, nie trwoniąc jeszcze środków swych na rzecz własności prywatnéj i rozrządzając samo znaczniejszą częścią terytoryum, osadza sioła takim żywiołem, jaki mu potrzebny bezpośrednio do obrony kraju. Z drugiéj strony—sami osadnicy, korzystając z zapewnionéj swobody od powinności ekonomicznych, idą chętnie widać na zagrożone stanowiska, gdzie oddani służbie wojennéj jedynie, nabierają wojskowéj wprawy. „Sługi“ téż wieku XV-go zastępują istotnie późniejszą „kozaczyznę“, z tą różnicą, że nie uczuwają się, jak z czasem tamta, w przeciwieństwie z widokami państwa i służą mu odpowiednio wymaganiom ogólnego porządku normalnego, nie wymagając dla siebie (niby) żadnych przywilejów społecznych. Nie daleko od klasy służebnéj stoi i pozostała ludność „ciągła“, składająca się z ludzi wolnych, znaczne trzymających działki ziemi (dziedzicznie) za daninę czy podymne. Bezdomni „hultaje“, „polanicy“ przedstawiają żywioł wielce przydatny w potrzebie dla zgromadzenia doraźnéj siły wojennéj. Pożytek zaś ekonomiczny ciągnęło właściwie państwo ze swych „dworów“ prywatnych, osadzonych czeladzią niewolną. Czy jednak w takim oto układzie społecznym mogła się ukrywać przyczyna przeważna większych rezultatów kolonizacyi XV-go wieku, w porównaniu z późniejszą — rzecz to wątpliwa. Zmieniły się bowiem nagle warunki zewnętrzne, od południa, od stepów, i nic nie pomogły—ani większa swoboda ludu, co do ciężarów względem (czasowych tylko dotąd) namiestników i dzierżawców zamków hospodarskich, ani powszechne uwojennienie tegoż ludu, którego nie można było, niby, jak późniejszéj bezbronnéj masy włościan, gnać tysiącami na targowiska czarnomorskie: przyszła nowa nawałnica tatarska — i na nowo całą ową kolonizacyę zniosła.

Po rozgromie straszliwym kraju przez Mengli-Gireja (1482 r. i późn.), cały pas stepowy, „polny“, dawnéj ziemi kijowskiéj zaległ pustynią, jedynie głębsze Polesie, lepiéj w borach swych a trzęsawiskach ubezpieczone, ocalało szczęśliwiéj w téj powodzi zniszczenia. Zniszczenie zaś owo było tak okropne, warunki nowego zasiedlenia tak trudne, że stan onego, nawet po upływie całych lat dziesiątków (pół stulecia), przedstawiał się bardzo niepocieszająco. To charakterystyka ogólna; dla bardziéj szczegółowego obrazu brak nam atoli faktów. Od powyżéj dotkniętego spisu 1471 r. nie posiadamy bowiem żadnych danych urzędowych, aż dopiéro zawarte w lustracyach z 1545

i 1552 r. Dla dokładniejszego unaocznienia sobie stanu zasiedlenia Ukrainy w epoce unii lubelskiéj, jako rezultatu niezmordowanych wysileń osadniczych, w ciągu stu lat bez mała od pogromu 1482 r., potrzebowalibyśmy oprzéć się o dane lustracyi ukrainnych zamków hospodarskich, dokonanych zaraz po unii w r. 1570. Ale takowe ledwie z ułomków rękopiśmiennych są dotąd znane. Zmuszeni tedy jesteśmy wziąć za podstawę dane lustracyi wcześniejszych. Nie wystarczający to materyał—cóż, kiedy obfitszego na razie nie posiadamy.

Posępnyż niewymownie obraz roztoczyłby się przed naszemi oczyma, gdybyśmy się ograniczyli na owych danych jedynie. Oto jak wyglądałaby Ukraina ówczesna, t. j. ów niezmierny obszar, zajmowany dziś przez gubernie: kijowską i połtawską, oraz znaczne części gub. wołyńskiéj i podolskiéj, tudzież chersońskiéj i katerynosławskiéj, chociaż stanowiący, ówcześnie 6 powiatów tylko. Na tym tedy obszarze znajdujemy wykazane jedynie 280 miejsc zasiedlonych, z których 6 stanowią miasta. Lecz nawet śród téj liczby nieznacznéj, około 80 osad są to „sieliszcza“, t. j. osady puste, nie mające stałych mieszkańców i eksploatowane przez swych właścicieli w sposób tylko doraźny. Liczba ludności osiadłéj odpowiada chyba liczbie domów (rodzin), których na całéj Ukrainie widzimy 3,390, co, biorąc dusz 5 na 1 rodzinę, dałoby na 6 powiatów 17,000 dusz obojéj płci. Oczywiście, wyprowadzanie stąd jakiegoś stanowczego wniosku, byłoby najmniéj uzasadnioném, gdyby nawet wykazy lustracyi były dokładniejsze; posiadała bowiem ówczesna Ukraina znaczny zastęp ludności nieosiadłéj, ruchoméj (kozaków), nie poddającéj się żadnym popisom. Dane lustracyi mają wszakże poważną wartość względną, osobliwie dla określenia wzajemnego stosunku pomiędzy powiatami ukrainnymi, rozważanego ze stanowiska stanu oraz stopnia ich zaludnienia ówczesnego.

Do powiatów ukrainnych w. księstwa litewskiego zaliczano przed r. 1569 sześć następnych: od ściany poleskiéj — kijowski i żytomirski (chociaż właściwie ich południowe połacie tylko), na dorzeczu Dniepru poniżéj Kijowa — kaniowski i czerkaski, na Pobożu zaś — winnicki i bracławski. Powiaty poleskie województwa kijowskiego: (mozyrski), owrucki, czarnobylski, oraz siewierskie—lubecki i ostrzski za ukrainne uważanemi nie były. Natomiast objął zakresem takowych prof. B. mniéj zasadnie i powiaty podolskie; nietylko chmielnicki z barskim, lecz nawet kamieniecki—powodując się w têm jedynie racyą przygodną. Podole bowiem właściwe, wcześnie wcielone do Korony i rozwijające się téż pod względem zasiedlenia, przy warunkach ściśléj zespalających je z Rusią Czerwoną niż z Ukrainą, musi być z natury rzeczy z tamtą badaném bardziéj łącznie.

Rzućmy też okiem na szczegóły, choćby tylko przykładowo brane, podług oddzielnych powiatów—wyłącznie Ukrainy.

W powiecie kijowskim, rozpostartym po obudwu stronach Dniepru, na Irpeni, Stuhnie, oraz dolnéj Deśnie i Trubeżu, najważniejszą osadą był oczywiście sam Kijów, stolica całego województwa i siedlisko najwyższéj hierarchii obrządku wschodniego — tradycyjnie przynajmniéj. Stan stolicy da nam wyobrażenie względne i o reszcie miast ukrainnych owéj epoki (1552 r.). Otóż znajdujemy tam najprzód obronny zamek (na Padole, na górze, późniéj „Kisielówką“ zwanéj); w zamku 3 cerkwie ruskie, 1 kościół łaciński Pod zamkiem na „Padole“ rozpostarło się miasto. W niém domów mieszczan, zostających pod prawem magdeburskiém 173, pod przysądem zamkowym 159, pod jurysdykcyą prywatną: mieszczan biskupich 16, monast. 16, domów samych ziemian i mieszczan ziemiańskich 37; domów żołnierskich 42, popowskich 11; nadto 30 domów dziesiętników pod zamkiem i 3 domy wewnątrz zamku. Razem 486 domów. Świątyń w mieście (z zamkowemi) 13: obrz. greckiego 11, katolicka 1, ormiańska 1; przy świątyniach szpitale: ruskie, lacki i ormiański. Wszystko to grupowało się na Padole; na wzgórzach wznosiły się monastery tylko: pieczarski, sofijski i pustynny, przy których mogły też być, lecz bardzo nieznaczne, „ludzi monastyrskich“ osady. Powiat kijowski widocznie spustoszony bardziéj od południa i zachodu; zaludnione osady onego rozciągają się więcéj po lewéj stronie Dniepru, niż po prawéj. Sioła, należące do zamku, rozrzucone po obydwu Dniepru brzegach— nie ma ich nawet 10-ciu; 7 siół bliższych Kijowa, z których pierwéj wychodziło 146 sług pancernych, teraz (1552 r.) puste; ciążące też do kij. zamku Krzywe, Chodorków, Sokolcze — również pustki oddawna. Ani wzmianki już o osadach na górnéj Rosi i Stuhnie; zamek Białocerkiewski założony dopiéro koło 1550-go roku. Sioła monasteru pieczarskiego ciągną się głównie na lewym brzegu Dniepru — jest ich tam 12, na Deśnie 3, we wszystkich razem ledwie 133 osadnika; zaś 3 sioła na Teterwi zupełnie przez Tatary spustoszone. Siół należących do katedry metropolitalnéj tylko 3. Wogóle siół (zamkowych i monastérskich) pustych 15, na 25 zaludnionych. Nadto znajdowały się jeszcze w powiecie kijowskim monastery: hnilecki, zarubski, wydubicki. Nie podają wcale lustracye siół prywatnych ziemiańskich, ale znamy ich pewną ilość z innych źródeł; tak np. Trypol, Byszew, Hostomel, Witaczew, Chabne, Chotów, Hlebow i in. Zresztą mamy prawo wnioskować o istnieniu też dóbr prywatnych w powiecie z wykazu (9) rodów „pańskich“, posiadających domy w m.

Kijowie, jak: Hornostaje, Kotaszowie, kn. Seńscy, Tyszowie, Dublańscy, Wjałkowicze, Surynowicze, Proskury i Pawsze; nadto 5 domów bojarskich.

Powiat żytomirski, rozciągający się po dorzeczu górném Teterwi, aż ku Słuczy, po za którą leżała ziemia wołyńska, miał za granicę od pow. kijowskiego pustosz dalszego ciągu „czarnego szlaku“, który niżéj nieco oddzielał szeroką taśmą powiaty winnicki z bracławskim od kaniowskiego i czerkaskiego. Z osad, na samém rozgraniczu powiatów kijowskiego z żytomierskim, leżała Iwnica, któréj połowa ciążyła ku zamkowi w Kijowie, druga do Żytomierza. Inne osady pograniczne ze strony żytomierskiéj, jak Żerdeniew, Zwiniacze, Chworosznia, Kotelnia leżą już (1552 r.) jako „horodyszcza“ i „sieliszcza“, pustkami. Za to granice od głębszego Polesia (Owrucza) i Wołynia bardziéj ubezpieczone, i w tamtéj téż stronie kupią się osady. Koło zamku żytomirskiego oczywiście najwięcéj. Drugie w powiecie ognisko takie, stanowił zamek Cudnowski, ale ten, podobnie jak m. Romanów, oddany ks. Ostrogskim, począł już ciężyć ku Wołyniowi. W mieście Żytomierzu, pod ochroną zamku, skupiała się ludność całego powiatu; przebywali tu stale nietylko panowie i ziemianie jedynie, lecz i wszyscy ich poddani, którzy nie odważali się mieszkać w swych siołach z obawy Tatarów. W r. 1552 tedy znajdowało się w mieście: panów i ziemian domów 13, ich włościan dymów 226, mieszczan 52, strzelców i sług zamkowych 7, — razem 298. Co, licząc po 5 dusz na dom, da ogółem 1,400 dusz ludności, ludności na pewno znaczniejszéj części powiatu. Siół przypisanych do zamku wcale tu już nie ma, jest tylko 10 pustych sieliszcz, należących pierwéj również do ziemian, po wytępieniu których przez Tatarów, sioła ich spustoszałe wróciły znów do dyspozycyi hospodara i pod zawiadywanie starostów, m. in. Chworosznia, Kotelnia etc. Sioła ziemiańskie także były to po większéj części sieliszcza właściwie. Posiadali (1552 r.) w tym powiecie: Tyszkiewicze — Słobodyszcze, Berdyczów, Kodnię etc., Kmitycze—Korostyszow, ks. Seńscy — Stawek, Wołczkowicze—Toporyszcze etc., Chaleccy—Wilsk etc., Strybylowie—Starosielce etc., Woronicze—Trojanowce etc., Niemirycze—Czerniechów, Prezowscy—Prezów, Korczowscy—Korczów, Moszkowicze—Żezłow, Szczeniowscy — Szczeniów, Hornostaje — Tuliny i inni jeszcze, jak Tyszowie, Hniewoszewicze, Filipowscy.

Powiat kaniowski, ogarniający na prawym brzegu Dniepru cały dolny bieg Rosi, a na lewym dorzecze Udoju, Suły, Psła i Chorola, stykał się na północy z powiatem kijowskim u Trechtymirowa, na południu zaś u Moszen z powiatem czerkaskim, lecz ani od wschodu,

ani od zachodu nie posiadał określonych granic. Wszystkie jego osady skupiały się koło zamku, po Dnieprze i Rosi. Zamek odnowiony około 1535 r. przez starostę, słynnego Daszkiewicza. W mieście domów: bojarskich 7, sług zamkowych starych 13, nowych 34, mieszczan 124, drabów osiadłych 7, włościan prywatnych koło 40; razem 255 domów. Siół i sieliszcz zamkowych 8, m. in. Trechtymirów. Siół i sieliszcz ziemiańskich z monastérskiemi (1552 r.) 18: z tych sioło Woronowo—kn. Kapusty, Podsycze—p. Służki, Tulible—ks. Putywlskiéj; 2 sioła zamkowe oddane monastérowi Pustynnemu, jedno zaś sieliszcze cerkwi w Trechtymirowie. Z pustych sieliszcz: połowę Moszen trzyma Morozowicz, Towarowo należy do kniażen Glińskich, niejedno (Kononcze, Sowin etc.) stanowią posiadłość monastéru Pustynnego. Razem po prawéj stronie Dniepru siół i sieliszcz 26. Do niektórych z nich (6) przypisani osadnicy, ale wszyscy oni „zimują i latują“ przy zamku. Zdawałoby się, że nie uprawiają oni ziemi w swych sieliszczach nawet dopadkiem („n a c h o d e m“). Ponoszą ciężary razem z mieszczanami. Ziemię, do sieliszcz należącą, właściciele oddają „uchodnikom“ dla rybołóstwa, bobrowych gonów, pasiek. O uprawie roli jest wzmianka, i to warunkowo, tylko przy sieliszczu Konończy („a z paszni, gdy orzą, dziesięcina“). Znaczna część powiatu leży po lewéj stronie Dniepru, nad Sułą i t. d. aż do putywlskiéj granicy państwa moskiewskiego. Tam wcale już osad nie ma, tylko „uchody.“ Znakomita ich część należy do miasta, tak do gminy miejskiéj, jak i do osób prywatnych oddzielnie—do ziemian, z nadania królewskiego. Ma téż osobne swe uchody i zamek (starosta); m. in. ujście Suły do Perewołoczny, ziemię Łubny etc.; mają i słudzy zamkowi, bojarowie (Czajka — ziemię Piratyńską, Drab — uchody na Psle). Posiadają téż i cerkwie (2 kaniowskie i zarubska). „Uchodnikami“ byli pospolicie miejscowi kozacy, którzy wszakże nie zawsze pytają o zezwolenie prawowitego właściciela, i „tam żyją na mięsie, na rybie, na miodzie, z pasiek, ze swepetów, i sycą sobie miód, jako doma.“ Zamkowe uchody starosta oddaje po większéj części obcym przychodniom — kijowianom, mohilewcom. Cała ta kraina jednak przepełniona horodyszczami, sieliszczami, świadczącemi o dawném onéj zaludnieniu. Ściągają one teraz ku sobie specyalnych rabusiów, „kopaczy“, poszukujących ukrytych w ziemi skarbów. Trudnią się tém głównie „draby“ z załogi zamkowéj, którzy dla obręczy i pierścieni rozkopują kurhany i wyrzucają zwłoki w nich znajdowane, „na pomstę za to żywym i niewinnym.“ Oprócz mieszkańców stałych, bywają w Kaniowie przybysze, k o z a c y nieosiedli, w liczbie niejednostajnéj każdego roku. Są oni dwóch rodzai: jedni, nie odchodząc „w kozactwo“, na

pole czy rzeką w dół, służą w mieście, jako najemnicy u bojarów i mieszczan—wolni od opłat; drudzy, którzy „kozakują“ w stepie i na wodzie i dają staroście „kolędkę“ etc. Jedni i drudzy w poczet ludności miejscowéj nie zaliczani. Mieszczanie trudnią się nieco rolą, koło miasta, orzą gdzie komu się podoba; poczynają nawet dawać staroście od zbioru dziesięcinę.

Powiat czerkaski obejmował przestwór po obudwu stronach Dniepru, na dorzeczach Taśminy i Ingułów z jednéj, z drugiéj zaś nad Worskłą, Orelą, Samarą; nadto dnieprowe porohy. Za punkt oparcia dla całéj téj rozległéj przestrzeni służy zamek nad Dnieprem, nie obszerny, lecz mocny. Miasto samo Czerkasy również opasane ostrogiem. W ostrogu znajduje się domów: pańskich 4, bojarskich 5, sług miejskich 23, mieszczan pod przysądem własnym 188, pod zamkowym 32, pańskim 3. Razem ze starościńskim 256 domów. Zamek siół żadnych nie posiada, należą one do ziemian. Z tych kniazie Domonty trzymają puste sieliszcze Moszny (½), Kiełbowscy—Łebedyn, Hrybunowicze — Hlińsk nad Worskłą, Zubrykowie we Zwinogrodczyznie: Michlejewo, Liczyńce, Horłowce i na Taśminie Radywonowce (późn. Żabotyn). Lecz w żadném z tych siół stałych osadników nie ma. Sieliszcza pospolicie wyzyskują za umówioną daninę „uchodnicy“, zajmujący się tam myślistwem, rybołóstwem i osobliwie pasiekami. Oprócz sieliszcz wyżéj wzmiankowanych, należą do Czerkas ogromne przestrzenie stepów po obudwu stronach Dniepru. Tam-to Czerkaszanie mają swe własne uchody, dla łowienia ryb i bobrów. Wszystkich takich uchodów 28. Do ich liczby należą i porohy Wołczec i Nenasytec, a oprócz tego uchody Krzemieńczucki, na Tawani, Bazawłuk. Niektóre z nich bardzo rozległe: Taśmiński np. obejmuje całe dorzecze od wierzchowisk do ujścia. Do starosty należało pierwotnie tylko 5 uchodów, wszystkie inne trzymali bojarowie i mieszczanie czerkascy za pewną od łowów daninę, lecz starosta Chrzczonowicz zabrał (przed 1552 r.) i tamte na zamek. Co więcéj, rozdawał je za podwyższoną daninę przybyszom obcym: Kijowianom, Czarnobylcom, Mozyrzanom, Petrykowcom, Bychowianom, Mohilewianom. Takich uchodników zbiérało się czasem do 300 ludzi. Wśród tych stepów rozległych rozrzucone były téż i liczne dość uchody właścicieli prywatnych, jak: kn. Domontów — Moszny, kn. Putywlskich — Biełowiec, monasteru pustyn.—3 „stany“ w Białobrzeżu, na ujściu Suły i w Piwowie, mon. pieczarskiego—na ujściu Samary i na Taśminie, etc. Wyjąwszy jednego (Buzyków na Taśminie), nie ma tu nawet sieliszcza na całym tym przestworze. Wszakże bawiono się tu nieco i rolą: „orzą mieszczanie i bojarowie, gdzie kto chce.“ Ludność powiatu taka: kniaziów i pa-

nów 4 domy, bojarów 5, sług zamkowych miejskich 27, mieszczan-ciągłych 188, starościńskich 32, pańskich 3, razem ludności osiadłéj do 260 rodzin. Z ludności zaś nieosiadłéj: kozaków „prychożych“ na zimę koło 250, rota drabów nowoprzybyłych 100, „poczet“ drabów dawniejszych 60, służebników starosty „przyjezdnych mołojców“ 5, miejscowych (Czerkaszan i Kaniowców) 11, razem do 470; co stanowi ogółem do 730 rodzin.

Na zachód od powiatów kaniowskiego i czerkaskiego ku winnickiemu i bracławskiemu zalegała obszerna pustynia, ogarniająca cały dział wodny między Dnieprem i Bohem. Pustynia ta składała się z dwóch połaci: wschodniéj — zwinogrodzkiéj i zachodniéj — humańskiéj. W pierwszéj stał niegdyś zamek zwinogrodzki, otoczony wiejskiemi osadami, lecz dawno zburzony przez Tatarów i nie wznawiany długo.

Powiat winnicki, najbardziéj ukryty ze wszystkich ukrainnych powiatów. Osłaniały go od południa zamek bracławski, jak chmielnicki od zachodu, chociaż od strony Podola (koronnego) nie zupełnie tu cieszono się spokojem. Od wschodu zaś granica wcale nie była ubezpieczona; dość przypomniéć tylko, że tamtędy przechodził właśnie „czarny szlak“ tatarski. Zamek winnicki — słaby, zaniedbany — potrzebie nie wystarczał. Miasto téż dla bezpieczeństwa otoczone było ostrogiem. W mieście (r. 1552) znajdowało się: domów bojarskich 33, mieszczan ze sługami 359, włościan bojarskich i popowskich 31, domów popowskich 6; razem 429. Do zamku należą już jedynie 2 sioła: Woniuczyn z Nowosielicą i Mieziakowo, mające (1545) 120 dym. osiadłych. Znakomita większość osad w powiecie należy już do właścicieli prywatnych—ziemian. Pomiędzy 22 siołami zaznaczonemi w wykazie lustracyi (1545, 1552 r.) znaczniejsze: Lityn (dym. 148), Kmityczów, Mikulińce (d. 80), Sasinów—Mikulińskich, Strzyżawka (dym. 80), Koszków, Jakuszyńce (dym. 60), Kocubow, — w 22-ch siołach dymów 850 (601). Nadto znasz z innych wykazów drugie tyle nazw, pomiędzy któremi spotykamy: Pohrebylcze, Janiewce, Pików, Hlińsk. Wśród ziemian i bojarów (znanych z nazwy rodzin ze 30), oprócz powyżéj wzmiankowanych, spotykamy: Hornostajów, Woronowickich, Deszkowskich, Taborowskich, Jackowskich, Hubińskich, Kunickich, Krasnosielskich, Komarów, Bajbuzów i in. Bojarowie, oprócz służby wojennéj, obowiązani są dawać na utrzymanie stróży zamkowéj podymne od swych włościan, — czasem więcéj, „gdy ludzie osiędą, a gdy ludzie rozejdą się“ to mniéj. Ludność miejska żyje tu widocznie w lepszych warunkach;

aniżeli nad Dnieprem; pomiędzy 1545 a 1552 r. przyrost jéj widoczny. Gmina miejska utrzymuje też siłę swą wewnętrzną, pochłania w sobie luźne żywioły. Kozacy tu po części osiadli w mieście, tak że nie łatwo ich od mieszczan wyróżnić. Nie brak przecież w powiecie i właściwego, ruchomego kozactwa; nawet przyczynia się ono poniekąd do pomnożenia ludności, siół ziemiańskich, znaczniejszéj niż w innych powiatach. Chociaż sami właściciele przedstawiają takowe za pozorne tylko, gdyż ludność to niepewna — przychodzi i odchodzi samowolnie, nic dziedzicowi nie dając. Włościan osiadłych wiejskich i miejskich dym. 962, czyli koło 4,810 dusz.

Powiat b r a c ł a w s k i, najbardziéj wysunięty na południe ze wszystkich ukrainnych, przytykał od północy do winnickiego, na zachodzie do barskiego, od którego dzieliła go rz. Murachwa, południowo-zachodnią jego granicę od Wołoszczyzny mołdawskiéj stanowił Dniestr. Lecz od południa i od wschodu określonych granic wcale nie posiadał; przez co zostawał zupełnie otwartym od strony koczowisk hordy oczakowskiéj. Tymczasem zamek w Bracławiu przed zburzeniem go przez Dewlet-Gireja (1551 r.) był tak mały, że zaledwie mógł mieścić trzecią część ludności w czasie oblężenia. W mieście w 1545 roku znajdowało się 389 samych domów mieszczan tak hospodarskich, jak i ziemiańskich, w roku zaś 1551 do 730 domów, 7 cerkwi grec. i 1 kościół łaciński. Czy powiat bracławski właściwych siół w owym czasie nie posiadał wcale, lecz tylko puste sieliszcza, jak to udawali ziemianie — rzecz to w naszém rozumieniu ledwo prawdopodobna. Wśród tych sieliszcz, ziemiańskich wyłącznie, m. in. spotykamy: nad Bohem—Oblin, Sowrań; nad Sobem—Ajsyn; nad Uhorskim Tykiczem i wogóle w Zwinogrodczyznie—Moszurow, Sokołków; nad Murachwą —Koraczowce; nad Kamienicą — Chrucowę; nad Dniestrem Kałaur, Jary; nadto Udyckie „ujście czarne“, Szpików, Plisków, Żornowiszcza. Wśród ziemian bracławskich 1545 r. wyróżniały się dwie warstwy: „starsi“—niby prawdziwi, „urodzeni“, oraz „podlejsi“, których tamci za „bracię“ uznawać nie chcą. Starszych było (18 domów) 21 rodzin, pomiędzy którymi znajdują się: Koszkowie, Żabokrzyccy, Krasnosielscy, Oratowscy, Słupice, Kleczowscy, Ilgowscy, Skinderowie, Ziałowscy, Kuniccy, Szaszkiewicze, Siemaszkowie. Bojarów „podlejszych“, niewiadomo niby skąd przybyłych, liczono 14, a dworzyszcz pod nimi, bez nadania hospodarskiego trzymanych, 28. Spotykamy między nimi takie nazwy, jak: Chort, Zołotar, Komar, Kozar, Zwinohorodec i in. Być może istotnie, że to pewien rodzaj kozactwa, które śród narażonych na ciągłe niebezpieczeństwa pustyń, usadowiło się mocniéj i pozagarniało na rzecz swoją znaczne obszary ziemi. A pustynie

te, po zniszczeniu zamku zwinogrodzkiego, zaległy szeroko. Ziemianie bracławscy zwracają uwagę na potrzebę odbudowania tego zamku, który osadzony ludźmi „pieniężnemi“, powściągałby i Tatarów i miejscowych starosty „przeciwników“ (kozaków), a przez to samo stałby się nowém ogniskiem dalszéj kolonizacyi kraju. Tymczasem jednak w braku inicyatywy rządowéj (starościńskiéj) wystąpiła widać tém energiczniéj prywatna. Czy można przecie owych osadczych na swoją rękę nazywać „kozakami“—jak to robi prof. Budanow, rozstrzygnąć nie łatwo; nawet gdy do tego upoważniałby charakterystyczny przykład pojedyńczy z tego zakresu. Oto na dorzeczu uhorsk. Tykicza sadowią się 1542 r. za przywilejem Zygmunta I-go jacyś Bazanowicze; jeden z nich podany jako „ziemianin bracławski zwinogrodziec“, drugi jako „Kozak zwinogrodzki.“ Nie wystarcza to przecie do uzasadnienia hypotezy, odnośnie tak zawiłych, jak w owe czasy, społecznych na Ukrainie stosunków. Nie było tam jeszcze wcale wyraźnego przedziału klas społecznych między sobą: kozacy wchodzili i w skład mieszczan, za to sami mieszczanie, stając się posiadaczami ziemi, pełnili służbę bojarską. „Pierwéj, przy ks. Konstantynie Ostrogskim, bojarowie obowiązani byli stawić się na służbę ze wszystkimi swymi ludźmi, a mieszczanie, którzy trzymają pasieki, winni byli stawać o dwukoń w zbroi; a teraz wszystko to pomieszało się: nietylko u mieszczan, lecz i u nie jednego bojarzyna na służbę hospodarską konia nie ma i zaprawdę darmo żyją przy zamku.“ Ziemianie sieliszcza swe podają „w puście“ i służby żadnéj do zamku pełnić nie chcą. W każdym razie jednak była tam znaczna ludność niestała, czasowa—kozacy; nie przynoszący wszakże (zdaniem lustratora) żadnego pożytku dla powiatu. Kozactwo na Bohu było rozwinięte nie mniéj, jak na Dnieprze i trudniło się podobnież pasiekami, rybołówstwem i myśliwstwem, a pewien jego rodzaj nosił tu starą nazwę Bołochowców, zamienioną już na imię pospolite.

Sąsiednie powiaty województwa podolskiego, chmielnicki i barski, mimo pewnego podobieństwa w warunkach bytu, do Ukrainy właściwéj się nie liczą.

III.

Słabe postępy kolonizacyi w owéj epoce dają się wytłómaczyć nieodpowiedniością środków i sposobów zasiedlenia w stosunku do siły spustoszeń. Od czasu przeobrażenia księstwa kijowskiego na województwo, słabną — jak mniema prof. Budanow — na Ukrainie środki rządowe, zmierzające do obrony kraju, między innemi porządne utrzy-

manie zamków; słabną gminy miejskie skutkiem rozprzężenia zasobów ich majątkowych; rozwija się „sztucznie“ klasa ziemian ze szkodą miast i środków państwa; nie znajduje zaś należytego uwzględnienia kolonizacya swobodna, prywatna, kozacka.

Budowa i należyte utrzymanie zamków były najważniejszym warunkiem pomyślności kolonizacyi. Zamek i przyległy mu gród, „ostrog“, były nietylko głównemi, lecz często jedynemi stałemi osadami powiatu. Przy najściu nieprzyjaciół, cała ludność okoliczna, rzucając siedziby swe na los szczęścia, zbiegała się do ostrogu i zamku; po najeździe zaś, niszczącym nieraz wszystko dokoła, zamek tylko wytrzymawszy oblężenie, zostawał niby oazą samotną śród pustyni. Mieszkańcy miejscowi widzą też w budowie zamków nieodzowny warunek ożywienia i pewności osadnictwa. Tak 1545 r. Bracławianie, jak wiemy, dopominali się wznowienia zamku zwinogrodzkiego, po którego zburzeniu cały przestwór między Bracławiem a Czerkasami zamieniony w pustynię, długo nie mógł się zasiedlić, nie mając punktu oparcia, gdy nawet bezpośrednia komunikacya między temi zamkami stała się niemożliwą. Mimo widocznéj nieodzowności jednak, ani zwinogrodzkiego długo nie odbudowywano, ani ocalałych téż, a najbardziéj wysuniętych ku stepom i wciąż przez koczowników zagrażanych zamków, utrzymywano następnie w należytym porządku.

W pierwszéj epoce zwierzchnictwa litewskiego obronność pasu południowego w. księstwa Gedyminowych potomków była lepiéj chyba ubezpieczoną. W pasie tym istniało 3 linie obronne: 1-sza północna (polesko-siewierska), po Prypeci i Deśnie, na któréj znajdowały się zamki Mozyr, Owrucz i Lubecz; 2-ga pośrednia, od wierzchowisk Teterwi i Rosi, ku ujściom Desny, którą zasłaniały Żytomierz, Kijów i Ostrz; 3-cia południowa (stepowa), broniona przez zamki: Kaniow i Czerkasy na Dnieprze, Zwinogród na Siniusze, Winnicę i Bracław na Bohu, — w dalszym zaś ciągu przez Chmielnik i Bar na Podolu. Ale teraz, po upadku Zwinogrodu, na téj 3-éj, najważniejszéj linii staje otworem fatalny wyłom, ktorego już tylko Białacerkiew (od 1550 roku) strzedz poczyna; po lewéj zaś stronie Dniepru linia Suły zupełnie zapomniana. Wogóle zaś bez porównania mniejsza czujność zbrojna, aniżeli na rubieżach południowych sąsiedniego carstwa moskiewskiego.

Wobec takiego stanu obronności granic w państwie litewskiém, nic dziwnego, — powiada p. B. — że rząd moskiewski „uznał za nieodzowne wdać się w nią, dla obrony własnéj od wspólnego wroga.“ Lecz to, „rozumié się,—zaznacza on daléj—obudziło jedynie współzawodnictwo w rządzie litewskim.“ W 1556 r. Dymitr Wiśniowiecki,

„w imieniu rządu moskiewskiego“ jakoby, założył zameczek na wyspie Chortycy. Niebawem przecie znakomity ów „kniaź-kozak“ wszedł w stosunek i z Zygmuntem Augustem, obiecując trzymać zamek ten z jego ręki, byle mu tylko dano pomoc w ludziach i orężu. Gdy tego się nie mógł doczekać, Tatarzy tymczasem zameczek zburzyli. Rozdrażniony tém, widocznie, dostojny awanturnik podchwycił był Czerkasy i Kaniow—(znów) na imię carskie; musiał takowe jednak zwrócić na rozkaz z Moskwy. Tém nie mniéj zamierzała ona jeszcze 1559 r. usadowić się gdzie na Dnieprze dolnym, oraz wogóle wziąć w swe ręce sprawę obrony i zasiedlenia pustyń dnieprowych, czemu wszakże przeszkodziła walka o Inflanty, etc. Czy to jest obiektywne traktowanie rzeczy?—chyba nie.

Dla obrony zamków, razem z okoliczną ludnością, władza zwierzchnicza musiała w nich utrzymywać „ludzi służebnych“, działając w ten sposób bezpośrednio i na pomnożenie zaludnienia kraju. Byli oni dwóch rodzai: przychodnie i słudzy miejscowi, z pośród stałych mieszkańców powiatu. Do liczby pierwszych należeli, obok starostów czy ich zastępców, ze sługami osobistemi tychże, puszkarze i załogi czasowe na żołdzie—„żołnierze“, „draby.“

Urząd starosty nadawany bywał osobom zasłużonym w rodzaju nagrody. W Kijowie urząd ten (namiestnika) łączono z dostojeństwem wojewody. Nie zawsze przeto dostawał się ludziom istotnie wojennym. Zarząd též dochodami zamku i powiatu nosił stąd charakter (w wyższym stopniu aniżeli „kormlenje“ w carstwie moskiewskiém) gospodarski na rzecz podobnego starosty osobistą, nie koniecznie sprzyjającéj zadaniu popierania osadnictwa. Dochody zaś te były dość urozmaicone: ekonomiczne, sądowe i administracyjne. Urząd starostów ukrainnych wogóle dawano zwykle możnym panom (kniaziom) wołyńskim i kijowskim. Rzadko tylko przecie przemieszkiwali oni w zamkach, wyręczając się „namiestnikami“ czy „podstorościmi“, ze swych „sług“ osobistych — co właśnie niweczyło już zupełnie charakter oficyalny, państwowy zarządu. Zdarzało się, że i wychodźcy z Moskwy (kn. Prońscy, Putywlski) otrzymywali zamki ukrainne. Nie łatwo zrozumieć przecie, aby mogli być tu, oni tylko, użyteczniejszymi od miejscowych, jako nie mający w nowéj ojczyznie postronnych interesów osobistych. Co zaś do uznawania w ich osobach jednostajnéj z ludem ich władzy poddawanym „nacyonalności“—mniemanie o tém prof. B. zdaje się być zupełnie mylném. Nie przypuszczamy też, aby o wiele gorszymi od owych przybyszów być mieli nawet przysyłani na starostów ukrainnych (zbyt rzadko przytém) ziemianie litewscy katolicy. Właściwie znamy w Kijowie tylko jednego

takiego (Gasztolda), który „Lach bie“; Peńko i Chrzczonowicz, starostowie czerkascy i kaniowscy, wątpliwie, czy byli łacinnikami. O Polakach mowy nie ma: wyjąwszy ziemian podlaskich, krwi mazowieckiéj, nie posiadali oni, jak wiadomo, żadnych praw obywatelskich w obręcie w. księstwa. Ów zaś biskup poznański, co to trzymał czas pewien żytomirski zamek, to znany „Jan z książąt litewskich“, syn naturalny Zygmunta I brat księżny Ostrogskiéj Beaty, biskup wileński pierwéj. Wpływy zaś polskie na Podolu (koronném) odniesione być muszą do innéj kategoryi faktów. Wielce ujemną stroną w systemie obronności pasu ukrainnego w. księstwa było oddawanie dwóch i więcéj czasem zamków pod zarząd jednéj osoby, uniemożliwiające pilnowanie ich osobiste. Tak, pod pozorem chyba skuteczniejszego skupienia obronnych sił pierwotnie, łączono zwykle zarząd zamków: Czerkas z Kaniowem, Bracławia z Winnicą. Dodajmy do tego dożywotność urzędu, nie mniéj szkodliwą od pierwotnego rozdawnictwa zamków na zbyt krótkie termina (1 rok czasem).

Mimo to wszysko, Ukraina wiele obowiązana jest swoim starostom; oczywiście przedewszystkiém tym z nich, których usposobienia osobiste odpowiadały warunkom ówczesnego życia ukrainnego, a więc — gotowym na wszelkie „kozakowanie“, z duchem marsowym. Z pomiędzy takich zaś upamiętnili się najbardziéj ci, których legendy, wysnute przez późniejszą małoruską scholastykę, zrobiły niedorzecznie „hetmanami“ kozackimi. Pierwsze wśród nich miejsce zajmuje głośny ze swych nieustannych walk z Tatarami, starosta czerkaski i kaniowski Ostafi Daszkiewicz († 1535), który nawet rzucił był myśl urządzenia luźnego dotąd kozactwa dnieprowego, tułającego się na przestworzu podległych mu starostw (powiatów) w stałe zastępy zbrojne, obowiązane bronić granic. Chociaż z innéj znów strony, ciężka jego dla podwładnych ręka niewiele może istotnie przyłożyła się do przyspieszenia kolonizacyi tych dalekich rubieży; nawet hojnie przezeń uposażone ziemią monastery kijowskie, wątpliwa — czy przykładały się skutecznie do ożywiania osadnictwa. Mniéj jeszcze zapewne przyłożył się bezpośrednio do poparcia ruchu osadniczego, równie głośny jak Daszkiewicz, na tymże niżu Dnieprowym kozakujący, awanturniczy kniaź Dymitr z Wiśniowca († 1564). O pośrednim zato wpływie tych stepowych junaków, pomyślnie opędzających się od Tatarzyna, wątpić nie ma powodu, tak równie jak i o zasługach podobnego rodzaju sąsiednich starostów koronnych (podolskich), równie w poczet fikcyjnych hetmanów kozackich wniesionych, jak Lanckoroński i Pretwicz.

Nie możemy jednak nie zatrzymać się tu na chwilę, przy sposo-

bności, aby nie odpowiedziéć prof. B-wi na jego, z racyi oddawania starostw ukrainnych obcym przychodniom, nie zbyt obiektywne, naszém zdaniem, uwagi. Oto bowiem mniema on, iż bez względu na stopień zasług wojennych zachodnich tych przybyszów, przynosili oni mało pożytku dla trwałéj kolonizacyi zarządzanych przez się powiatów. Prowadzili oni za sobą sługi swe, po większéj części swych rodaków; ci tą drogą, torując wstęp obcym żywiołom, zasiewali na Ukrainie rozstrój nacyonalny i religijny. Ale czy nie przesadne to wszystko! O Podolu, jeszcze raz to powtarzamy, nie może być tu mowy: charakter rozwoju tego województwa koronnego wiąże je z Rusią Czerwoną raczéj niż z Ukrainą. To jedynie nawiasem wtrącimy: Przecław Lanckoroński wcale nie Litwin, lecz Małopolanin z Krakowskiego, Litwina do Chmielnika by nie dopuszczono. Sarkano o to i na Pretwicza, że Bar trzymał, a rodem był Szlązak niby; i, gdyby nie jego zasługi, i Trębowli by mu nie dano. Ale tak samo zazdrośnie nie dopuszczano Polaków na urzędy w obrębie w. księstwa. Starosta czerkaski (1552) Chrzczonowicz wcale Polakiem nie był; wątpliwa nawet, czy był łacinnikiem, co do wyznania, Co zaś do sług zamkowych, ludzi pieniężnych, żołnierzy, drabów—że większa ich część mogła się istotnie składać miejscami, z żywiołu polskiego—to chyba przyczyny tego szukać wypadnie (1552) nie w widokach jakiéjś polonizacyi czy latynizacyi (Czerkas), lecz poprostu w tém, że żołnierz obcy zachodni — bez względu Polak, Czech, Węgier — był dla władz litewskich dogodniejszym, jako lepiéj wyćwiczony wojennie i dający większą rękojmię swéj wierności. Że tacy przybysze z Zachodu miewali po miastach ukrainnych i swe katolickie kaplice, kościoły nawet czasem (w Żytomierzu przed dzierżeniem nawet owego biskupa Jana z książąt litewskich), to nie widzimy faktycznie, aby to miało jakiś tam rozstrój religijny wprowadzać. Owszem dopiéro Batory zaleca duchowieństwu greckiemu, aby powstrzymało się nadal od pociągania do swego obrządku łacinników. Lecz i to bezskuteczne: nawet po unii (1569) zachodni przybysze do Kijowszczyzny Dzikowie, Lassoty, Brzozowscy przyjmują obrządek grecki. W Kijowie znów od wieków mają swe świątynie i łacinnicy i ormianie. Na prawdę w epoce (przed unią), którą właśnie p. B. rozważa, nie dostrzegamy owego plemiennego wstrętu i współzawodnictwa ludności przychodniéj z tybulczą, mających utrudniać tylko swobodny pochód kolonizacyi pustyń.

Wogóle przecie co do kolonizacyi z ramienia rządu, w epoce poprzedzającéj przyłączenie Ukrainy do Korony — bezpośrednio prowadzoną ona właściwie nie była, środki zaś pośrednie wspierające ją, jak obrona kraju i ład wewnętrzny były niedostateczne, przypływ ob-

cego wojennego żywiołu zbyt słaby, jeśli nie ujemnego znaczenia. O czém atoli wątpić należy, zważywszy przestwory pustyń, gdzie znalazłoby się przestronne miejsce dla wszelakiego przybysza.

Obok zamków za główną podwalinę kolonizacyi służyły, tulące się u ich wałów i same otoczone ostrogiem miasta. Wprawdzie nieznaczne one są bardzo w połowie XVI-go wieku i ludność ich słaba. Oto w stołecznym Kijowie ledwie 2,000 dusz płci obojga, w Żytomierzu 260, Kaniowie 720, Czerkasach 1,115, Winnicy 1,705, Bracławiu 1,945. Ale cóż kiedy w niektórych z nich (jak Czerkasy i Kaniów), ludność miejska obejmuje w sobie całe prawie stałe zaludnienie powiatu; w innych (Kijów i Bracław) znakomitą większość powiatu mieszkańców; w Winnicy ²/₃ ludności. Niewątpliwa rzecz tedy, jaką to poważną rolę odegrywać muszą miasta w rozwoju pustkowi ukrainnych wogóle, w porównaniu z innemi oporami zasiedlenia. W miastach tych widoczne jeszcze ślady staroruskiéj gminy — „horodowéj“ ogrodzkiéj. Wogóle jednak znajduje się ona i tu już w stanie rozkładu i przybiera nowoczesny, mieszczański, charakter. Im które z miast bardziéj wysunięte ku południowym rubieżom, tém ślady owe widoczniejsze. W Czerkasach, w Kaniowie, znajdujemy jeszcze (1552) pewną jednoistność gminy grodzkiéj, pomimo wyróżnienia klas społecznych: bojarów, sług, mieszczan, poddanych nawet. Ponoszą oni wspólnie ciężary publiczne i występują wszyscy solidarnie pod nazwą ogólną — „Czerkaszanie“, „Kaniowcy“. Klasa ziemian „panów“ zaledwie poczyna się wyosobniać. Wspólności obowiązków odpowiada wspólność też praw: ziemia okoliczna należy do miasta — do wszystkich klas jego mieszkańców razem wziętych; wszyscy oni solidarnie występują i w obronie zwyczajów dawnych, np. wobec nadużyć starosty. Nawet w takim Żytomierzu, tyle bliskim ognisk innéj normy społecznéj, nie bez śladów dawnego porządku, mimo, że tu już w tak znacznym stopniu rozwinęła się była własność ziemi prywatna. Tém widoczniejsze one w Bracławiu, gdzie jeszcze r. 1545, mieszczanie, tak królewscy jak i pańscy, wybierają sobie wspólnie wójta.

Wszakże z drugiéj strony rozwój powszechny stosunków społecznych w. księstwa litewskiego, w odmiennym nowoczesnym kierunku, dotknął już w swym pochodzie i najdalsze ustronia ukrainne. Nie potrzebujemy na seryo wierzyć w idyllę staroruskiéj gminy grodzkiéj z solidarnością wszystkich jéj warstw społecznych, cieszących się solidarném posiadaniem ziemi całego okolicznego powiatu, tak jak nie dzielimy wiary w idyllę gminy prasłowiańskiéj. Nie podzielamy z p. B. jakby cichego żalu, że ona przecie rozprządz się musiała, ustąpić miejsca mniéj doskonałemu, mniéj swojskiemu porządkowi rzeczy.

Dla nas dosyć samych faktów pozytywnych, świadczących o wynikach zaszłego i zachodzącego przeobrażenia. Otóż w zaraniu w. XVI-go zastajemy już i w pasie ukrainnym, razem z ustaleniem się własności prywatnéj, uwydatnione klasy społeczne. Kniazie i „pany“, których w powiatach ukrainnych było niewielu i którzy po większéj części byli przychodniami, nigdy jakoby nie zaliczani byli do massy ogólnéj gminy miejskiéj. W XVI-tym niby wieku przyszła koléj na wydzielenie się z niéj bojarów a potém sług.

Oswobodzeni od podatków i powinności, oprócz osobistéj wojennéj, i otrzymując za służby działki z ziem zamkowych, tracili oni powoli wszelką łączność z resztą mieszkańców gminy miejskiéj i pociągali za sobą swych „poddanych“. W Żytomierzu widoczne to już za króla Aleksandra. W procesie wyosobnienia się bojarów od mieszczan, odegrywa znaczną rolę nadanie miastu prawa magdeburskiego; tak w Kijowie posiadającym takowe od 1499, o wspólnych powinnościach bojarów i mieszczan już ani wzmianki nie ma. Po wyosobnieniu się bojarów i sług, w składzie gminy miejskiéj pozostali jedni tak zwani „mieszczanie“, uważani daléj wyłącznie jako ludność miejska. Ale i wśród niéj nawet nie ma już staroruskiéj jedności; wyróżniają tu bowiem aż trzy warstwy, jakie stanowią: mieszczanie właściwi, posiadający samorząd; mieszczanie pozostali pod przysądem zamkowym lub téż tacy, co późniéj się dostali do téj kategoryi; nakoniec mieszczanie prywatni—cerkiewni oraz świeckich panów. Różnica pierwszych dwóch warstw uwydatnia się tam osobliwie, gdzie wprowadzoném zostało prawo magdeburskie. Bracław otrzymał je równie wcześnie jak Kijów, ale je r. 1518 zawieszono; inne miasta ukrainne dopiéro w drugiéj połowie XVI-go wieku.

Zaprowadzenie magdeburgii oraz wzmocnienie prawa „pańskiego“ wywołało inną jeszcze różnicę w składzie ludności gmin miejskich W miastach znajdują się wśród niéj nadto „ludzie“, zależni od prywatnych właścicieli. Nie owi wieśniacy, co to szukali w nich przytułku na zimę czy téż i na rok cały przed grozą tatarską, lecz stali tu mieszkańcy. Na dalekich rubieżach, w Kaniowie, w Czerkasach, ponosili oni ciężary wojenne razem z innymi mieszkańcami, tudzież korzystali z tychże dogodności. Za to na północy — w Żytomierzu, Kijowie, podlegają już zupełnie pańskiemu prawu. Bracław przedstawia i pod tym względem typ przejściowy.

Z rozprzężeniem ściślejszéj zwartości warstw społecznych w gminach miejskich postępuje téż praw majątkowych gmin tych zanikanie. Gmina miejska (horodowa) stanowiła prawną osobę, która władając ziemią okoliczną, trzymała w zależności od siebie i sioła

własnego obwodu. W wieku XVI-tym już zaledwie ślady tylko podobnego ustroju zostały w powiatach ukrainnych. Między bojarami i mieszczanami nie nastąpił jeszcze stanowczy przedział. Obiedwie warstwy stanowią gminę i używają wspólnie należącéj do niéj posiadłości, cząstka jéj jeszcze zaledwie wydzieloną została na własność prywatną — w powiecie tak oddalonym, jak Czerkasy. W Żytomierzu gmina miejska miała już sobie wydzieloną ziemię przy mieście — wzdłuż na 1 milę, wszerz na ½. Ale i tu ciężary dotykają wszystkie klasy mieszkańców.

Mimo wszystko tedy, nie zważając na nieustanne niebezpieczeństwo od wrogów i niedostateczną obronność zamków, gminy miejskie mocno się dokoła nich sadowiły. Nie odstręcza od tego ani zburzenie zamku i uprowadzenie w jasyr ⅔ mieszkańców miasta, jak to stało się (1551) w Bracławiu. Reszta ich trzyma się na miejscu, bez jakiéjkolwiek obrony nawet, „czekając zamku na temże miejscu, chcąc się sadowić zaś na ojczyznach swoich, dla wielkich pożytków tamecznych“. Mało atoli uzasadnioném jest zdanie (p. B.), jakoby gminy miejskie jedynie mogły i musiały troszczyć się o pomnożenie ludności miejscowéj. Zgoda — nie groziło to im uszczupleniem ich środków majątkowych, przy takich obszarach dzikiego stepu; potrzebowały one pomnożenia ludności tém bardziéj, ile że cały prawie ciężar obrony na nich spoczywał. Ale nie świadczy to jeszcze wcale, aby nie mieli mieć równie żywego interesu w popieraniu kolonizacyi — tak rząd w osobie starostów, jak prywatni właściciele — ziemianie i monastery, a nawet miasta bardziéj przemysłowe (Kijów). Nadto—aby wzmacnianie załóg zamkowych, przez ściąganych ze strony „drabów“ (żołnierzy) pieniężnych, było wcale dla mieszkańców miasta niepożądaném, gdy fakta (Bracław 1545) co innego mówią.

W połowie XVI-go w., razem ze znikaniem szerokiéj własności gminnéj, mogły istotnie znikać powoli i wypływające z takiego ustroju szczególne dla powodzenia kolonizacyi warunki. Czy jednak w takim stopniu, jak to profesor B. mniema — rzecz również wątpliwa. Nieodzowność następstw ogólnego rozwoju społeczeństwa litewskiego nie mogła nie dotknąć z kolei i pasu ukrainnego; zmienione atoli warunki bytu prowadziły za sobą przedewszystkiém zmianę w trybie dalszym osadnictwa, nie zaś w onego natężeniu.

Ograniczenie, ścieśnienie wszechwładztwa (horodowego) gminy miejskiéj przez starostów, reprezentujących władzę państwową, odbyło się w zasadzie na rzecz pożądanego uporządkowania nieokréślonych dotąd, a coraz wybitniéj różniczkujących się, stosunków. Wcale to nie wdzierstwa i nadużycia jedynie — w interesie prywatnym samych

starostów. Potrzeba zapewnienia stałéj obronności zamków prowadziła już, choćby sama jedna, do zagarnięcia pod dyspozycyę władzy całego terytoryum powiatu, jako publicznego, hospodarskiego dobra, wydzielanego nadal w zasadzie przez sam rząd tylko. Nadużycia były—to pewna; ale wypada tu szerzéj rzecz ogarniać.

Że po rozprzężeniu staroruskiéj spoistości szerokiéj gminy grodzkiéj, nie mogła ona pozostawać jedyném ogniskiem i główną podstawą kolonizacyi—to pewna. Ale nie rozumiemy racyi, dlaczego by ani starosta ani mieszczanie — nie mieli mieć interesu w pomnożeniu masy ludności miejskiéj; dla czego pomnażanie takie nie mogło iść w parze z rzeczywistém przechyleniem się władzy najwyższéj ku systemowi popierania rozwoju osadnictwa drogą téż prywatnéj własności i inicyatywy.

Znany porządek społeczny w. księstwa litewskiego, wyrobiony dawniéj w jego ziemiach gniazdowych, ogarniał w połowie XVI-go w. już i Ukrainę. Siła onego nie wszędzie tam przecie jednostajna — stopniowanie *ad minus* widome; im głębiéj w step, tém mniéj liczna własność prywatna. Przedstawiają takową, obok bojarów, widocznie pochodzenia miejscowego, ziemianie, pany i kniazie, po większéj części przybysze z Litwy, Wołynia, a nawet z za rubieży moskiewskich. Klasy te znajdują się już w każdym powiecie. Liczebność ich zaś wzrasta z posuwaniem się od południo-wschodu na północno-zachód. Tak w połowie XVI-go w. znajdujemy posiadaczy ziemi: w powiecie czerkaskim tylko 9, w kaniowskim 10, w żytomirskim 13, w kijowskim 14, w winnickim już 36, w bracławskim 35. Oddzielnie biorąc — liczba bojarów przemaga w południowych dnieprowskich powiatach liczbę panów (12 i 7); w innych zaś odwrotnie liczba panów stanowczo nad bojarami przeważa (75 i 22). Razem rodzin pańskich i bojarskich na Ukrainie do 117. Rodzin książęcych pomiędzy nimi bardzo mało: mianowicie w powiatach kijowskim i żytomirskim, tylko jedna — kn. Sieńskich; w kaniowskim 2—kn. Putywlskich i Kapustów; w czerkaskim podobnież 2 — kn. Glińskich i Domontów; w winnickim i bracławskim wcale ich nie ma (Korotkowie i Kozary wątpliwi). Skład rodzin pańskich dosyć urozmaicony. Rodziny gniazdowe Kijowszczyzny skupiają się w powiatach kijowskim i żytomirskim; jak: Hornostaje, Tysze, Wołczkowicze, Suryny, Proskury, Woronicze, Strybyle, Niemirycze. W powiatach południowo-dnieprowskich skład ich przedstawia, co się zowie zbieraną drużynę: część ich wznosi się z pomiędzy miejscowych bojarów, sług i mieszczan, jak Służki, Zubryki, oraz składa się z przybyszów, mianowicie z Polski, jak Kiełbowscy, może draby, którzy się tu sadowili przez ożenienie. Nakoniec znaczna

liczba pochodzi ze wschodnich obcoplemieńców, jak Berendej, Małykbasza i inni w Czerkasach. Bracławszczyzna posiada i własne swe rody gniazdowe, z nadań w. ks. litewskich, i nieco przybyszów, z Wołynia osobliwie. Do rodzin starszych należą tu: Mikulińscy, Jakuszyńscy, Szaszkiewicze, Meleszki. Z późniéj obdarowanych i osiadłych tu mocniéj znaczniejsze były: Bałabany, Czuryły, Bajbuzy, Koszki, Mormiły, Bułaje, Kleszczowscy, Daszkowscy, Oblińscy i inni. Najznaczniejsze dobra posiadali tu Korotkowie — włość Ładyżyńską, która 1595 dostała się ks. Zbarazkim; Słupice — Łobaczow, Berszadę; Kozary — Oblin, Sawrań. Rodzin polskich nie widać; jest ślad przecie, że mieli tu posiadłość (Lityn i t. d.) chwilowo Jazłowieccy. Bracławszczyzna względnie do reszty Ukrainy uwydatnia się i liczbą i zamożnością rodzin swych ziemiańskich. Z drugiéj zaś strony—tu właśnie wytworzył się nieznany gdzieindziéj rodzaj (typ) posiadaczy, którym by można było dać nazwę „panów-kozaków“, jako zagarniającym znaczne obszary stepu oddalonego, wbrew prawu i drogą jedynie faktycznéj przemocy. W innych powiatach Ukrainy możnych rodzin mniéj bez porównania. Gdy bowiem w Bracławszczyznie miewali (1552) panowie miejscowi po 75, 90, Kmitycze nawet 141 włościan, w najbardziéj „pańskim“ powiecie żytomir. najmożniejsi z tamecznych ziemian Woronicze mieli (1545) jedynie 24 domów włośc.; w kaniowskim zaś i czerkas. powiatach panowie miejscowi włościan zupełnie prawie nie posiadają. Wogóle w ukrainnych powiatach Kijowszczyzny w połowie w. XVI-go własność ziemi prywatna wcale nie jest jeszcze formą przeważającą pod względem socyalnym i kolonizacyjnym; gdy w powiatach jéj północnych — mozyrskim, owruckim, lubeckim, ostrzskim, rozwinięta jest ona już poważnie.

Że dla historyi kolonizacyi rzecz wagi pierwszorzędnéj stanowi poznanie samych źródeł własności prywatnéj, dotkniemy z kolei i téj sprawy nieco.

Jak wiadomo, najgłówniejszém źródłem własności ziemskiéj w w. księstwie litewskiém były nadania ziemi hospodarskiéj osobom prywatnym, osobliwie bojarom miejscowych zamków. Pierwotnie czasowe tylko nadania podobne stają się powoli dożywotniemi a następnie przechodzą na dziedzictwo. Obdarowany dziedzictwem służebny dotąd bojarzyn staje się „ziemianinem“. Pod koniec w. XV-go takie przeobrażenie społeczne dosięgło i Ukrainy. Początek rozdawnictwa ziem hospodarskich osobom prywatnym, zrobiony był za Kazimierza Jagiel., wzmogło się ono przy jego następcach, ale doszło do punktu kulminacyjnego dopiéro po unii 1569 r. Nadania szły bezpośrednio od w. książąt, częściéj jednak rozdawane ziemie przez woje-

wodów i starostów, oni tylko potwierdzali.

Stosunek siół zamkowych do odpadłych już od zamku przedstawia się (podług wykazów lustr.) następnie w połowie XVI-go w.:

W pow. kijow. siół zamk.: osiedlonych 9, pustych 10, odpadł.: cerkiewnych 20;

w p. żytom. zamk. pust. 9, ziemiańsk. 36;

w kaniow. zamk.: osiadł. 6, pust. 1; cerk. 10, ziem. 10;

w czerk. ziemiańskich 7;

w p. winn. zamk. osiadł. 3, ziem. 29;

w p. bracł. ziem. 36.

Nie zapominajmy przytém, że nie wszystkie sioła zaznaczane były przez lustratorów, wszakże i pomijane przez nich są to odpadłe również od zamków, lecz co dawniéj już przeszły były na zupełne dziedzictwa.

Co przecież, pobudzało w. książąt litewskich (królów) do tak hojnego rozdawnictwa? Dla czego władza rządowa nie mogła spożytkować sama olbrzymich środków — własnych i pospólnych, dla dobra, obrony i kolonizacyi ziem ukrainnych?

Oto przedewszystkiém, nie przecząc współdziałaniu innych téż pobudek, odegrywała tu rolę najpoważniejszą potrzeba skuteczniejszéj obrony wojennéj. Dla zwierzchniczéj władzy litewskiéj niewątpliwie było dogodniejszém wytworzenie z ziemian wielkiéj ruchoméj armii, którą można byłoby zwracać ku jakim się podoba granicom; co było szczególniéj ważne w walce z państwem moskiewskiém. Miejscowe milicye doraźne gmin miejskich i wiejskich były na ten cel nieprzydatne i do niczego nieużywane, wyjąwszy obrony własnéj miejscowości i pogoni w bliższych stepach. Jak nadzwyczajną wagę miała dla rządu w. księstwa ta okoliczność, okazuje popis wojskowy 1565 r., w którym w powiecie kijowskim zaznaczono tylko dwóch ziemian, zdolnych wystąpić zbrojnie z pewną ilością koni i drabów, w ziemi zaś wołyńskiéj było ich 200, oprócz kniaziów i panów. Niewątpliwie (choć zdaniem p. B. tylko „być może“) miano przytém na widoku i cele kolonizacyjne; władza najwyższa pragnęła rozsadowić pomiędzy niewielu zamkami hospodarskiemi masę drobnych zamków prywatnych i ściągnąć pod ich osłonę wiejską ludność włościańską. Łącznie z czém i sprawa obrony kraju zdobywała téż silniejsze poparcie ze strony inicyatywy prywatnéj, działającéj przedewszystkiém we własnym swym interesie. Wprawdzie w aktach urzędowych w. księstwa litews. dążność podobna nigdzie nie jest wyraźnie zaznaczoną; ale mimo to odegrywa ona tam swą rolę należytą, w stopniu nie słabszym od tego, jakie widzimy w odpowiednim pasie koronnym. Sam

p. B. charakterystycznie o têm się wyraża, że „sprawiedliwość wymaga przyznania“, iż motyw kolonizacyjny zajmował wybitne miejsce śród pobudek rozdawnictwa dóbr królewskich, w powiatach polskiego Podola. Mniejsza, iż znaczenie faktu stara się on zaraz osłabić uwagą, iż główną przecież tego pobudka miała być politycznie--nacyonalna, dla poparcia jakoby „szlachciców polskich“ (w znaczeniu etnicznêm), ze szkodą „ruskich“—oczywiście. Co nawiasem powiedziawszy, zupełnie mylne.

Oto np. w tym razie prof. B., wspomniawszy o zaznaczonych w lustracyi 1565 r. wsiach starostwa chmielnickiego, rozdanych „pewnym panom i szlachcicom polskim“, woła: „Dlaczego w ruskiéj ukrainie dobra rozdawano mianowicie Polakom, gdy, rozumié się, było niemało chętnych i z pomiędzy ruskich do ich otrzymania? — odpowiedź łatwa“. Nie oznajmiony z faktami czytelnik pomyśli: ha, może to i słuszne! Ale jakże się zdziwi wielce, gdy zajrzawszy do źródeł, zobaczy, że one zupełnie czemu innemu przyświadczają, że owi obdarowani „szlachcice polscy“— to bez mała sama Ruś, kość z kości, to bojarowie późniejsi: Rusanowscy, Iwanowscy, Kumanowscy, Horbowscy, Koczanowscy, Kożuchowscy, Czerleniowscy, Kuryłowscy, Łysohorscy, Iwaszkowscy, Zasiłowscy i in. Imiona chrzestne których: Iwan, Daniło, Łukian, Charyton, Raduł, Wasyl, Dymitr, Łazar, Harysym, Jeremi i t. d. Oczywiście szlachcice to „polscy“ — koronni, nie litewscy; têm niemniéj Rusini czystéj wody.

Lecz bez względu na charakter pobudek, któremi się powodowali w. książęta litewscy a królowie polscy, przy rozdawnictwie ziem w ręce prywatne, rezultaty kolonizacyi nie uwieńczyły jéj pożądanym skutkiem. Podług lustr. z połowy wieku XVI, we wszystkich bowiem ukrainnych powiatach, było jedynie 206 siół, a w nich włościan 1088 domów, t. j. 5440 dusz, z których 195 przypadało na sioła zamkowe. Liczby te mogą być podniesione; lecz, zdaniem p. B. nie wyżéj nad razy dwa. Tak skromnie oto wygląda cały wynik prywatnéj ziemiańskiéj kolonizacyi ziem ukrainnych w przededniu ostatecznéj unii. Chociaż cyfry te nie dają pełnego pojęcia o jéj znaczeniu, są jednak znamienne.

Co do stopnia zasiedlenia, jak i obronności, zachodziła wielka różnica pomiędzy powiatami ukrainnemi. Własność prywatna, jak naturalna, szerzyła się mocniéj w powiatach więcéj stosunkowo zasłoniętych. W najbardziéj ku południowi wysuniętych i stepowych, albo wcale nie ma prywatnych włościan, albo liczba ich nic nieznacząca. Wzrasta ona w miarę posuwania się ku północno-zachodowi.

Wielokrotnie sioła właścicieli prywatnych pozostają pustkami. Lecz i w powiatach gęściéj osiadłych i ogarniętych bardziéj przez własność prywatną, nie przedstawiała ona większych rękojmi dla ubezpieczenia pochodu kolonizacyi. Przy lada silniejszym najeździe tatarskim, drobne zameczki panów nie zdolne były i tam stawić skutecznego oporu. wreszcie po wsiach jeszcze ich nie spotykamy wcale. Skutkiem takiéj bezbronności ginęli i włościanie i sami panowie. Dla uniknienia tego, w większéj części powiatów ukrainnych ludzie po wsiach wcale nie mieszkają, razem ze swymi panami trzymają się miast, a latem tylko nawiedzają swe sieliszcza, dla doraźnéj ich eksploatacyi, wsi o stałych gospodarzach niewiele; uprawa roli zaledwie znana.

Wogóle tedy rozwój własności prywatnéj, osłabiając środki majątkowe miejscowych zamków hospodarskich, oraz gmin miejskich, miał, zdaniem p. B., nie przyniósł żadnego pożytku sprawie kolonizacyi. Właściciele prywatni upatrują pożytek większy w eksploatowaniu pustyń przez ludność doraźną — przybyszów, „uchodników“ i (jakoby) nie mają szczególniejszéj potrzeby troszczenia się o ściągnięcie ku swym pustym sieliszczom osadnika stałego. W tych powiatach, gdzie włościan była ilość znaczna, stan taki rzeczy nie zależał zupełnie (niby) od dobréj woli i zasług prywatnych właścicieli. Interes ich osobisty zależał na pobieraniu największych dochodów od włościan, a tym czasem koloniści mogli być ściągani jedynie przynętą swobód. Pomnożenie ludności w dobrach prywatnych, bez zwiększenia powinności włościan, wcale nie miało być dla właścicieli pożądane. Stąd wczesne zakusy ziemian ukrainnych (jak np. winnickich 1545 r.) zmierzają ku przytwierdzeniu włościan do gruntu. W czém właśnie upatruje p. B. zaród téj „myśli“, która w XVII w. doprowadziła do rozwoju kozaczyzny i groźnych tego następstw. Nam przecież, wobec znanego wylewu na pustkowia ukrainne kolonizacyi, pod przewodem pańskich osadczych choćby tylko, w epoce następnéj, doniosłość znaczenia własności prywatnéj w sprawie osadnictwa inaczéj się nieco przedstawia. Ale na ten raz za daleko by to nas w stronę odprowadziło.

Co do stanu ekonomicznego włościan i ich stosunku do panów — wolno się nam tylko domyślać, przez analogię jedynie, gdyż faktów bezpośrednich w źródłach nie znajdujemy. Wszakże i wyprowadzanie wniosków co do tego, z ówczesnego stanu rzeczy w zbliżonych z Ukrainą litewską powiatach koronnych Podola (chmielnickim i barskim) mogłoby mieć wagę tylko wielce względną (chyba dla pow. winnickiego szczególniéj).

Ważną bardzo przeszkodą skuteczniejszego zasiedlenia Ukrainy

w ogóle, oprócz spustoszeń tatarskich, było współzawodnictwo polityczne Litwy z Koroną. Nietylko bowiem osłabiało ono siłę odporu wrogom zewnętrznym, ale dopuszczało możliwość stałéj wojny partyzanckiéj, jaką prowadziła między sobą ludność pogranicza sąsiednich na południu powiatów Korony i w. księstwa, osobliwie chmielnickiego i winnickiego. Ale p. B. zaznaczywszy należycie samą przeszkodę, pomija milczeniem fakt, że o stopniu jéj doniosłości w sprawie kolonizacyi świadczy najżywiéj i znane spotęgowanie się w téj stronie ruchu osadniczego po zniesieniu granicy między współzawodnikami skutkiem unii lubelskiéj. Które to zniesienie rozwarło na oścież wierzeje nie powstrzymanemu już prądowi wychodźczemu z województw środkowych zuniowanéj Rzplitéj.

W okresie poprzedzającym unię 1569 r., kolonizacyjne widoki zwierzchniczéj władzy litewskiéj, przy rozdawaniu ziemi hospodarskiéj prywatnym, nie zostały tymczasem uwieńczone pożądanym skutkiem. Na Podnieprzu sioła prywatne pozostały całkowicie niezasiedlone; na Pobożu liczniejsza ludność włościańska, ani sama chciała się mocniéj sadowić, ani do tego zmuszoną być mogła przez panów.

Niedostateczność atoli i ujemne strony kolonizacyi tak rządowéj, jak miejskiéj i ziemiańskiéj wywołały popęd ludności ku zasiedleniu południowych pustyń samorzutnie; popęd idący ręka w rękę z rozwojem tam kozactwa. Samorzutny ruch ten ludowy ku pustyniom ukrainnym, istotnie, tak związany z ruchem tam kozackim, że mimo potrzeby bacznego niezmiernie wyróżniania tych zjawisk, gotowiśmy, radzi nieradzi, i my przyjąć tu (za p. B.) dla niego ogólną nazwę „kolonizacyi kozackiéj“. Dotknijmyż jéj z kolei.

Nie wdając się w żadne szersze wywody, dość tu zaznaczyć, że pierwotnie na Rusi południowéj nazywano „kozakiem“ wogóle nie mającego ani rodziny, ani domu przybysza— przybłędę W powiatach, posiadających już ludność stałą a w których żywioły społeczne już się były ułożyły w określone, chociaż i mniéj porządne formy, dla przybłędy takiego nie było właściwie miejsca; traktowano go też tam (na Wołyniu naprz.) podejrzliwie i surowo. W powiatach południowych, stepowych, potrzebujących osadnika, usposobienie dla kozactwa mogłoby być innéem; ale i tam (jak w pow. bracławskim np.) upatrywano w niém żywioł szkodliwy, antyspołeczny. Istotnie, nie łatwo uznać przydatnymi do kolonizacyi ludzi luźnych. Jeśli atoli kozactwo stało się następnie główną siłą kolonizacyjną, to kozak oczywiście przestał był tam już być prostym włóczęgą. Takie przeobrażenie mogło się odbyć pod sterem samego państwa, ku jego własnemu dobru; a że tego nie zrobiono, odbyło się samo przez się, i w ostatecznym wy-

niku na zgubę szlacheckiéj rzplitéj. Samorzutna kolonizacya ludowa wyprzedzała téż i w państwie moskiewskiém kolonizacyę rządową i społeczną, ale tam umiała władza najwyższa zapanować nad jéj pochodem i idąc w ślad za kozakami, rozszerzyć państwo, aż do naturalnych jego od południa granic.

W pierwszéj połowie XVI wieku, luźne żywiołowe pierwiastki społeczne poczęły przylegać w różnych miejscowościach ku różnym społeczeństwa klasom. Na polskiém Podolu (Bar, Chmielnik), kozactwo, jako objaw wyjątkowy, zostało zgniecione już w pierw. połowie XVI w.; po części pomnożyło ono swym przypływem szeregi włościan i służek, w znaczniejszéj może—ustąpiło głębiéj w stepy za rubieże koronne. W powiatach Nadboża litewskiego kozactwo niewątpliwie istniało już i w poł. XVI-go w. w licznym zastępie. Wszakże i tutaj nie było popularném. Wyciskane, przy pomocy środków rządowych nawet, przytulało się ono ku miejskiéj, to ku wieśniaczéj, a głównie (może) ku ziemiańskiéj klasie. Nie wytworzywszy i tu klasy osobnéj, przyłożyło się ono nie pomału do kolonizacyi przestworów tamecznych, w postaci osobnego rodzaju ziemian, owych „młodszych“, których (1545) „starsi za bracią nie mają“ i t. d. Daleko bowiem w głąb stepów Bracławszczyzny rozproszyły się pasieki i zajmy ludzi nie wiadomo skąd przybyłych. Czy nie mających (następnie) pretensyi do „pańskości“ i t. d.— rzecz inna. W innéj zupełnie postaci występuje kozactwo na Podnieprzu, tu nie zatraciło się ono pomiędzy innemi klasami, jak w powiatach zachodnich Ukrainy, lecz wytworzyło oddzielną, potężną siłę. Już z lustracyi poł. w. XVI-go widzieć można stopniowe wzrastanie siły téj na Dnieprze. I w Kaniowie i w Czerkasach kozacy zaznaczani są oddzielnie od innych klas. Liczba ich téż niemała. Wprawdzie przypływ i odpływ ruchoméj téj warstwy, zmieniający się corocznie, uniemożliwia wskazanie mocy jéj z pewną ścisłością. W Czerkasach jednak lustrator podaje przybliżenie ilość ludzi przychodnich w czasie zimy 1552 r. koło 250. Cyfra ta przewyższa liczbę mieszczan m. Czerkas wszystkich oddziałów (223). Skąd widzimy, że zimą ludność miasta zwiększała się więcéj niż dwa razy, skutkiem przypływu tłumu koczowniczego od stepów. Zasługuje téż na poważną uwagę, że w owéj epoce istnieje jeszcze pewna różnica w stanowisku kozactwa w dwóch nawet południowych powiatach dnieprowych. W Kaniowie przeciwstawiono je ludności osiadłéj, a działalność onego—interesom téj ostatniéj; w któréj rozumieniu téż szkody od kozaków większe, aniżeli od Tatar. Zagarniają bowiem mieszczanom kaniowskim, przybłędy te (kozacy), osobliwie ich bogate uchody „siewierskie“ za Dnieprem i „żyją tam ciągle na mięsie, na

rybie, na miodzie“, nie poczuwając się do żadnych względem miasta i zamku obowiązków. Na zimę ściągają do miasta, by z pierwszą wiosną ruszyć znów w „pole“ albo Dnieprem—„w kozactwo“. W Kaniowie obok tego rozpoczęło się już i przystosowywanie się owéj ruchoméj masy do stanu społecznego innych klas ludności. Część kozaków oto pozostaje już na stałe zamieszkanie w mieście, w charakterze sług u mieszczan i bojarów, inni, nieprzestający chodzić latem „w kozactwo“, już zmuszeni do pewnych posług dla zamku. Tak więc i tutaj kolonizacya swobodna zmierza przychylić się ku miejskiéj, co gdyby mogło było następnie w pełni się urzeczywistnić, stałoby się naprawdę rzeczą poważnéj doniosłości. W Czerkasach zaś inny zupełnie stosunek — żadnych tu skarg na kozaków, żadnego przeciwstawienia ich z mieszczanami; wchodzą oni już najściśléj w skład gminy miejskiéj, uznawani są za jéj stałych członków przez samą władzę hospodarską.

Oczywiście takie przystosowanie się kozactwa do gmin miejskich staje się coraz mniéj możliwém, w miarę tego, jak się zbliża przeobrażenie saméj gminy staréj „horodowéj“ w „mieszczańską“ na wzór zachodnio-europejski. Pochłonięcie kozactwa przez gminy miejskie musiało zmienić nietylko typ kozactwa, lecz i charakter mieszczańskiego „horodu“. Kozacy przytulający się do miast, powoli sadowili się tam na stałe zamieszkanie, wstępowali w związki rodzinne, odzwyczajali się od życia koczowniczego, lecz zarazem wcale nie chcieli poddawać się ogólnym podatkowym i administracyjnym warunkom mieszczaństwa. W końcu w. XVI-go przewyższali oni już niezmiernie swoją liczebnością drobną garść mieszczan i urzędownie zwani byli „nieposłusznymi“. Byli oni już wtedy przy wszystkich zamkach ukrainnych i szerzyli się wciąż daléj po pustkach stepowych. Ale rozrost ten ich potężny, nieudatne próby rządu uorganizowania ich w należytą stałą pograniczną siłę zbrojną i t. d. — wszystko to należy już do epoki następnéj.

Tymczasem fale swobodnéj tubylczéj (ruchoméj) ludności nadpływały od północy coraz mocniéj, bliższe okola miast nie są w stanie już ich zatrzymać, rozlewają się też one po całym „Niżu“ dnieprowym, za „porohy“ nawet, wytwarzając nowy rodzaj kolonizacyi stepowéj, już zupełnie za obrębem zamków. Nie wszyscy również kozacy porzucili życie tułacze, przytuliwszy się do miast; większość ich ciągle zwraca się co wiosny ku stepom bezgranicznym, ku nęcącym brzegom morza Czarnego. Życie to ich, na „pławniach“ Dniepru, śród milczących stepów Taśminy i Worskły, w głuchych lasach Samary i Oreli, dobrze znane. Kozak tam nietylko jest „uchodnikiem“ lecz i rabu-

siem, łupieżcą. Chętnie on właśnie oddaje wet za wet sąsiadowi swemu najbliższemu, a pobratymowi z ducha, jakim jest „kozak“ tatarski, dzieli się nawet „butynkiem“ (łupem) ze starostą. Ale żeby mu się śniło kiedy coś podobnego do „stałéj dążności rozszerzania rubieży ruskich na rachunek pogaństwa“, to już chyba my sami (p. Bud.) dziś romantycznie mu to wmawiamy, w ten sposób, jak może historycy muzułmańscy wmawiają łupieżnikom perekopskim, że „dżyhad“, wojnę świetną, przeciw niewiernym „giaurom“ prowadzili. Nie sądzimy téż, aby „ówczesne lepsze towarzystwo ruskie“ widziało w kozakowaniu swych kniaziów i paniąt, przedewszystkiém bohatérstwo wojowników, „pionierów ruchu racyonalnego na południe, ku morzu Czarnemu“. Tém niemniéj fala kozacza, jako taka, rozlewała się coraz silniéj w tym właśnie kierunku. Powaga zamków hospodarskich, zbyt już spotężniała, kozactwo krępowała—wypadało stworzyć sobie własny punkt oparcia, uwić własne gniazdo; więc téż i powstają Sicz i Zaporoże.

Udział w sprawie uwicia tego gniazda właśnie na Niżu, oraz założeniu (1558) pierwszéj „siczy“ na wyspie Chortycy, jaki przypisują błędnemu paladynowi Ukrainy, księciu Dymitrowi z Wiśniowca — niewątpliwy, ale brać na seryo inicyatywę w tém jakąś „dyaka“ Rżewskiego, idącego (1556) na Oczaków i t. d., jak to robi p. B., to już chyba da się wytłómaczyć potrzebą jakiejś systematyzacyi. Nie możemy też brać na seryo twierdzenia szan. profesora, jakoby wzmacniające Zaporoże, po unii 1569 r., coraz świéże zastępy, były to „prześladowane żywioły ruskiéj narodowości, prawosławnéj wiary i kmiecego stanu“. Nareszcie, choć niewątpimy o tém, że dla uorganizowania niżowego kozactwa rząd polsko-litewski nic skutecznego nie zrobił i że cała zasługa następnéj kolonizacyi stepów przez kozactwo, należy niepodzielnie samym ludowym masom; to przecież podejrzewamy o pewną abstrakcyjność zdanie, jakoby je (masy te) tam prowadził jakiś „głęboki i zdrowy instynkt historyczny“.

Aleksander Jabłonowski.





O RODZINIE PIERWOTNÉJ.



(Dokończenie). *)

III.

Powstanie i przyczyny pokrewieństwa macierzyńskiego.

U bardzo wielu ludów pierwotnych rozwinęło się t. zw. pokrewieństwo przez matki (*Mutterrecht*), t. j. cały kompleks zjawisk, których punktem środkowym jest matka, jako jedyne źródło wszelkiego pokrewieństwa. Istnienie owego systemu nie ulega żadnéj dziś już wątpliwości, któréjby nawet wzbudzić nie mógł dowód, że niektóre ludy nigdy takiego pokrewieństwa nie znały. Słuszność lub niesłuszność twierdzeń, postawionych w poprzednim rozdziale, nie ma również decydującego znaczenia dla nauki o pokrewieństwie przez matki, bo gdziekolwiek ono istnieje, lub téż niewątpliwe jego resztki odnaleziono i stwierdzono, tam powinnoby ono być osobnym przedmiotem badania bez względu na to, co je wyprzedziło. Co się tyczy treści pokrewieństwa przez matki, możemy się powołać na określenie Hellwalda. „Istotném jest dla niego wszędzie to, że kółko krewnych obejmuje wyłącznie krewnych po kądzieli, tak dalece, że rodzinę utrzymują i zachowują tylko kobiéty, a rodzina gaśnie w razie wymarcia żeńskich jéj członków. Systemu tego wcale nie usuwa wytworzenie się i ustalenie małżeństwa, znanym jest wtedy rodzic dziecka, lecz nie jest on jeszcze jego krewnym, dzieci wszystkie idą za matką w razie rozwodu małżonków, tém bardziéj nie zachodzi pokre-

*) Ob. „Ateneum“ zesz. listopadowy r. b., str. 240.

wieństwo między synami tego samego ojca z różnych matek. Praktyczne skutki pokrewieństwa okazują się w prawie spadkowém, bardziéj jeszcze przy dziedziczeniu majątku, niż urzędów i godności, — daléj w obowiązku zemsty krwawéj, przynależności krewnych do klanu téj saméj nazwy, w stopniowém powstawaniu stosunków władzy pewnych krewnych po kądzieli nad innymi, a mianowicie starszego brata nad młodszym i wuja nad siostrzeńcami. W szczegółach zachodzi bardzo wielka rozmaitość, lecz świadomość bliższych związków między krewnymi przez matkę jest wtenczas panującą zasadą; stosunek względem ojca zapuszcza prawie wszędzie korzenie mniéj lub więcéj głęboko, ale nie jako stosunek pokrewieństwa, lecz raczéj jako stosunek władzy, lub w pewnych przypadkach nawet służby, któréj się ojciec poddać musi. W najnowszych czasach usiłowano znowu przedstawić znane zjawiska pokrewieństwa przez matki, jak całkiem niezależne od związków krwi — tak mianowicie Starcke w swém dziele „O pierwotnéj rodzinie“,—lecz zawsze bez należytego powodu. Nigdzie mianowicie nie udało się dostarczyć innéj zasady, zadawalniającéj chociażby w przybliżeniu, którąby można zjawiska powyższe dostatecznie wytłómaczyć. Najlepszém uzasadnieniem pokrewieństwa przez matki, jest obecnie, jak przedtém, teza powtarzana już od początku: pewność i znaczenie naturalne macierzyństwa w przeciwieństwie do niepewności do ojcostwa. Esmein sformułował ją z właściwą sobie precyzyą, jak następuje: Źródłem pierwotnych pojęć o indywidualném pokrewieństwie, które wytworzyły rodzinę lub przynajmniéj klan w łonie dawniejszego szczepu, było pochodzenie od wspólnéj matki, kiedy ojcostwo pozostało jeszcze faktem obojętnym. Sama natura rzeczy wydała taki rezultat: macierzyństwo jest faktem znanym, który nie ulega żadnéj wątpliwości, ojcostwo zaś przeciwnie— faktem tajemniczym, nie dopuszczającym równie ścisłego dowodu i wiele potrzeba było na to czasu, by wynaleść owe sposoby sztuczne i pośrednie, których jedynie użyć można, chcąc przeprowadzić dowód ojcostwa. Spostrzeżenie go między matką a dzieckiem bywa pewném i nienaruszalném, kiedy pewność ojcostwa zależy od rozmaitych okoliczności. Bardzo rozpowszechnionym i dla dobrego zrozumienia niekorzystnym błędem jest zdanie, jakoby pokrewieństwo przez matki tam tylko mogło powstać i utrzymać się, gdzie stosunki płciowe wcale nie są ujęte w żadne prawidła i zwyczaje. Zdaniem np. Violett'a pokrewieństwo przez matki pochodzi z okresu panowania związków wolnych i przelotnych, które to zapatrywanie pierwszy Kautsky starał się umiejętnie uzasadnić; tak samo Lamprecht w swéj historyi niemieckiéj uważa system klasyfikatoryjny za właściwy punkt wyj-

ścia rozwoju; system ów miał zaś być pozostałością pierwotnego komunizmu płciowego.

Zaznaczyliśmy już wyżéj, że nie należy, zdaniem naszém, wykluczać możliwości pierwotnego komunizmu płciowego, nie można go jednak żadną miarą uważać za konieczne założenie niepewnego ojcostwa a pokrewieństwa przez matki. Oryginalne stanowisko wobec téj kwestyi zajął Westermarck. Powiada on (str. 129) w swéj historyi małżeństwa ludzkiego: „Jak słusznie zauważył sir Henry Maine, jest ojcostwo przedmiotem wnioskowania w przeciwstawieniu do macierzyństwa, które jest przedmiotem spostrzeżenia, nie ulega zatém żadnéj wątpliwości, że nie dostrzeżono udziału ojca w pokrewieństwie tak wcześnie, jak udział matki.

Obecnie jednak nie ma, zdaje się, ani jednego ludu, któryby nie był odkrył ojcostwa. Westermarck przypuszcza, że istniał czas, w którym ojcostwa w fizyologiczném tego słowa znaczeniu nie znano, nie wierzy jednak, by przyczyną tego zjawiska było uprzywilejowanie stanowiska linii żeńskiéj. Przytacza on rozliczne okoliczności, o których niżéj mówić będziemy, a które, zdaniem jego, sprowadzić mogły ów rezultat i powiada w dalszym ciągu: Zdaje mi się więc, że nie mamy żadnego prawa sądzić, jakoby obyczaje i zwyczaje dzikich (t. j. pokrewieństwo przez matki) miały były powstać z niepewności ojcostwa, sądzę przeciwnie, że podobne przypuszczenie nie jest bynajmniéj prawdopodobném. Nikomu jeszcze nie udało się wykazać związku między zwyczajami moralnemi lub niemoralnemi, a przewagą męskiéj lub żeńskiéj linii u dzisiejszych dzikich. I tak odbywa się spadkobranie u ludu Barea na wybrzeżu wschodnio-afrykańskiém (podobnie jak u murzynów w Loango) wyłącznie w linii pokrewieństwa przez matki, pomimo że złamanie wiary małżeńskiéj ma w ich kraju należéć do rzadkości, kiedy przeciwnie u rozwiązłych autochtonów wyspy Tahiti własność przechodzi zawsze na najstarszego syna.

Nie myślimy téż wcale zaprzeczać, że zjawiska tak skomplikowane, jak organizacya rodzinna u ludów pierwotnych, zwykły polegać na równie skomplikowanych przyczynach. Tak samo ma się rzecz z pokrewieństwem przez matki: ma ono z pewnością więcéj, niż jedną przyczynę. Argumenta jednak Westermarcka nie mieszczą w sobie dostatecznego uzasadnienia na zarzucenie niepewności ojcostwa, jako najogólniejszéj i głównéj przyczyny pierwotnego pokrewieństwa przez matki. Wykazaliśmy już wyżéj, że sama znajomość lub nieznajomość faktu fizyologicznego ojcostwa nie znajduje się w żadnym związku z naszą kwestyą. Fakt ojcostwa fizycznego może być bowiem nietylko znanym, ale nawet ewentualnie ojcu przypisywać moż-

na główny udział w płodzeniu, a mimo to indywidualne ojcostwo może nadal pozostać niepewném. Dopóki się go nie uwzględnia w systemie prawa, a pan domu nie troszczy się o to, czy jest rzeczywiście rodzicielem dziecka, byleby był jego panem, dopóty służyć może niepewność indywidualnego ojcostwa za podstawę pokrewieństwa przez matki. Pojedyńcze przykłady ludów dzikich żyjących rozwiążle, a nie znających pokrewieństwa przez matki, a innych znów, które je znają, pomimo że kładą nacisk na czystość i wierność żon (w naszém rozumieniu tych wyrazów), nie stanowią dowodu przeciwnego. Tak dokładnie opisana przez Munzingera cywilizacya ludu Barea z jego prawem tak wysoko rozwiniętém, zdradzającém tak rozliczne wpływy zewnętrzne, usprawiedliwia przypuszczenie, że doszli oni do téj wstrzemięźliwości dopiéro po przebyciu długiego rozwoju poprzedniego swojego prawa, nie porzuciwszy pokrewieństwa przez matki. Jak z jednéj strony niepewność ojcostwa wielce sprzyja powstaniu pokrewieństwa przez matki, tak z drugiéj strony trwanie téjże niepewności nie jest koniecznym warunkiem dalszego istnienia tegoż pokrewieństwa. Leży to już w konserwatywnéj naturze ludzkiéj, że naturalną siłą bezwładności utrzymują się stosunki dawne, ba, nawet przestarzałe, pomimo że pierwotne przyczyny ich powstania oddawna przeminęły. Na tém właśnie zjawisku polega owa odwieczna walka między *jus aequum* a *strictum*, która musi zawrzéć wszędzie, gdziekolwiek prawo się rozwija i daléj postępuje. Wszędzie zresztą zwykły trwać skutki niezależnie od dalszego trwania przyczyn. Pewność ojcostwa fizycznego wyradza w istocie dążność do usunięcia pokrewieństwa przez matki i zastąpienia go systemem pokrewieństwa agnacyjnego, lecz co do istoty swojéj, pokrewieństwo przez matki i pewność ojcostwa, nie są wcale same przez się wzajemną antytezą, tak żeby obok siebie istniéć nie mogły. Nawet przykład ludów rozwiązłych bez pokrewieństwa przez matki, nie jest bynajmniéj rozstrzygający: przedewszystkiém należałoby udowodnić, że u nich pokrewieństwo przez matki nigdy przedtém nie istniało i czy nie wygasło już pomimo rozwiązłości. U ludów Polinezyi jest-to nawet bardzo prawdopodobném; wyspiarze ci stoją na stopniu kultury, względnie bardzo wysokim, a władza domowa ojca bywa u nich częstokroć w całéj pełni swojego rozwoju. Gdzie się jednak rozwinąć zdołały inne stosunki cywilizacyjne, sprzyjające prawu ojca, tam już nie może stanąć na przeszkodzie jego powstaniu dalsze trwanie rozwiązłości. W przypadku przytoczonym przez Westermarcka (mieszkańców Tahiti), trzebaby zresztą jeszcze bliżéj zbadać tamtejsze stosunki i wykazać, czy tam nie trwa dotychczas pokrewieństwo przez matki, pod osłoną istniejącéj

władzy ojcoskiéj. Dziedziczenie syna po ojcu wcale się temu nie sprzeciwia, bo między ojcem a synem może się rozwinąć prawo spadkowe bez właściwego pokrewieństwa, na podstawie saméj tylko władzy; należy to również do szeregu owych komplikacyi, które utrudniają wyjaśnienie pierwotnéj organizacyi rodzinnéj, nie zachodzi zatém rzeczywiście, jak to słusznie twierdzi Westermarck, żaden związek konieczny między naturalną luźnością pierwotnego węzła małżeńskiego, a pokrewieństwem przez matki; lecz mimo to pozostaje niewzruszoną przedewszystkiém hypotezą, przyjętą przez bardzo licznych uczonych, że niepewność ojcostwa wyrodziła pokrewieństwo przez matki i jak dodać możemy, że sprzyja ona jego dalszemu trwaniu, jakkolwiek go bezwzględnie nie zabezpiecza. Także dr. Starcke oświadcza się przeciw wywodzeniu systemu pokrewieństwa macierzyńskiego, z niepewności ojcostwa i przytacza na poparcie swego poglądu następujący argument: Jeżeli rzeczywiście uznanie linii żeńskiéj (*Weiberlinie*), czyli organizacyi macierzyńskiéj, polegało na uznaniu związku krwi łączącego dzieci z matką, w takim razie uzasadniłoby się tém samém twierdzenie, że organizacya prawna rodziny zastosowała się do stosunku naturalnego rodzicielstwa, w takim razie jednak i ojcostwo już w czasie swego powstania okazywaćby musiało taką samą dążność, nie byłoby zaś uzyskało zwycięstwa, jako urządzenie tylko prawne, a zupełnie obojętne wobec węzłów krwi. I na inném miejscu wraca Starcke z wielkim naciskiem do téjże saméj myśli. Głównym punktem jego rozumowania przeciw pojmowaniu pokrewieństwa przez matki, jako związku krwi, jest uwaga, że popęd płciowy jest z natury swéj za krótkotrwający, nie stały i nie trwały. Zbyt łatwo i zbyt szybko go się zaspakaja, z tego więc powodu nie jest dość silny, by dźwigać ciężkie brzemię organizacyi społecznéj. Z błędnego przeceniania popędu płciowego wynika, zdaniem Starckego, fałszywe twierdzenie, że początkiem życia społecznego był komunizm płciowy i że monogamia rozwinęła się z tego stanu za pośrednictwem refleksyi nad stosunkiem płciowym. Starcke ma rzeczywiście słuszność o tyle, że pierwotne małżeństwo chociaż zawierało w sobie w istocie stosunek płciowy, przecież nie mogło mieć przedewszystkiém za cel zadowolenie popędu płciowego, ponieważ tenże bardzo łatwo bywał zaspakajanym po za małżeństwem; stosunek zaś płciowy między małżonkami był raczéj akcesoryjnym, niż konieczną podstawą małżeństwa. Z drugiéj strony jednak, zbyt nisko ocenia Starcke wpływ popędu płciowego na ustrój prawny rodziny. Każde bowiem zaspokojenie potrzeb, zależne od woli ludzkiéj, następuje w odpowiednich przerwach. Nawet głód daje się we znaki tylko w przerwach, a przecież mimo tego potrzeba

pożywienia stanowi najważniejszy czynnik postępu społecznego. Tak samo może popęd płciowy wywołać żądze długotrwające; wywołuje on faktycznie stałą żądzę posiadania pięknych kobiét, powoduje walki między mężczyznami, stanowi główną przyczynę tak doniosłego dla historyi rodziny porywania kobiét. Ten punkt uważamy zresztą za mniéj ważny dla rozwiązania naszéj kwestyi. Popełnił jednak Starcke błąd kardynalny; dopuścił on się bowiem widocznego pomieszania pojęć, identyfikując zupełnie odmienne rzeczy, t. j. związek krwi w rodzinie z bezpośredniemi skutkami popędu płciowego. Początkiem pokrewieństwa nie są bynajmniéj wzajemne stosunki małżonków, lecz dopiéro stosunek między potomkami a ich wstępnemi. Zasadą i podstawą pokrewieństwa była w rzeczywistości wspólność pochodzenia, a mianowicie wspólność krwi macierzyńskiéj, bo ojciec nie występuje jeszcze jako krewny. Nie możemy zaiste zrozumiéć, jaki ma zachodzić związek między tym stosunkiem a popędem płciowym. Stosunek ów jest zupełnie trwałym, nie opiera on się na żadnéj namiętności ludzkiéj, lecz na spostrzeżeniu powszechnie znanego faktu wspólnego pochodzenia. Wszystkie zjawiska pokrewieństwa przez matki są najświetniejszém świadectwem przestrzegania téj wspólności pochodzenia. Istnieją prócz tego pewne bezpośrednie świadectwa, których nie można lekceważyć. Już Peschel wykazuje w swéj etnologii, że tak w Afryce, jak Ameryce, odpowiedź na pytanie, jakie są przyczyny pokrewieństwa przez matki, brzmi zawsze: że nie może być żadnéj wątpliwości co do pokrewieństwa z dziećmi siostry, inaczéj się ma jednak rzecz z pokrewieństwem przez ojca. Z przykładów na to istniejących przytoczymy następujące, jako najbardziéj pouczające: U Tuaregów północnéj Afryki jest, jak wiadomo, zasadą: „*C'est le ventre, qui teint l'enfant*“, ta zasada rozstrzyga co do stanu i rangi dziecka, tudzież co do następstwa spadkowego w oznaczone masy majątkowe: pewną część spadku otrzymuje najstarszy syn najstarszéj siostry, by zabezpieczyć dziedziczny związek krwi i zachować na wszelki wypadek tradycye rodzinne. Fakt ten jest tém ważniejszy, ponieważ kobiéty Tuaregów odznaczają się szczególną wiernością małżeńską i czystością obyczajów. Przecie nawet w tym wypadku odmówić nie można siły logicznéj wyżéj przytoczonemu uzasadnieniu. W wyższym jeszcze stopniu zastosować je można wszędzie, gdzie ojcostwo bywa rzeczywiście niepewne. Tak opowiadają o Creekach północno-amerykańskich: Wielu starszych mężczyzn zamieniało żony, mając z tych związków dzieci, rozproszone po kraju, które nie znały wcale swych ojców. Władza naczelna w tym szczepie przechodzi dziedzicznie w linii żeńskiéj, bo przestrzeganie

pochodzenia z linii męskiéj byłoby niemożliwém. Przykładu szczególnie ważnego, bo znajdującego się w związku z panowaniem ojców, dostarcza prawo zachodnio-afrykańskie. „System dziedziczenia w linii bocznéj, t. j. z wuja na siostrzeńca, używany w Wielkim Bassamie, a pospolity także u ludów we wnętrzu Afryki polega na tém, że się bardzo małą pokłada wiarę w cnotę kobiét: „nie możemy wiedziéć“, mawiają oni: „czy syn nasz, rzeczywiście jest naszym synem“, daleko zaś jest pewniejszém, że w żyłach syna naszéj siostry, która pochodzi od naszéj wspólnéj matki, rzeczywiście nasza krew krąży. Występuje tu zatém świadomość pewnéj przynależności prawnéj syna do pana (patryarchy) domu obok przeświadczenia o niepewności fizycznego ojcostwa. Takie wytłómaczenie prawa zwyczajowego, istniejącego od czasów niepamiętnych, udzielone podróżnym przez dziki lud, samo przez się nie mieści w sobie żadnéj gwarancyi słuszności. Wyjaśnienia takie powstają przeważnie tam, gdzie zwyczaj trwał już od dłuższego czasu, mogą więc być dowolnie ukutemi i fałszywemi. Przytoczone wytłómaczenie jest jednak tak dalece prawdopodobne i trafne, że byłoby tu oczywistym błędem pomijać je bez uwzględnienia. Nie należy wyszukiwać sobie trudności tam, gdzie ich w istocie nie ma.

Starcke przedsięwziął stworzyć zasadę nową na miejsce dawniejszéj, którą uważa za błędną, mianowicie zasadę związku lokalnego. Obok tego przytacza on jeszcze cały szereg rozmaitych przyczyn, nie trzymając się żadnego planu, w pośród innych wywodów, bez dostatecznego uzasadnienia bodajby jednéj z tych myśli przewodnich. Najgłówniejsza z przyczyn przytoczonych przez Starckego, t. j. wpływ związku lokalnego, jest jednak tak ważną, że musimy cokolwiek dłużéj przy niéj się zatrzymać. Znaczenie wewnętrzne węzła łączącego matkę z dzieckiem, mówi Starcke (str. 43), polega zawsze, chociażby był najpotężniejszy, na ich wspólném pożyciu miejscowém w jednéj i téj saméj chacie. Obraz tego wspólnego pobytu wywiera ogromny wpływ na fantazye. Nic jednak nie przemawia za tém, żeby pojęcie o szczególnie ścisłym związku krwi między matką a dziećmi, było się stało myślą przewodnią tego rozwoju.

Choć z jednéj strony dziwaczném się wydać musi twierdzenie to każdemu, kto z etnologią jest obeznany, z drugiéj jednak strony cała teorya nie jest bynajmniéj zagadkową. Polega ona bowiem na jednostronném przecenieniu pewnéj rzeczywistéj, lecz nie koniecznéj łączności, zachodzącéj między związkiem lokalnym, a pokrewieństwem przez matki. Znane jest mianowicie i wielce rozpowszechnione zjawisko, że zięć przenieść się winien do swéj żony, do domu jéj matki

(teści), który bywa wskutek tego punktem zbornym życia rodzinnego i pokrewieństwa. O Irokezach opowiada Lafiteau, że u nich pokrewieństwo wszystkich, nawet adoptowanych członków chaty macierzyńskiéj, do któréj i dzieci przynależą, uchodzi za tak silne, że mieszkańcom chaty między sobą żenić się nie wolno. Szczegół ten, podany przez znakomitego autora, jest tém ciekawszy, ponieważ adoptowani znajdują się rzeczywiście z resztą mieszkańców chaty raczéj w związku lokalnym, niż w stosunku pokrewieństwa. Przy bliższém zbadaniu sprawy okazuje się jednak, że ten punkt wyjścia jest zupełnie nie właściwy. Nawet u Indyan, których Starcke przytacza jako dowód, nie jest on bynajmniéj podstawą pokrewieństwa przez matki. Rodzina, t. j. ogół mieszkańców chaty (*Hüttengenossenschaft*), nie jest wcale, zdaniem Powell'a, jednolitą organiczną całością, bo tak mąż, jak żona należą do różnych *gentes*. *Gens* zaś według definicyi Powell'a jest grupą krewnych w linii żeńskiéj, która, jak dodać możemy, wychodzi znacznie po za granice związku miejscowego chaty. Mężowie, którzy przenoszą się do domu swéj teści, zachowują prawo i obowiązki członków własnéj *gens*; obowiązki małżeństwa, prawo spadkowe, obowiązek alimentacyi dzieci po śmierci ojca, ich przynależność po śmierci matki — wszystko to opiéra się na zasadzie pokrewieństwa i według niego się normuje; związek zaś pokrewieństwa nie zgadza się wcale z pojęciem związku miejscowego, ponieważ mężczyźni opuszczają dom swéj matki, a nawet córki wraz z swymi małżonkami po pewnym czasie zwykły zakładać własną chatę. Istotnym zarzutem przeciw Starckemu jest jednak to, że pokrewieństwo przez matki nie zawsze się łączy z przesiedleniem się męża w dom teści. Nie da się nawet udowodnić, żeby w przeszłości zwyczaj ten istniał tam, gdzie go obecnie nie ma, mimo panującego pokrewieństwa przez matki, np. w Australii: panowaćby tu bowiem powinna ścisła agnacya, gdyby teorya związku miejscowego była prawdziwą, bo żona mieszka tam w domu męża, mającego nad nią niemal nieograniczoną władzę domową, jakeśmy to przedstawili powyżéj. Zajmującego przykładu dostarcza daléj organizacya rodzinna północnych Nairów w Indyach, gdzie żony udają się do domu mężów i są im bardzo wierne. Nie trudnią się one jednak wcale gospodarstwem, dopóki żyje świekra (matka męża). Każdego czasu może żonę mąż dowolnie wypędzić, a w razie jego śmierci, wraca ona wraz z dziećmi do brata swego; należą one bowiem do jego domu i dziedziczą po wuju, a nie po ojcu. Jest-to zatém jawne przeciwieństwo związku miejscowego, mimo ściśle przeprowadzonéj zasady pokrewieństwa macierzystego. Typowy przykład, podany przez polskiego podróżnika

Kubarego, pokrewieństwa przez matki na polynezyjskich wyspach Mortlock, jest dalszym na to dowodem, jak luźnym jest stosunek, zachodzący między pokrewieństwem przez matki a związkiem miejscowym. Mieszkaniec wysp Mortlock uważa za krewne wszystkie osoby, których matki pochodzą z jednéj wspólnéj matki. Do szczepu należą osobniki obojéj płci, wyprowadzające swe pochodzenie na podstawie tradycyi od jednéj i téj saméj kobiéty. Kobiéty i mężczyźni tego samego szczepu żyją zupełnie oddzielnie. Rodzeństwo nie sypia nigdy w tym samym domu. Mężczyźni sypiają razem z naczelnikiem szczepu w wielkich domach, których progu kobiétom należącym do szczepu przekraczać nie wolno. Mężczyźni muszą szukać żon po za szczepem, mieszkają więc prawie zawsze zdala od ojczyzny. Starsi mężczyźni osiedlają się u swych żon i uprawiają ich rolę, młodzieńcy nie obarczeni tym obowiązkiem wałęsają się po obcych wsiach. W razie wojny walczą częstokroć krewni we wrogich sobie obozach, spotykają się téż nieraz z bronią w ręku, poznawszy się jednak żadnéj sobie nie czynią krzywdy. Silniejszym jest przeto ten węzeł krwi, niż związek polityczny i miejscowy, z drugiéj strony jest-to rzeczą znaną, że u mieszkańców Australii, hołdujących pokrewieństwu przez matki, ojciec walczy z synem w razie wojny, ze względu na to, że nie są krewnymi, choć syn pochodzi z chaty swego ojca. Na wyspach Mortlock znajdują się zatém mężczyźni po za obrębem związku miejscowego. Krewni żyją rozproszeni po różnych wyspach, nie zapominają jednak o przynależności rodzinnéj, co jest niezbitym dowodem świadomości pokrewieństwa. Związek miejscowy wywiera bezwątpienia wpływ potężny, nie może on jednak tutaj służyć za zasadę do wyjaśnienia zjawisk, pierwotnego życia rodzinnego, ponieważ nigdzie nie sięga tak daleko, jak zasada pokrewieństwa. Ani obowiązek obrony i zemsty, ani prawo spadkowe, ani przenoszenie nazwiska lub godła rodzinnego z pokolenia na pokolenie, nie zależą pod żadnym względem od związku lokalnego. W ten tylko sposób powstaje pozór właściwości téj zasady, że się spotyka wspólne pożycie matki z dziećmi przy każdéj organizacyi rodzinnéj bez różnicy, przynajmniéj do pewnego wieku dzieci, co wynika z natury potrzeb ludzkich; a stosunek ten przeciąga się często naturalną siłą bezwładności stosunków ludzkich po za ten okres czasu. Dla powstania pokrewieństwa przez matki, jest-to jednak o tyle tylko ważném, o ile się to przyczynić mogło do wytworzenia świadomości wspólnego pochodzenia między rodzeństwem.

Westermarck przyznaje się także do pewnych wątpliwości względem znaczenia związku miejscowego. Nie należy także pomijać milczeniem py-

tania, mówi on bardzo słusznie, dlaczegoby dzieci nie miały iść za ojcem, skoro się urodziły w tym samym domu, gdzie on mieszkał. Argument ten jest tak przekonywający, że trudno zrozumiéć, iż Westermarck przychyla się mimo to jeszcze do nauki Starckego. Nie idzie tu widocznie wcale o związek miejscowy, lecz jedynie o to, która osoba w obrębie związku miejscowego uzyskała przewagę. Tak dobrze bowiem ojciec jak matka zwykle należą do tego samego związku miejscowego, dzieci zaś należą zazwyczaj bądź do rodziny ojca bądź do rodziny matki. Jakież jest zatém właściwie znaczenie związku miejscowego, o ile zasługuje on na uwzględnienie w nauce porównawczéj prawa? Tutaj okazuje się znowu zasadnicza ważność rozróżnienia stosunków pokrewieństwa od stosunków władzy. Granica pokrewieństwa, a granice związku miejscowego, bynajmniéj się nie zgadzają, a także dla powstania pokrewieństwa jest związek miejscowy bez znaczenia, tém większéj natomiast wagi jest on dla stosunków matryarchatu i patryarchatu. Z tego wynika daléj niespodziewany wniosek, że związek miejscowy jest źródłem pokrewieństwa przez ojców. Matryarchat bowiem t. j. panowanie matki rodziny, rozwirozwinął się na tle dawniejszego pokrewieństwa przez matki i nigdzie bez niego nie występuje; agnacya zaś, t. j. właściwe pokrewieństwo przez ojców, wynikło z prastaréj władzy domowéj ojców — z patryarchatu. O ile więc związek miejscowy podstawą jest dla patryarchatu, o tyle w dalszéj konsekwencyi jest on także źródłem agnacyi. Tak matryarchat jak i patryarchat, są władzą domową, t. j. władzą nad członkami ściślejszego związku miejscowego. Opuszczenie związku domowego oznacza zwykle zarazem usunięcie się z pod władzy. Wynika to z saméjże treści władzy, że jéj poddani muszą należéć do pewnego obrębu téj władzy, do pewnego związku miejscowego. Nie koniecznie muszą to być krewni, znajdują tu miejsce obok nich tak adoptowani jako téż różne osoby ogarnięte opieką domową. „W regule się rozwija, jak się wyraża Bernhöft, forma wspólności domowéj, którąbyśmy mogli nazwać patryarchalną. Każdy ojciec rodziny panuje nad dziećmi i dziećmi syna, żoną, synowemi i nad wszystkimi, których tylko do rodziny swéj przyjął. Faktyczne płodzenie ze strony ojca rodziny jest pierwotnie bez znaczenia dla przynależności do rodziny. Przyjmowanie dzieci nieprawych lub obcych osób do rodziny, nie uchodzi za ujmę dla ojca rodziny, lecz raczéj za korzyść, ponieważ w ten sposób powiększa się się liczba jego poddanych i współpracowników.“ Bernhöft mówi wprost o zasadzie wspólności domowéj prowadzącéj do tego rezultatu, iż dzieci się poddają panu matki. A ta wspólność domowa jest widocznie związkiem miej-

scowym. W jaki sposób może patryarchalny związek miejscowy sprowadzić przejście od pokrewieństwa przez matki do agnacyi, świadczy o tém interesujący przykład przytoczony przez Powell'a: Szczepy Indyan muszą mianowicie rozpraszać się często po wielkich przestrzeniach, nie chcąc sobie nawzajem przeszkadzać w polowaniu. Mąż zabiéra natenczas żonę z sąsiedztwa jéj wujów i braci, dzielących miejsce zamieszkania matki, i w ten sposób dostaje pod swą władzę żonę i dzieci, z czego w dalszéj konsekwekcyi wynika patryarchat z systemem pokrewieństwa przez mężczyzn. Już stary Lafiteau przedstawia nam tendencyę takiego rozwoju. Ojciec indyański zdąża do tego, by władzę nad dziećmi dostać w swe ręce, co właśnie z czasem doprowadza do systemu pokrewieństwa przez ojców. Władza ta występuje jednak jako władza domowa, innemi słowy jako związek miejscowy. Jeżeli rozwiedzeni małżonkowie mają dzieci, mąż rości sobie pretensye do synów. Widziałem nieraz, powiada Lafiteau, jak ojcowie z dalekich stron przybywali, by synów zabrać z sobą. Matki jednak przypisują wyłączne prawo decyzyi względem ich miejsca pobytu. Kierując się tą zasadą, używają one różnych sposobów, by przeszkodzić ojcom w spełnieniu owego zamiaru. Dzieci zaś same — zawsze pod opieką matki wychowane, zdają się tylko odczuwać obrazę, którą zadał matce ojciec, opuszczając ją i dzieci. Starcke usiłuje wykazać, że zachodzi związek przyczynowy między pokrewieństwem przez matki a poligamią, powodując się głównie znaczeniem, które on przypisuje organizacyi rodzinnéj afrykańskiego szczepu Betszuanów. Według Starckego zawiera ona w sobie prawdziwy typ rozwoju rodzinnego. Pokrewieństwo przez matki miało powstać z dawniejszéj agnacyi w ten sposób, że każda kobiéta wraz z dziećmi zamieszkiwała osobną chatę, lub, jak dodać można, własne utrzymywała ognisko wewnątrz chaty. Dzieci ich tworzyły zatém osobną, od dzieci innych kobiét oddzieloną grupę, co się uwydatniło także w prawie i ostatecznie doprowadziło do powstania pokrewieństwa przez matki. Nie miałoby może podstawy dostatecznéj twierdzenie, że taki stosunek nie mógł współdziałać między innemi przyczynami powstania pokrewieństwa przez matki; lecz w każdym razie nic można mu przypisywać znaczniejszego wpływu, bo dzieci przywiązują się do matek swych bez względu na specyalne związki miejscowe, a stosunki prawne potomków różnych matek, mogłyby się różnić nawet wtedy, jeżeliby wszystkie mieszkały w téjże saméj chacie. Pomijając to wreszcie, należy zauważyć, że poligamia jest instytucyą uniwersalną, rozpowszechnioną po całéj ziemi, zupełnie niezależnie od jakiéjkolwiek organizacyi rodzinnéj, że obok niéj panować może tak najślislejsza agnacya, przez wiele wieków nie-

wzruszona, jak np. w świecie mahometańskim, jako téż pokrewieństwo przez matki i wszystkie możliwe formy pośrednie. Obok niewyczerpanéj różnorodności form życia rodzinnego stanowi poligamia żywioł prawie stały. Ludy monogamiczne stanowią rzadkie stosunkowo wyjątki wobec olbrzymiéj większości ludów pierwotnych poligamicznych. Nie dość na tém, że powstanie pokrewieństwa przez matki z istniejącéj już poligamii nigdzie nie zostało stwierdzone, lub jego pokrewieństwo wykazane, spostrzeżono przeciwnie w wielu wypadkach u ludów hołdujących poligamii przejście od pokrewieństwa przez matki do agnacyi, a mianowicie, według najnowszych autorów, u licznych szczepów Indyan amerykańskich. Także u dawnych Arabów nastąpiła prawdopodobnie taka sama zmiana, tak się przynajmniéj rzecz ta przedstawia w świetle opisów Robertsona, Smith'a i Wilken'a, choć nauka ich spotkała się z opozycyą źle zresztą uzasadnioną. Wielożeństwo wywrzéć nie mogło zbyt głębokiego wpływu na organizacyę rodziny, pomimo owego potężnego rozwielmożnienia, z tego powodu także po świecie, ponieważ się ogranicza u bardzo licznych ludów, tylko na mężczyzn starszych, zamożniejszych, lub cieszących się większém poważaniem, kiedy pokrewieństwo przez matki krzewi się u tychże ludów zupełnie niezależnie od takiego ograniczenia. Tak np. znajdujemy u mieszkańców Australii przewagę faktyczną monogamii, zwanéj przez Hellwalda monogamią ubóstwa, a nie było tam prawdopodobnie nigdy inaczéj; mimo to panuje u nich, jak wiadomo, pokrewieństwo przez matki. Tak samo jest u Macusi, hołdujących również pokrewieństwu przez matki, poligamia wprawdzie dozwolona faktycznie, przecież jest rzadkim wyjątkiem. Tak samo nie było u Indyan w Ameryce północnéj — według sprawozdania dawniejszych autorów, wybitnéj skłonności do wielożeństwa. Pokrewieństwo przez matki zapuściło jednak mimo tego potężnie i głęboko korzenie. Tak np. opowiada Charlevoix o Huronach, że u nich poligamia nigdy nie była w zwyczaju. Ojca jednak nie uważano nigdy jako ojca — dzieci należały do matki—ojciec był im zupełnie obcy—chociaż zawsze był panem domu, jeżeli tylko własną chatę założył. Irokezi żyli również monogamicznie pomimo panującego pokrewieństwa przez matki i częstych rozwodów. U Seliszów było wielożeństwo raczéj tolerowane, niż uważane za normę, a wielu szczepom miało być całkiem nieznaném. We Florydzie, według wiadomości XVI-go wieku, poligamia dozwolona była tylko naczelnikom szczepu.

Podobne wiadomości spotykamy o różnych innych ludach północnéj i południowéj Ameryki dak dalece, że Teodor Waitz, znakomity znawca etnografii, całkiem słusznie mógł powiedzieć, że poligamia

Indyan ogranicza się po największéj części na naczelników szczepu i sławnych wojowników. Przeprowadzenie dowodu, którego podjął się swego czasu Kautsky, iż monogamia była wogóle pierwotną formą małżeństwa, nie uważam wprawdzie za możliwe, lecz kwestya ta nie znajduje się w ścisłym związku z naszą kwestyą. W każdym bowiem razie nie możliwym jest dowód, iżby poligamia była kiedykolwiek głębiéj zakorzenioną niż obecnie. To, cośmy powiedzieli, wystarcza do wykazania, że poligamii nie można uważać za ogólną przyczynę pokrewieństwa przez matki. Ludy monogamiczne, jak Dayakowie na Borneo, hołdują równocześnie pokrewieństwu przez matki; z drugiéj zaś strony, właśnie w południowéj Ameryce, gdzie wielożeństwo opanowało szerokie warstwy ludu daleko bezwzględniéj, niż w Ameryce północnéj, mimo to pokrewieństwo przez matki nie jest tak powszechnie stosowaném, jak w tamtéj. Gdzie agnacya rzeczywiście korzenie zapuściła i stała się instytucyą panującą, okoliczność urodzenia z różnych matek zwykle pozostaje bez znaczenia dla prawnego stosunku dzieci, urodzonych z prawego łoża. W rzeczywistości bywają w tym wypadku małżeństwa poligamiczne równie niekorzystne dla panowania pokrewieństwa przez matki, jak małżeństwa monogamiczne, byleby tylko wierność kobiét i fizyczne pochodzenie od ojców rodu były należycie zabezpieczone. Gdzie taka pewność nie ma miejsca, tam małżeństwo monogamiczne nie może stać na przeszkodzie rozwojowi pokrewieństwa przez matki. Rozstrzygającą jest jednak okoliczność, że poligamia u wielu ludów kuli ziemskiéj praktykowana bywa tylko przez pojedyncze osoby lub małe odłamy narodu, przeciwnie zaś pokrewieństwo przez matki, np. w Australii, u większości Indyan Ameryki północnéj, opanowało jednostajnie całe ludy. Nie mogło więc powstać pokrewieństwo przez matki na drodze wskazanéj przez Starckego, analogicznie do typu Betszuanów. Prócz tego popełnił Starcke pospolity błąd bezwzględnego pomieszania pokrewieństwa z władzą ojca, skutkiem czego w całém przedstawieniu powstał zamęt; tém bardziéj niepodobna uwzględniać jego teoryi przy rozbiorze kwestyi pierwszeństwa pokrewieństwa przez ojców przed pokrewieństwem przez matki.

Jako szczególnie ważną przyczynę pokrewieństwa przez matki podnoszą Spencer, Lippert i Bachofen, do których przyłącza się Starcke, stanowisko ekonomiczne kobiéty jako właścicielki pola, zajmującéj się osobiście pierwotném rolnictwem. Zupełnie wystarczające uzasadnienie téj nauki jest niemożliwém dopóty, dopóki historya własności nie zostanie przedstawioną bardziéj wyczerpująco niż dotychczas.

Przedewszystkiém jestto rzeczą jasną, a także wyżéj wymienio-

nym uczonym znaną i wiadomą, że uprawa roli i organizacya własności na nieruchomościach nie mogą tworzyć koniecznego, niezbędnego założenia pokrewieństwa przez matki, ponieważ panuje ono także u takich ludów, które nie znały jeszcze uprawy roli, jak np. u mieszkańców Australii i autochtonów kalifornijskich. Że jednak ów związek istniał rzeczywiście, zdaje się już być pewném po wywodach Spencera i Lipperta. Prawo własności kobiéty, mówi Starcke, jest przyczyną coraz to większego wyzwalania się jéj i usamowolnienia wobec mężczyzny; ta sama przyczyna przywiązała dziecko węzłem pokrewieństwa do matki, inaugurując tém samém panowanie linii żeńskiéj. Bachofen zwraca uwagę na fakt, że ludy pierwotne pojmują małżeństwo jako stosunek agrarny, a cała terminologia małżeństwa pochodzi z terminologii stosunków rolnych. Kiedy mąż wyrusza na dalekie wyprawy, żona pozostaje w domu, uprawia rolę i gospodaruje, jako nieograniczona władczyni. Ostatnie to twierdzenie nie jest, jak tyle innych utępów z pism Bachofena, naukową fantasmagoryą, lecz zgadza się zupełnie ze spostrzeżeniami innych autorów. Posiadamy pod tym względem najobfitsze źródło przykładów i dowodów na obszarze prawnym Ameryki północnéj. Żona występuje u większości szczepów indyańskich jako właścicielka chaty. Mąż posiada faktyczną władzę nad domownikami sobie poddanymi, uznaje jednak wymienione prawo żony w zupełności. Bywa to zadaniem męża wykarczować świéżo zajęte pole, prawem zaś i obowiązkiem żony jest uprawa roli, nie zbyt mozolna ze względu na ekstensywną naturę ówczesnego gospodarstwa. Wskutek tego zyskuje żona wpływ prawie rozstrzygający na użycie ziemiopłodów. Rozwój uprawy roli w rękach żony nie jest wprawdzie koniecznym warunkiem pokrewieństwa przez matki, sprzyja on jednak w każdym razie matryarchatowi i przeważającemu wpływowi matek. Pod tym względem przeprowadził już Hellwald w swéj historyi rodziny ludzkiéj należyte rozróżnienie, co tu wystarczy zaznaczyć. Żeby dopiéro własność wywołała pokrewieństwo (przez matki), jak sądzi Starcke, jestto zupełnie nieprawdopodobném, ma ono bowiem głębsze i powszechniejsze przyczyny. Własność mogła jednak wzmocnić i ustalić ten system, tak, że uprawę roli, znajdującą się w rękach kobiét, uważać należy za jeden ze symptomów matryarchatu. Niestety, pomimo wszystkich prac wstępnych nie podobna dotychczas określić wzajemnego stosunku prawa familijnego i własności; co najwyżéj można go określić w najłagodniejszych zarysach. Mamy jednak nadzieję, że nie zbyt dalekim jest czas wyjaśnienia tych zawiłych stosunków własności pierwotnéj.

Między przyczynami powstania pokrewieństwa przez matki po-

dnieść należy szczególnie długo trwającą epokę karmienia, która była rodzajem szkoły dla wszystkich narodów, jak się wyraża Lippert. Jestto jednak, jak sądzimy, drugorzędna przyczyna, przyśpieszająca dojrzenie i wspierająca powstanie świadomości wspólnego pochodzenia od jednéj matki, która to świadomość była istotnym warunkiem pokrewieństwo przez matki. W każdym jednak razie zaliczyć należy długi czas karmienia do szeregu ważnych przyczyn. „Skoro bowiem wynalazek najlepszego surogatu (mleka zwierzęcego) jest późném dopiéro zjawiskiem, długi czas karmienia musiał za sobą pociągnąć naturalną konsekwencyę, że dzieci w czasie budzenia się samowiedzy i inteligencyi, uświadamiały sobie węzeł łączący je z matką. Dzieci téj saméj matki tworzyły w epoce pierwotnéj, rodzaj związku naokoło matki, zachowującego zupełne poczucie łączności, a córki pozostawały w téj spójności jeszcze długo, kiedy synowie już opuścili matkę, idąc za popędem miłości lub głodu. Inni zaś, ściągani przez wpływ miłości, grupowali się znów naokoło matki.“ Jakkolwiek nie nastąpiła ta ostatnia konsekwencya wszędzie, nie można jednak nic zarzucić takiemu tłómaczeniu związku, zachodzącego między długą epoką karmienia a pokrewieństwem przez matki. Fizyczny ten i naturalny związek był zarazem punktem wyjścia węzła między rodzeństwem, tudzież innych stopni pokrewieństwa, które się wytworzyły około tego rdzenia historycznego.

Skoro zaś już raz powstała świadomość o pokrewieństwie przez matki, to wszystkie te potrzeby, którym ono wszędzie służy, sprowadzić musiały jego wzmocnienie i wydoskonalenie. Mianowicie więc potrzeba opieki nad dziećmi, skierowanéj także przeciw ojcu, obowiązek krwawego pomszczenia krzywdy, wyrządzonéj jednemu z dalszych nawet krewnych, sięgający więc znacznie poza właściwą spólność domową, wreszcie potrzeba wytworzenia prawa spadkowego, które najściśléj się wiąże z rozwojem prawa własności indywidualnéj przynajmniéj na ruchomościach. Tak powstał na podstawie naturalnego związku krwi między matką a dzieckiem pod wpływem okoliczności sprzyjających ów oryginalny kompleks zjawisk, objęty nazwą pokrewieństwa przez matki (*Mutterrecht*), prosty w swéj zasadzie, lecz rozmaity w swych odmianach, zrośnięty z całą cywilizacyą, z całém duchowém życiem człowieka, który z biegiem czasu doznał osłabienia lub nawet usunięcia, lecz trwa dotychczas w swoich skutkach historycznych.

Powtórzmy w kilku słowach rezultat naszych wywodów. Główną przyczyną pokrewieństwa przez matki jest świadomość wspólności krwi macierzyńskiéj w połączeniu z równoczesną niepewnością fizycznego ojcostwa; miejscowego związku rodzinnego jako téż i poliga-

mii, nie należy wliczać do przyczyn istotnych tego zjawiska. Uprawa roli pozostawiona kobiétom, idąc zwykle w parze z własnością indywidualną kobiéty na ornéj ziemi, nie jest również konieczną podwaliną pokrewieństwa przez matki, przyczynia się jednak bezwarunkowo do jego rozwoju, jako téż do zrodzenia zjawisk matryarchalnych. Potrzeby, którym tylko za pośrednictwem związku pokrewieństwa może się stać zadość prą potężnie w stosunkach pierwotnych do pokrewieństwa przez matki, ponieważ pokrewieństwo przez ojców, ze względu na swą faktyczną niepewność, nie ma prawnego znaczenia.

IV.

Właściwości i znaczenie matryarchatu. Stanowisko prawne krewnych po kądzieli.

Między stosunkami władzy i pokrewieństwa istnieje konieczny związek i wpływ obopólny, bo pokrewieństwo dąży ustawicznie do wytworzenia odpowiedniego stosunku władzy; przeciwnie zaś, rozwinięty stosunek władzy, nie schodzący się jeszcze ze stosunkiem pokrewieństwa, objawia silną tendencyę do zdobycia odpowiedniemu systemowi pokrewieństwa—prawnego uznania lub nawet stanowczéj przewagi. Wynika stąd, że wszędzie, gdzie się utrzymała starodawna opieka ojcowska obok pokrewieństwa przez matki, system ten walczyć musi z przeciwnym mu systemem pokrewieństwa (agnacyjnego). I odwrotnie, władzę domową ojca ciągle osłabiają krewni dzieci po kądzieli, a niejednokrotnie zupełnie go spychają ze stanowiska opiekuna i pana. Odnośne stosunki znajdują się zatém w nieustannym ruchu, zmieniając się powoli, lecz ustawicznie i w rzadkich tylko wypadkach znajdują się walczące systemy prawa rodzinnego w zupełnéj czystości, niezamąconéj wrogiemi siłami, które nigdy działać nie przestają. Nie zbywa zaś władzy ojcowskiéj na skutecznych środkach walki nawet tam, gdzie się rozwinęła obok pokrewieństwa przez matki, także i władza matek, ponieważ, jak to już wykazaliśmy, fakt ojcostwa fizycznego powszechnie jest znany, choć nie ma zawsze dostatecznéj mocy, by zjednać systemowi agnacyjnego pokrewieństwa znaczenie prawne. Z tém większą natarczywością zdążają ojcowie do zapewnienia mu zwycięstwa tam, gdzie rozporządzają całą pełnią władzy familijnéj. Z drugiéj zaś strony działają na korzyść pokrewieństwa przez matki połączone czynniki, wyłuszczone w poprzednim rozdziale tak, że ostatecznie przychodzą do skutku faktyczne kompromisy i owe stadya

przejściowe, tak niesłychanie utrudniające jasne zrozumienie pierwotnego ustroju rodziny.

Stosunek władzy domowéj ojca, tak bardzo rozpowszechniony, a pozornie najzupełniéj odpowiadający naturalnemu uposażeniu obojga płci — może niekiedy ustąpić wręcz przeciwnéj zasadzie. Pokrewieństwo przez matki niszczy doszczętnie to, co pozostało jeszcze z dawniejszéj władzy; władza koncentruje się w rękach matki lub jéj krewnych, ojciec zaś zajmuje stanowisko podrzędne, popadając albo w pewien stosunek służebny bez wszelkiego prawnego pokrewieństwa z dziećmi, bądź téż zdobywając sobie uznanie pokrewieństwa z dziećmi, lecz bez żadnéj domieszki władzy.

Jeżeli się zaś rozwinie skutkiem postępu historycznego i wpływów różnego rodzaju ścisły patryarchat, występuje on z początku w porównaniu z węzłem krwi, łączącym dzieci z ojcem, jako moment przeważającego i rozstrzygającego znaczenia; kiedy pokrewieństwo przez matki mało traci na wpływie przez patryarchat i istnieje daléj pomimo władzy ojcowskiéj, nie zważa się zupełnie na pokrewieństwo przez ojców, gdzie się rozwinął stosunek władzy patryarchalnéj. Płodzenie staje się zwykle czynnikiem podrzędnym i wcale nie bywa istotném dla ojcostwa; utrzymuje się natomiast jako jedyny, prawdziwy, rzeczywisty związek krwi, dawny, stary system pokrewieństwa przez matkę.

W obecnym rozdziale staraniem naszém będzie wyjaśnienie charakterystycznych właściwości zjawisk matryarchalnych, w następnym zaś przejdziemy do prawnéj organizacyi patryarchalnéj. „Kobiéta nie ma pierwotnie żadnych praw“ (w czasie trwania władzy domowéj męża) — mówi jeden z najwybitniejszych reprezentantów nowszéj socyologii (Bernhöft), a twierdzenie to uznać wypada za prawdopodobne, o ile ono dotyczy pogrążonych w mroku niepewności czasów, poprzedzających epokę pokrewieństwa przez matki; ze zjawieniem się jednak pokrewieństwa macierzyńskiego zyskuje prawne stanowisko matki i jéj krewnych na treści i znaczeniu.

Polityczne panowanie kobiét — gynaikokracya w rozumieniu Bachofena — nigdzie nie istniało, jak to Hellwald wykazał najwybitniéj. Polityczna władza pozostaje bowiem w najściślejszym związku z czynnością wojenną, bywa więc niedostępną dla kobiét z powodu ich względnéj bezsilności — a liczne przykłady kobiét — które były naczelnikami szczepu, dowodzą tylko większego lub mniejszego udziału ich w rządach, lecz prawie nigdy wyłącznego ich władztwa. Lecz i te wypadki przedstawiają się, jako wyjątki wobec rozwoju ogólnego.

Jest to zjawiskiem godném uwagi, że wpływowe stanowisko polityczne kobiéty, schodzi się wszędzie z pokrewieństwem przez matki

tak, że z całą słusznością możnaby je uważać za wynik tego systemu: spotkać można ten objaw u różnych szczepów Indyan, niejednokrotnie w Afryce, w Polinezyi, sporadycznie w Azyi i Australii.

Interesującym przykładem zaszczytnego stanowiska społecznego kobiét, będącego skutkiem pokrewieństwa przez matki, jest prawo zwyczajowe wysp Mortlock, tak sumiennie opisane przez Kubarego.

„Im więcéj kobiét należy do szczepu, tem jest więcéj małżeństw i potomków, tém większém jest też prawdopodobieństwo dalszego trwania szczepu, stąd wynika uprzywilejowane stanowisko kobiéty, objawiające się w okoliczności, że najstarszą kobiétę w szczepie uważa się za jego głowę i szczególną czcią otacza. Najstarsza kobiéta w szczepie nosi wszędzie nazwę „naczelnika szczepu“, podobnie, jak i najstarszy mężczyzna. Na wyspach Pelewskich (Palau) najstarsza kobiéta w szczepie — królowa kobiét — posiada orszak, złożony z naczelniczek rodzin, wywierający wielki wpływ na stosunki społeczeństwa. Podobnie ma się rzecz u szczepów na wyspie Ponape. W obecności członka pewnego szczepu nie wolno ganić żadnéj kobiéty tego samego szczepu. Wszelka uwaga uszczypliwa byłaby śmiertelną obrazą. Ojcu, który spostrzegł, iż córki źle się prowadzą, nie wolno robić matce z tego powodu wyrzutów, bo tak matka jak i córki należą do innego szczepu; z drugiéj strony matka sama nigdy się nie odwołuje do powagi ojca dla skarcenia niesfornéj córki.“

Wszystkie dzieci jednéj matki uchodziły tam za prawne; stanowisko męża było podrzędne. Trwanie małżeństwa zależało od dobréj woli obojga małżonków, a w razie rozwodu przypadały dzieci i cały majątek kobiécie. Dzieci z rozwiązanego małżeństwa pierwszego uważały ewentualnego drugiego małżonka matki za swego ojca. W razie śmierci męża, cały jego majątek przechodził na wdowę, w razie śmierci żony, brały spadek po niéj dzieci i krewni, a nigdy mąż. Mąż odpowiadał za wykroczenie żony i ponosił téż za nią karę. Zresztą i pod innym względem cieszyły się kobiéty wielkim wpływem, mogły na zgromadzeniach przemawiać i głos ich znajdywał posłuch, mogły nabywać nieruchomości, a jeżeli się zwróciły z prośbą do mężczyzny, z którym łączyły je węzły pokrewieństwa, czynił on zadosyć żądaniu bez wahania ani gniewu.

Oto jest typowe skojarzenie przywilejów familijno-prawnych, społecznych i politycznych kobiéty, pouczające, jako obraz konsekwentnie i bez przeszkody przeprowadzonego pokrewieństwa przez matki i jako ilustracya związku, zachodzącego między tym systemem pokrewieństwa a rozlicznemi zjawiskami społecznemi, występującego tu jasno i wyraźnie. W jednym z następnych rozdziałów będziemy mu-

sieli wrócić jeszcze do tego przykładu. Takie nagromadzenie rozmaitych przywilejów kobiéty tak ze względu na społeczne stanowisko wogóle, jako téż i ze względu na jéj wpływ polityczny—należy w istocie do największych rzadkości.

Całkiem inaczéj przedstawia się kwestya, jeżeli weźmiemy pod uwagę właściwy przedmiot naszego badania — organizacyę rodziny. Wszędzie, gdzie zięć przesiedla się do domu teści, tworzy ona właściwe jądro rodziny. Wypadki zaś te są tak częste, że niektórzy uczeni uważali je poprostu za cechę pokrewieństwa przez matki. U Indyan Ameryki północnéj, u Malajów, u Nairów i innych ludów pierwotnych w Indyach wschodnich, u licznych ludów afrykańskich spotyka się przykładów tego rodzaju podostatkiem. Niezwykłém poważaniem, przewyższającém bardzo szacunek dla ojca, otaczają zwykle dzieci swoją matkę w czasie panującego systemu macierzyńskiego; należy położyć tutaj szczególniejszy nacisk na różnicę tę w traktowaniu obojga rodziców.

Pewien bardzo wysoko ceniony cywilista uważa za szczególnie opaczne podnoszenie niezwykłéj czci, któréj zażywa matka u jakiegoś ludu. To zjawisko, samo przez się zrozumiałe, spotykane u każdego szczepu ludzkiego, jeszcze nie zupełnie zwyrodniałego — nie znajduje się według niego, w żadnym związku z matryarchatem i gynaikokracyą. Wszak nawet ludy, żyjące ściśle patryarchalnie, uwzględniają przykazanie: „Czcij ojca i matkę twoją!“ A jeszcze jedna nasuwa się uwaga: Kościół katolicki w znaném swém orzeczeniu: *„taceat mulier in ecclesia“*, zupełny daje wyraz swym zapatrywaniom na rządy kobiét, a jednak otoczył macierzyństwo Maryi świetną aureolą czci religijnéj i poetycznéj. Lecz etnologia dostarcza nam rozlicznych przykładów zupełnéj obojętności matki i dzieci względem siebie a w szczególności matki i syna, a podaje ona nawet kilka charakterystycznych przykładów zupełnego zniweczenia prawnéj doniosłości pokrewieństwa między matką a dzieckiem pod wpływem domowéj władzy kobiét; mimo to pozostanie bez wątpienia odwieczną regułą trwanie owego świętego i naturalnego przywiązania. Wiedzą o tém wszyscy i nikt chyba nie uzna go za specyalny dowód istnienia pokrewieństwa przez matki, jakkolwiek z drugiéj strony nie należy z góry odrzucać mniemania, jakoby i miłość, łącząca matkę z dzieckiem, miała swoją historyę i jakoby w odleglejszéj przeszłości, nie były mogły istnieć stosunki płciowe komunistyczne, a stosownie do tego, dzieci były dziećmi całéj hordy i t. p.

Prawdziwym zaś i rzeczywistym znakiem pokrewieństwa przez matki, uznanym całkiem słusznie za jego pozostałość, jest widocznie przenoszenie matki nad ojca, ignorowanie tegoż lub zepchnięcie go na

drugie miejsce tam, gdzieby zajmować powinien pierwsze według zasad rodziny patryarchalnéj agnacyjnéj, lub nawet nowożytnéj familii rodzicielskiéj. Uważa się więc zupełnie słusznie i zgodnie z najsurowszemi przepisami metodologii, stosunek dziecka do matki w znaczeniu wymienionèm, — a w przeciwstawieniu do stosunku między dzieckiem a ojcem — za dowód pokrewieństwa przez matki, matryarchatu lub gynaikokracyi.

Najwybitniejszym dowodem tego twierdzenia są prawne stosunki Indyan Ameryki północnéj, właśnie z tego powodu, ponieważ także ojciec zajmuje u nich stanowisko wpływowe. Charlevoix opowiada o nich co następuje: „Dzieci należą tylko do matki i wyłącznie ją tylko uznają. Ojciec jest im zupełnie obcym, tak jednak, że choć nie uważają go za rodziciela, otaczają go jednak szacunkiem jako p a n a chaty.“

Jak dalece matka tworzyła właściwe centrum rodziny, okazuje się między innemi z następujących zwyczajów indyańskich, bardzo pokrewnych instytucyom wysp Mortlock (Maryańskich). Jeżeli krewni pierwszego męża nie znają stosownego małżonka dla wdowy, nie jest ona mimo tego w żadnym kłopocie, byleby miała synów, którzyby ją mogli utrzymać. Jeżeli ona postanowi wyjść powtórnie za mąż, wolno jéj swobodnie wybierać, a ten, którego poślubi, staje się ojcem jéj dzieciom z pierwszego małżeństwa: „wstępuje on we wszystkie prawa i obowiązki pierwszego męża.“ Według Schoolcraft'a „ojciec (Indyanin) mało się troszczy o swe dzieci, a w razie rozwodu nie ciąży na nim żaden obowiązek opieki, ani żadna odpowiedzialność i nie odwiedza ich nawet w czasie choroby, stąd téż nie bardzo opłakują jego zgon. Matka wychowuje i utrzymuje dzieci, mając nad niemi pełnię władzy, dopóki się same utrzymać nie potrafią.“ Ma to zastosowanie nawet tam, gdzie, jak u Creeków, żona i dzieci mieszkają w chacie męża. Stosownie jednak do opisu Francuza Lafiteau, było to regułą, że małżonkowie należeli do macierzyńskiéj chaty żony, choć nie ganiono późniejszego założenia własnego domu. Dom żony zyskuje prawo do zwierzyny zabitéj przez męża. Starają się oni téż jak najwcześniéj wydać dziewczynę za mąż, bo kobiéty utrzymują rodzinę, powiększającą się tylko za pośrednictwem ich potomstwa. Zgodnie z tém, p r z e d s i ę b i o r ą m a t k i a d o p c y ę do klanu i rodziny z zupełnym skutkiem prawnym faktycznego urodzenia. Kobiéta, trzymająca w ręce symbole rolnictwa, łodygę kukurydzy i motykę, uchodzi zarazem za święty znak pokoju. Koło niéj grupuje się rodzina, ród (klan) i szczep dzięki jéj rozmnaża się i utrzymuje narodowość, za jéj pośrednictwem przechodzą stosunki władzy i majątek z jednéj genera-

cyi na drugą. Koło niéj gromadzą się dzieci i nie zapominają o tém połączeniu nawet po założeniu własnych gospodarstw. W innych obszarach prawnych powtarzają się te same zjawiska w większém lub mniejszém rozpowszechnieniu. I tak np. u wielu plemion murzyńskich stara się matka konkurenta o dziewicę u matki téjże, która téż otrzymuje cenę kupna i t. p.; w niektórych wyjątkowych przypadkach, i to bynajmniéj nietylko u zwyrodniałych, nisko upadłych ludów, zasada władzy macierzyńskiéj zupełnie wyparła zasadę naturalnego związku krwi między matką a dzieckiem, doprowadzając do tego, że o przynależności do rodziny rozstrzyga nie urodzenie, lecz przynależność domowa do matki, a wskutek tego niejednokrotnie matka rodziny uchodzi za matkę dziecka urodzonego przez inną kobiétę. I tak np. u Chińczyków pojąć wolno jedną tylko żonę, można jednak obok niéj utrzymywać więcéj nałożnic, kupowanych zwykle za niską cenę; dzieci z niemi spłodzone uważają ową prawą małżonkę za swą matkę, żywiąc tylko pogardę dla właściwéj fizycznéj rodzicielki. Także i u Hebrajczyków, według Starego Testamentu, miało dzieciom nałożnic podobne względem pani domu przysługiwać stanowisko. Podobnie u murzynów Złotego Wybrzeża oblubienica z wyższych sfer otrzymuje od rodziców młodą niewolnicę do posługi. „Niewolnica ta, wprowadzona do domu męża, staje się częstokroć jego kochanką, a pani jéj, w razie swéj bezdzietności, uważa dzieci swéj służebnicy za własne dzieci.“

Przykłady te nie należą do dziedziny pokrewieństwa przez matki; zawierają one tylko świadectwa władzy domowéj macierzyńskiéj, a są zupełnie analogiczne do bardzo rozpowszechnionéj organizacyi patryarchalnéj, która czyni przynależność do domu i rodziny zależną od związku władzy, zamiast od spłodzenia przez ojca. Jest-to nawet bardzo prawdopodobném, że te anomalie są drugorzędnemi tworami, wyrosłemi na podstawie już rozwiniętego ścisłego patryarchatu; odnosi się to mianowicie do Chin i do Hebrajczyków. Zjawiska te zbliżają się swą treścią do rozpowszechnionéj u ludów amerykańskich adopcyi przez matkę i podobnie jak ona, zewnętrznie tylko dotykają gotowego już systemu prawa familijnego, nie docierając do głębi jego właściwéj istoty.

Na szczególną uwagę zasługuje sprzeczność, zachodząca między prawném stanowiskiem kobiét wielce korzystném, tudzież znanym ich wpływem społecznym z jednéj strony, a złém obchodzeniem się z niemi u tych samych ludów. „Niesłychane poniżające poniewieranie kobiét u Indyan, — mówi Hellwald, — prześciga postępowanie innych dzikich w tym względzie, nigdzie (?) bowiem nie spotyka się kobiéty

zepchniętéj tak bezwzględnie do rzędu zwierząt jucznych, jak u nich. Z pozbawieniem wszelkiéj czci, idzie oczywiście ręka w rękę jak najsroższe obchodzenie się z niemi.“ O Athapaskach zaś opowiada: „Kobiéty są do tego stopnia poddane swym mężom, że mowy nie ma o jakiémkolwiek przywiązaniu, a wogóle obcém jest im nasze pojęcie o miłości.“ Mackenzie podaje, że mężczyźni Indyan Czyppewayów ulegają napadom zazdrości i katują dla błahych powodów swoje żony z taką srogością, że one to nieraz przypłacają życiem. Kobiéty uważa się na równi z bydlętami jucznemi i jako takie nabywa je każdy mężczyzna w największéj, o ile można, liczbie. „Nazwa kobiéty w języku tego szczepu oznacza niewolnicę. Mimo tego zasięgają oni zawsze jéj rady, a niejednokrotnie wywiera ona wielki wpływ.“

Kontrast ten tłómaczy się samodzielną egzystencyą obok siebie obu pierwiastków: pokrewieństwa i władzy. Pierwsze zdąża nieustannie do złagodzenia położenia kobiéty, doprowadza rzeczywiście do tego wyniku tam, gdzie pokrewieństwo przez matki przetrwało najniższe stopnie kultury. Jako przykład na udowodnienie tego twierdzenia, przytoczyć można ludy indyańskie, które już doszły do spółki rolniczéj, a mianowicie Naczezów. Wogóle uprawa roli, spoczywająca w rękach kobiét, jest u nich ważnym czynnikiem cywilizacyjnym. Bez pokrewieństwa przez matki zupełnieby nie można zrozumiéć, jak kobiéta, tak przygnębiona fizyczną przewagą mężczyzny, mogła dostąpić już w tak wczesnym okresie rozwoju, do tak wielkiego poważania i ogólnego szacunku. Wpływ jéj braci, jako téż i wszystkich innych krewnych po kądzieli, stanowi dla męża skuteczny hamulec, a fakt społecznego znaczenia macierzyńskiego związku krwi przyczynia się do ciągłego polepszania jéj losu, którego niezgodność z jéj stanowskiem niewolniczém, jest tylko pozorną. Istnienie więc równoczesne tych sprzecznych stosunków obok siebie, bywa po prostu symptomatem panującego pokrewieństwa przez matki.

Gdzie zepchnięto ojca na stanowisko drugorzędne, jak u rozlicznych szczepów malajskich, lub gdzie mu się przyznaje znaczenie wyłącznie jako rodzicielowi, jak np. u Nairów, tam łączą się w osobie matki węzły pokrewieństwa i władzy; najbliżsi krewni męscy służą jéj zazwyczaj radą i pomocą, lecz nie są wcale panami rodziny. Inaczéj się ma rzecz tam, gdzie się utrzymał starodawny stosunek ojcowskiéj opieki, lub obszerniejsza władza patryarchalna. Wtedy się bowiem rozwija w przeciwieństwie do władzy ojcoskiéj, opieka, lub w niektórych wypadkach władza męskich krewnych po kądzieli nad żoną i dziećmi. Wpływ ojca doznaje osłabienia, lub nawet zupełnego zniweczenia, a w danym razie nie wytwarza się już wcale

władza ojcowska z dawniejszych stosunków opieki. Jeżeli żona mieszka w domu męża, to może przyjść nawet do tego, że rodzina żony zrywa związek dzieci nietylko z ojcem, lecz nawet z matką, ażeby je usunąć z pod władzy ojcowskiéj. Charakterystycznego przykładu na tę ostateczność dostarcza podróżnik Azara z dziedziny tak obfitego w oryginalne formy prawa południowo-amerykańskiego: „Ojcowie i matki dopóty się opiekują dziećmi, dopóki są one przy piersi, oddają je potém jednemu z żonatych krewnych, wujowi, siostrzeńcowi lub bratu i nie widują ich już potém u siebie, ani nie uważają ich wcale za swoje dzieci. Dzieci zaś te nie uznają żadnego stosunku do swoich ojców i nie opłakują ich śmierci, lecz raczéj śmierć swego ojca przybranego.“ Ostatnie zdanie dowodzi, że cały ten zwyczaj nosi na sobie wybitną cechę pokrewieństwa przez matki. Jak rzadko zresztą z jednéj strony przychodzi do takiéj ostateczności, tak znów z drugiéj strony nigdy nie brak pewnéj opieki krewnych kobiéty, nawet tam, gdzie władza pana domu jest najbezwzględniejszą. Nawet u Australczyków jedynie z niewierną żoną wolno mężowi postąpić sobie z bezwzględną samowolą. Z wyjątkiem kar zasłużonych, nie ma tam mąż żadnego prawa życia i śmierci nad żoną, a nieusprawiedliwione zabicie pociąga za sobą krwawą zemstę ze strony jéj powinowatych, — i tylko u niektórych szczepów jest kobiéta zupełnie bezbronną; *mundium* męża spraliżowało tu zupełnie i przecięło niejako związek pokrewieństwa.

Regułą zaś zwyczajną jest zasada, tak świetnie sformułowana przez Gide'a, kiedy mówi o rozdziale 20-ym Tacytowskiéj „Germanii“: krewni matki reprezentują zarazem matkę wobec ojca, co do jéj władzy nad dziećmi. Z têm większą stanowczością rodzina żony ogranicza męża: „oddając dziewczę ze swego domu obcemu mężczyźnie w małżeństwo, nie zrzekli się wcale prawa opiekowania się nią i bronienia jéj, choćby przed własnym małżonkiem. Jeżeliby kobietę mąż bez dostatecznéj przyczyny wypędził, zelżył, pozbawił mienia, to krewni jéj starali się o restytucyę jéj praw, wyzywając w danym wypadku męża do orężnéj rozprawy.“ Odpowiada to w zupełności rzeczywistemu stanowi rzeczy. U Pehuenchów w Ameryce południowéj może mąż wiarołomną małżonkę ukarać śmiercią jedynie za zezwoleniem jéj krewnych, lecz także za dzieciobójstwo popełnione przez ojca mszczą się na nim krewni matki, tak jak za każde inne morderstwo, przynoszące uszczerbek ich rodowi. Następuje więc ścisły mechaniczny odwet, o ile nie ma we zwyczaju przyjmowania kary pieniężnéj. Ściśle to samo powiedzieć można o Araukanach, a Lippert dodaje: „zjawisko to świadczy o istnieniu pokrewieństwa przez mat-

ki, tam bowiem, gdzie panuje prawo ojcowskie, życie dzieci bywa zupełnie oddane woli ojca.“ Charakterystyczną pod tym względem jest odpowiedzialność ojca u Maori nowo-zelandzkich, uświęcona prawem zwyczajowém: „Jeżeliby syn jakiego Maori poniósł uszkodzenie ciała (np. skutkiem upadnięcia lub poparzenia), wyrusza ludność ze wsi matki na rabunek domu ojcowskiego, który przeprowadza po walce pozornéj, co stanowi karę za szkodę, któréj uległ użyteczny członek szczepu, t. j. owo dziecko. Ten obowiązek zemsty, ciążący na krewnych po kądzieli, przeistacza się w daleko sięgającą opiekę, a wreszcie częstokroć w stosunek władzy. Tak np. opowiada Bancroft o mieszkańcach południowéj Kalifornii: „Jeżeli mąż źle się z żoną obchodzi, krewni jéj odbiérają ją i wracają mu cenę kupna.“ Po śmierci matki opiekę nad dziećmi obejmują u Indyan jéj męscy krewni. Z drugiéj strony nawet za życia matki, wpływ ich bywa tak potężny, że kupno kobiéty nie wszędzie zapewnia mężowi posiadanie dzieci, t. j. prawo rozporządzania niemi. Kobiéta u niektórych ludów afrykańskich, popierana przez swoją rodzinę, posiada taką władzę, że wprost tyranizuje swego męża. Wewnątrz rodziny macierzyńskiéj następuje niebawem różniczkowanie obowiązków. Na pierwszy plan wysuwają się z natury rzeczy brat i wuj (brat matki). Brat z téj saméj matki skoncentrowałby może w sobie wszystkie te prawa i obowiązki względem sióstr, gdyby jego wiek młodociany tak często nie stał mu na zawadzie w występowaniu wobec ojca, jako opiekun i obrońca rodzeństwa. Jest on naturalnie najbliższym po matce krewnym siostry i fakt pokrewieństwa między bratem a siostrą musiano dostrzedz najwcześniéj, dlatego wyłącza on częstokroć w prawie spadkowém, jak to późniéj wykażemy, nietylko wuja, lecz nawet rodziców od spadkobrania po swém rodzeństwie. Tak np. u Australczyków żona wraz z dziećmi dostaje się w udziale bratu zmarłego męża, a na Złotém Wybrzeżu przechodzi majątek osób, należących do klasy zamożniejszéj, podobnie jak dziedziczne godności, a szczególnie władza królewska na najstarszego brata; tak samo przedstawiają się stosunki w Panamie, południowéj Karolinie i Wirginii. Jakkolwiek zjawisko to nie towarzyszy z konieczności zawsze pokrewieństwu przez matki, bywa ono jednak pospolicie przywiązane do tego systemu. Brat występuje nadto, u rozlicznych ludów, jako opiekun siostry obok ojca, a raczéj pomimo ojca. Stosownie do prawa zwyczajowego Creeków, stara się konkurent o dziewczę nie u ojca, który nie ma w téj sprawie głosu decydującego, lecz u wuja, ciotki i brata. U niektórych ludów Australii ma również każdy mężczyzna prawo rozporządzenia swą siostrą, z wykluczeniem ojca dziewczyny, może ją więc oddać w za-

mian np. za inną kobiétę w razie, jeżeli dość ma siły, by się oprzéć jéj porwaniu. W Nowéj Zelandyi wymaga się zezwolenia brata na małżeństwo siostry; na niego przechodzi tam cała władza nad siostrą po śmierci rodziców. Przykładów podobnych przytoczyćby można bardzo znaczną liczbę, a pokazuje się stąd wogóle, że owe tak ważne i daleko idące prawa brata w ścisłym znajdują się związku z pokrewieństwem przez matki i całym jego systemem; — tak jest w przykładach przytoczonych: u Creeków, w Nowéj Zelandyi, tak przedewszystkiém w Australii, jakkowiek w tych wszystkich wypadkach kobiéta i dzieci podlegają zarazem władzy domowéj męża. W ostatnich dwu przypadkach mieszkają oni w jego domu, a w Australii mąż dzierży nad niemi prawdziwą tyranię. Tam jednak, gdzie już powstały patryarchat i pokrewieństwo przez ojców, nie ma warunków powstania równie korzystnego stanowiska brata w prawie familijném; uprzywilejowane to stanowisko wyrasta wszędzie wyłącznie tylko na podstawie pokrewieństwa przez matki. Przeciwnie jednak, raz zapuściwszy korzenie, może się stosunek ten utrzymywać przez dłuższy czas, obok późniejszego panowania ścisłego patryarchatu, a nawet obok agnacyi. Pod tym względem zajmuje brat najkorzystniejsze, w stosunku do innych krewnych, po matce stanowisko, będąc zazwyczaj spokrewnionym z resztą rodzeństwa nietylko przez matkę, lecz i przez ojca, wskutek czego węzły łączące go z rodzeństwem zacieśniają się coraz bardziéj; zawsze jednak wpływ brata wytłómaczyć można tylko poprzedniém pokrewieństwem przez matki, bo konkuruje on niejednokrotnie z ojcem, ograniczając w ten sposób jego znaczenie. Na tę to okoliczność należy więc szczególniejszy położyć nacisk, ponieważ tego rodzaju władza brata często się zjawia wśród patryarchalnego systemu rodziny. Jest-to szczególnie ważném dla historyi prawa Germanów i Słowian.

W ścisłym związku z prawném stanowiskiem brata pozostaje, na co się zwraca zazwyczaj za małą uwagę, znaczenie brata matki, bo wuj dlatego tylko może wpływać na dzieci siostry, ponieważ jest bratem ich matki. Kiedy brat losem swéj siostry, a szczególnie jéj zamążpójściem, często zająć się nie może z powodu swego młodocia-wieku, może on już skuteczniéj się opiekować nią samą i jéj dziećmi po jéj zamęźciu, bo owa przeszkoda wieku znika z czasem, a wuj (brat matki) znajduje się w tym samym stosunku generacyjnym względem swych siostrzeńców, jak ojciec względem własnych dzieci. Tu zaznacza się więc najsilniéj władza opiekuńcza brata. Broni on siostry i jéj dzieci przed mężem i ojcem, często nawet obok niego patryarchat nie może się wcale rozwinąć, w innych przypadkach bywa

przez wuja krępowany i musi na każdym kroku z nim staczać walkę. Typowém dla najbezwzględniejszego panowania brata matki jest prawo familijne menagkabauskich Malajczyków. Rodzina składa się u nich z matki i jéj dzieci, ojciec nie należy do tego związku i jest gościem w domu żony. Głową rodziny jest najstarszy brat matki, osobistość ta jest ze względu na swe prawa i obowiązki właściwym ojcem dzieci swéj siostry. Ojciec zaś istotny nie może wcale dziećmi swemi rozporządzać; nie może ich łajać, ani karać, bo mógłby to wziąć za złe wuj, brat matki.

W społeczeństwie indyańskiém Ameryki północnéj jest pokrewieństwo między siostrzeńcem a bratem matki, z wielu względów ważniejszém, niż każde inne, z powodu władzy, jaką wuj posiada nad swymi siostrzeńcami i siostrzenicami. Jest on właściwą głową rodziny swéj siostry. Licznych do tego komentarzy dostarczają dzisiejsze zwyczaje Indyan amerykańskich: tak np. u Choctaw'ów, chłopca, którego chcą oddać do szkoły, prowadzi do misyi i umowę stosowną zawiera—nie ojciec, lecz brat matki. U Winnebageów może wuj żądać pewnych posług od swego siostrzeńca, karcić go, do czego ojciec nie ma żadnego prawa tak dalece, że nie śmiałby nawet tego próbować. U Creeków o rękę dziewczęcia należy się starać u brata matki. U południowo-amerykańskich ludów wuj miał pewne prawa do córki swéj siostry. „W chwili jéj urodzenia podnosi on ją z ziemi i uważa ją odtąd za swą przyszłą żonę. Ojciec zaś tego dziecka jest odtąd wolny od części swych zobowiązań względem żony i jéj rodziców, bo przyszły małżonek jego córki bierze je na siebie“ (Lafiteau). U Goajirów w Wenezueli brat matki jest właścicielem dzieci swéj słostry, jest więc nieograniczonym panem ich wolności i życia. On to, nie zaś ojciec, ma prawo je sprzedać, co publiczna opinia uważa za rzecz zupełnie słuszną, lekceważąc sobie stosunek prawny, łączący ojca z dzieckiem. Również i w Loango ma wuj władzę ojcoską i może dziecko sprzedać, do czego ojciec nie ma prawa, choć z drugiéj strony zezwolenie na małżeństwo córki należy osięgnąć u ojca, cenę zaś kupna zabiera brat matki. W razie skazania za pewne oznaczone zbrodnie, popadają siostrzeńcy skazanego, jako jego najbliżsi krewni w niewolę. Podobnie się rozwinęła władza rodzinna wuja u ludu Basuto (według Casalisa) i u wielu innych ludów Afryki, bywa to jednak regułą w razie panowania pokrewieństwa przez matki, jak to podnosi Westermarck, że władza brata matki nie absorbuje władzy ojca, lecz wywołuje tylko częściową zależność siostrzeńców od wuja. Tutaj podobnież zależy szczególnie wiele na umiejętném wykazaniu związku między władzą brata matki a pokrewieńswem przez matki.

Z tego powodu byłyby bardzo pożądane monografie wyczerpujące o ile możności, a obejmujące cały dotychczas nagromadzony materyał, poświęcone stanowisku prawnemu różnych krewnych ze strony matki. Jesteśmy zresztą przekonani, że takie badanie specyalne nie zmieni wcale obrazu nakreślonego na podstawie danych, któremi dziś rozporządzamy, bo najnowsze opisy etnograficzne dostarczają w rzeczywistości nowych tylko przykładów, nie zawierają jednak żadnych typów nieznanych. Właściwém więc zadaniem umiejętności jest raczéj pogłębienie, niż rozszerzenie osiągniętych już rezultatów. Uprzywilejowane stanowisko brata matki obok ojca jest niedwuznacznym symptomem pokrewieństwa przez matki, wyrosło ono bowiem na téj podstawie, jest ono zrozumiałém jedynie na tle pojęć z niém skojarzonych, jest zaś rdzennie przeciwném zasadzie patryarchatu, która nie zna władzy innéj, prócz téj pana domu, ani innego czynnika organizacyjnego, prócz władzy.

V.

O rodzinie patryarchalnéj.

Z pokrewieństwa przez matki i obok niego wywiązuje się patryarchat, nazwany przez Lipperta „*Altfamilie*“. Wyczerpujące traktowanie téj instytucyi nie jest naszym zamiarem, tém więcéj, że była już przedmiotem wielu znakomitych monografii, mianowicie Leista i Henryka Maina. Co się tyczy opozycyi Leista przeciw pokrewieństwu przez matki, to okaże się ona bezprzedmiotową, jeżeli tylko się należycie odróżni zasady władzy od stosunków pokrewieństwa.

W ten sposób dadzą się utrzymać hypotezy Kohlera o pierwiastkach starodawnego systemu macierzyńskiego, zawartych w prawie indyjskiém, pomimo rezultatów badań Leista, w pozornéj z Kohlerem pozostających sprzeczności. Ścisły patryarchat, którego typowych okazów dostarczają nam cywilizowane ludy starożytności klasycznéj, tudzież Germanie i Słowianie, odznacza się wszędzie nadzwyczaj konsekwentnie przeprowadzoną organizacyą władzy pana domu, która ogarnia nietylko dzieci zrodzone przez panią domu, lecz także inne osoby. Czy ze względu na nieograniczone, absolutne prawo pana domu, rozporządzania wszystkimi ludźmi i rzeczami, znajdującemi się w obrębie jego władzy, mówić można o wspólném prawie własności tych osób na owych rzeczach, jest-to bardzo wątpliwą kwestyą. „Oj-

ciec rodziny, będący panem domu“ (*der Vater des Herrenrechtes*), jak się Lippert wyraża, „posiada tylko prawa bez żadnych obowiązków.“ Dziecko matki, znajdującéj się pod jego *mundium* (opieką), do nikogo innego nie może należéć, jak do niego, lecz prawo to nie nakłada nań żadnych obowiązków. *On* tylko *może* dziecko przyjąć za swoje, lecz *nikt* nie *musi* go przyjmować. Jeżeli go nie przyjmie, nie będzie ono *jego* dzieckiem. Dopiéro po dokonaném przyjęciu w grono rodziny, zyskuje ono prawo do udziału w opiece domowéj, któréj wykonawcą jest ojciec. Nie inaczéj rozumiano w Rzymie zdanie: „Urodzenie i podniesienie nowonarodzonego z ziemi, są środkiem do uzyskania prawych dzieci.“ *Sublatio* (podniesienie) było koniecznym warunkiem téj przynależności, niemniéj jak urodzenie.

Podobnie mówią kronikarze północno-germańscy, prawie zawsze, chcąc zaznaczyć stosunek do ojca, o dzieciach, które on „podniósł“, a nie o dzieciach, które spłodził, lub które mu się urodziły. Urodzenie i spłodzenie nie wystarczały, ich zdaniem do stworzenia prawnego stosunku dzieci do ojca, wymagane bowiem było do tego podniesienie „z ziemi.“

Wszędzie, gdzie się znajdują podobne wyobrażenia, jak u Greków, Rzymian i Germanów, nosi na sobie patryarchat ślady względnie świeżego powstania, a panuje właściwie zawsze jeszcze p o k r e w i e ń s t w o p r z e z m a t k i, bo uważa się jeszcze jedynie węzły krwi przez matkę za rzeczywisty stosunek pokrewieństwa. Pokrewieństwo przez matki nie ma jednak s k u t e c z n o ś c i prawnéj o tyle, o ile zdołało zawładnąć wyłączne panowanie ojca, który zresztą dosyć pospolicie, jakkolwiek nie wszędzie, obejmuje władzę nad dziećmi dopiéro za pośrednictwem panowania nad matką.

Gdziekolwiek zaś władza ojca nie zdołała ogarnąć wyłącznego panowania, występuje wszędzie na jaw pokrewieństwo przez matki z wszystkiemi swemi konsekwencyami. Pomimo, że władza ojcoska była już daleko więcéj rozpowszechnioną, p o k r e w i e ń s t w o p r z e z m a t k i pozostaje jeszcze długo zasadą obszerniejszą, nie wchodzącą w zastosowanie tylko o tyle, o ile ją ogranicza prawo ojca, zachowującą jednak pierwotne panowanie wszędzie, gdzie nie ma téj zapory.

Dalecy jesteśmy od twierdzenia, jakoby fizyczne ojcostwo koniecznie musiało być niepewném za panowania patryarchatu.

W regule bywa ono tak pewném, że ojciec rodziny nie miewa pod tym względem żadnego powodu do wątpliwości. Mimo to jednak, rodzina patryarchalna dopóty opiera się tylko na władzy, a nie na pokrewieństwie, dopóki spłodzenie przez ojca nie jest i s t o t n é m

dla przynależności dzieci do rodziny, a wskutek tego pan domu uznaje za swoje dzieci spłodzone przez obcych mężczyzn, jedynie na podstawie tego, że je zrodziła prawa jego małżonka. Patryarchalna owa władza ojca rodziny obejmuje także prawo rozporządzania względami żony, mianowicie o tyle, że w pewnych wypadkach, małżonka za zezwoleniem, lub z rozkazu swego pana i męża oddać się winna innym mężczyznom np. przyjaciołom lub gościom. Zasada patryarchatu da się więc pogodzić nietylko z lewiratem i niyo-gą [1]), lecz nawet z pewną obojętnością względem cudzołostwa żony, byleby ono nie nadwerężało praw panowania męża.

Moralna wartość patryarchatu jest bardzo wielka. Nietylko przygotowuje się tym sposobem pokrewieństwo agnacyjne, lecz także stosunek władzy między ojcem a dzieckiem może się bardziéj zacieśnić i na serdeczniejszych oprzéć podstawach: patryarcha widzi w synu swym bojownika, broniącego interesów rodu, dziedzica swego imienia i swéj sławy. Prawo zwyczajowe rodziny patryarchalnéj obarcza dzieci, zobowiązaniami, sięgającemi po za śmierć ojca, obowiązkami religijnemi, a mianowicie ofiarami za zmarłych. Pod tym względem wkracza prawo familijne w zakres zupełnie odmiennych idei wpływających głęboko na jego treść, nie tworzących jednak jego właściwéj podstawy organizacyjnéj.

Związek rodzinny staje się zarazem związkiem domowym i rozciąga się natychmiast po za granicę stosunku między ojcem a dziećmi na inne osoby podległe jego władzy, lub władzy dziadka, ojca owego patryarchy. Przedewszystkiém więc zbliżają się do dzieci najbliżsi krewni ojca, a szczególnie jego bracia. Tu się okazuje pierwotnie współdziałanie czynników pokrewieństwa przez matki i stosunków władzy, współdziałanie, któreśmy już wyjaśnili przez rozwiniętą poprzednio naukę o prawném stanowisku braci. Pan domu dopuszcza swoich braci, jako najbliższych krewnych, coraz to bardziéj do udziału we władzy; stąd występuje już bardzo wcześnie stryj, brat ojca, na plan pierwszy, nawet w czasie względnéj przewagi pokrewieństwa

---

[1]) Lewiratem zwie się obowiązek jednego z krewnych pana rodziny, zmarłego bezdzietnie, lub bez synów, spłodzenia z pozostałą wdową przynajmniéj jednego dziecka, które winno spełniać obowiązki religijne względem zmarłego a mianowicie przepisane ofiary. Instytucya ta znajduje się u licznych ludów, między innemi u dawnych Hebrajczyków i w prawie indyjskim. Niyo-ga jestto instytucya tegoż prawa, mocą któréj mężczyzna bezdzietny zyskuje dzieci, spłodzone przez zastępcę z jego małżonki, lub córki, jako swoje własne. Warunki i sposób urzeczywistnienia tego przepisu, zarazem religijnego, były ściśle określone prawem.

przez matki, skoro się tylko wogóle rozwinął stosunek władzy i opieki małżonka.

Również i inni krewni ojca wchodzą w bliższe stosunki z dziećmi. W istocie jednak pokrewieństwo przez matki wywiéra zawsze jeszcze wpływ przeważający, tworząc fundament, na którym się opiera gmach związków prawnych między dwiema rodzinami.

Ten sam dualizm spotykamy w prawie spadkowém. Patryarchat wytwarza własne prawo spadkowe: syn dziedziczy po ojcu, pomimo, że zajmuje on wobec niego przedewszystkiém stanowisko członka związku domowego, bez względu na zachodzące pokrewieństwo. Dlatego to dawne prawo spadkowe było tak zagadkowém, ponieważ jego punktem wyjścia nie była jednolita zasada, lecz równocześnie dwie, zupełnie różne zasady t. j. pokrewieństwo (przez matki) i władza (pana domu). Stosunek opieki, pospolity już na niższych stopniach rozwóju, a kojarzący mężczyznę z jego rodziną, był zazwyczaj luźny i nietrwały (jak np. na wyspach Andamańskich, gdzie małżeństwo trwało przez czas karmienia dziecka, lub u różnych szczepów murzyńskich, gdzie kobiéta może każdéj chwili zerwać stosunek, łączący ją z mężczyzną i jeżeli jéj się mąż sprzykrzył, bez namysłu go porzuca). Władza ojca nad dziećmi gasła w podobnych stosunkach natychmiast nawet tam, gdzie była prawnie uznaną, z chwilą utraty głównego warunku istnienia t. j. fizyczynéj przewagi. Patryarchat przeciwnie jest zupełnie niezależny od podobnych przypadkowych czynników. Wsparty na prawie zwyczajowém, postępuje on bezustannie naprzód w zwycięskim pochodzie, wypierając społeczną organizacyę pokrewieństwa przez matki. Ojcowie zdążają energicznie do tego, by w wypadku rozwodu, oddalenia lub wypędzenia matki, wszystkie dzieci zatrzymać przy sobie. Wilken wykazał to szczegółowo na przykładach z prawa zwyczajowego malajskiego, jak liczne istnieją formy przejściowe między systemem pokrewieństwa przez matki i matryarchatem z jednéj strony, a patryarchatem z drugiéj strony, które są owocem owego starania.

Nie wszędzie się kończy walka odrazu pomyślnie dla patryarchatu. Częstokroć dawna idea pozostaje nietkniętą, tak, że władzę nad dziećmi zyskuje lub traci ojciec jedynie za pośrednictwem władzy nad matką. Niesłuszném jest więc, bo w sprzeczności z faktycznym stanem rzeczy, twierdzenie Lipperta, jakoby było charakterystyczną cechą nowego systemu, iż matki muszą pozostawić dzieci ojcu, gdyby same dom jego opuściły. Ta konsekwencya patryarchatu jest wprawdzie dosyć rozpowszechnioną, lecz przecież nie uniwersalną. Pozostaje ona w związku nietylko z zasadą władzy, lecz

także z pewnemi spostrzeżeniami z dziedziny popularnych pojęć fizyologicznych o względném znaczeniu udziału obojga rodziców w płodzeniu.

Co się zaś tyczy tak zajmującéj kwestyi, ukształtowania prawa familijnego u aryjskich przodków ludów europejskich, możemy się powołać na badania Kohler'a nad prawem indyjskiém, tudzież na prace Bernhöfta ogłoszone również w ostatnich tomach Czasopisma dla umiejętności prawa porównaczego [1]). Całą tę kwestyę gmatwa szczególnie tak rozpowszechniona, znajdująca się także w pracach Leista, identyfikacya prawa staroindyjskiego ze staroaryjskiém. Postępowanie tego rodzaju ze stanowiska metody naukowéj zupełnie należy potępić. Najdawniejsze źródła wiadomości naszych o prawie indyjskiém świadczą o istnieniu ludu już bardzo wysoko rozwiniętego, posiadającego nader skomplikowany, a zarazem oryginalny system religijny: pochodzą one jednak z czasów, kiedy skutkiem podboju Indyi, przyjęcia licznych obcych żywiołów i rozpadnięcia się ludu na kasty etnologicznie różne, musiało przyjść do głębokich, daleko idących przewrotów we wszystkich stosunkach pierwotnych. Jest więc wobec tego błędem kardynalnym chcieć instytucye i urządzenia indyjskie żywcem przenosić na pierwotne stosunki dawnych Aryjczyków. Nie są to wogóle żadne stosunki pierwotne, a najmniéj stosunki pierwotne dawnych Aryjczyków. Indowie Vedy i Mahabaraty w wielu względach przewyższają cywilizacyę Germanów i Słowian, żyjących o tysiąc, względnie dwa tysiące lat późniéj. Germańska organizacya prawna ma tylko niektóre punkta styczne z indyjską, a mianowicie przeważnie takie, które nie są specyalnie indyjskiemi, lecz ogólnie ludzkiemi. Dotyczy to patryarchatu, spółki domowéj i pozostałości pokrewieństwa przez matki. Bernhöft charakteryzuje organizacyę rodzinną, pochodzenia aryjskiego, zrekonstruowaną w drodze porównania najdawniejszych znanych praw, w następujący sposób: „Na początku ery historycznéj była spółka domowa (t. j. grupa familijna Starckego, niepodzielna rodzina (*joint family* uczonych angielskich), panującą formą pierwotną u ludów indogermańskich. Nie można jéj właściwie nazwać pokrewieństwem, ponieważ istotnym czynnikiem prawnym jest tu przynależność do domu, nie zaś pochodzenie. Pokrewieństwo (?) polega na przyjęciu do rodziny: przedewszystkiém przyjmuje się dzieci, zrodzone przez kobiéty, należące do rodziny: zamężne lub niezamężne. Prawidłowo rozwija się jednak forma wspólności domowéj, którą moglibyśmy nazwać patryarchalną.

---

[1]) Zeitschrift für vergleichende Rechtswissenschaft.

Każdy pan domu panuje nad dziećmi i dziećmi swego syna, nad żoną i synową i nad każdym kogo tylko do rodziny swéj przyjął. Faktyczne spłodzenie ze strony *patris familias* jest pierwotnie zupełnie obojętne dla przynależności do rodziny. Należą do niéj te nawet dzieci, które spłodził ktoś trzeci z matką rodziny. Jeżeliby pochodziły z zakazanego obcowania płciowego, może się okoliczność ta stać przyczyną porzucenia dziecka; w najdawniejszych czasach wszelako wobec panujących wtedy przekonań nie było to wcale prawidłem. Przyjmowanie dzieci nieprawych lub obcych osób do rodziny, nie uchodziło bynajmniéj za niekorzystne dla głowy rodziny, lecz raczéj za korzyść, bo zwiększało liczbę poddanych i współpracowników".

Widoczném jest stąd, jak obraz powyższy zgadza się z przedstawieniem opiekuńczéj władzy ojca we wcześniejszéj epoce rozwoju, zawartém w jednym z poprzednich rozdziałów, i że znamienna cecha patryarchatu, odróżniająca go od innych systemów organizacyi rodzinnéj, polega nie tyle na treści, ile na surowszéj formie prawnéj. Bernhöft przychyla się także do zapatrywania, wyrażonego w mojéj książce „O pokrewieństwie przez same tylko matki", że wśród owego systemu patryarchalnego znajduje się jeszcze pokrewieństwo przez matki. Bernhöft sądzi jednak, że ono nie ma już znaczenia wyłącznego, lecz bywa podporządkowane innéj zwycięskiéj zasadzie. Twierdzenie to należy o tyle sprostować, że pokrewieństwo przez matki nie jest koniecznie w tym wypadku podporządkowane, lecz przeciwnie, może być równorzędne i równouprawnione.

Także w czasie, kiedy najsurowszy patryarchat, „rodzina patryarchalna" (*Altfamilie*) jeszcze się nie rozwinęła, niejednokrotnie można było spotkać analogiczne uprawnienia pana domu, obejmujące władzę i opiekę obok pokrewieństwa przez matki, przeprowadzonego konsekwentnie i jednostronnie. Istnieją tu przejścia i wzajemne wpływy, nie ma jednak właściwych kontrastów, niezgodnych przeciwieństw, o czém ani na chwilę zapominać nie należy. Wykazanie wpływów pokrewieństwa przez matki w dawniejszych historycznych prawach indogermańskich, natrafia, jak powiada Bernhöft, na trudności o tyle, że w wielu wypadkach niewątpliwie zasada wspólności domowéj podówczas panująca, a pozostająca, jak dodać należy, w ścisłym związku organicznym z patryarchatem, doprowadza do takich samych rezultatów, co pokrewieństwo przez matki. Tak np. przynależność dzieci, które jeszcze w związki małżeńskie nie weszły, do rodziny matki, odpowiada nie tylko organizacyi macierzyńskiéj, lecz także i zasadzie wspólności domowéj, ponieważ niezamężne dziewczę znajduje się pod władzą jéj własnych krewnych. Teraz już podnosimy tę okoli-

czność jako szczególnie ważną dla należytéj charakterystyki patryarchatu. Przykładowi przytoczonemu przez Bernhöfta możemy zarzucić dwie rzeczy: pierwsze, że w wielu wypadkach prawny związek między matką a dzieckiem okazuje się silniejszym, niż związek lokalny domu patryarchalnego i stosownie do tego, w wypadku rozwodu, dzieci i matka dom ów opuszczają;—drugie, że nawet pomijając to zjawisko, fakt opierania się stosunku dzieci z ojcem i jego krewnymi na władzy, związku zaś z matką z jéj krewnymi na stosunku krwi, wystarcza sam przez się, by udowodnić ciągłość trwania dawnego pokrewieństwa przez matki obok patryarchatu.

W istocie w nowszych czasach filolodzy podnieśli zarzuty przeciw zapatrywaniu, jakoby u ludów aryjskich patryarchat miało wyprzedzić dawniejsze pokrewieństwo przez matki. Zwątpićby można o umiejętności i wiedzy wogóle, jeżeli się zważy, że Kohler, którego gruntowność w badaniu powszechnie jest znana, doszedł drogą indukcyjną do wprost przeciwnych wniosków. Jak Bernhöft sądzi wobec ostatnich prac Schrader'a i Delbrück'a z dziedziny umiejętności porównawczéj języków, zdaje się już nie ulegać żadnéj téż wątpliwości, że aryjski lud pierwotny nie żył według zasad pokrewieństwa przez matki. Stosownie do naszych dotychczasowych rezultatów, zupełny brak pokrewieństwa przez matki w więcéj oddalonéj epoce pierwotnéj, byłby zupełnie normalnym. System ten mogły rzeczywiście wyprzedzić już pewne dawniejsze prawo opiekuńcze ojca, podobnie jak u innych szczepów ludzkich, według wszelkiego prawdopodobieństwa. Jeżeli więc umiejętność porównawcza języków wykazała, że pewne nazwy stopni pokrewieństwa sięgały aż do wspólnéj epoki pierwotnéj, lecz właśnie tylko takie nazwy, które się odnoszą do ojca i tegoż krewnych, rezultat zgadza się zupełnie z naszemi własnemi twierdzeniami. Bernhöft miał zresztą racyę, podnosząc, że rezultaty, uzyskane za pomocą porównania języków, mogą mieć zastosowanie tylko do aryjskiego ludu pierwotnego, bo już u grupy ludów europejskich zjawia się wspólna nazwa wuja, brata matki, u pojedyńczych ludów indogermańskich, mogłyby więc były wystąpić niewątpliwie instytucye, polegające na pokrewieństwie przez matki. Już wspólni przodkowie europejskiéj grupy ludów rozwinęli zatém prawdopodobnie u siebie pokrewieństwo przez matki i zatrzymali je następnie już po rozszczepieniu się na poszczególne narody. Pominąwszy te uwagi, stosownie do których egzystencya pokrewieństwa przez matki u owych ludów pierwotnych jest nietylko możliwą, lecz da się nawet łatwo udowodnić, chociażby wyłącznie na podstawie filologii porównaczéj, mamy jeszcze inne wątpliwości co do wniosków przeciwnych

pokrewieństwu przez matki, podtrzymywanych przez filologów i polecamy jaknajgoręcéj fachowcom uwzględnienie tych zarzutów. Okoliczność, że nazwy ojca i niektórych najbliższych krewnych ojca, członków ściślejszéj rodziny już w pierwotnym języku się rozpowszechniły, nie jest wcale, jakto już wyczerpująco przedstawiliśmy, zaprzeczeniem pokrewieństwa przez matki, bo nawet w czasie panowania tego systemu, ojciec bywa prawie wszędzie uznany za takiego, choć nie wszędzie bywa panem domu. Ojciec nie miał wprawdzie znaczenia prawnego ze stanowiska organizacyi macierzyńskiéj, nie będąc krewnym dziecka, ze stanowiska zaś związku domowego i familijnego a w wielu przypadkach, nawet ze stanowiska władzy, był on od dawien dawna nie mniéj wpływowym, niźli matka. Toż samo powiedziéć można o najbliższych krewnych ojca, którzy wywierali mniejszy lub większy wpływ na dzieci, wskutek ścisłego stosunku do ojca.

Fakt, iż we wszystkich językach aryjskich znajduje się ten sam rdzeń słów oznaczających ojca i najbliższych krewnych po mieczu, służył filologom słusznie za dowód, iż stosunek prawny między temi osobami a dziećmi był powszechnie uznany już u wspólnych przodków owych ludów. Inną kwestyą jest zaś, czyli się da usprawiedliwić rozumowanie wprost odwrotne: iż pokrewieństwo przez same matki — i wogóle wszelkie stosunki pokrewieństwa z krewnymi po kądzieli zupełnie nie istniały, ponieważ nie ma wspólnego miana tych osób w odnośnych językach. Warunkiem prawdziwości tego zdania jest dalsze twierdzenie, że wszystkie części składowe pewnego ludu muszą koniecznie oznaczać każdy przedmiot, całemu ludowi powszechnie znany, jedném i tém samém mianem. Twierdzenie to jest zaś zupełnie mylne. Pierwotny naród aryjski nie był według nowszych badań szczepem drobnym, liczącym niewiele głów, lecz bez wątpienia ludem licznym, wielkim, złożonym z bardzo różnorodnych składników; sposób powstania takich ludów zbadali i wyjaśnili Herbert Spencer, tudzież Gumplowicz w swoim „*Rassenkampf*“ znakomicie, jakkolwiek może nie wyczerpująco. Każdy naród liczniejszy składa się z pewnych nierównorodnych części, które się zrosły w jedność pod wpływem wojny i innych wpływów zewnętrznych. W narodzie takim rozwija się wprawdzie język wspólny, lecz nie wynika z tego bynajmniéj, żeby cały naród oznaczał wszystkie pojęcia wspólne temi samemi wyrazami. Właśnie takie instytucye, które były znane różnym częściom składowym narodu, już zanim się połączyły w jedność, mogły zachować dawne, już od początku różne miana, nawet po dokonaniu złączenia; przeciwnie zaś, oznaczano jedną i wspólną nazwą takie in-

stytucye, które powstały dopiéro po złączeniu w jedność. Jestto bez wątpienia jednym z powodów niezliczonych różnic dyalektycznych, które zachodzą w obrębie poszczególnych języków, o ile one nie polegają na historyczném przeistoczeniu zgłosek. Zdarza się często zupełnie odmienne oznaczenie tych samych przedmiotów w różnych dyalektach pewnego języka, mimo tego, że różnicom tym lingwistycznym nie odpowiadają żadne różnice w samychże przedmiotach. Gdyby uczony przyszłych czasów chciał wnioskować z okoliczności, iż niebyło wspólnéj nazwy przedmiotu, że naród cały go nie znał, wniosek tego rodzaju znajdowałby się w oczywistéj sprzeczności z prawdą. Powtarzamy, że wnioskować można ze wspólnego miana, iż dane pojęcie musiało być od początku wspólne, brak wspólnego miana nieusprawiedliwia jednak wniosku, iż pojęcie wspólne nie istniało. Delbrück przyznaje nawet wyraźnie, że prawdopodobnie istniały nazwy partykularne dla wuja, brata matki.

Nie należy więc przywiązywać zbyt wielkiéj wagi do zaczepek wymierzonych przeciw nauce o pokrewieństwie macierzyńskiém ze strony lingwistów. Gdyby zaczepki te były słuszne, nie sprzeciwiałyby się one mimo tego istnieniu owego systemu u przodków poszczególnych grup narodów aryjskich np., a wspólnych przodków szczepów germańskich i słowiańskich. Sama filologia porównawcza dostarcza najcenniejszych dowodów tego twierdzenia.

Lecz nawet materyalna trafność twierdzeń umiejętności filologicznéj jest pod tym względem bardziéj niż wątpliwą. Należy więc korzystać z jéj rezultatów z największą ogłędnością. Argumenty Schradera i Delbrücka dotykają prawie wyłącznie tylko dawniejszéj teoryi systemu pokrewieństwa przez matki, która nie odróżniała władzy od związku krwi. Przestrzegając zaś tego zasadniczego rozróżnienia, można znakomicie pogodzić stan prawa familijnego staroaryjskiego, wywnioskowanego z analogii języków, z równoczesném panowaniem pokrewieństwa przez matki.

VI.

O powstaniu pokrewieństwa przez ojców z pierwotnego pokrewieństwa macierzyńskiego i z patryarchatu.

Bardzo podzielone są zdania co do pierwszości historycznéj pokrewieństwa przez matki przed pokrewieństwem przez ojców. Maine, Letourneau, Starcke, twierdzą nawet wprost, że prawo matki jest stanowczo i to wszędzie późniejszym wytworem, pokrewieństwo

zaś przez ojców od początku już dzierżyło hegemonię. Spór ten wynika z niejasności panujących pojęć o pokrewieństwie i o władzy; z chwilą, kiedy zostaną wyjaśnione, spełni się przepowiednia Posta, „że się pierwotność pokrewieństwa przez matki wkrótce da niezbicie udowodnić“. Z poprzednich rozdziałów wynika, że pierwotność systemu macierzyńskiego należy w ten sposób rozumiéć, iż w saméj rzeczy pokrewieństwo przez matki, wraz z jego skutkami wyprzedziło system pokrewieństwa przez ojców, lecz z drugiéj strony niektóre stosunki opieki i władzy ojcowskiéj, jak i wyobrażenia o ojcostwie fizyczném, mogły były istniéć obok lub nawet przed pokrewieństwem przez matki.

Mamy zresztą niejakie historycznie uwierzytelnione przykłady przejścia od pokrewieństwa przez matki do pokrewieństwa przez ojców; natomiast ani jednego przykładu rozwoju w przeciwnym kierunku. W najnowszych czasach, mianowicie, różne szczepy Indyan północno amerykańskich poprzechodziły od prawa macierzyńskiego do organizacyi przeważnie agnacyjnéj: C r e e k o w i e porzucili przestrzegane dawniéj tak ściśle przechodzenie władzy naczelnika szczepu w linii żeńskiéj; Owen Dorsey stwierdza wyraźnie rozwój pokrewieństwa przez ojców u szczepu O m a k a. Porównanie dawniejszych wiadomości i opowiadań o Indyanach północnéj Ameryki, a mianowicie opisów szczegółowych, których nam dostarczają Lafiteau i Charlevoi z nowszemi sprawozdaniami np. Ryszarda Irving'a Dodge'a, Schoolcraft'a i Powell'a, okazuje niewątpliwe osłabienie organizacyi macierzyńskiéj a odpowiedni wzrost społecznych tworów, opierających się na pokrewieństwie przez ojców. Także i w prawie ludów malajskich spostrzeżono podobną zmianę; u Redjang'ów na wyspie Sumatrze przejście od prawa macierzyńskiego do pokrewieństwa przez ojców jest faktem historycznie stwierdzonym, u Batak'ów tamże da się to z łatwością wykazać, że hołdowali oni pokrewieństwu przez matki przed przyjęciem obecnie panującego systemu pokrewieństwa po mieczu.

Nie należy się dziwić, że tego rodzaju bezpośrednie świadectwa są tak nieliczne, ponieważ owe ludy pierwotne nie mają żadnéj historyi a bezpośrednie wiadomości o ich rozwoju prawnym czerpiemy tylko ze sprawozdań Europejczyków, którzy mieli sposobność czynienia spostrzeżeń przez dłuższy czas, jeżeli wogóle raczyli zwrócić uwagę na owe stosunki. We wszystkich innych wypadkach musimy się zadowolnić wnioskami wstecznemi, którym na szczęście nie brak odpowiedniego uzasadnienia. I tak np. doszli tą drogą badacze do przekonania, że w Polinezyi i na Kaukazie, wszędzie pokrewieństwo przez

matki wyprzedziło stan obecny. Bardzo liczne i bardzo ważne są przykłady, gdzie ojciec się stara, mimo uzasadnionych praw krewnych po matce, zdobyć sobie ofiarami pieniężnemi i najrozmaitszemi wybiegami prawniczemi korzystne stanowisko prawne wobec dzieci. Wszędzie występuje on jako strona pożądająca nabycia stanowiska w rodzinie, że się tak wyrażę—zdobywająca, co w sposób niedwuznaczny dowodzi pierwotności pokrewieństwa przez matki.

Stosownie do bardzo rozpowszechnionego zapatrywania, miał mianowicie zwyczaj porywania kobiét przyczynić się do osłabienia przestarzałych węzłów pokrewieństwa przez matki i do stworzenia niezależnėj od niego władzy ojcoskiéj nad żoną i dziećmi, z któréj miało się późniéj rozwinąć pokrewieństwo agnacyjne. Rzeczywiście, znamy kilka takich wypadków, w których porywanie kobiét skutek tego rodzaju wywołało. Wilken donosi, że u pewnego szczepu malajskiego mężczyźni przez małżeńswo wychodzą zwykle ze swego związku rodowego, przechodząc do wspólności rodowéj żony, a dzieci skutkiem tego należą do szczepu matki. Zdarza się jednak, że mężczyzna drogą porwania zdobywa sobie żonę, a wtedy dzieci przyznawane są w zupełności ojcu. Rodzicom porwanego dziewczęcia płacą rodzice męża pewne wynagrodzenie, czy karę pieniężną, która temu całemu stosunkowi nadaje piętno uprawnienia. Inny przykład z tego samego zakresu podaje Riedel w wielkiém dziele o rasach kędzierzawo- i gładko-włosych. Na pewnėj grupie wysp indyjskich panowała mianowicie polyandrya i pokrewieństwo przez matki; kobiéty jednak na wojnie zdobyte uważano za własność mężczyzn a dzieci z nich spłodzone dziedziczyły po ojcu.

Do téj saméj grupy zjawisk zaliczyć trzeba przynależność do rodziny ojca — dzieci zrodzonych z niewolnic w tych krajach, gdzie dzieci zrodzone z żon prawych ulegają pokrewieństwu przez matki. Tak się dzieje na wybrzeżu Loango. Także u północno-afrykańskich Berberów i u szczepów murzyńskich ten sam fakt dostrzeżono. Twierdzimy jednak, jakkolwiek będzie to brzmiało niby paradoks, że wszystkich tych przykładów nie należy bynajmniéj utożsamiać z usunięciem zasad pokrewieństwa przez matki. Tworzą one raczéj wypadek zastosowania zasady, według któréj prawne stanowisko dzieci zależy od prawnego stanowiska matek. Ponieważ ojciec nie jest wstanie zasady téj usunąć, przeto daje on dzieciom swym matkę, nie należącą do innego związku władzy, prócz jego własnéj. Stąd téż dzieci są jego dziećmi i znajdują się z ojcem we wzajemnym związku spadkobrania. Ponieważ ich matka jest jego wyłączną własnością, dzieci także dzielą jéj losy prawne. Ojciec musi więc korzystać z faktu

macierzyństwa, by doprowadzić do znaczenia swą władzę ojcoską. Wogóle, wszelkie wypadki porwania kobiét, lub małżeństwa z niewolnicami, dotyczą przedewszystkiém stosunku władzy, nie zaś pokrewieństwa, a dla systemu pokrewieństwa mają znaczenie tylko o tyle, o ile władza patryarchalna w ciągu rozwoju historycznego przemienia się w pokrewieństwo agnacyjne. Nie może więc być mowy o prawidłowym rozwoju, któryby prowadził od dawnego pokrewieństwa przez matki, za pośrednictwem małżeństw zawartych przez porwanie, do systemu pokrewieństwa przez ojców. Że nie ma żadnego związku koniecznego praktyki porywania kobiét z władzą ojcoską i systemem pokrewieństwa, wynika to dostatecznie z okoliczności, że w rozlicznych przypadkach u ludów pierwotnych dzieci dziedziczą po ojcu, choć matka w związek małżeński weszła nie drogą porwania, lecz prawnego kontraktu: kiedy znów przeciwnie, u innych ludów pomimo dokonanego uprowadzenia, dzieci przynależą do rodziny matki. Zjawisko to występuje szczególnie tam, gdzie małżeństwo przez porwanie współzawodniczy z małżeństwem przez kupno, które, będąc normalném, pociąga za sobą jako prawny skutek władzę ojcoską, kiedy małżeństwo przez porwanie nie jest wstanie wywołać tego skutku prawnego, bo choć uchodzi za małżeństwo z powodu stosunków małżeńskich, które pociąga za sobą, to jednak dawny związek rodzinny żony i jéj dzieci utrzymuje się mimo niego, a nawet dawny związek władzy przysługującéj rodzinie kobiéty nie niweczy się, jeżeli porwanie nastąpiło w czasie pokojowym. Tamten bowiem związek zawarty przez kupno kobiéty jest prawnie uzasadnionym, porwanie zaś nosi na sobie w tym przypadku charakter bezprawia i gwałtu. Z tego, cośmy powiedzieli, widać, że liczne ludy mogły były zachowywać małżeństwo przez porwanie, a mimo to trwać nadal przy pokrewieństwie przez matki. Klasyczne co do porywania kobiét ludy, jak Australczycy i Karaibowie, hołdowały równocześnie pokrewieństwu przez matki. Miejscami nawet małżeństwo przez porwanie złagodniało, zmieniając się już w ceremonię weselną dość jeszcze rubaszną; ludy przebyły zatém długą fazę życia, w któréj zwyczaj porywania musiał być wielce rozpowszechniony, a mimo tego nie nastąpiło żadne osłabienie dawnéj organizacyi macierzyńskiéj. Do wyjaśnienia tego stosunku posłuży przeprowadzenie ścisłego rozgraniczenia między zasadami władzy a pokrewieństwa. Małżeństwo przez porwanie nie mogło wywierać żadnego wpływu na pokrewieństwo, uznawano je, jakkolwiek kobiéta należała do innego szczepu. Faktyczny tylko stosunek władzy porywającego mógł w ten sposób powstać; stosunek władzy, który tak często się spotyka obok pokrewieństwa przez matki. Z rozsze-

rzeniem się i wzmocnieniem pokojowych stosunków, nawet ta władza domowa męża jest na szwank narażona skutkiem konkurencyi ze strony krewnych żony. Powstaje teraz rozróżnienie między władzą prawną, którą nabyć można jedynie za pośrednictwem małżeństwa przez kupno, a czysto faktyczną, którą uzyskać można przez porwanie. Porywanie kobiét wyradza wprawdzie pewne prawa i obowiązki, lecz tak kobiéta porwana, jak jéj dzieci, należą mimo tego do związku rodzinnego i opiekuńczego, z którego kobiéta została porwaną.

Jasno przedstawia się powstanie władzy ojcoskiéj i pokrewieństwa agnacyjnego z matryarchatu i z pokrewieństwa macierzystego, gdziekolwiek ojciec własne swe dzieci kupuje sobie od rodziny żony. Sprzedawca bowiem jest właścicielem przedmiotu sprzedawanego, a kupujący ma dopiéro wejść w jego posiadanie: ojciec staje się panem swych dzieci nie przez spłodzenie ich w małżeństwie, lecz tylko przez kontrakt kupna i sprzedaży. Najciekawszy przykład tego rodzaju zawiera prawo staro-irlandzkie. Dzieci w cudzołóstwie spłodzone należały się z prawa mężowi cudzołożnicy. Pretensye faktycznego ojca uwzględniano jednak o tyle, że przyznawano mu prawo nabywania dzieci na własność za opłaceniem pewnéj sumy małżonkowi ich matki. Przez zapatrywania tego rodzaju zaznacza się przejście powolne od pokrewieństwa przez matki do pokrewieństwa przez ojców w przeciwieństwie do czystego systemu władzy domowéj ojca.

W powyżéj wspomnioném przepisie prawa irlandzkiego przygotowuje się zwycięstwo idei pokrewieństwa przez ojców nad pokrewieństwem przez matki. Rozwój dalszy postępuje w tym kierunku, że ojciec ślubny wyłącznie tylko te dzieci uznaje za swoje, które sam spłodził, a zarazem o przynależności do rodziny nie decyduje już władza nad matką, podobna do własności, lecz na miejsce prawno-rzeczowego nabycia małżonki wstępuje obecnie stosunek, oparty wyłącznie na prawie familijném. Prawo familijne przechodzi w ciągu swego rozwoju przez stadyum władzy ojcoskiéj, zanim dojść może do fazy pokrewieństwa przez ojców. Na tém polega, jak to już powiedzieliśmy, znaczenie historyczne małżeństwa przez kupno. Cena kupna, którą się płaciło za żonę, była zarazem ceną kupna dzieci, bo władzę nad niemi osiągnąć można było tylko za pośrednictwem władzy nad matką. W końcu zasada ta ściśle analogiczna do prawa rzeczonego, wysuwa się tak dalece na pierwszy plan, że się zawiera małżeństwo głównie *liberorum querendorum causa.* Małżeństwo uchodzi nawet wielokrotnie za całkiem nieważne, albo dowolnie rozwiązalne w razie bezdzietności. Tak mianowicie u rozlicznych ludów afrykańskich odbija się znaczenie ceny kupna na losie dzieci i dopóki nie zapłacono ceny kup-

na, przypadają dzieci rodzinie matki. Krótki przegląd materyału, zebranego przez Kohlera i Posta, przedstawi nam następujący obraz.

Na pierwszém miejscu należy wymienić te typy, gdzie pokrewieństwo przez matki utrzymuje się zazwyczaj w całéj czystości także po zamążpójściu kobiéty, a dzieci przypadają ojcu dopiéro skutkiem wypłacenia ceny kupna. Tak u niektórych szczepów malajskich przechodzi zwykła forma małżeństwa, według któréj mąż wstępuje do rodziny żony, a dzieci należą do jéj szczepu, w nową formę, według któréj mąż jest panem swéj żony i dzieci, a to skutkiem wypłacenia ceny kupna. Majętniejszy kupuje sobie patryarchat, uboższy musi się zadowolnić podrzędném stanowiskiem w domu matryarchalnym. Z drugiej strony dzieci, zrodzone *po* wypłaceniu ceny kupna, przyznają się mężowi, kiedy inne, zrodzone przedtém, należą do szczepu matki. U niektórych szczepów na wyspach Sundzkich zapłacenie ceny kupna nadaje ojcu prawo tylko do pewnéj części dzieci, np. do każdego drugiego dziecka, a w razie niezaplacenia, wszystkie matce przypadają. W razie nierównéj ich liczby, otrzymuje u pewnego szczepu malajskiego matka ostatnie dziecko, a ojcu przysługuje jedynie prawo odkupienia go za oznaczoną sumę. Szczególnie ważny przykład podaje Riedel: Na wyspach Aaru, których mieszkańcy co do swego pochodzenia najbliższymi są Australczykom, żenią się dzicy krajowcy, żadnym nie podlegający naczelnikom — bez płacenia ceny kupna. Dzieci przypadają matce, która je ma żywić, a ojciec ma tylko prawo nadania im nazwiska. U szczepów wyżéj rozwiniętych tegoż samego ludu, uważa się za prawe tylko małżeństwo przez kupno, a dzieci należą do ojca „z powodu wypłaconéj ceny kupna“. Tu także pierwotność pokrewieństwa przez matki nie ulega żadnéj wątpliwości. U innych jeszcze szczepów zapłacenie całkowitéj ceny kupna pociąga za sobą nieograniczony patryarchat — wrazie złożenia mniejszéj sumy, przynależą dzieci do rodzin obojga rodziców równocześnie, lub następuje rozdział ich między obie rodziny.

Podobny rozwój dostrzeżono w Afryce. Kupowanie dzieci własnych przez ojca jest w zwyczaju u murzynów Kimbunda, Makololo, Fanti i Sotho. U Fanti uchodzi cena kupna żony za cenę kupna przyszłych dzieci. Mimo to, zawsze jeszcze stoi interes rodziny matki na pierwszym planie. Okoliczność, że ojciec przyczynia się do utrzymania dzieci, uchodzi za przysługę, wyświadczoną rodzinie matki. Pozostają wprawdzie dzieci w razie rozwodu przy ojcu, rodzina matki ma jednak obowiązek mimo to zwrócić koszta ich żywienia. U negrów Dnalla żąda mąż zwrotu ceny kupna w razie bezdzietności, bo

sumę tę płaci się w celu uzyskania dzieci. W razie niezapłacenia ceny kupna u Makololo, dzieci pozostają pod władzą dziadka po matce, u Kimbunda pod władzą brata matki. W Unyoro może nastąpić częściowe wypłacanie ceny kupna. Aż do zupełnego wypłacenia należą jednak dzieci do ojca żony i za każde dziecko należy osobno wołem się okupić. U ludu Galla jest małżonek zobowiązany dostarczyć ojcu żony cielę lub wołu w razie urodzenia się pierwszego syna, późniéj jednak nie może teść już rościć sobie żadnych pretensyi. Jeżeliby jednak nie złożono należności, to ojciec żony ma prócz powyższych pretensyi, także prawo żądania tylu tablic soli, ileby dzieci na świat przyszło. W najczęstszych przypadkach z dziedziny prawa afrykańskiego nie mamy jednak wcale (jak to się zwykle przyjmuje) do czynienia z bezpośredniem przejściem do zupełnego prawa agnacyjnego, pokrewieństwo przez ojca jeszcze się nie rozwinęło, następuje jedynie kompromis pokrewieństwa przez matki z władzą ojcoską i jéj silniejsze umocnienie skutkiem zapewnionéj władzy nad matką. Świéżo powstała organizacya patryarchalna całkiem jest podobna do późniejszéj, zupełnie wykończonéj, łączącéj się z pokrewieństwem agnacyjném: członkowie związku domowego ulegają władzy domowéj ojca. Kółko dalszych krewnych ulega zaś jeszcze przez długi czas wszelkim zasadom pokrewieństwa przez matki, które wpływa jeszcze stanowczo na system prawa spadkowego i na stosunki prawne, pozostające z niém w związku. Jedno z dawniejszych sprawozdań o ludach Złotego Wybrzeża wykazuje, jak różne stadya czyli warstwy rozwoju utrzymać się mogą obok siebie. Ojciec jest absolutnym panem i właścicielem żony i dzieci, w razie, jeżeli się uiścił z ceny kupna; w przeciwnym razie małżeństwo jest wprawdzie ważném, lecz żona i dzieci nie mogą się wyzwolić z pod niewolniczéj prawie zależności od własnych krewnych. Rodzina kobiéty, popadłszy w nędzę, zwraca się zazwyczaj o pomoc do owego męża, który jednak za to żąda oddania w zastaw własnéj żony i jednego lub kilkorga ze swoich dzieci. Skutkiem tego popada żona wraz z dziećmi w wieczystą zależność od męża, bo rodzina zazwyczaj nie bywa w stanie napowrót ich wykupić.

Lecz nawet mimo rozwoju ścisłego patryarchatu i pokrewieństwa przez ojców, utrzymują się często niedwuznaczne ślady powyżéj opisanego stanu rzeczy. Tak opowiada Gront o prawie Zulusów (Kaffrów): „jeżeli kobiéta jest zdrową, płodną i pracowitą, to jéj dawniejszy właściciel otrzymuje dodatkową zapłatę w bydle. Jeżeli jednak mąż nie jest w stanie z dopłaty téj się uiścić, to musi dzieci swe zastawić krewnym żony, by dług wyrównać. Jeżeliby kobiéta była niezdatną do pracy, słabowitą lub bezdzietną, żąda mąż przeciwnie

wynagrodzenia za to od jéj dawniejszego właściciela". A więc nawet u tego ludu, ściśle patryarchalnego, pokrewieństwo przez matki odbija się widocznie na późniejszéj organizacyi agnacyjnéj, bo powyżéj wymienione prawa krewnych po matce dają się wytłómaczyć tylko jako pozostałość dawniejszego systemu macierzyńskiego.

Rzuciwszy okiem na ogół zjawisk przejściowych, nie możemy się powstrzymać od zdziwienia, że ciągle jeszcze podnoszą się wątpliwości co do pierwotności pokrewieństwa przez matki. Podobną opozycyę wytłómaczyć można jedynie naukowém uprzedzeniem przeciw pokrewieństwu przez matki.

Na tém jednak rozwój się nie skończył. Władza ojcowska w zwycięskim pochodzie niweczy pierwotną przewagę pokrewieństwa między matką a dzieckiem, wsuwając powoli na jego miejsce stosunek agnacyjny. Rozwija się ujęty w formę prawną system pokrewieństwa agnacyjnego, który doprowadzić może w dalszym ciągu rozwoju do zupełnego przewrotu pierwotnych stosunków tak, że istotną dla pochodzenia dziecka jest już tylko krew ojca, kiedy ewentualny kierunek prawny między matką a dziećmi nie znajduje się już w żadnym związku z kwestyą przynależności do rodziny. Pokrewieństwo przez ojców nie toruje sobie drogi, jako nowa myśl, o związku krwi między ojcem a dzieckiem, w dawniejszym czasie nieznana. Raczéj tylko, istniejąca już oddawna idea owego pokrewieństwa nabiéra coraz większego znaczenia prawnego z wzrostem pewności ojcostwa. Ani jakiś pojedynczy akt prawny, ani pewna oznaczona wybitna faza rozwoju cywilizacyi nie charakteryzują rozpoczynającego się panowania pokrewieństwa agnacyjnego; przechodzi ono powoli nieskończenie wielką ilość różnych stopni, pozostających między sobą w najściślejszym związku, aż wreszcie niweczy znaczenie prawne pozostałości dawnego pokrewieństwa przez matki, wytwarzając natomiast jednostronną rodzinę ojcowską lub system uwzględniający związek krwi z obojga rodzicami (system rodzicielski). Prawidłowo rozwija się władza domowa ojca wszechstronnie zanim agnacyjne pokrewieństwo zdoła wyprzeć system dawnego macierzyństwa. Z pokrewieństwa przez matki rozwija się bezpośrednio pokrewieństwo przez ojców tylko tam, gdzie już przedtém wytworzyła się władza ojca; wszędzie zaś, gdzie panował matryarchat, należało go najprzód zwalczyć i ojcu zapewnić odpowiednie stanowisko w rodzinie. Z temi zasadniczemi zmianami stoi niewątpliwie w pewnym związku wewnętrznym popularna opinia o względnym udziale fizyologicznym obojga rodziców w płodzeniu. W czasie panującego pokrewieństwa przez matki wysuwa się oczywiście na pierwszy plan udział matki i t. zw. przez etnologów pogląd „owulistyczny" zy-

skuje przewagę. Z drugiéj strony wywiązuje się u ludów patryarchalnych łatwo popularne zapatrywanie, że dziecko powstaje tylko z ojcowskiéj krwi, matka zaś ma być jakoby polem, na którém się przyjmuje i rozwija rzucone nasienie. Mianowicie u Indów i Egipcyan podobnie i u Greków zdanie to było powszechném. Występuje, bowiem teraz, jak się wyraża Hellwald obok ojca-pana, ojciec-krewny swego dziecka. W związku z temi pojęciami musiało się téż wytworzyć zupełnie nowe pojęcie o istocie rodziny; mimo to jednak nie przychodzi jeszcze odrazu do radykalnego zaniku pokrewieństwa przez matki, bo ojcostwo nie staje się odrazu koniecznym i prawnie istotnym warunkiem przynależności do rodziny. Wogóle okazuje pokrewieństwo przez matki tak wielką odporność, że niektóre jego pozostałości przechodzą mimo postępu czasu, aż do prawa nowoczesnego.

Dotychczas jeszcze nie wyciągnięto konsekwencyi prawnych z nowoczesnego zapatrywania się na fizyologię płodzenia. Stara zasada: *„pater est quem nuptiae demonstrant“* zachowała wszędzie większy lub mniejszy wpływ. Dowód nieprawego urodzenia dziecka, które przyszło na świat w ciągu trwania małżeństwa, bywa szczególniéj utrudniany, tak dalece, że łatwo może się zdarzyć, iż dziecko, którego zrodzenie w cudzołóstwie jest powszechnie znaném lub dziecko, pochodzące z małżeństwa domniemanego (*matrimonium putativum*), uznanego późniéj za nieważne, przecież dziedziczy imię i mienie po ojcu i wogóle będzie wyposażone we wszystkie prawa dzieci ślubnych. Jakkolwiek przepisy te dziś różnie bywają uzasadniane, są one jednak nieorganiczną pozostałością dawnego, już przebrzmiałego prawa macierzyńskiego. Przypisuje się takie dziecko ojcu dlatego, że się ono urodziło z jego małżonki w czasie trwania małżeństwa. Gdyby zaś idea prawa ojcowskiego była ściśle przeprowadzona, należałoby takie dzieci bezwarunkowo odrzucić jako nieprawe, a dowód ich nieprawego pochodzenia musiałby być o ile możności jaknajwięcéj ułatwionym. Zasada rzymska, przyjęta w nowszych kodeksach, jest otwartém złamaniem zasady ojcostwa. Być może, że ważne powody przemawiają za panującym porządkiem prawnym, nie jest on jednak wcale owocem tych rozumowań, lecz raczéj wypływem tradycyi dawnego prawa rzymskiego i niemieckiego. Zasada rzymska *„pater est quem nuptiae demonstrant“* była od początku zabytkiem dawnego poglądu patryarchalnego, że ojcu zależy nie tyle na osobistém spłodzeniu dzieci, ile na ich przynależności do związku rodzinnego, poddanego władzy ojcowskiéj. Także u Germanów spotykamy już tę samą zasadę, choć może nie tak silnie zaznaczoną, i nie tak konse-

kwentnie przeprowadzoną. Kilkakrotnie już zaznaczony związek téj zasady z pokrewieństwem przez matki, udowodnimy jeszcze specyalniéj w późniejszéj rozprawie. Prócz zmian w zapatrywaniu popularném o fizyologii inne jeszcze czynniki wpływają na powstanie pokrewieństwa agnacyjnego. Spencer wykazuje związek zachodzący między podziałem ludów pasterskich na patryarchalne grupy rodzinne, trudniące się chowem bydła, a owym ważnym postępem prawa rodzinnego: bo oddzielenie patryarchy od innych mężczyzn przczynia się nie mało do utrwalenia przeświadczenia, że dzieci nietylko są dziećmi jego żony, lecz także jego własnemi. Daléj zwyczaj sąsiadów odróżniania całéj grupy od innych, imieniem patryarchy, pociągnął za sobą ten skutek, że się mówi o dzieciach, należących do téj grupy, jako o jego własnych. W ten sposób powstała męska linia pokrewieństwa. Także spółka rolnicza popiéra naszém zdaniem powstanie systemu pokrewieństwa agnacyjnego. Wspólna własność ziemi okazuje wybitną dążność do endogamii t. j. do zwyczaju zawiérania wszystkich małżeństw w obrębie związku gminnego, osłabia się tém samém pokrewieństwo przez matki; bo spółka rzeczona stara się o to, by wszystko co obce odepchnąć i oddalić, a gminę użytkowców silnie skonsolidować, co lepiéj znacznie i łatwiéj połączyć się daje z pokrewieństwem agnacyjném, niż ze systemem macierzyńskim, który sprzyja ustawicznemu napływaniu świéżych pierwiastków do związku gminnego.

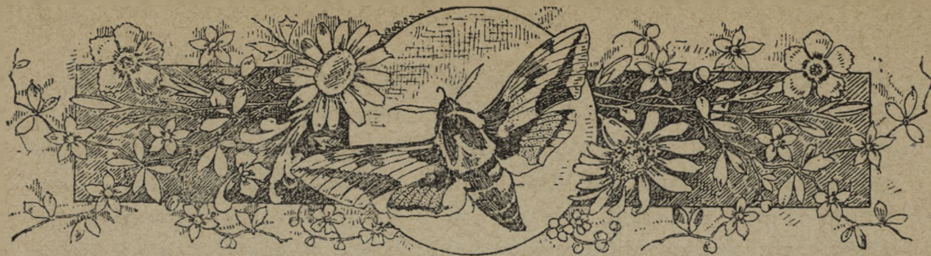
Czynnikiem bardzo ważnym, na który się zwraca zazwyczaj zbyt małą uwagę, a którego podniesienie stanowi zasługę Wilken'a, jest wpływ wędrówek na patryarchat i rodzinę ojcoską. Jak w świecie zwierzęcym, tak i w świecie ludzkim wędrówki mają bardzo głębokie znaczenie. Emigracye mogą, jeżeli na małą odbywają się skalę, t. j. nie w całych masach ludu) spowodować powstanie patryarchatu. Wyraźnie występuje to u Indyan północno-amerykańskich. Powell zwrócił uwagę na konieczność rozpraszania się szczepów indyańskich po wielkich przestrzeniach z powodu polowań, jako na jedną z najważniejszych przyczyn przejścia od pokrewieństwa przez kobiéty do pokrewieństwa przez mężczyzn u owych szczepów. Mężczyzna oddala w ten sposób swą żonę z sąsiedztwa skoncentrowanych naokoło domu macierzyńskiego wujów, braci i innych krewnych i w ten sposób dostaje pod swą władzę kobietę i jéj dzieci. „Powstaje skutkiem tego rodzaj patryarchatu połączonego w dalszym ciągu z pokrewieństwem przez mężczyzn".

Bardzo jest prawdopodobném, że ten sam czynnik wystąpił i u innych ludów, przyczyniając się do wytworzenia agnacyjnego porządku prawnego.

Staraliśmy się nakreślić rozwój rodziny od pierwszych zawiązków jeszcze dostrzegalnych za pomocą środków obserwacyi, które posiadamy, aż do powstania rodziny w znaczeniu nowożytném. Nie mogliśmy wyczerpać przedmiotu, nie wspomnieliśmy prawie o niektórych jego stronach, mianowicie o endogamii i egzogamii (t. j. o zwyczaju zawierania wszystkich małżeństw albo wyłącznie w obrębie własnego szczepu, albo tylko po za jego granicami). Chodziło nam głównie o wszechstronne przeprowadzenie rozróżnienia zasadniczego między władzą a pokrewieństwem, wraz z wszystkiemi wynikami. Upatrujemy w tém rozróżnieniu właściwy klucz, rozwiązujący największe, dotychczas nieprzezwyciężone trudności w tym przedmiocie, po prostu niezbędny dla socyologii porównaczéj. Znaczenie téj zasady dla przyszłości nauk socyologicznych usprawiedliwi nas, jeżeliśmy się może zanadto długo zatrzymali przy rozbiorze poszczególnych kwestyi; chociażbyśmy się byli omylili w przedstawieniu wszystkich specyalnych objawów rozwoju historycznego, nie moglibyśmy przecież porzucić owéj zasady, i nie przestalibyśmy polecać jéj jako myśl przewodnią wszelkich badań o ustroju pierwotnym rodziny.

Dr. Lotar Dargun.





Parnell i Irlandya.

I.

Ani pochodzeniem, ani wiarą Parnell nie zdawał się być przeznaczonym na wodza celtyckiéj i katolickiéj Irlandyi, gdyż należał do saksońskiego szczepu i był wyznania protestanckiego. Przodkowie jego, po restauracyi, w 1679 r. przenieśli się z Anglii do Irlandyi. Jeden z nich Tomasz był słynnym swego czasu poetą, przyjaciel Johnsona, Swifta i Pope'a; kilku innych odznaczyło się w palestrze i jako sędziowie Ławy królewskiéj. Podniesiony do godności baroneta, sir John Parnell, w 1788 był kanclerzem irlandzkiego skarbu, i wraz z synem swym, Henrykiem, stali oba po stronie Grattana, byli pomiędzy owymi 115 członkami parlamentu irlandzkiego, którzy głosowali, w 1800 r. przeciwko unii z parlamentem brytańskim, przeprowadzonéj przez lorda Castlereagh. Młodszy syn sir Johna Parnell'a, William, odziedziczył po ojcu piękną posiadłość wiejską Avondale, gdzie syn jego John przemieszkiwał. Z małżeństwa tego ostatniego z córką amerykańskiego admirała Stewart'a, spłodzonych zostało czterech synów i pięć córek. Czwartym synem, urodzonym w 1846 roku, był właśnie ów Karol Stewart, którego zgon osierocił Irlandyę w zeszłym miesiącu.

Jak rodzinne stosunki pokazują, należał on do sfery arystokratycznéj i zamożnéj. Chociaż pochodzenia saksońskiego i protestant, przez posiadanie własności ziemskiéj i przez dwuwiekowe zespolenie się ze społeczeństwem irlandzkiém, stał się on Irlandczykiem i sympatye jego stały, jak zrozumiéć łatwo, po stronie swych rodaków. Najwybitniejszym rysem jego charakteru była silna, milcząca, w sobie saméj zamknięta i ześrodkowana wola. Niepotrzeba przytaczać

mnóstwa anegdot, które co do tego rysu jego charakteru obiegało: życie publiczne nadawało onego ciągłe, nieprzerwane dowody.

Pierwsze wychowanie otrzymał w Anglii u kilku *tutor*'ów, a na uniwersytet uczęszczał w Cambridge. Szczególne zamiłowanie okazywał zawsze do inżynieryi, mechaniki, a dla rozrywki oddawał się stolarstwu i tokarstwu. O intelektualnych jego zdolnościach koledzy uniwersyteccy wielkiego wyobrażenia nie mieli. Nie był ani wielce oczytany, ani wymowny, ani obdarzony lotną wyobraźnią. Idee nie rodziły się nawet zazwyczaj w jego własnéj głowie. Ale gdy je sobie przyswoił, tak głęboko wrażały się w jego umysłowy organizm, że nic ich wykorzenić nie potrafiło. Zdawał się być przeznaczony do roli drugorzędnéj, wykonawczéj, ale nie na trybuna, agitatora i parlamentarnego przywódcę. Po opuszczeniu ławek uniwersyteckich, podróżuje ze starszym bratem po Stanach Zjednoczonych i w r. 1871, licząc 25 lat życia, osiada w swéj wiejskiéj posiadłości, Avondale, zaczyna się oddawać agronomii i wieść życie *squire*'a. Godném jest jeszcze wzmianki, że w tych pierwszych latach nie okazuje żadnego pochopu do ustępstw dla swych własnych czynszowników i nic nie mogło w nim wtedy zapowiadać przyszłego wodza ligi narodowéj. Prawda, że zadłużone i źle zagospodarowane włości nie dawały mu wielkiéj możności do ujawniania swych filantropijnych zamiarów.

Rolnictwo, polowanie i jednostajne życie szlachcica wiejskiego w opustoszałym dworze w Avondale, straciły niebawem dla Karola Parnell'a swój pierwszy powab i po upływie trzech lat, w r. 1874-ym. widzimy go ubiegającym się o krzesło poselskie w parlamencie. Stawia swą kandydaturę w Wicklow i zadziwił swych stronników nieudolnością, jaką okazał w mowach publicznych: brakowało mu słów, jąkał się i bełkotał. Nie został téż wybranym, ale nauka w las nie poszła. Siłą woli zmusił się do mów publicznych, i w roku następnym wybrany zostaje w Meath na członka parlamentu. I wtedy jeszcze przypuszczano, że będzie raczéj milczącą podporą falangi narodowéj irlandzkiéj, aniżeli jéj orędownikiem i zapaśnikiem naczelnym. Początki jego parlamentarnego zawodu prawie nie zwróciły na siebie uwagi.

Najwybitniejszą wówczas postacią pośród irlandzkiego stronnictwa był Izaak Butt. Był on przywódcą nielicznéj wprawdzie, ale energicznéj partyi narodowéj. Wysoce wykształcony i wymowny, miał on przeciwko sobie z jednéj strony wybryki i ułomności prywatnego życia, które mu odbieraly samodzielność i niezależność, a z drugiéj brak jasno wytkniętéj linii politycznéj. Nie był on téż krańcowym rewolucyonistą, ale lgnął do zachowawczego stronnictwa

angielskiego. Wielce popularny, lubiany raczéj niż szanowany, Butt nie miał dość energii, aby prowadzić hufiec irlandzkich deputowanych do parlamentarnych zapasów. Parnell odrazu ocenił słabe srony tego przywódcy i zamiast stanąć po jego stronie, wolał połączyć się z innym swym kolegą, p. Biggar, osobistością drugorzędną, ale gotową zawsze do oddania wszystkich usług swemu stronnictwu. P. Biggar był twórcą obstrukcyonizmu, t. j. przedłużania dyskusyi, wprowadzania dodatkowych artykułów do projektów prawodawczych, żądania ciągłych głosowań i t. d. Parnell bez wahania pomagał mu w tych psotach i fortelach, które do najwyższego stopnia drażniły przeciwników z ministeryum. Gdy Butt potępił tę taktykę, jako niegodną poważnych polityków, nastąpiło pomiędzy nim a Parnellem rozdwojenie, które nie ustało aż ze śmiercią Butt'a w 1879-ym roku. Im więcéj Butt tracił na popularności, im więcéj gwiazda jego chyliła się do upadku, tém jaśniéj świecić zaczynała Parnellowska. Ażeby być sprawiedliwym, trzeba przyznać, że ten nowy ulubieniec narodowy nie inaczéj pozyskiwał sobie pierwiastkową popularność, jak okazami swéj krnąbrności i niezłomnego oporu względem władz i regulaminów parlamentarnych. Ale dla tłumu wystarczyły takie sceny, jak trzymanie parlamentu przez dwadzieścia dwie godzin bez odpoczynku, albo wynajdywanie kruczków przeciw czasowemu zawieszeniu go w roli deputowanego. Bujna wyobraźnia Irlandczyków odrazu obdarzyła go najrozmaitszemi zaletami, sypnęła mu takie zachęty, że nie można się dziwić, iż rozbudziła się jego ambicya i że postawił sobie plan działania na przyszłość. Jeszcze za życia Butt'a komitet wyborczy naczelny, kierujący ruchem irlandzkim, wybrał Parnell'a na prezesa stronnictwa autonomistów; po jego śmierci, w r. 1879 nie miał już współzawodnika.

Zahartowany do walki parlamentarnéj, zawsze pan swéj woli, swego słowa, Parnell nie miał zamiaru ograniczyć się i zamknąć w szrankach zapasów w izbie gmin. Jasny jego umysł zrozumiał, że hufiec stojących z nim kolegów będzie zawsze zmiażdżony przez dwa wielkie stronnictwa, torysów i whigów, które z kolei chwytały władzę, ale Irlandyę traktowały zawsze z jednakowém lekceważeniem, nie jako naród samodzielny, wchodzący w skład monarchii brytańskiéj, lecz jak podbitą prowincyę. Ażeby módz stanąć na szali parlamentarnéj jako Warwick, jako rozjemca, aby ją na stronę interesów irlandzkich przeważyć, potrzeba mu było przedewszystkiém zostać potęgą, zorganizować naród w jedno ciało, wyrwać go z odrętwienia i zastoju, w których ugrzązł był przez ostatnich lat kilkanaście, przeniknąć go jedną wspólną myślą, natchnąć jednym ideałem i po-

prowadzić go do walki z istniejącym systematem politycznym. Nim bój stanowczy miał się rozegrać w parlamencie Westminsterskim, Parnell pojął, że mu trzeba będzie zostać pierwéj trybunem narodowym, i tak gorącym, tak bezwzględnym obrońcą praw i swobód publicznych, iżby zawsze, przy każdéj okoliczności, na każde jego zawołanie cały naród irlandzki stanął po za nim, jak wielomilionowy zastęp żołnierzy po za generałem. Nie mógł sam przed sobą ukrywać, że mu brakowało wszystkich porywających, płomiennych darów, któremi opanować się daje masa narodowa, a szczególniéj tak wrażliwa i tak uczuciowa, jak jest nią masa irlandzka. Pomiędzy tym wysokim, szczupłym, sztywnym Saksonem, o ciemnym włosie, głęboko zapadłych, szarych, stalowo-zimnych oczach, o słowie powolném i monotonném, niezdolném zarówno do żartu, jak do wybuchu entuzyazmu, a charakterem i temperamentem irlandzkim były przeciwieństwa do pogodzenia niepodobne. Nie zewnętrznemi téż środkami postanowił on zawładnąć duszą narodu, ale narzucić się jéj, jako wyższa potęga, ukazać się jako powaga intelektualna i nie porwać ją, ale przekonać, że nie ma nic lepszego do uczynienia, jak iść po drodze, jaką on wytknie. Nie można zaprzeczyć, że projekt taki był zuchwały, ambitny i świadczący o ufności w swe własne światło, jaką tylko wyjątkowe osobistości posiadać mogą. Gdy się taką rolę dyktatorską sobie nakreśli, trzeba koniecznie usprawiedliwić ją powodzeniem, inaczéj jest się żywcem zagrzebany pod zasłużoném urągowiskiem. Ponieważ Parnell od r. 1879-go aż do zeszłego 1890-go roku usprawiedliwiał swe pretensye do przewodniczenia narodowi, idąc od jednych powodzeń do drugich, zatém dziwić się nie można, że stał się nieukoronowanym, ale samowładnym królem Irlandyi na dziesięć lat z okładem.

Jeżeli nie można wątpić o planie, jaki dla własnego działania zakreślił sobie Parnell zaraz w pierwszych latach swego publicznego zawodu, to byłoby błędem przypuszczać, że miał także już wtedy obraną metodę działania. Jako praktyczny i pozytywny polityk, był on oportunistą, i stosować umiał akcyę do okoliczności, czasu i osób przewodniczących, a jako strategik biegły i czujny zmieniał nieraz szyki w czasie kampanii, przerzucał się od jednych sprzymierzeńców do drugich, w miarę jak mu ci lub tamci użyteczniejszymi się być zdawali. Zdarzało mu się popełniać błędy i nie małe, ale ponieważ nigdy nie spuszczał z oka ostatecznego celu, w jego dwoistéj społecznéj i politycznéj formie, więc mimo wrzawy przeciwników, mimo prześladowań, które napotykał, do brzegu zbliżył swą nawę. Wystarczy porównać obecne położenie Irlandyi z tém, jakie miała przed kilku-

nastu laty, ustępstwa, jakie jéj uczyniono i widoki, jakie ma przed sobą w najbliższéj przyszłości, ażeby dojść do wniosku, że metoda akcyi jego była dla narodu korzystna.

Ażeby zorganizować masę narodową i poprowadzić ją do systematycznéj nieustannéj walki z parlamentem, z rządem, ze społeczeństwem angielskiém, trzeba było postawić przed nią sprawę, którąby całéj Irlandyi jednakowo leżała na sercu. Nie trudno było o taką. Irlandczycy nie zapomnieli dotąd, że za Henryka VIII-go, za Elżbiety i za Kromwella zostali wydziedziczeni, gwałtem wywłaszczeni z gruntów. Nie było w sercu Irlandczyków przedawnienia za ten gwałt popełniony na ich glebie i nigdy nie zgodzili się uważać landlordów angielskich, jako prawnych jéj właścicieli. Wystarczyło postawić przed społeczeństwem wydziedziczoném, zubożałém, przetrzebioném epidemiami głodowemi, zagadnienie gruntowe, uwłaszczenie czynszowników, poskromienie nadużyć wielkich właścicieli, ażeby cały naród od Donegalu do Kerry i Corku zadrżał jedném pragnieniem, w jednéj zespolił się agitacyi. Od Gracchów starorzymskich kwestya agrarna służy trybunom ludowym za najlepsze narzędzie do agitacyi, ale nigdy bardziéj usprawiedliwioną, jak tutaj, nie była.

Nieśmiałe, częściowe reformy gruntowe, przedsiębrane przez ministeryum Gladstona przed jego upadkiem w r. 1874-ym, dwa lata ciężkiego nieurodzaju w 1877 i 1878 r. i powstałe wskutek tego klęski, epidemia, nędza i przymusowa emigracya, oto okoliczności, które pozwalają zrozumiéć ogromne i natychmiastowe powodzenie, jakie zyskała u Irlandczyków liga agrarna. Nie należy sądzić, jak to powtarzać zwykli źle z przedmiotem obeznani, że Parnell założył tę ligę. Bynajmniéj. Gdy wybrany został w r. 1879-ym, w kilka miesięcy po śmierci Izaaka Butt'a, na jéj prezesa, istniała już ona od roku, a podstawy i pierwsza jéj organizacya nadane jéj były przez Michała Davitt'a. Ten to proletaryusz, spędziwszy swe dzieciństwo i młodość na tułaczce, lata późniejsze w więzieniu za udział w tajemnych spiskach, powziął i przeprowadził ów projekt utworzenia *Land League* dla wyrwania czynszowników i wyrobników wiejskich z okropnéj nędzy, w któréj ugrzęźli.

Było to dowodem wysokiego zmysłu politycznego ze strony Parnell'a, iż zgodził się być kierownikiem téj organizacyi, i że zaraz w pierwszym roku swego zwierzchnictwa politycznego postawił jedną obok drugiéj: akcyę społeczno-ekonomiczną, skrystalizowaną w lidze gruntowéj i akcyę polityczną, skupioną w programacie *Home Rule*'u. Raz obznajmiwszy się z kwestyą agrarną, nie zatrzymał się na półśrodkach, ale postawił w swéj mowie w Westford, 8 lipca 1879 r., pro-

gram całkowity, radykalny. Żąda uwłaszczenia czynszowników i utworzenia drobnéj własności na wzór téj, jaka została utworzoną w Belgii, Francyi, Prusach, Rosyi i t. d., bądź przez rewolucyjny przewrót, bądź drogą legalnego wykupu. Ponieważ jednak wielcy właściciele odmawiają uwłaszczenia, liga gruntowa postawiła sobie za cel wywarcie na nich moralnego nacisku, uorganizowanie oporu, i tymczasowe pozyskanie zmniejszenia rat dzierżawnych i czynszów.

Cały naród irlandzki odpowiedział wezwaniu i działalność ligi rozpoczęła się natychmiast. Parnell otoczony gorącą miłością narodu, który uznał w nim sprężystego i odważnego wodza, rzuca się bez żadnéj zwłoki w żar agitacyi, objeżdża hrabstwa, przemawia na mityngach, dodaje animuszu czynszownikom zagrożonym eksmisyą. Brakowało materyalnych środków do żywienia proletaryatu wiejskiego, upadającego pod ciężarem nędzy i czynszowników niemiłosiernie wyrzucanych z ich opustoszałych zagród. Ażeby zebrać fundusze, Parnell udaje się do Stanów Zjednoczonych, agituje na rzecz ligi gruntowéj, przemawia na licznych zebraniach i odrazu taką pozyskuje sobie sławę, że izba reprezentów w Washingtonie czyni mu zaszczyt, jaki raz tylko pierwéj wyświadczyła Kossuthowi, i pozwala mu na pełném zebraniu kongresu wyłuszczyć swe zapatrywania na sprawę irlandzką. Pod względem finansowym nietylko że udało się Parnellowi otrzymać natychmiastowy zasiłek 72,000 funtów szt., ale uorganizowawszy na całéj przestrzeni Stanów Zjednoczonych komitety irlandzkie, znalazł w nich odtąd stałe i, rzec można, niewyczerpane źródło dochodów na przyszłość. Ta pierwsza jego amerykańska kampania przerwana została wiadomością o rozwiązaniu parlamentu i nowych wyborach. Wraca pośpiesznie do Irlandyi wiosną 1880 r., kieruje wyborami, których rezultatem było powołanie 68 orędowników autonomii irlandzkiéj do nowego parlamentu. Pierwszy peryod pracy nowego *leadera*, peryod przygotowawczy, organizacyjny, nie mógł być uważany za stracony. Obok namacalnych rezultatów praktycznych, uderzającém było wzmocnienie publicznego ducha wśród zrozpaczonego narodu. Zaprzestał już widzieć jedyny środek zbawczy w podziemnych knowaniach i spiskach, w napaściach i zamachach zbrodniczych. Akcya legalna zaczynała brać górę nad rewolucyjną.

II.

Gdy nowy parlament zebrał się w r. 1880, położenie ogólne było chaotyczne, a żadne stronnictwo nie widziało jasno przed sobą drogi.

Nowo utworzony gabinet liberalny pod sterem Gladstona nie zdawał sobie sprawy z siły i znaczenia agitacyi irlandzkiéj i traktował ligę gruntową, jako stowarzyszenie bezprawne, zagrażające utrzymaniu porządku publicznego. Mimo swego dobrego usposobienia względem deputowanych irlandzkich, które się stwierdziło w szeregu korzystnych dla nich bilów, drażnił ich, rozpocząwszy kroki sądowe przeciwko lidze. Następstwem tych prześladowań był natychmiastowy wybuch zbrodni i napaści popełnianych w Irlandyi, a do których podszczuwało stronnictwo krańcowe, radykalne w swéj gorączkowéj niecierpliwości i całkowitéj pogardzie dla form legalnych. Jeżeli Parnell otwarcie i dobitnie potępił zbrodnie, popełniane przez tajne stowarzyszenia, to sam podsunął im inne, niemniéj nienawistne w oczach angielskich środki propagandy, jak np. bojkotowanie. Rozdraźnienie przeciwko przywódcom stronnictwa narodowego wzrastało tém bardziéj, że i w parlamencie powrócili do taktyki obstrukcyjnéj i stawiali opór regulaminowi. Gdy z jednéj strony ministeryum Gladstona przeprowadziło *Coercion Bill*, umożliwiający represyę nadużyć i bezprawia, z drugiéj przedstawiło bil wysoce liberalny, który pozwalał czynszownikom wyjednywać przez komisyę utworzoną *ad hoc* zmniejszenie raty dzierżawnéj, i dawał rozmaite sposoby nabywania na własność gruntów dzierżawnych. Chociaż bil ten, jak to ma zwykle miejsce w Anglii, nie był radykalny, lecz tylko przygotowywał lepsze warunki bytu dla wieśniaków irlandzkich, jednak niezaprzeczenie nosił tę cechę, iż trzeba uważać za wielki błąd ze strony deputowanych narodowych tę hałaśliwą i upartą opozycyą, jaką mu stawiali. Ta walka ze stronnictwem, które weszło właśnie na drogę ustępstw, była do najwyższego stopnia niepolityczną. Nie potrzeba zapewne przypominać głównych jéj poza-parlamentarnych epizodów, jakoto: uwięzienie przywódców ligi, Davitt'a, Dillona i nakoniec samego Parnella — manifest jego wydany z więzienia w Kilmainham, „*no rent!*", czyli zabronienie czynszownikom wszelkiego opłacania czynszów — wypuszczenie uwięzionych na wolność — rozpoczęcie nowych negocyacyi pomiędzy Parnellem a Gladstonem, i nakoniec okropne zabójstwo w Phoenix Parku. Zbrodniczy ten zamach, z piekielną zręcznością dokonany przez fenianów, był dla sprawy usamowolnienia Irlandyi ciosem niepowetowanym. Trzeba było całéj złéj wiary *Times*'a i jego kliki, aby odpowiedzialność za to morderstwo zwalać na Parnell'a. Wiadomo, że właśnie w téj saméj chwili umawiał się on z prezesem gabinetu o nowy bil, ułatwiający wykup gruntów i rozumié się, że nie kładł sztyletu w ręce mordercy do zgładzenia krewnego i ulubieńca Gladstona, lorda F. Cavendisha. Rozumiéć można zato

zniechęcenie i rozpacz, jakie go ogarnęły. Trzeba było natarczywego nalegania kolegów, aby się wyrzekł zamiaru stanowczego usunięcia się z widowni publicznéj.

Potrzeba było dłuższego czasu, ażeby się uspokoiły umysły wzburzone we wszystkich stronnictwach. Gladstone dał pierwszy dowód umiarkowania, zastępując p. Travelyanem dotychczasowego sekretarza stanu dla Irlandyi p. Forster'a, skłaniającego się ku represyi, i przeprowadzając na sesyi parlamentarnéj r. 1882-go nowy bil dla czynszowników irlandzkich—*the arrears bill*,—umarzający ich zaległości. Tym razem Parnell i jego stronnictwo popierali projekt rządowy. Irlandya otrzymawszy dowody ulepszeń, jakie pozyskała jego taktyka, starała się okazać wdzięczność swemu niestrudzonemu przywódcy: Dublin ofiarował mu honorowe obywatelstwo, a składka narodowa zebrała i złożyła mu w dani pokaźną sumę 35,000 funtów szterlingów, przeznaczoną na spłacenie długów, obciążających jego dobra Avondale. Materyalnie od téj chwili Parnell stał się niezależnym, ale z jednéj strony ofiary czynione na popieranie agitacyi publicznéj, z drugiéj kłopoty finansowe jego rodziny, któréj przychodził w pomoc, pochłaniały jego dochody. Nie był nigdy bogatym, a przynajmniéj bogactwa nie używał.

Akcya Parnell'a w ciągu dwóch lat następnych skierowana jest z jednéj strony ku utrzymaniu karności między członkami stronnictwa narodowego, ku zneutralizowaniu komitetów rewolucyjnych i stowarzyszeń tajnych, a z drugiéj do wywierania ciągłego nacisku na Gladstone'a i jego ministeryalnych kolegów. Pokazuje tym ostatnim swą siłę, wznawiając rozwiązaną ligę gruntową pod nazwą ligi narodowéj i trzymając przy głosowaniach w izbie stronnictwo ministeryalne w zupełnéj zależności od głosów irlandzkich. Kupuje poprostu niektóre ustępstwa, jak np. usunięcie p. Travelyan'a, zapewniając gabinetowi cały zastęp irlandzkich głosów, gdy gabinet przeprowadza bil reformy wyborczéj. Byłoby niesłusznèm wyrzucać w téj epoce Parnell'owi, jak to czyniono nieraz w obozie liberalnym, iż go zdradzał. Otwarcie zawsze w swych mowach na meetingach oznajmiał, że mu o nic innego nie chodziło, jak o dobro jego ojczyzny i że gotów jest zawsze do negocyowania z tém stronnictwem angielskiém, które mu większe obieca ustępstwa. Skutkiem téj polityki było odstąpienie parnelistów od obozu ministeryalnego, upadek Gladstona w czerwcu 1885 roku. Pamiętny ten wypadek zdarzył się z powodu przedłożenia przez gabinet billu przeciwko zbrodniczym zamachom, popełnianym w Irlandyi. Jakkolwiek między stronnictwem liberalném angielskiém a narodowcami irlandzkimi było wiele punktów stycznych

i harmonia zasad, to nie chcieli ci ostatni nigdy uchwalać środków represyjnych przeciwko swemu krajowi. Gdyby byli zachowali neutralność, gabinet Gladstona byłby mógł nadal utrzymać się u władzy. Ale parneliści, wierząc w sympatyczne dla nich zapewnienia młodych torysów pod egidą Lorda Randolpha Churchill, stanęli po stronie opozycyi i stali się sprawcami przyjścia do władzy gabinetu lorda Salisbury.

W pierwszych zaraz potém miesiącach Parnell mógł sobie winszować dokonanéj przezeń ewolucyi. Nowe ministeryum nie szczędziło mu objawów swéj dobréj woli. Nietylko, że odwołano *Coercion Bill* i wprowadzono rozmaite ulgi do systemu administracyi surowéj za rządów lorda Spencera, ale kwestya gruntowa uczyniła ważny krok naprzód, dzięki przeprowadzeniu tak zwanego Aktu lorda Ashburnam, albo *purchase act*. Suma 5,000,000 funtów szt. została pożyczoną przez skarb angielski komisyi gruntowéj irlandzkiéj i do wysokości téj sumy wielcy posiadacze ziemscy mogli wyprzedawać grunta czynszownikom, którzy umarzali swój dług ratami. Naturalnie tak drobna suma mogła być tylko początkiem dzieła skupu, lecz w oczach Irlandczyków stawiała nareszcie zadanie ekonomiczno-społeczne na jedynym praktycznym gruncie i rozumiéć można gorące poparcie, jakie mu dali w parlamencie. W tym to czasie miała téż miejsce owa słynna i tak szeroko a rozmaicie komentowana rozmowa poufna między Parnell'em a lordem Carnarvon, wice-królem Irlandyi. Jako dowód swéj sympatyi dla Irlandyi, lord Carnarvon obiecywał nowy krok co do wykupu gruntów w myśl Aktu lorda Ashburnam, energiczne poparcie przemysłu irlandzkiego, zniesienie wszystkich praw wyjątkowych i samorząd prowincyonalny. O ile obietnice wice-króla były wyraźne, dobitne, nie wiadomo, ale jest niezaprzeczoném, że jego zwierzchnik, lord Salisbury, wyparł się takowych i utrzymywał zawsze, że nigdy do uczynienia ich nie dał upoważnienia. Parnell, zapewniony, że znajdzie u torysów dobrą wolę i gotowość do spełnienia w wielkiéj części przynajmniéj jego własnego programatu, rzuca się energicznie do kampanii wyborczéj i w mowie swéj w Dublinie, bez najmniejszych ogródek oznajmia, iż ostatecznym jego celem jest pozyskanie dla Irlandyi autonomii, oddzielnego parlamentu narodowego, zniesienie przymusowéj unii 1800 roku i wejście Irlandyi jako swobodnego narodu do federacyjnego organizmu Wielkiéj Brytanii.

Dopóki trwała walka wyborcza do nowego parlamentu, torysi nie podnosili głosu przeciwko radykalnemu programatowi Parnella, z którym szli ręka w rękę. Rezultat wyborów był jednak dla sprzymierzeńców nie pomyślny. Przeciwko 85 Irlandczykom i 250 tory-

som, wybrano 333 whigów. Ministeryum zachowawcze nawet przy poparciu narodowców irlandzkich nie mogło liczyć na większość. Nie pozostawało mu nic innego, jak upaść z godnością w obronie zasad zachowawczych, i istotnie zaraz po otwarciu jedenastego parlamentu królowéj Wiktoryi, 12 stycznia 1886 r., gabinet runął, proponując zniesienie ligi narodowéj irlandzkiéj. Był pewien cynizm ze strony torysów w takiéj gwałtownéj i natychmiastowéj ewolucyi. Parneliści mieli jednak drogę jasno wytkniętą przed sobą: popiérając nowo utworzone ministeryum liberalne Gladston'a, nietylko zagładzą błąd w ubiegłym roku popełniony, ale otrzymać potrafią ustępstwa i reformy, za któremi się bezskutecznie ubiegali.

Układ pomiędzy Parnell'em a Gladstonem został niabawem zawarty. Jest w historyi Irlandyi, w historyi liberalnéj Anglii i w historyi osobistéj Parnell'a moment nadzwyczajnéj doniosłości. Irlandya nie może drogą gwałtu i rewolucyi otrzymać autonomii i przy każdym jéj porywie tego rodzaju w głębsze zapada przepaści. Potrzeba jéj było znaleść wśród społeczeństwa angielskiego i wśród prawnych jego przedstawicieli sprzymierzeńców. Egoistyczna i ciasna polityka stronnictw nigdy dotychczas nie pozwalała na utworzenie takiego związku. Trzeba było genialnego, entuzyastycznego męża stanu, jakim jest Gladstone, aby plan taki powziąć i otwarcie powiedziéć swomu własnemu stronnictwu, swemu narodowi, iż po wielowiekowéj polityce gwałtów, ciemięstwa i niesprawiedliwości, nadeszła chwila sprobować nareszcie innéj, polityki zaufania, swobody i równouprawnienia. Nie było dosyć postawić abstrakcyjne zasady, ale trzeba było w praktyczny sposób trudności konstytucyjne i ekonomiczno-finansowe rozwiązać. Takiego olbrzymiego zadania podjął się Gladstone. Ażeby go nie ocenić i nie schylić przed nim czoła, trzeba być zaślepionym duchem stronniczym i rzucić rękawicę sprawie postępu i cywilizacyi. Sam zamiar Gladstone'a nadania Irlandyi samorządu i uwłaszczenia jéj włościan jest rehabilitacyą współczesnéj Anglii. Nie temu się dziwić należy, iż projekta jego zostały odrzucone w pierwszéj chwili, ale temu, że znalazły tylu i tak gorliwych popleczników. Stronnictwo liberalne angielskie sformułowało już przez organ swego urzędowego leadera swoje *credo* względem Irlandyi i przyjęło zobowiązanie spełnienia go, gdy kraj nanowo do władzy je powoła.

Ten nadzwyczajny, ten nieoceniony przewrót osiągnięty został przez agitacyą publiczną i przez parlamentarną działalność irlandzkich patryotów pod dowództwem Parnell'a. Jemu należy się honor i zasługa podniesienia i wyklarowania świadomości i on przez swą taktykę rzutną, czujną a energiczną udowodnił, że dopóki sprawa irlandzka

załatwiona nie będzie, żadne reformy wewnętrzne nie dadzą się przeprowadzić przez parlament i że żadne ministeryum bytu swego ani swego jutra pewném być nie może. Gdy spojrzymy na dwa bille irlandzkie, o samorządzie i o uwłaszczeniu, przedłożone parlamentowi na dwóch wiekopomnych posiedzeniach 8 i 16 kwietnia 1886 r., to musimy przyznać, że Parnell manewrował znakomicie, skoro potrafił natchnąć Gladstone'a przekonaniem o potrzebie reform tak radykalnych.

Zbytecznem byłoby wchodzić tutaj w szczegóły tych dwóch billów, które nawet w oczach ich autora miały być tylko podwaliną do wznieść się mającego gmachu, wspólnym gruntem do obrad i wzajemnych ustępstw. Dość będzie przypomnieć, że Irlandya miała mieć swój parlament i swoje ministeryum do spraw krajowych, nie przestając być składową częścią monarchii i uczestnicząc we wspólnych ciężarach. Pierwszorzędny finansista, jakim jest Gladstone, wszedł odrazu w szczegóły organizacyi skarbowéj, która, dając rękojmię Wielkiéj Brytanii. zapewniała dla Irlandyi odrodzenie ekonomiczne. W sprawie uwłaszczenia bill Gladstone'a opiérał się na wykupie, umożliwionym przez zaliczkę 50 milionów funtów szt. przez skarb angielski. Suma ta na pierwszy rzut oka jest niedostateczną, ale była ona pierwszém ogniwem łańcucha, po którym byłyby nastąpiły inne.

Jak czytelnicy sobie przypominają, kilkudziesięciu członków liberalnego stronnictwa angielskiego, pod przewodnictwem lorda Hartingtona, *sir* Henryka James i p. Józefa Chamberlain'a, nie chcieli przyłączyć się do polityki pierwszepo ministra, utrzymując, że następstwem jéj będzie być musiało zerwanie jedności monarchii. W skutek ich odstępstwa oba bille odrzucone zostały na posiedzeniu 7 czerwca większością 30 głosów, a w trzy dni późniéj Gladstone rozwiązuje parlament i odwołuje się do narodu. Parnell, który oczywiście mógł w tym lub owym drugorzędnym szczególe różnić się od zapatrywań i projektów Gladstone'a, oświadczył się w najenergiczniejszy sposób za nim i zawezwał swój naród do podtrzymywania liberalnego stronnictwa w kampanii wyborczéj. Ale mimo agitacyi nadzwyczaj czynnéj, mimo téj nieporównanéj oratorskiéj walki w Midlothian, jaką Gladstone zdziwił świat współczesny, opinia narodowa nie wypowiedziała się stanowczo. Idee, rzucone w społeczeństwo przez wodza, nie miały jeszcze czasu przeniknąć w łono mas; rozbrat w stronnictwie liberalném paraliżował także jego siły. Chociaż z pośród 2,500,000 głosujących. stronnictwo zachowawcze, nieprzyjazne Irlandyi, miało zaledwie tylko 80,000 głosów większości, wystarczyło to do zwalenia ministeryum liberalnego i pogrzebania rozbujałych nadziei Irlandyi. Nowo uformowany gabinet lorda Salisbury, istniejący

jeszcze obecnie, opierał się na 316 zachowawcach i 73 odstępcach liberalnych, a miał przeciwko sobie 194 whigów i 85 parnellistów.

Dla tych ostatnich nastąpiła teraz epoka ciężkich przepraw. Im większe niedawno jeszcze żywili nadzieje, tém boleśniéj gniotła ich rzeczywistość. W takich chwilach, gdy zniechęcenie ogarnąć może słabe umysły, charaktery silne i męzkie składają o sobie świadectwo. Parnell nie chciał tracić czasu i zaraz w początkach nowéj sesyi wniósł bill, mający na celu dostarczenie ulgi czynszownikom, nie będącym w możności opłacania swych rat. Pomimo umiarkowanego charakteru tych propozycyi, bill ten został odrzucony przez stronnictwo ministeryalne. Odpowiedź Irlandczyków nie dała długo na siebie czekać. W dniu 23 października tegoż 1886 r. ogłoszony został ów osławiony *Plan of Campaigne*. Jak wiadomo, zalecał on czynszownikom, ażeby w każdym razie, gdy właściciel nie zgodzi się wziąć połowy raty, prawnie mu przypadającéj, wstrzymali się zupełnie od zapłacenia czynszu i wnieśli sumy do kasy ligi narodowéj. która będzie korporacyjnie za nich działać i opiekować się nimi w razie, gdy zostaną wypędzeni ze swych zagród.

Jakkolwiek żywe mogą być sympatye dla Irlandczyków, niepodobna się tutaj uznać ich stronnikiem. Plan działania, jaki wskazany został czynszownikom, był nielegalny, rewolucyjny i organizował łupiestwo i samowolę. Nie można się dziwić, że wywołał nieporządki, bunty i, jako odwet, srogą, bezlitosną represyę, któréj Michaelstown pozostało ostatniém, krwawém słowem. Stronnictwo torysów, które przechyleniu się Irlandczyków do whigów i Gladstone'a zawdzięczało i dawniejszą utratę władzy i obecne trudności. traktowało ich z tém większą srogością, że wybryki i bezprawia, popełniane przez motłoch irlandzki, a których potępić nie chcieli, oburzały całe społeczeństwo angielskie. Napróżno przypominano stronnictwu ministeryalnemu, iż w czasie kampanii wyborczéj sprzeciwiali się wprawdzie samorządowi i uwłaszczeniu ogólnemu, ale że obiecywali szerokie reformy. Nie chcieli teraz o niczém podobném słyszéć, utrzymując, że najprzód należy przywrócić poszanowanie dla prawa i porządek. Lord Salisbury w publicznéj mowie oznajmił, że gdy przez jakie 20 lat żelazne rządy skruszą krnąbrność Irlandyi, to wtedy może, ale nie pierwéj będzie można myśléć o ulgach, ustępstwach i reformach. Jako wykonawcę polityki represyi, powołał do gabinetu swego własnego siostrzeńca, dawniéj sekretarza przybocznego, debiutującego w zawodzie politycznym i przynoszącego doń obok widocznych talentów umysł zuchowaty, temperament sarkastyczny, słowo pogardliwe, zaprawne żółcią i ironią. Tego rodzaju sekretarz dla Irlandyi, jakim był p. Ar-

tur Balfour, zapowiadał nie uśmierzenie walki ale jéj rozgorączkowanie.

Istotnie, ministeryum lorda Salisbury przez organ p. Balfour'a i przy pomocy parlamentu, gdzie dawni liberalni członkowie przedstawiali się jeszcze zajadlejszymi od torysów starego autoramentu, okazało niestrudzoną energię w represyi. Liga narodowa została rozwiązana i wystarczało uczestniczyć na jéj zebraniach albo dawać o nich sprawozdanie w prasie, aby być pociągniętym do odpowiedzialności sądowéj. Ponieważ zaś ustanowione były trybunały wyjątkowe *ad hoc*, złożone z sędziów, mianowanych przez p. Balfour'a, zatem wyroki drakońskiéj surowości sypały się gradem. *Coercion Bill*, wprowadzony teraz w życie, znosił w Irlandyi swobodę słowa, zebrań, obrad, organizacyi. Większa część deputowanych irlandzkich została oskarżoną o bezprawną agitacyę i skazana na więzienie przez trybunały wyjątkowe. Wtrąceni do więzienia zmuszeni byli przywdziać ubiór galerników i odbywać ciężkie roboty. Z prawdziwą zajadłością pastwiono się nad bezsilnymi przeciwnikami, a p. Balfour naigrawał się nad nimi. Dwa lata całe trwała ta walka i wśród powszechnego roznamiętnienia, wśród napaści, oskarżeń i potwarzy, miotanych bez przerwy, niezakłócony spokój i marmurowy chłód Parnella stanowił rażącą sprzeczność. A na niego naturalnie, jako na przywódzcę narodowéj partyi irlandzkiéj, zwracała się nienawiść przeciwników. Postanowili go skruszyć, zbezcześcić i wszystkie środki do tego celu zdawały się usprawiedliwionemi. *Times*, służący im jako organ, zaczął ogłaszać rozmaite listy Parnell'a i dokumenta, świadczące, że podżegał do zabójstw i przekupywał morderców i że, podczas, gdy publicznie stał na gruncie prawa, potajemnie trzymał z fenianami i anarchistami rewolucyjnymi. Dziennik nietylko, że ogłaszał podobizny listów Parnell'a, ale oświadczał, że gotów udowodnić prawdę swych oskarżeń. Oburzenie na przewrotność Parnell'a było ogromne, a widząc, że pogardzał długo takiemi potwarzami, uwierzyli, bo uwierzyć chcieli, że istotnie był winny. Nareszcie, ulegając wymaganiom swego stronnictwa, Parnell oświadczył, że jest gotów poddać się sądowi i wyrokowi komisyi parlamentarnéj, któréj bezstronność nie ulegała podajrzeniom. Rząd odrzucił to żądanie i mianował specyalną komisyą śledczą. Nie tylko nad listami Parnell'a miała ona prowadzić śledztwo, ale wezwać przed kratki swego trybunału wszystkich agitatorów irlandzkich, wszystkich członków ligi gruntowéj i ligi narodowéj. Całe stronnictwo narodowe, cała polityka ostatnich lat dziesięciu została niespodzianie posadzona na ławie oskarżonych. Ministeryum pokazało swoją stronniczość, nietylko upoważniając wszystkich swych urzędni-

ków i ajentów do składania świadectw przeciwko Parnell'owi, ale powierzając jednemu ze swych członków, attorneyowi naczelnemu, *sir* Richardowi Webster, obronę dziennika *Times*.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy dramatyczne epizody tego procesu pomiędzy *Times*'*em* a Parnell'em. Największe wrażenie wywołało wykrycie, że owe listy, które p. Macdonald, wydawca *Times*'*a*, zakupił od niejakiego p. Houston, agenta torysów, były podrobionemi, fałszowanemi listami, do autorstwa których przyznał się niejaki Pigott, łotr podrzędnego kalibru. Trzeba było istotnie zaślepienia, jakie daje nienawiść, aby w prawdziwość tych dokumentów uwierzyć, a dziennik, który się ich autentycznością zasłaniał, popełnił nie pierwszą ale zdumiewającą nikczemność. Ohydny Pigott samobójczą śmiercią skończył swój żywot, a niewinność Parnell'a została wykazana jaknajdowodniéj. Rząd starał się wlec śledztwo przez długie miesiące, ale publiczność nie przywiązywała do niego żadnego głębszego znaczenia. Nie można było wymagać większego zadość uczynienia, jak to, które Parnell otrzymał. Komisya, złożona z jego nieprzyjaciół, uznała jego niewinność; *Times* zapłacił mu dobrowolnie grzywny 5,000 funtów szt., jako koszta procesu, w izbie gmin, gdy się tam pierwszy raz pojawił, sprawiono mu owacyę bezprzykładną, wielkie meetingi odbywały się na jego cześć w Londynie i wielu miastach angielskich; Edimburg i inne miasta ofiarowały mu godność honorowego obywatelstwa. Stronnictwo liberalne tryumfowało z nim razem, opinia kół zachowawczych angielskich zwracać się ku Irlandyi zaczęła i Parnell otoczony ogólnym szacunkiem, fanatycznie uwielbiany w swéj ojczyznie, zdawał się, niesiony przez pomyślne fale, zbliżać do zbawczéj przystani. Ale i tutaj, jak nieraz w dziejach, tryumfator kapitolski znalazł się na dnie tarpejskiéj przepaści.

III.

Historya tego wypadku jest zbyt świéżą, ażeby potrzebowała długich wywodów, Prywatne życie i prywatna moralność złamała publiczny zawód Parnell'a. Kapitan O'Shea, Irlandczyk, przyjaciel jego, oskarżył go w pierwszych miesiącach 1890 r. o cudzołóstwo ze swoją żoną. Nie potrzebujemy się zapytywać, co skłoniło naraz p. O'Shea do wytoczenia procesu rozwodowego i jak się stało, że stosunek, który był powszechnie znany od lat kilku, wydał mu się nagle wielce podejrzanym i naganuym. Są ohydy moralne, w których otchłań ze wstrętem się tylko spogląda. Nie trudno jednak zrozumiéć, że polity-

czni nieprzyjaciele Parnell'a do wysokiego stopnia rozdrażnieni niepowodzeniem, jakie ich spotkało w procesie *Times*'a, poszukali innego a skuteczniejszego narzędzia do zgnębienia swego przeciwnika; posiadając i wpływy urzędowe i pieniędzy w bród, nie znaleźli przeszkód do poduszczenia gniewu zdradzonego męża. A wiedzieli dobrze, że społeczność angielska nie pozwala, ażeby brudy i skandale były stwierdzone publicznie: hipokryzya towarzyska pozwala zamykać na nie oczy przed procesem ale nie po nim. Tak jak zniweczyli *sir* Karola Dilke przez proces rozwodowy małżonków Crawford, tak podsadzili minę pod losy Parnell'a w procesie O'Shea. Po kilkomiesięczném zawieszeniu, przyszła nareszcie w listopadzie roku zeszłego ta skandaliczna sprawa rozwodowa przed trybunał londyński. Ani Parnell ani pani O'Shea nie uznali za właściwe stanąć przed jego kratkami i zostali potępieni zaocznie. Wszystkie epizody tego rodzaju stosunków, ukrywanie się, wybiegi, kłamstwa, fałszywe preteksty etc., były wywleczone bezlitośnie na światło dzienne i dzięki komentarzom prasy a zajęciu się publiczności tą sprawą, otrzymały rozgłos nadzwyczajny i rzuciły na Parnell'a światło niekorzystne. Prasa torysowska tryumfowała, utrzymując, że tego rodzaju niemoralny wódz polityczny jest zakałą swego stronnictwa i że życie prywatne występne, jest nowym dowodem niesumiennego publicznego.

Parnell zbolały ciosem, jaki dotknął kobiétę, która była jedyną jego miłością, nie przypuszczał w pierwszéj chwili, ażeby ten wyrok trybunału miał odbić się na jego stanowisku wodza Irlandyi. Utwierdził go w tém przypuszczeniu wybór ponowny na leadera, który parlamentarne koło Irlandczyków dokonało w parę dni po ukończeniu procesu. Ale wkrótce przekonał się, że rzeczy inny biorą obrót. Stronnictwo narodowe irlandzkie o tyle tylko jest w stanie przeprowadzić swój plan polityczny, o ile popiérane jest przez liberalne angielskie. Dowódzca tego ostatniego, Gladstone, nabrawszy przekonania że sekty nonkonformistów, wywierające wpływ przeważny wśród warstw ludowych, odwróciły się od Parnell'a ze wstrętem i potępiły go stanowczo, zrozumiał niebawem, że niepodobna płynąć przeciw prądowi i oświadczył w publicznym liście, że zrywa na przyszłość wszelkie stosunki z Parnellem i znać go nie chce. Był to grom, druzgocący stanowisko irlandzkiego leadera. Kiedy agitacya rosła, on jeden nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia. Dotknięty w swéj ambicyi, swym honorze, nie przypuszczał, żeby Irlandczycy go opuścili i, ufny w ich niewygasłą wdzięczność, w ich posłuszeństwo dla wydanego przez się hasła, postanowił utrzymać się na dyktatorskiém stawisku wbrew woli swych angielskich sprzymierzeńców. Pod świéżém wra-

żeniem otrzymanéj zniewagi ogłosił 28 listopada 1890 r. ów nieszczęśliwy manifest do narodu irlandzkiego, który stał się dlań grobowym kamieniem. Trudno wymarzyć krok mniej polityczny. Z jednéj strony poduszczał instykta narodowe, twierdząc, że Anglicy nie mają prawa narzucać Irlandczykom wodza, z drugiéj z czarną niewdzięcznością rzucał się na Glandstone'a, zdradzał tajemnicze pomiędzy nimi obrady i krytykował plan samorządu dla Irlandyi, ten sam plan, który dotąd uważał za zadawalniający. Jeżeli można wybaczyć człowiekowi uginającemu się pod nawałem domowego nieszczęścia, utratę zimnej krwi, to zjawisko to było niepodobném do zrozumienia u niego, który ją właśnie w tak wysokim stopniu posiadał.

Od ogłoszenia tego manifestu stało się widocznèm, że o żadném porozumienia się Parnell'a z whigami już mowy być nie może a Irlandczykom pozostawało oświadczyć się bądź za nim, bądź za samodzielną akcyą przeciw skojarzonym stronnictwom angielskim, bądź za dalszym sojuszem z obozem liberalnym przy potępieniu swego dotychczasowego przywódzcy. Uczucie wskazywało jedną drogę, rozum polityczny drugą. Jak z góry przewidzieć było można, nastąpił rozłam w łonie społeczeństwa irlandzkiego. Duchowieństwo, największa i najlepiéj zorganizowana siła narodowa, zerwało z Parnell'em; deputowani w parlamencie podzielili się na dwa skrzydła i kiedy większość z 45 członków złożona, obrała sobie za wodza p. Justyna Mac Carthy, narodowego historyka i wielkiego pisarza, mniejszość 26 członków została wierną Parnell'owi. Pomiędzy obu skrzydłami wszczęła się wojna bratobójcza, zajadła i kiedy obóz liberalny angielski patrzał na jéj hałaśliwe epizody z żalem i z trwogą, torysi nie taili swéj radości i podżegali do niéj bez ustanku, przechylając się zawsze ku téj stronie, która wydawała się im chwilowo słabszą.

Parnell, trzeba przyznać, nie szczędził swej działalności, prowadził swój zmniejszony hufiec przy każdej sposobności do boju, ale naturalnie na powodzenie takie, jak dawniej rachować nie mógł. W jednym po drugim okręgu wyborczym kandydaci przezeń protegowani nie zostawali wybranymi; jedni po drugich odbiegali go dawni stronnicy, fundusze z Ameryki przestały wpływać do jego kasy i widocznie słońce miało się ku schyłkowi. Umysł tak jasny, jak Parnell'a, nie mógł żywić złudzeń co do czekającego go osobiście losu i nie trudno sobie wyobrazić goryczy, która serce jego przepełniać musiała w tych ostatnich miesiącach coraz trudniejszej, coraz niewdzięczniejszéj walki. Siły jego fizyczne wyczerpywały się i można było przewidywać rychły ich upadek.

Wiadomość o jego zgonie, który nastąpił 6 października po trzy-

dniowéj chorobie, rozległa się głosem trąby jerychońskiej po wszechangielskich ziemiach, a w Irlandyi wywołała osłupienie i okrzyk rozpaczy. Zapomniano tam o błędach, popełnionych w ostatnich kilku miesiącach a oddawano hołd niestrudzonéj pracy dla Irlandyi. Pogrzeb jego na cmentarzu dublińskim stał się okazyą wielkiéj, wymownéj manifestacyi narodowej. Śmiertelne jego szczątki złożone zostały nieopodal od grobowca O'Connella, jego wielkiego poprzednika. Zasłużył i na tę apoteozę pogrobową i na odpoczznek w łonie ziemi ojczystéj. Jednego chyba w jego interesie żawołaćby można: że śmierć ta nie nastąpiła o rok wcześniéj: nie byłoby skazy wtedy na jego tarczy.

Dla téj części Irlandczyków, którzy aż do ostatniéj chwili pozostawali mu wiernymi, zgon wodza był ciosem podwójnie dotkliwym. Gwałtowność ich napaści na całość narodowego stronnictwa wzmogła się i szamotają się konwulsyjnie. Ale każdy dzień przynosi nowe dowody, że porywy te będą i być muszą bezskuteczne. Rezultat wyboru w hrabstwie Cork, gdzie szło o znalezienie następcy po Parnell'u w jego własnym okręgu wyborczym, pokazał, że niepodobna jest utrzymać nadal stronnictwa Parnelistów bez Parnella. Można przypuścić, że upłynie jeszcze kilka miesięcy zanim się agitacya uśmierzy i oponenci przekonają o niepodobieństwie dalszej walki, ale w przyszłym roku, gdy nowe powszechne wybory rozpisane zostaną do parlamentu, jest niezawodnem, iż cały naród irlandzki pod wspólnym sztandarem stanie znowu do walki.

Historya, wątpić nie można, zapisze imię wielkiego agitatora irlandzkiego na jednéj z pięknych swych stronnic, odda hołd pierwszorzędnym jego zasługom, a wybaczy błędy ostatnich czasów. Obecnie za blisko stoimy jeszcze niego, aby się silić na niepodobną do wyrobienia w nas bezstronność. Ale i teraz już można ocenić korzystne dla Irlandyi następstwa drogi przez Parnell'a wytkniętéj. Udało mu się tak silnie zorganizować naród i do takiéj wysokości podnieść jego dyapazon, że ministeryum uznało za konieczne w ciągu ubiegającego roku zmienić swe stanowisko względem Irlandyi i uczynić jej ustępstwa. P. Balfour oświadczył na raz, że Irlandya jest uspokojoną, że ugięła się przed majestatem prawa, że ilość zbrodni się zmniejszyła i że nadeszła pora zadośćuczynienia żądaniom narodowym. Przedłożył w imieniu gabinetu nowy projekt uwłaszczenia częściowego, w myśl dawniejszego aktu lorda Ashburnam i skarb angielski uczynił irlandzkiej komisyi gruntowéj zaliczkę 35,000,000 funtów szterlingów, na warunkach, przedstawiających daleko mniéj bezpieczeństwa dla Anglii, aniżeli to miało miejsce w billu Gladstona. Oprócz tego do-

wodu swéj dobréj woli względem Irlandyi, gabinet lorda Salisbury dał jeszcze inne, mianowicie, rozpoczęcie robót publicznych, zapobieżenie głodowi i nakoniec obietnicę, że na przyszłéj, a ostatniéj sesyi parlamentarnéj, przedłożony będzie bill o reformie administracyi prowincyonalnéj i inny bill o oświacie publicznéj. P. Balfour, słynny ze swéj nienawiści ku Irlandczykom, zmienił całkowicie swój sposób postępowania względem nich i opuszcza swe stanowisko ministra dla spraw irlandzkich, pod daleko lepszém wrażeniem, aniżeli gdy je obejmował przed kilku laty. P. Jackson, który mianowany został jego następcą będzie naturalnie szedł po wskazanéj przezeń drodze, tém bardziéj, że p. Balfour został leader'em izby gmin, a zatém duszą gabinetu.

Nie ulega już tedy najmniejszéj wątpliwości, że położenie Irlandyi staje się lepszém. Nawet gdyby obecny gabinet wyszedł zwycięsko z przyszłych wyborów, wejdzie ona w posiadanie instytucyi, które się staną nieprzezwyciężoną opoką do dalszéj walki za samorząd narodowy. Jeszcze szczęśliwszą będzie dla niéj zmiana gabinetowa i przyjście whigów do steru rządu, bo wtedy Gladstone i jego koledzy zaczną swój zawód ministeryalny od ponownego przedłożenia swych dawniejszych bilów o całkowitém uwłaszczeniu i o samorządzie.

Dr. M. E. Trepka.





GIEŁDY ZBOŻOWE TERMINOWE

I NIEURODZAJ.



Po zakazie wywozu żyta, mąki, otrąb w sierpniu, nastąpiły zakazy wywozu makuchów w początku października, a pod koniec października zabroniono wywozu owsa, jęczmienia, prosa, kukurydzy i t. d., z wyjątkiem pszenicy i strączkowych. Motywem, jakim się władze kierowały w wydawaniu tak energicznych środków, jest stwierdzony dotkliwy nieurodzaj na wielkiéj przestrzeni państwa, — na przestrzeni 20 gubernii w dorzeczu Kamy, Wołgi, Donu, od gór Uralskich do Kostromy, od Wiatki do Chersonu.

Nieurodzaj dotknął okolice, które, jak np. gubernie: kazańska, samarska i symbirska, już dobrego urodzaju nie miały i w poprzednich dwóch latach, więc zapasy żywności z poprzednich lat były wyczerpane i ogólny nieplon, tak zbóż jak i trawy, spowodować musiał zupełną ruinę ludności rolniczéj tamtych okolic.

Wydatki, poniesione przez skarb państwa, dochodzą dziś już do poważnéj sumy 64,000,000 rubli na kupno zboża ozimego do siewu i na żywność dla ludności głodem dotkniętéj, a przewidywany jest dalszy wydatek, może takiéj saméj lub większéj sumy.

Dla wstrzymania odpływu za granicę zboża, otrąb, kartofli i t. d., dla umożliwienia względnie niedrogiego zakupu środków żywności, zamknięto granicę, ustanowiono już w sierpniu zniżone taryfy przewozowe (po $^{1}/_{100}$ z puda i wiorsty) dla zakupów, dokonywanych przez ziemstwa, obecnie zaś—w początku listopada — dozwolono stosować tę samą opłatę przewozową i do transportów prywatnych, w kierunku ku stronom głodem dotkniętym ze wszystkich okolic.

Przekonano się bowiem, że równolegle z zakupami władz ziemskich, należy dać prywatnéj inicyatywie jak najszerszą swobodę przerzucenia zboża z miejsc, gdzie ono jest tańsze do okolic, gdzie jest droższe.

Podobnież nie może być naszém zadaniem rozbiérać całego szeregu czynników, które się złożyły na sprowadzenie klęski nieurodzaju — w czasie właściwym przyszłe ministeryum rolnictwa skorzysta z doświadczeń bolesnych wypadków. Pragniemy teraz na jeden tylko, pozornie drobny czynnik zwrócić uwagę, — czynnik dotąd tak w peryodycznéj prasie Cesarstwa, jak i w naszéj prasie pomijany, a którego nieobecność dała się uczuć dotkliwie, chcemy mówić o braku w Cesarstwie i u nas giełd zbożowych terminowych.

Zanim jednak przystąpimy do rozbioru znaczenia giełdy terminowéj w sprawie zaopatrywania w żywność 100-milionowego państwa, w sprawie regulowania cen téj żywności, musimy choćby pobieżnie powiedziéć o głównych ogniskach zbożowego handlu w Cesarstwie.

Głównemi portami wywożącemi zboże w Cesarstwie są nad morzem Baltyckiém: Petersburg, Rewel, Ryga, Libawa. Nad morzem Czarném i Azowskiém: Odesa, Mikołajew, Sewastopol, Taganrog, Rostow, Noworosyjsk.

Wewnętrzne rynki zbożowe najważniejsze są: Rybińsk, Moskwa, Niżny-Nowogród, Kazań, Samara, Saratów, Astrachań, Kozłów, Jelec, Charków, Elisawetgrad.

Główną arteryą ruchu zbożowego i przetworów zbożowych jest Wołga w połączeniu z Kamą, przeważnie Wołga na swéj długości 2,625 wiorst wynoszącéj, od Rybińska do Astrachania. Petersburg zawdzięcza systematowi kanałów, łączących Wołgę z Newą, swoje znaczenie wywozowego portu, dochodzi tam bowiem droga wodna, transportująca zboże z okolic poniżéj Saratowa położonych, przy frachcie wodnym, wynoszącym średnio za 1,744 wiorst spławu od Saratowa do Rybińska 7—8 kopiejek od puda, a za spław od Rybińska do Petersburga 9 kop. od puda.

Z pozostałych portów Cesarstwa, korzystają z dostaw spławem w małéj ilości Ryga (Dźwiną), Rostow (Donem), zaś Odesa odbiera bardzo poważne ilości z dolnego koryta Dniepru i Dniestru. Reszta portów: Rewel, Libawa, Mikołajów, Sewastopol, zasilane są wyłącznie przez dowozy kolejowe, zaś Taganrog i Noworosyjsk otrzymują swe dowozy zboża kolejami i furmankami. Ten ostatni sposób dosta-

wy posiada dla Rostowa, Odesy i Taganroga także niepoślednie znaczenie.

Jeśli rzucimy okiem na kartę geograficzną Rosyi i przypatrzymy się sieci kolei żelaznych,—to dostrzeżemy, że tak porty Baltyckie, jak południowe, połączone są liniami kolei żelaznych, tak z głównemi przystaniami Wołgi, jak z ogniskami handlowemi gubernii czarnoziemnych, środkowych i małoruskich, stąd téż wyraźnych rozgraniczeń geograficznych dla działalności portów nie ma, a polityka taryfowa ostatnich dwóch lat, przyczyniła się znakomicie do rozszerzenia sfery działania dla każdego portu.

Przyjęto jednak uważać, iż tak zwane „czerwone zboże“ (pszenica i jęczmień) głównie bywa przez porty południowe wywożone, zaś zboże „szare“ (żyto, owies, tatarka i t. d.) przez porty baltyckie. Zapasy zboża gromadzą się przeważnie w portach, oraz na przystaniach wodnych, jak Rybińsk, Samara, Saratów, Bałakowa, i w kilku miastach środkowéj Rosyi, jak Jelec, Orzeł, Kozłów.

Moskwa ma znaczenie jedynie konsumcyjne dla handlu zbożowego,—Niżny posiada znaczenie placu handlowego dla zboża, ale wyłącznie w czasie dorocznego jarmarku. Takich ognisk handlowych dla zboża w wewnątrz, w środku państwa, jak Peszt, Wiedeń, Berlin, Monachium, Cesarstwo nie posiada, z wyjątkiem jednego Jelca i to w skromnych rozmiarach.

Wywóz zboża zagranicę z Cesarstwa jest normalnie, bardzo doniosłém zjawiskiem w sprawie kształtowania kursów rubla papiérowego,—jest przedmiotem ciągłych badań statystycznych i szczególnéj opieki sfer powołanych i niepowołanych; lecz dla gospodarstwa wewnętrznego posiada znaczenie donioślejsze ruch zboża i mąki celem zaspokojenia miejscowego spożycia. Już same cyfry ogólne ruchu bezpośredniéj i lokalnéj komunikacyi są tego dowodem. Posiadamy cyfry za r. 1889-ty, w którym w kierunku portów i komór lądowych koleje żelazne przewiozły zboża i mąki 272,400,000 pudów, gdy cały ruch zbożowy na kolejach wynosił w owym roku 457,900,000 p.

Jeśli do téj ostatniéj cyfry dodać choćby połowę tylko masy zbożowéj, spławianéj na wodach wewnętrznych (159 m.), spostrzeżemy, że na ruch wewnętrzny, czyli lokalny, zboża przypadałoby około 330 mil. pudów, zatém prawie tyle, ile wynosi cały ruch eksportowy.

W jednym i drugim razie pozostaje nie uwzględnionym ruch zboża furmankami, tak potężną rolę odgrywający obecnie u nas i w Cesarstwie przy kosztownym przewozie kolejami w ruchu lokalnym.

Przekonano się bowiem, że równolegle z zakupami władz ziemskich, należy dać prywatnéj inicyatywie jak najszerszą swobodę przerzucenia zboża z miejsc, gdzie ono jest tańsze do okolic, gdzie jest droższe.

Nie będziemy zastanawiać się nad pytaniami, czy środki przedsiębrane zaradzą złemu, bo na to potrzebaby mieć pod ręką całą treść téj masy materyałów, na podstawie których władze rozpoczęły i prowadzą akcyę przeciwgłodową. Podobnież nie może być naszém zadaniem rozbiérać całego szeregu czynników, które się złożyły na sprowadzenie klęski nieurodzaju — w czasie właściwym przyszłe ministeryum rolnictwa skorzysta z doświadczeń bolesnych wypadków. Pragniemy teraz na jeden tylko, pozornie drobny czynnik zwrócić uwagę, — czynnik dotąd tak w peryodycznéj prasie Cesarstwa, jak i w naszéj prasie pomijany, a którego nieobecność dała się uczuć dotkliwie, chcemy mówić o braku w Cesarstwie i u nas giełd zbożowych terminowych.

Zanim jednak przystąpimy do rozbioru znaczenia giełdy terminowéj w sprawie zaopatrywania w żywność 100-milionowego państwa, w sprawie regulowania cen téj żywności, musimy choćby pobieżnie powiedzieć o głównych ogniskach zbożowego handlu w Cesarstwie.

Głównemi portami wywożącemi zboże w Cesarstwie są nad morzem Baltyckiém: Petersburg, Rewel, Ryga, Libawa. Nad morzem Czarném i Azowskiém: Odesa, Mikołajew, Sewastopol, Taganrog, Rostow, Noworosyjsk.

Wewnętrzne rynki zbożowe najważniejsze są: Rybińsk, Moskwa, Niżny-Nowogród, Kazań, Samara, Saratów, Astrachań, Kozłów, Jelec, Charków, Elisawetgrad.

Główną arteryą ruchu zbożowego i przetworów zbożowych jest Wołga w połączeniu z Kamą, przeważnie Wołga na swéj długości 2,625 wiorst wynoszącéj, od Rybińska do Astrachania. Petersburg zawdzięcza systematowi kanałów, łączących Wołgę z Newą, swoje znaczenie wywozowego portu, dochodzi tam bowiem droga wodna, transportująca zboże z okolic poniżéj Saratowa położonych, przy frachcie wodnym, wynoszącym średnio za 1,744 wiorst spławu od Saratowa do Rybińska 7—8 kopiejek od puda, a za spław od Rybińska do Petersburga 9 kop. od puda.

Z pozostałych portów Cesarstwa, korzystają z dostaw spławem w małéj ilości Ryga (Dźwiną), Rostow (Donem), zaś Odesa odbiera bardzo poważne ilości z dolnego koryta Dniepru i Dniestru. Reszta portów: Rewel, Libawa, Mikołajów, Sewastopol, zasilane są wyłącz-

nie przez dowozy kolejowe, zaś Taganrog i Noworosyjsk otrzymują swe dowozy zboża kolejami i furmankami. Ten ostatni sposób dostawy posiada dla Rostowa, Odesy i Taganroga także niepoślednie znaczenie.

Jeśli rzucimy okiem na kartę geograficzną Rosyi i przypatrzymy się sieci kolei żelaznych,—to dostrzeżemy, że tak porty Baltyckie, jak południowe, połączone są liniami kolei żelaznych, tak z głównemi przystaniami Wołgi, jak z ogniskami handlowemi gubernii czarnoziemnych, środkowych i małoruskich, stąd też wyraźnych rozgraniczeń geograficznych dla działalności portów nie ma, a polityka taryfowa ostatnich dwóch lat, przyczyniła się znakomicie do rozszerzenia sfery działania dla każdego portu.

Przyjęto jednak uważać, iż tak zwane „czerwone zboże“ (pszenica i jęczmień) głównie bywa przez porty południowe wywożone, zaś zboże „szare“ (żyto, owies, tatarka i t. d.) przez porty baltyckie. Zapasy zboża gromadzą się przeważnie w portach, oraz na przystaniach wodnych, jak Rybińsk, Samara, Saratów, Bałakowa, i w kilku miastach środkowéj Rosyi, jak Jelec, Orzeł, Kozłów.

Moskwa ma znaczenie jedynie konsumcyjne dla handlu zbożowego,—Niżny posiada znaczenie placu handlowego dla zboża, ale wyłącznie w czasie dorocznego jarmarku. Takich ognisk handlowych dla zboża w wewnątrz, w środku państwa, jak Peszt, Wiedeń, Berlin, Monachium, Cesarstwo nie posiada, z wyjątkiem jednego Jelca i to w skromnych rozmiarach.

Wywóz zboża zagranicę z Cesarstwa jest normalnie, bardzo doniosłém zjawiskiem w sprawie kształtowania kursów rubla papiérowego,—jest przedmiotem ciągłych badań statystycznych i szczególnéj opieki sfer powołanych i niepowołanych; lecz dla gospodarstwa wewnętrznego posiada znaczenie donioślejsze ruch zboża i mąki celem zaspokojenia miejscowego spożycia. Już same cyfry ogólne ruchu bezpośredniéj i lokalnéj komunikacyi są tego dowodem. Posiadamy cyfry za r. 1889-ty, w którym w kierunku portów i komór lądowych koleje żelazne przewiozły zboża i mąki 272,400,000 pudów, gdy cały ruch zbożowy na kolejach wynosił w owym roku 457,900,000 p.

Jeśli do téj ostatniéj cyfry dodać choćby połowę tylko masy zbożowéj, spławianéj na wodach wewnętrznych (159 m.), spostrzeżemy, że na ruch wewnętrzny, czyli lokalny, zboża przypadałoby około 330 mil. pudów, zatém prawie tyle, ile wynosi cały ruch eksportowy.

W jednym i drugim razie pozostaje nie uwzględnionym ruch zboża furmankami, tak potężną rolę odgrywający obecnie u nas i w Cesarstwie przy kosztownym przewozie kolejami w ruchu lokalnym.

Cierpliwy rachmistrz może potrafiłby obliczyć, jak wielomilionową jest cyfra pudów, dowożona furmankami do miast i miasteczek na targi i jak wiele bezrolna ludność miejska potrzebuje zboża dla swego wyżywienia. Prawdopodobnie uzyskałby cyfrę znacznie wyższą od przytoczonéj powyżéj, to jest od cyfry 330 milionów pudów zboża i mąki.

Nam wystarczy dla uzasadnienia twierdzenia, iż handel wewnętrzny zbożowy, handel, mający na celu zaspokojenie potrzeb czy to miejskiéj ludności, czy to mieszkańców gubernii północnych, normalnie importujących z południa i środkowych gubernii zboże, mąkę, kaszę, — powtarzamy, handel taki, obracający setkami milionów pudów najniezbędniejszych środków wyżywienia zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Handel zbożowy w Cesarstwie daje się dosyć ściśle rozgraniczyć na eksportowy i wewnętrzny nietylko dla rozróżnienia pojęć, lecz i dlatego, że zupełnie inne osobistości tak w jednym, jak w drugim udział przyjmują.

Anglicy, Holendrzy i Niemcy mają głównie w swych ręku wywozowy handel zbożem w portach baltyckich, ich siedziby są w tychże portach, i z wyjątkiem kilku domów np. Thomas Clayhills & Sons w Rewlu, nie posiadają agentów na prowincyi dla kupowania zboża, lecz ograniczają się na nabywaniu gotowego ziarna w składach (lub na barkach, wicinach w Petersb. Libawie) firm komisowych. Zaznaczamy tu, że sporo kupuje się zboża na dostawę z zadatkiem mniejszym lub większym od tychże komisyonerów, lub od przyjezdnych kupców prowincyonalnych.

Kupna takie mają niejednokrotnie charakter pożyczki pieniężnéj, bo zadatek przewyższa normę zabezpieczenia i dawany jest zwykle tylko przez nabywcę, gdy sprzedający kaucyi nie składa.

Handel zbożowy w portach południowych również załatwiają eksporterzy, nie nabywający ziarna na własny rachunek wewnątrz kraju, lecz kupujący gotowe zboże od komisyonerów.

Właścicielami domów eksportowych są przeważnie Grecy, Niemcy, a w ostatnich czasach — żydzi.

Z przybyciem z zagranicy agentów dwóch firm, braci Dreyfuss i Ch. Neufeld, częściéj słychać o kupowaniu zboża po cenie stałéj w odległych od portów miejscowościach, jak np. w okolicach Elisawetgradu, Korsunia, Krzemieńczuga, a nawet Kurska, dla Odesy i Mikołajewa,—zaś w okolicy Woroneża, a nawet na drodze Tambowsko-Saratowskiéj i Griazie-Carycyńskiéj dla Rostowa. Mieliśmy

sposobność w Kirsanowie spotkać agentów, kupujących zboże po cenie stałéj: owies do Rewla, pszenicę do Rostowa.

Zdarza się niejednokrotnie, że konjunktury handlowe zniewalają młynarzy w Niżnym-Nowogrodzie i Rybińsku do poszukiwania pszenicy nad Donem, gdy znów przy innéj sposobności pszenica z nad Wołgi podąża przez Carycyn i Kałacz do Rostowa.

We wszystkich tranzakcyach podstawą jest jednak zboże gotowe, lub przynajmniéj już zebrane, znanego więc pochodzenia, ściśle określonéj ciężkości gatunkowéj i podług prób nabywane.

Co do metody handlu zbożem w środkowych guberniach, to jest ona wcale oryginalna.

Wszystkie większe i mniejsze miasta gubernii środkowych posiadają mniéj lub więcéj liczny poczet kupiectwa, prowadzącego swe operacye oddawna z ojca na syna.

Na ogół jest-to kupiectwo zamożne, wyrobione na swój sposób, konserwatywne co do metody pracy, lecz bynajmniéj nie jednostronne. Dziś kupiec taki nabywa zboże, jutro kupuje skóry, a pojutrze len lub konopie,—następnie przerzuca się do przemysłu, stawia młyn lub olejarnię, kupuje majątek ziemski i zaprowadza stadniny. Zamożni przedstawiciele téj sfery, brzydzą się kredytem,—to jest kupują tylko za gotówkę, a sprzedając na kredyt, uważają za ujmę redyskontować weksle handlowe w Banku państwa. Z téj racyi, w listach osób akredytowanych w Banku państwa, wcale się nie spotyka firm najbogatszych.

Przeciętny kupiec zbożowy nabywa zboże gotowe, skoro się pokaże na targach zaraz po żniwach, gromadzi je w śpichlerzach dosyć prymitywnych, lecz praktycznie pobudowanych i nie rozstaje się z niém, aż w epoce, gdy sprzedaż znaczny zysk mu przynosi.

Zwykle pierwsza epoka sprzedaży przypada w czasie jesiennéj bezdroży, w tamtych stronach daleko dotkliwszéj, niż u nas, bo drogi szosowe nie istnieją jeszcze. Z chwilą nastania sannéj drogi, gdy dowozy się powiększają i ceny spadają, kupiec dokompletowywa swe zapasy i czeka znów pory roztopów wiosennych dla sprzedaży.

Wreszcie po załatwionych siewach wiosennych, jeśli jeszcze dowozy trwają, to kupuje znów dla odprzedania w czasie przednówka.

Starsza generacya kupców prowincyonalnych, mieszkających zdala od dróg wodnych, wcale nie podejrzéwała, żeby inaczéj jak z progu śpichlerza, nabyty towar sprzedawać było można,—gdy znów operujący na przystaniach mniejszych i większych rzek, regulowali

i regulują swe zakupy do dwóch spławów: jesiennego i wiosennego z pierwszą wodą.

Na przystaniach Wołgi, w czasie jesiennych i zimowych dowozów prócz miejscowych kupców, biorą udział w zakupach firmy petersburskie, które oddawna ubezpieczały zakupy przez odpowiednie sprzedaże na dostawę jesienną, lecz kupiec prowincyonalny wié tylko, że kupuje dla zarobku, o sprzedażach na dostawę *blanco*, to jest o sprzedaży *à la baisse* wiedziéć nie chce.

Linia przeprowadzona od Kijowa do Woroneża i Carycyna na wschód i od tegoż Kijowa na północ ku Petersburgowi, prawie ściśle odgranicza handel powolny śpichrzowy od handlu wagonowego, ruchliwszego, lecz mniéj solidnego.

Nie od rzeczy będzie tu wspomniéć, że obecność żydów na liniach kolejowych, środkowe gubernie przecinających, znacznie ożywiła obroty zbożowe, wytwarzając niebywałą dotąd konkurencyę w zakupach.

Nie możemy tu rozbierać, o ile pojawienie się tego żywiołu było pożądane dla producentów zboża, a powodem dotkliwych strat dla kupców autochtonów, zaznaczamy tylko fakt, że miejscowi kupcy nauczyli się od przybyłych kolegów po fachu, nietylko żwawszego załatwiania interesów, lecz i energicznego wyzyskiwania konjunktury.

Obraz kreślonych tu stosunków nie może być kompletnym bez wspomnienia choćby o niezupełnie lojalnych sposobach kupowania zboża praktykowanego na targach wiejskich i miejskich. Sposoby te wywoływały długo ostrą krytykę prasy i dały pochop do reglamentacyi z urzędu.

W każdym jednak razie, żałować należy, iż w naszym kraju nie posiadamy na prowincyi, ani w Warszawie, téj warstwy handlujących, jaką widzimy w Jelcu, Penzie, Kozłowie i t. d., któraby gromadziła zapasy do magazynów i przez to samo regulowała ceny, nie dozwalając na znaczne wahania, tak niepokojące i rujnujące producenta.

Niezmiernie ruchliwe usposobienie naszych handlujących, względnie niewielkie środki, jakiemi rozporządzają—niemożność sprzęgnienia ich w korporacye giełdowe, wszystko to przykre cienie na tle naszych stosunków gospodarczych, których zmiany na lepsze trudno się spodziéwać w bliskiéj przyszłości.

Wracając jeszcze do metody handlu zbożem w Cesarstwie, musimy powtórzyć, że chociaż handel eksportowy, praktykowany czy to nad Wołgą, czy na byłych stepach Noworosyi, posiada już sposób asekurowania się przez sprzedaże terminowe, to więcéj niż połowa

wszystkich obrotów zbożowych, mających na celu zaspokojenie spożycia miejscowego, nie zna prawie sposobu zabezpieczenia się od strat za pomocą sprzedaży terminowéj.

Nie lepiéj dzieje się w handlu zbożowym Warszawy i całéj kongresówki. Pominąć wypada owe osławione sprzedaże zboża na pniu, owe smutne tranzakcye, zielone zboże za przedmiot mające, tranzakcye, w których obie strony się łudzą, bo normalnie, nabywca nie dostaje tego, co kupił, a przynajmniéj nie w téj ilości i jakości, jak kupił, a sprzedający, gdy dowodnie przekonał się o bardzo niekorzystnéj dla siebie umowie, używa dozwolonych i niedozwolonych wybiegów.

Handel zbożem w Królestwie stosownie do tego, czy opiera się na rynkach zagranicznych, czy też miejskie lub miejscowe spożycie zaspakaja,—gdy idzie o spełnienie zobowiązań w przyszłości, stosuje różną metodę; w pierwszym wypadku kupuje po cenie odpowiadającéj cenom gdańskim, notowanym na późniejsze terminy, z potrąceniem kosztu spławu, asekurayci, procentów od zaliczeń i kosztów gdańskich; w drugim wypadku kupuje na cenę warszawską, jaka będzie, z potrąceniem pewnéj kwoty na korzyść nabywcy. Epoki ceny warszawskiéj wybierają się rozmaicie, raz stosownie do pewnych dni miesiąca, drugi raz przeciętnie biorą cenę z całych tygodni lub miesięcy, bez liczenia procentów od zaliczek, lub z uwzględnieniem procentów na korzyść kupującego, gdy wydano zaliczenie, a na korzyść sprzedającego, gdy zaliczek nie pobrano.

Kombinacyi bywa tu wiele, wszystkie trudno uwzględnić, — dają one niejaką korzyść rolnikom zamożniejszym, w porównaniu ze sprzedażami zielonego zboża, lecz tak producenci, jak handlujący, niejednokrotnie tracą przy tego rodzaju tranzakcyach, bo do ostatniéj chwili, to jest do chwili obliczenia, nie wiedzą po jakiéj cenie kupno i sprzedaż miały miejsce.

Element niepewności, zdawanie się na losy przyszłe, jest zjawiskiem niepożądaném, i choćby dlatego tylko nie możemy z opowiedzianą metodą sympatyzować.

Handel produktami rolnemi w Królestwie i Cesarstwie, o ile dotyczy zaspokojenia potrzeb wewnętrznych, posługuje się przeważnie jedną metodą: naprzód kupić, potém sprzedać, — gdy druga metoda: naprzód sprzedać, potém kupić — jest dlań zupełnie niedostępna, z racyi braku giełd terminowych, na których mógłby tę metodę stosować. Jeśli zaś uprzytomnimy sobie, że nie może wcale być mowy o stale trwającym kierunku zwyżkowym, to łatwo zrozumiéć, że w ciągłości operacyi zbożowego handlu następować muszą krótsze lub dłuższe przerwy, noszące miano zastoju, gdy ceny, dla braku nabyw-

ców, mniéj lub więcéj gwałtownie się cofają. Nie znamy operacyi na zniżkę, więc gdy cena spada, nie mamy kupujących, którzyby swe angażowania zniżkowe likwidować potrzebowali za pomocą kupna. Jasném więc jest, dlaczego linia, graficznie wyobrażająca wysokość cen płaconych, musi wykazywać od kierunku poziomego częste i bardzo znaczne odchylania to na dół, to w górę.

W takim Peszcie zwyżka lub zniżka 5 — 10 krajcarów na cenie metrycznego cetnara danego zboża już zwraca uwagę, u nas wahanie ceny o złoty na korcu lub więcéj z dziś na jutro, w normalnych czasach, jest prawie zwykłém zjawiskiem.

Nie będziemy jednak rozszerzać się nad sprawą zbyt specyalną i przejdziemy do ogólniejszéj, to jest do scharakteryzowania giełd zbożowych i usług, jakieby one oddać mogły tutejszemu społeczeństwu i prowincyom całego państwa, — szczególniéj w latach nieurodzaju.

Giełda tém się różni od targu, że gdy na tym ostatnim spotykają się producenci z nabywcami, konsumentami i kupcami, na giełdzie spotykają się głównie kupcy z kupcami i pomocnikami kupców, interesy więc załatwiają na giełdach kupcy między sobą.

Gdy rolnik sprzedający swą krescencyę stawia sobie pytanie, czy uzyskana cena pokryje koszta produkcyi i dostarczy rentę od zakładowego i obrotowego kapitału, — kupca na giełdzie obchodzi dany produkt o tyle tylko, o ile na jego cenie w danéj chwili zarabia, lub traci w porównaniu do ceny zakupu, lub spodziewanéj ceny sprzedaży.

Na targach wystawia się towar do sprzedania i handlują towarami, zaś na giełdach operuje się abstrakcyą towaru, jego ceną.

Kupiec na giełdę nie przynosi nawet próbek towaru, operuje się towarem określonego gatunku, a kupcy przynoszą z sobą wiadomości, które na zaofiarowanie lub pokup towaru, na zniżkę lub zwyżkę ceny wpływać mogą.

Historyi ani organizacyi giełd opowiadać tu nie będziemy, ciekawi znaleźć ją mogą w każdéj większéj encyklopedyi. Zrozumiéć łatwo, że *collegium mercatorum* z czasów Liwiusza nie podobne było do giełdy Londynu formalnie w r. 1564 ustanowionéj, jak ta ostatnia niepodobna jest do giełd nowożytnych, odbywających się w olbrzymich pałacach, kosztujących miliony, niepodobna do giełd uzbrojonych w telegrafy, telefony i w statystyki.

W wielkich miastach cywilizowanego świata, jak np. w Nowym Yorku, współcześnie funkcynuje 6 wielkich giełd: Stock, Cotton, Produce, Coffee, Metal i Consolidated Exchange, obok wielu pomniejszych dla owoców, siana, masła i t. d. Ogrom dopełnianych tranzakcyi na

głównych giełdach Nowego Yorku wydaje się nam, stojącym na uboczu od wielkiego handlowego ruchu — czémś bajecznem, jak tego poniższe cyfry obrotów dowodzą. Na giełdzie bawełny na dostawę terminową w 1890 r. obrócono 27,037,700 bel bawełny, ilością prawie 3½ razy większą od największego całorocznego zbioru bawełny w Stanach Zjednoczonych.

Na giełdzie produktowéj obrócono 4,240,975 beczek mąki, 1,238,425,000 buszli pszenicy, 431,126,000 buszli kukurydzy, 129,520,000 buszli owsa, 15,280,700 beczek łoju. Rok miniony nie był wcale peryodem bardzo ożywionéj spekulacyi, bo np. w r. 1888 obrócono pszenicy 1,557,141.500 buszli, to jest cyfrą, trzykrotnie przewyższającą cały rezultat urodzaju tego ziarna w Stanach.

Powstawanie i rozwój giełd zbożowych terminowych, odbywało się równolegle z rozwojem środków komunikacyjnych, z powstawaniem składów i gromadzeniem się w nich towarów.

Nie będziemy się spierać z przeciwnikami giełd terminowych, czy zasługa inicyatywy w gromadzeniu towarów, budowaniu składów należy się giełdzie, czy téż giełda rozwijała się jak pasorzyt na gruncie udogodnień już powstałych. Widzimy tylko, że sumy obrotów za gotówkę wzrastają i maleją równomiernie z wzrostem operacyi na dostawy. Tak np. na giełdzie w Buda-Peszcie

1885 r.	obrót za gotówkę	6.517.000	ctr.	metr.,	8,808,400	na dostawy
1886	„ „	6,512,000	„	„	6,474.200	„
1887	„ „	6,898,900	„	„	7,850,200	„
1888	„ „	8,085,000	„	„	11,694,900	„

przy liczbie uczestników giełdy w 1885 r.—1004, w 1886—1044, w 1887—988 i w 1888—963 i liczbie meklerów w 1888 r.—114.

Pozwalamy sobie mniemać, że gromadzenie i utrzymywanie w danem mieście wielkich zapasów zbożowych bez pobudki, wytworzonéj giełdą terminową, jest wprost niewykonalném; bo któż właścicielowi zapłaci za poniesione koszta magazynowania, kto go ubezpieczy od szansy zniżki. gdy w epoce, w któréj zapragnie zrealizować zapasy, nie znajdzie nabywców na swoje towary? Im dana giełda terminowa większe liczy koło uczestników, im wybitniejsze zdolności posiadają ci uczestnicy, im większemi dysponują środkami, — tém dodatniejszy jest wpływ takiéj giełdy na gospodarstwo danego społeczeństwa. Spekulacya, zrozumienie, ocenienie czynników, ujemnie lub dodatnio wpływających na kształtowanie się ceny, znajduje swój probierz w doniosłości omyłek, w wysokości różnic, jakie się wykazują między ceną, płaconą na dostawy, i ceną jaka w epoce dostawy istnieje

na dany produkt. Naprzykład, —jeśli obecnie w październiku, notują na dostawę wiosenną kwiecień—maj, w Gdańsku 190 marek za tonnę pszenicy bez cła, zachodzi pytanie, — czy przewidywanie spekulantów się ziści, czy, gdy kwiecień nadejdzie, na targu gdańskim będzie można kupić kontraktową pszenicę po 190 marek, czy téż droższą lub tańszą ona będzie i o ile.

Zadano sobie pracę zestawienia cen notowanych za żyto na giełdzie berlińskiéj na dostawę jesienną (wrzesień—październik) i na dostawę wiosenną (kwiecień—maj) w porównaniu z cenami gotowego żyta w tychże terminach, za czas od 1850 do 1876 r. Otóż różnice w peryodzie lat od 1850 do 1858 wynosiły przeciętnie *in plus* $17^{58}/_{100}\%$ *in minus* $12^{41}/_{100}\%$, średnia $14^{35}/_{100}\%$.

Za czas od 1858 do 1867 przeciętnie mylono się *in plus* $10^{36}/_{100}\%$, *in minus* $10^{32}/_{100}\%$, średnia $10^{63}/_{100}\%$.

Od 1867 do 1871 omyłki wyniosły przeciętnie *in plus* $2^{3}/_{100}\%$, *in minus* $8^{22}/_{100}\%$, średnia $6^{38}/_{100}\%$.

Od 1871 po 1876 *in plus* $6^{60}/_{100}\%$, *in minus* $3^{20}/_{100}$, średnia $4^{26}/_{100}\%$. Mylono się więc coraz mniéj, a jak się zdaje, wskutek ciągle powiększającéj się liczby rąk, przez które dane interesa przechodziły.

Jednostką sprzedaży terminowéj na giełdach jest

w Peszcie	1000	cetnarów metrycznych
„ Wiedniu.	500	„ „
„ Tryeście.	500	„ „
„ Paryżu	250	„ „
„ Berlinie	500	„ „

podobnież w Gdańsku, Wrocławiu, Szczecinie, Hamburgu i Bremie,

w Lipsku. . . .	250	cetnarów metrycznych	
„ Kolonii . . .	250	„ „	
„ Frankfurcie . .	250	„ „	
„ Holandyi. . .	600	„ „	pszenicy
„ „ . . .	520	„ „	żyta
„ Nowym Yorku	16,000	buszli pszenicy i kukurydzy	

a ponieważ termin jest dwumiesięczny, więc sprzedającemu służy prawo oddać połowę w pierwszym miesiącu, a długą połowę w następnym.

Londyński „*Produce clearing house*“ księguje tylko karty umowy na 1,000 kwarterów po 500 funtów angielskich.

Jednostką niedoszłéj giełdy produktowéj w Warszawie miało być 1,800 pudów czyli trzy teraźniejsze ładunki wagonowe, czyli około 300 cetnarów metrycznych.

Duszą giełdy towarowéj jest ciągła chęć kupowania i sprzeda-

wania, jaka się między jéj uczestnikami objawia. Na główne artykuły na takiéj giełdzie są codziennie kupujący i sprzedający, którzy bądź to nabywają w nadziei zyskania od chwili zawarcia umowy aż do chwili jéj ekspiracyi, bądź téż kupują dla załatwienia, technicznie mówiąc—„pokrycia“, dawniéj zawartych umów. Kupujących na dostawy zowią zwykle haussierami, zwyżkowcami, a sprzedających baissierami, zniżkowcami, *mine* i *contremine*, *bull* i *bear*, lub *longs* i *shorts*.

Nie należy jednak mniemać, że istnieją stale jakby dwie wrogie partye na giełdach terminowych, kto np. kupuje w Peszcie, może jednocześnie sprzedawać w Londynie lub w Paryżu. Sprzedający dziś może kupować jutro i kupować tém energiczniéj, im większe zmiany w jego rozumieniu spowodować mogły wieści o nieurodzaju, przerwach w komunikacyi, bankructwa, wypowiedzenia wojny i t. d.

Główne znaczenie giełdy towarowéj terminowéj upatrujemy w téj jéj właściwości—że codziennie tak kupna jak sprzedaże dokonane być mogą — i to po cenach publicznie notowanych, wszystkim czestnikom giełdy wiadomych.

Jakie są w użyciu rygory, zmuszające kontraktujących do spełnienia przyjętych zobowiązań dostawy w terminie?

Niewtajemniczonym w stosunki giełdowe dziwném zdawać się może, iż tranzakcye na dostawę poważnych partyi towarów bez zadatków, kaucyi hypotecznych—i tym podobnym gwarancyi, polegając jedynie na kartach umowy popartych wymianą przez strony podpisanych cedul, — na ogół, zupełną dają pewność dotrzymania domówionych warunków i wykonania dostawy lub przyjęcia towaru.

Poważne interesa poważni tylko ludzie zawierają, o których to ludziach istnieje domniemanie w chwili zawarcia tranzakcyi, że mogą być odpowiedzialni za przypuszczalne różnice, interesa terminowe przechodzą przez wielką liczbę rąk, a podpis na danéj umowie (żyro) jednéj choćby większéj firmy, daje możność i drobniejszym handlującym w danéj operacyi udział przyjmować.

Nie brak jednak, w ostatnich mianowicie czasach, wymagania materyalnéj poręki.

Na rozmaitych giełdach różnie na sprawy te się zapatrują, przytaczamy tu, że np. w Hawrze dla sprzedaży i kupna kawy na dostawę powstało towarzystwo akcyjne z kapitałem 2 milionów franków pod nazwą „*Caisse de liquidation des affaires en marchandises*“ w r. 1882, któréj to instytucyi zawdzięcza miasto Havre, dominujące swe stanowisko w handlu kawą na dostawę terminową.

Niezwykle szybki rozwój interesów giełdowych w Hawrze skłonił inne giełdy do naśladownictwa. Mechanizm omawianéj instytucyi

polega na têm, że mekler, pośredniczący przy danym interesie, wystawia dwie *„formules“* i dwie *„déclarations“*, podpisane przez sprzedającego i kupującego. Po jednym egzemplarzu zatrzymuje mekler dla siebie, jako dowód należnego mu kurtażu, dwa drugie egzemplarze dostarcza kasie likwidacyjnéj, która księguje dokumenty i wydaje od siebie jeden *„bulletin de vente“* i jeden *„bulletin d'achat“*, które zawierają, tak jak w księgach kasy, numer bieżący interesu, nazwiska meklera i kontraktujących, datę, nazwę i gatunek towaru, termin dostawy i ceny. Obadwa buletyny wydaje kasa meklerowi dla doręczenia stronom. Z chwilą wydania buletynów *A.* już nie jest kupującym od *B.*, lecz *A.* kupił od kasy, a *B.* sprzedał kasie.

Księgowanie *„enregistrement“* odbywa się po złożeniu przez strony zaliczki, od któréj pewien procent kasa bonifikuje.

Od woli zarządu kasy zależy, czy pobierać zaliczki i jakiéj wysokości; kasie również przysługuje prawo żądania zwiększenia zaliczki.

W londyńskiéj kasie likwidacyi *„Produce clearing house“* pierwotna zaliczka wynosi 80 funtów szterlingów.

Na giełdach amerykańskich składanie zaliczki (*marge-margin* zwaną) jest w zwyczaju, gdy np. wiedeńska, berlińska i peszteńska kontentują się podpisami stron pod kartą umowy.

Strona nie dotrzymująca umowy wyklucza się z giełdy wszędzie, tak w Ameryce, jak w Europie.

Gdyby np. obecnie istniały w Moskwie, Saratowie, Rostowie, Kijowie giełdy terminowe zbożowe, to zaopatrywanie okolic głodem dotkniętych odbywałoby się bez wysiłków indywidualnych, bez uciążliwych podróży wysłańców miast i ziemstw pojedyńczych gubernii na Kaukaz i na Podole, bez ryzyka kupowania zboża w okolicach mało lub wcale nieznanych, bez konieczności wyczekiwania nadejścia transportów. Kupowanie takie, jak je widzieliśmy obecnie, powodowało gwałtowne podnoszenie się ceny nabywanego produktu w miejscowości odwiedzanéj przez agentów ziemstwa. Tak w gub. besarabskiéj, w ciągu kilku dni, nieoględne nabywanie mieszanki (żyto z pszenicą) podniosło cenę z 92 do 100 kop. za pud.

Gdyby istniały giełdy, to w czerwcu jeszcze, z chwilą gdy widmo głodu zawisło nad ogromną przestrzenią kraju, podniosłyby się ceny na dostawę w dalszych miesiącach. Producenci, kupcy pośrednicy z okolic obfitujących w dobre plony, zamiast szukać odbytu zagranicą, sprzedaliby na giełdach Saratowa, Moskwy swoje zboże i sami wynajdywaliby drogę najtańszéj dostawy, z zupełnym spokojem obliczając, że nadejście wielkich partyi zboża nie spowoduje dla nich strat, boć już poprzednio zakontraktowali cenę.

Skarb państwa czy ziemstwa zamiast wydawać miliony, jako zadatki na zboże potrzebne do siewu i na wyżywienie ludności głodem dotkniętéj, kupowałyby odpowiednie terminy na giełdach wewnętrznych, mianowicie na tych, któreby najkorzystniejsze posiadały notowanie i geograficznie odpowiednie miały położenie. Podnosząc notowanie na terminy odleglejsze, skarb już przez to samo wstrzymałby wywóz zagranicę, boć przecież poważniejsza część wywozu żyta nastąpiła nie skutkiem czego innego, jak skutkiem obawy późniejszego gwałtownego obniżenia ceny tego ziarna.

Sam zakaz wywozu nie mógłby mieć miejsca, bo miarodajne władze w notowaniach krajowych giełd na terminy widziałyby jasną wskazówkę, że wywóz, grożący ogołoceniem ludności z części środków wyżywienia, nie ma i nie może mieć miejsca. Zboże nietylko dlatego odpływa zagranicę, że tamci bogaci, a my biedni, lecz i dlatego, że w braku giełdy terminowéj my nie mamy środka asekurowania się od zniżki, a zagranicą ten środek istnieje. Jesteśmy biédni, więc nie mamy nawet u kapitalistów kredytu dla uzyskania zadatków, lecz ci sami kapitaliści potrafią wchodzić w operacye pożyczkowe, zastawem gotowego zboża poparte.

Gdybyśmy więc mieli w lipcu notowania giełdy jeleckiéj, saratowskiéj etc. na listopad, grudzień rs. 1,40 za pud 120 f. żyta, czyżby nasi producenci pomyśleli o uciekaniu z żytem zagranicę, czyżby wogóle ów popęd owczy między handlującymi do płacenia 8—9 rubli za korzec żyta, wtedy miał miejsce? Notowania wysokie giełd nad Wołgą na zimowe i wiosenne miesiące 1892 roku miałyby ten bezpośredni skutek, że zamiast sprzedawać z Odesy, Mikołajewa, Taganrogu zboże zagranicę, skierowanoby takowe natychmiast po żniwach Donem do Kałacza, a stamtąd Wołgą do miejscowości dotkniętych głodem.

Nie można winić handlujących zbożem, iż, technicznie mówiąc, konjunktury głodowéj nie wyzyskali, gdyż podstawą do wyzyskania byłyby sprzedaże na dostawę, a tych bez giełdy bezpiecznie dokonać nie można z Odesy w Samarze lub Kazaniu. Handel — to nie filantropia, lecz w danym wypadku i handlującyby zarobili i głodni tanio pokryliby swe potrzeby i władzom połowa kłopotu odjętaby została.

O słuszności naszego zapatrywania wymownie świadczy fakt, że zboże z południa pokazało się na Wołdze dopiéro ku końcowi sierpnia i to już sprowadzone przez ziemstwa, gdy od końca czerwca rozpoczął się eksport z południa za granicę, — zatém eksport z południa nie skierował się tam, gdzie się mógł był skierować.

Sam zakaz wywozu żyta dopiéro w pierwszych dniach sierpnia nastąpił, a ulgi taryfowe dla ogółu dopiéro w listopadzie.

Giełdy produktowe nie znają prawie takich chwil, jak je tylokrotnie spotykamy w Warszawie, że na dany towar wcale nie masz nabywcy i to bezpośrednio po chwilach wielkiego ożywienia.

Przypomniéć warto, w jakiém położeniu znaleźli się kupcy zbożowi w maju i czerwcu roku bieżącego.

W maju zaczęły podnosić się ceny żyta i kaszy jaglanéj skutkiem braku dowozu i doszły nawet do ceny rs. 1 kop. 25 za pud, a kasza jaglana do 1,40 i 1,50 za pud, to jest do ceny, w któréj sprzedawano żyto w połowie października po stwierdzeniu nieurodzaju tego ziarna i po takiéj perturbacyi targu zbożowego, jaka nastąpiła skutkiem znanego zakazu wywozu żyta.

Jagły są dziś dopiéro droższe, jak wtedy.

Otóż wysokie w maju ceny, ściągnęły wielki dowóz tak żyta, jak kaszy jaglanéj, jak mąki z najdalszych okolic, bo z Orenburga i z północnego Kaukazu do Warszawy.

Brak danych o dowozie, brak informacyi o ilościach artykułów zbożowych, złożonych do magazynu tranzytowego na Pradze, brak wreszcie giełdy produktowéj, na któréj przez sprzedaże na dostawy, można byłoby całość lub część transportów zbożowych do Warszawy kierowanych sprzedać, jednocześnie z dopełnieniem zakupu lub z wyprawieniem w drogę, było przyczyną przepełnienia rynku i powodem niemałych strat.

Cena żyta, która w pierwszych dniach maja była podniosła się do rs. 1 kop. 25 (gdy jednocześnie w Libawie wahała się między 90 i 95 kopiejek za pud), spadła w czerwcu w Warszawie do rs. 1,03, i dopiéro po wyczerpaniu się zapasów, krótko przed nastąpiem zakazu wywozu, podniosła się do rs. 1 kop. 10 za pud.

Obwiniają giełdę terminową o pobudzanie do spekulacyi, czyż nie jest daleko sroższą spekulacya właścicieli gorzelni, którzy stoją przed alternatywą, pędzić okowitę z drogich kartofli, lub nie taniéj kukurydzy, bez żadnéj podstawy widocznéj ceny w przyszłości, prócz notowanéj na giełdzie w Hamburgu.

Dzięki téj jednéj giełdzie, właściciel krajowéj gorzelni wié przynajmniéj, jakie *minimum* za swój produkt osiągnąć może, jeśli sprzeda na dostawę do Hamburga, kurs waluty zapewni, a jednocześnie podda się wszystkim niedogodnościom i kłopotom nieoddzielnym od tego rodzaju interesu.

Do pewnego stopnia byłby sposób ograniczyć ryzyko właściciela gorzelni, przystępującego do pędzenia okowity czy to z ziemniaków,

kosztujących około 2-ch rubli za korzec, czy z kukurydzy, kosztującéj około 80—85 kop. pud *loco* gorzelnie, następującym sposobem:

Uzyskać od wszystkich gorzelni przed rozpoczęciem kampanii informacyę, jakie posiadają zapasy fabrykatu z minionego sezonu, jakie posiadają surogaty z własnego gospodarstwa do kampanii, mającéj się zacząć, ile zamierzają przerobić tych surogatów. Zestawienie tak uzyskanych cyfr w porównaniu z takiemiż cyframi roku zeszłego o tym czasie, dałoby wyobrażenie o cyfrze prawdopodobnéj produkcyi okowity w Królestwie podczas nowéj kampanii. O ileby produkcya ta nie pokrywała cyfry średniego spożycia w Królestwie, mogłaby powstać szansa utrzymania się dotychczasowéj ceny okowity. Naturalnie, trzebaby uwzględnić okoliczność zmniejszyć się mogącego spożycia, skutkiem małych zarobków ludności pracującéj ręcznie, okoliczność wywozu do środkowych gubernii i t. d., i dopiéro po takiém zważeniu szans za i przeciw, pojedyńczy właściciel gorzelni decydowałby się sprzedać część kartofli własnéj produkcyi, jako zbywające, lub dokupić dla rozszerzenia fabrykacyi.

Umyślnie pozwoliliśmy sobie dłużéj zatrzymać się na tym szczególe, nie związanym bezpośrednio z obchodzącym nas przedmiotem, dla dostarczenia jednego argumentu więcéj, za potrzebą giełdy towarowéj terminowéj przemawiającego.

Bo proces wysnucia wniosków z pracy, o konieczność przeprowadzenia któréj może niesłusznie posądzamy zarząd Towarzystwa ocz. i sprzed. spirytusu, przypadał w krajach giełdy towarowe terminowe posiadających, — nie poszczególnym producentom, lecz kupcom, członkom zgromadzeń giełdowych.

Ci panowie mogą się mylić; jak z zestawienia co do cen żyta w Berlinie widzieliśmy, mylą się zwykle, lecz za omyłki swoje płacą, przyczém rezultat wnioskowania z rozumowania tych panów staje się jawnym w ofiarowywaniu i nabywaniu danego produktu na dostawę w odległych przyszłych miesiącach.

Przechodząc teraz do strony praktycznéj, to jest do możliwości otworzenia giełdy produktowéj terminowéj w Warszawie, musimy niestety przyznać, że długo jeszcze na jéj otwarcie czekać wypadnie, a to z powodów następujących: stopień wykształcenia handlujących zbożem i produktami zbożowemi nie dozwala im ocenić korzyści, jakieby publiczne, otwarte załatwienie interesów dla nich przynieść mogło.

Samo uczęszczanie na giełdę wymagałoby dla wielu zrzeczenia się pokątnéj niepodatkowanéj egzystencyi.

Dziwny brak solidarności kupiectwa, opłacającego patenty gil-

dyjne, czy téż dziwnie zrozumiana filantropia, toleruje zajmowanie się handlem w ukryciu, w charakterze subiektów handlowych takich ludzi, którzy co najmniéj patent drugiéj gildyi wykupywać powinni.

Wreszcie brak magazynów dla zboża i mąki, magazynów, w których tak składowe, jak asekuracya, jak koszta manipulacyjne nie stanowiłyby zapory do dłuższego przetrzymywania produktów na składzie, jest także niemałą przeszkodą w urządzeniu giełdy towarowéj.

Tranzakcye na dostawy stanowią bowiem zachętę do gromadzenia zboża, tak jak istniejące udogodnienia magazynowe, sprowadzają możność zawierania umów na dostawę.

Przeszkody do urządzenia giełd towarowych terminowych są jeszcze i natury prawnéj. Nasze prawodawstwo traktuje dotąd wszelkie umowy giełdowe o dostawę, jako grę na różnicę i sądy koronne stale odmawiają stronom skarżącym prawa dochodzenia pretensyi z różnicy ceny powstałéj. Giełdy terminowe na zachodzie wprawdzie niedawno uzyskały prawną opiekę dla interesów na dostawy, bo np. we Francyi dopiéro w r. 1881 ostatecznie zredagowano odnośne przepisy, których artykuł I brzmi dosłownie:

„*Tous marchés à terme sur effets publics et autres, tous marchés à livrer sur denrées et marchandises sont reconnus légaux. Nul ne peut, pour se soustraire aux obligations qui en résultent, se prévaloir de l'art. 1965 du Code civil lors même qu'ils se résoudraient par le paiement d'une simple différence.*“

Umyślnie przytaczamy dosłowny tekst, aby przekonać, że operacye na dostawy nietylko są tolerowane, lecz posiadają prawną opiekę. Równie daleko idą prawodawstwa w Austryi, Włoszech, Niemczech. Jeśli sfery rządzące przekonają się, że otworzenie giełd terminowych jest pożądane, to wydanie odpowiednich przepisów nie każe długo na siebie czekać i u nas.

Z oddaniem zaś magazynów rządowych już pobudowanych i w budowie będących do publicznego użytku, może zbliżyć się chwila stosowna do próbowania, czy jednak, wbrew naszym przewidywaniom, umowy na dostawę nie dałyby się zaprowadzić. Magazyny będą, będzie w nich zboże, lecz czy się znajdą meklerzy, czy znajdzie się dosyć liczny zastęp domów handlowych, kupujących i sprzedających produkta rolne—to przyszłość pokaże.

Natomiast nie wątpimy, że władze państwowe, śledzące bardzo uważnie za sposobami zaopatrywania w żywność, głodem nawiedzonych prowincyi, dojdą do przekonania, że bez giełd terminowych wewnątrz państwa, bez nadzwyczajnych wysiłków i ciągłéj skądinąd

niepożądanéj interwencyi władz w sfery transportowania, ex- lub importowania płodów rolnych, niepodobna regulować prądów towarowych, niepodobna w porę dostarczyć środków wyżywienia, gdy o wyżywienie wielomilionowéj ludności sprawa idzie. Powyżéj wspomnieliśmy, że co najmniéj 330 mil. pudów zboża i produktów zbożowych widomego wewnętrznego handlu państwa, stanowi chyba dostateczny materyał operacyjny dla kilku giełd zbożowych terminowych.

Giełdy terminowe są nietylko barometrem chwili obecnéj, zaofiarowania i pokupu, i to barometrem publicznym, jawnym, mającym nawet pretensyę być przyrządem względnie znacznéj ścisłości, lecz co ważniejsza, barometr ten wskazuje dziś, jaka jest przeciętna opinia sfer handlowych o przyszłości odległéj o całe miesiące. Giełda terminowa—to aparat, który się sam reguluje i sam sprowadza materyały mu potrzebne choćby z drugiéj półkuli. Żyto kanadyjskie jest dziś w Gdańsku, przenica indyjska w Berlinie, chociaż żaden specyalny agent po zakupy delegowanym nie został.

Funkcye potrzebne spełniła giełda, jéj notowania na odległe terminy, pozwoliły bezpiecznie z mniejszą lub większą, ale pewną, marżą zarobkową sprowadzić zboże z odległych lądów.

Br. Werner.





LITERATURA DLA LUDU.

Dzieje książek wyłącznie dla ludu pisanych nie są u nas bardzo odległe, ale też nie pozostają zbytecznie w tyle po za europejskiemi objawami w tym kierunku. Można je już rozpocząć wraz z pierwszemi latami naszego stulecia, kiedy Jan Paweł Woronicz na posiedzeniach Towarzystwa przyjaciół nauk podał szczegółowo wymotywowany projekt ułożenia „pieśnioksięgu“, w którymby wszystkie rodzaje uczuć i stosunków, zrozumiałych dla wieśniaka, znalazły piękne pod względem treści i formy wyrażenie. Projekt ten nie został wykonany nawet do dziś dnia, te bowiem zbiorki pieśni, jakie ogłosił p. Zygmunt Gloger („Krakowiaki“, „Kujawiaki, mazury, wyrwasy i dumki“, „Zwyczaje doroczne“), spełniły go częściowo tylko, biorąc z ust samego ludu jego własne utwory, a nie wprowadzając nic (prócz lekkich zmian językowych i stylowych) ze skarbca ogólno-narodowéj twórczości; — w każdym atoli razie zwrócił on uwagę inteligencyi na potrzebę oddziaływania na najliczniejszą klasę narodu za pośrednictwem pism specyalnie dla niéj tworzonych.

Od tego też czasu zaczynają się pojawiać dziełka w tym duchu kreślone. Konstantyn Wolski układając swoję „Naukę początkowego czytania, pisania i rachunków“ (1811) miał już na widoku głównie młodzież ze sfery ludu miejskiego i wiejskiego. Marya z Czartoryskich, księżna Wirtemberska zaś pierwsza w r. 1818 wytworzyła przez swoje „powieści wiejskie“ zawiązek beletrystyki dla ludu. Odtąd książki takie z każdym niemal rokiem rosną w liczbie, a niektóre przeróbki z francuskiego lub naśladowania, jak „Pan Maciéj z Jędrychowa“ (1819), „Pan Jan ze Swisloczy“ (1821), „Pan Wojciech, czyli wzór pracy i oszczędności“ (1836), doznają wielkiego powodzenia i mają po dwie lub nawet (ostatnia z wymienionych) po pięć wydań.

Ciekawą i nauczającą byłaby historya i ocena téj literatury dla ludu w przeciągu lat osiemdziesięciu; możnaby z niéj było poznać zarówno poglądy na potrzeby duchowe mieszkańców wsi, jako téż metody pisarskie. Na nieszczęście takiéj historyi dotychczas nie mamy; co więcéj, czasopisma nasze wogóle mało zwracają uwagi nawet na wydawnictwa spółczesne, nie pamiętając o ich ważności, bo nie chcemy przypuścić, ażeby jéj nie pojmowały i nie uznawały. Potrzebaby wszakże, przynajmniéj od czasu do czasu, zdawać sobie sprawę z ducha i dążności tych wydawnictw, potrzebaby wyrazić wdzięczność autorom, autorkom, jak niemniéj i wydawcom, którzy nie dla popisu literackiego, nie dla zyskania rozgłosu, ani téż dla korzyści materyalnéj zużytkowują swoje talenty i zasoby dla dobra warstwy tak licznéj, a tak domagającéj się oświecenia.

Pismo nasze podało roku 1879 (t. III, str. 584—601) w artykule p. Floryana Łagowskiego ocenę znacznéj części owoczesnéj produkcyi literackiéj dla ludu, wyraziło pewne pragnienia, któreby w interesie rozwinięcia jéj i udoskonalenia spełnić wypadało. Dziś po upływie lat 12 znowuż zamierza przedstawić zarys najświeższych usiłowań w tym dziale piśmiennictwa. Nie będzie on tak wyczerpującym jak poprzedni; nie wejdzie bowiem do niego obraz działalności naszych czasopism ludowych; ale ogarnie natomiast dłuższy przeciąg czasu, a więc i znaczniejszą liczbę wydawnictw. Beletrystyka będzie stanowiła jednę grupę téj literatury, a rozprawki popularne z zakresu rolnictwa, pszczelnictwa, nauk przyrodniczych, medycyny — drugą. Mowa tu będzie jedynie o wydawnictwach warszawskich.

Ażeby o najświeższych powieściach dla ludu wydać sąd sprawiedliwy, nie można ich brać ryczałtem, mieszając ze sobą rodzaje i talenta.

Parę atoli cech wspólnych da się w nich upatrzyć, a najprzód jedną, którą pragnął już widziéć p. Łagowski. Uskarżał się on na to, iż w powieściach, które rozbiérał, dodatnią rolę odgrywali surdutowi t. j. dziedzice i nauczyciele wiejscy, a wieśniacy przeważnie przedstawiani byli ze strony ujemnéj, oczywiście w tym celu, ażeby wskazawszy wady i ułomności, odwieść od nich czytelników. Autor bardzo słusznie zauważył, że taki rozdział ról w powieści nie mógł się ludowi podobać, a nadto przyczynić się był w stanie do wyrobienia nieufności względem wyrobów takich. P. Łagowski poczytywał za rzecz o wiele bezpieczniejszą w sprawie oddziaływania na lud, żeby autorowie brali zarówno dodatnie jak i ujemne postacie tylko ze sfery

ludowéj. Otóż beletrystyka dzisiejsza w przeważnéj części czyni zadość temu życzeniu: bierze istotnie figury swoje wprost z ludu, nie wysuwając mu za mentorów, ani wystawiając jako wzory—surdutowców. Nie należy atoli wyciągać z tego zdania wniosku, który się w niém nie kryje. Autorowie powieści dla ludu nie są bynajmniéj wrogami „panów“, nie myślą wcale o sianiu nietylko nienawiści, ale choćby jedynie niechęci i urazy jakiejś dla „dziedziców“ i wogóle ludzi po za sferą ludową. Kiedy niekiedy owszem ukażą wpływ dobroczynny panów, czasami odmalują ich obojętność, lub żartobliwe względem chłopów zachowanie się, ale nie robią na tę stronę nacisku, nie rozgoryczają serca czytelników. Zawiści klasowéj nie ma śladu w tych wydawnictwach — i poczytujemy to za objaw bardzo dodatni i bardzo ważny, boć nie waśnią i sporami dźwigać się można. Autorowie i autorki nie dali się porwać temu prądowi, jaki w beletrystyce ogólnéj, a zwłaszcza w publicystyce, przez pewien czas panował, iż ujemne strony szlachty z naciskiem wytykano; okres ich twórczości przypadł właśnie na chwilę zwrotu w opinii, skłonnego do bezstronniejszego oceniania stosunków społecznych, i ta względna przynajmniéj bezstronność odbiła się w ich pismach. Oczywiście w miarę czynniejszego udziału inteligencyi w sprawach gminnych, rola jéj musiałaby kiedyś wystąpić wydatniéj i w powieściach dla ludu, bo wówczas już nie pragnienie i ideały, lecz objawy rzeczywistości malowaćby wypadło. W tém stadyum, w jakiém obecnie rzeczy się znajdują, zdaje się, że beletryści dla ludu utrafili miarę właściwą; przeważnie wśród warstwy wieśniaczéj saméj w sobie przebywają, jéj dolę i niedolę kreślą.

Druga cecha wspólna wszystkich powieści dla ludu, polegająca na przewadze rysów ujemnych w malowaniu stosunków wiejskich, nie może już na takie uznanie zasłużyć. Jest ona poczęści wynikiem krytyczno-pesymistycznego nastroju, przemagającego w dzisiejszych poglądach wogóle, poczęści zaś wypływa z tego od wieków tradycyjnie z kazalnicy do literatury przechodzącego mniemania, jakoby od wad, ułomności i grzechów leczyć miały najskuteczniéj obrazy okropnych skutków, jakie wywołują owe wady, ułomności i grzechy.

Co do pesymizmu ogólnego, nie będę tu wchodził w jego rozbiór; kilkakrotnie już rzecz tę poruszano w „Ateneum“, a gdyby się miało ją wyczerpująco przedstawić, trzebaby znacznie więcéj miejsca poświęcić, niżby to było stosowném w tym artykule sprawozdawczym. A co do mniemanego pożytku obrazu złych skutków pewnéj namiętności, to nie myślę wprawdzie przeczyć, iż jak wogóle każde słowo, każda myśl, tak też malowanie zawodów, nieszczęść i cierpień

wpływ pewien na umysł i serce wywierają; lecz nie uważam go za środek w téj mierze najdzielniejszy. Od wieków piorunują na występnych kaznodzieje, od wieków i teoretycznie i w formie powieściowéj snują ludzie wywody o szkodliwości gniewu, chciwości, zawiści, pijaństwa, próżniactwa i t. p., co więcéj, w życiu rzeczywistém niejeden sam na sobie lub na innych doświadczył prawdy tych wywodów; a jednak nie zdaje się, żeby to wszystko najskuteczniéj odciągało ludzi od poddawania się złym skłonnościom. Skuteczniejszym o wiele, jak to oddawna zauważono, a w naszych czasach psychologicznie uzasadniono, jest przykład, tak dalece, że można twierdzić nawet, iż obrazy wad wszelkich przedewszystkiém działają pociągająco, bo się czytelnik temi obrazami przejmuje i mimowoli choć w myśli je śledzi i naśladuje i dopiéro potém, pod wpływem obrazu nieszczęść i cierpień przez nie wywołanych, budzi się w nim świadomość ich szkodliwości; ale wtedy, gdy się oba wpływy zetrą ze sobą, pozostaje najczęściéj w wyniku pewien zamęt, który ani do działania, ani do powstrzymywania się nie zachęca; wpływy: dodatni i ujemny neutralizują się. Z tego wychodząc spostrzeżenia, wypadałoby w sprawie umoralniającego oddziaływania na masy posługiwać się bardzo oszczędnie obrazami złych nałogów, a natomiast budzić jaknajczęściéj uczucia dobre, poczciwe, szlachetne, dawać obrazy miłości, łagodności, trzeźwości, rozumnego postępowania, ażeby ten przykład dobry porywał za sobą czytelnika, ażeby po przeczytaniu książki pozostawał w umyśle i sercu nie ów zamęt apatyczny, ale przeciwnie szczera, gorąca chęć czynienia dobrze i rozsądnie. Wprawdzie można tu zrobić zarzut poczerpnięty z dziejów piśmiennictwa powszechnego, iż owe obrazy życia cnotliwego łatwo się przemieniają w mdłą i ckliwą sielankę, która chwilowo tylko podobać się może, a potém nudą przejmuje. Lecz zarzut ten łatwo osłabić wskazówką, iż w malowaniu życia cnotliwego bynajmniéj nie powinno iść o to, ażeby samo szczęście, samo zadowolenie je wypełniały; przeciwnie, walka z przeróżnemi rodzajami niedoli, któréj na świecie, i wśród wieśniaków nie brak, głównym takiego malowidła winna być tematem, a wówczas nie trzeba będzie się lękać o sprawienie uczucia ckliwości w czytelnikach; budzenie energii zawsze, w młodszym i dojrzałym mianowicie wieku wywoływało i wywoływać musi zajęcie najżywsze, a w następstwie i wpływ największy.

Ale gdybyśmy nawet nie zważali na rodzaj i doniosłość oddziaływania przykładu, to ze względu na prawdę w odtwarzaniu objawów życia należałoby wyznaczać w powieściach szersze miejsce dla uczciwości i rozsądku. Nieraz już robiono ogółowi beletrystów i moralistów tę uwagę, że gdyby istotnie wśród społeczeństwa miały liczebną

przewagę uczucia i usposobienia złe, niegodziwe, nierozumne, toby społeczeństwo to nie mogło istnieć, gdyż niszczycielski czynnik psułby ustawicznie dorobek małéj garstki uczciwych i rozsądnych. W rzeczywistości zatém musi być przewaga dobrych nad złymi. Wprawdzie złe wszelkie w najrozmaitszém i najrozleglejszém ustopniowaniu rzuca się w oczy, łatwiéj zatém może być spostrzeżoném od dobrego, które nie szuka rozgłosu, lecz w cichości i ukryciu wytwarza wkoło siebie względny spokój i zadowolenie; ale zadanie rzetelnego obserwatora i talent artysty ku temu zmierzać winny, ażeby właśnie to co ukryte wydobywać na wierzch, temu co ciche dawać głos wymowny. Niewątpliwie, daleko więcéj potrzeba bystrości i uzdolnienia, chcąc tym niepokaźnym stronom życia nadać wybitność, aniżeli wówczas, gdy chodzi o odtworzenie jakiejś ujemności, która sama za siebie przemawia. Wogóle w beletrystyce o wiele liczniejsze są dobre pod względem artystycznym figury ujemne, niż dodatnie; nie znaczy to jednak wcale, iżby taki stan rzeczy godny był pochwały i miał trwać wiecznie. Arcydziela poezyi są arcydziełami i z tego także względu, iż w nich występują charaktery dobre, szlachetne, podniosłe, wpływające ożywczo na myśl i uczucie nasze. Powieść nowożytna dostarcza także dosyć przykładów przekonywających, że można być w zgodzie z rzeczywistością, nie tworzyć papierowych doskonałości, a jednak wydobyć z duszy ludzkiéj najsilniejsze motywy uszlachetniające. Potrzeba tylko pożegnać zdawkowe spostrzeżenia i frazesy, i pod powierzchnią chropawą i niepozorną szukać wiecznotrwałych skarbów serca, które najdzielniéj oddziaływają na ludzi.

Trzecią ogólną cechą dzisiejszéj beletrystyki dla ludu jest nadmierne uwzględnienie uczucia miłości dwojga osób. Miłość stanowi bezwątpienia ważny i wpływowy czynnik życia i może w wysokim stopniu interesować młodzież; ale niepodobna jéj traktować jako główny pierwiastek, jako najważniejszą sprężynę czynności ludzkich. Obok niéj są zajęcia, interesa, cierpienia, radości i wogóle uczucia wypełniające życie człowieka, a więc i wieśniaka w daleko większéj mierze, aniżeli miłość, stanowiące tkankę codziennych stosunków, których odtworzenie może zająć dojrzalsze umysły. Poetycznie rzecz biorąc, miłość jest zapewne podatniejszym materyałem dla beletrysty, aniżeli sprawy powszednie, ciężkie i nieraz nudne; lecz przedstawianie w powieściach czy to dla warstw t. z. wyższych, czy dla ludowych, miłości, jako pierwszorzędnego czynnika i dźwigni działania jest jednostronnością, mogącą się okazać wcale niekorzystną w następstwach, bo kierującą umysł tylko w stronę zadawalania uczuć osobi-

stych, odrywającą od zadań cięższych, mniéj przyjemnych. Beletryści powinniby się w tym względzie zapatrywać na arcydzieło poezyi naszéj, na „Pana Tadeusza“, w którém tak zgodnie z rzeczywistością miłość w kilku swoich odcieniach we właściwéj swéj roli i zakresie odmalowaną została.

Po tych uwagach ogólnych przejdźmy do szczegółowego rozejrzenia się w 30-tu blisko utworach beletrystyki dla ludu, jakie obecnie wzięliśmy do rozbioru.

Podzielimy je na kilka grup, ażeby uwydatnić cechy ich znamienne.

I. Skrócenia lub przeróbki powieści napisanych przez autorów, będących chlubą naszéj literatury. Bardzo to dobra była myśl zużytkowania dla ludu tych utworów, które są naszém dobrem powszechném, ażeby zadzierzgnąć niejako węzły spójni duchowéj, jaka się wytwarza wśród ogółu kształcącego się, czy już ukształconego między innemi także przez czytanie tych samych książek. O ile wiem, pierwszą taką próbę w zastosowaniu do młodzieży zrobiono przed laty trzydziestu przez skrócenie i ilustrowanie „Myszeidy“ Krasickiego. Potém powieść historyczną Kraszewskiego p. t. „Krzyżacy“ przerobiono i skrócono. Obecnie mamy już cały szereg powieści niepospolitéj wartości, zastosowanych do stopnia przygotowania umysłowego u ludu.

Z Kraszewskiego wzięto dotychczas dwa utwory: „Starą baśń, opowiadanie z dawnych czasów“, 1886, str. 62 i „Cygańskie dziecko, z powieści Chata za wsią“, 1890, str. 76. Piękności obu powieści są dobrze znane, i w skróceniu są one widoczne. „Stara baśń“ przenosi w zamierzchłą przeszłość i przedstawia dobę życia na niskim stopniu kultury, łatwo dla ludu zrozumiałą, bo mającą liczne analogie z dzisiejszym jego stanem. „Cygańskie dziecko“ wpaja uczucie ludzkości, każe cenić człowieka według jego zalet osobistych, nie przenosząc nań uprzedzeń, jakie względem jego rodziców powzięto. Możnaby tylko téj przeróbce wytknąć prawie wyłączne zajmowanie wyobraźni przygodami miłosnemi; należałoby, zdaniem mojém, ucieczkę zakochanego Tomka do obozu cyganów usunąć; przykład jego budującym nazwać niepodobna.

Z „Historyi o pra... pra .. dziadku“ T. T. Jeża wyciągnięto bardzo ciekawe i bardzo kształcące opowiadanie p. t. „Kuźma Jeż“ (1886 r.), w którém tak pięknie, tak dzielnie i tak wzruszająco odtworzone zostały dzieje chłopca wiejskiego, wybijającego się na wierzch energią, dzielnością, odwagą wojenną. Rozum i silny charakter od-

znaczają bohatéra i pobudzają czytelnika do uwielbienia i chęci naśladowania.

Powieści Orzeszkowéj, osnute na tle życia ludu, nadawały się wielce zarówno ze względu na treść, jak i na obrobienie do uczynienia ich dostępnemi dla mas jak największych. Przesądy tkwiące wśród chłopów, łatwowierność zabobonna, prowadząca niekiedy do czynów okrutnych, odmalowane zostały w opowiadaniu przerobionéme z powieści „Dziurdziowie“, a wydanéme p. n. „Czarownica“ (1889, str. 54). Zwodzenie ludzi niepiśmiennych przez pokątnych doradców, wydrwiwanie pieniędzy w celu niby uwolnienia rekrutów od służby wojskowéj, znalazły piękne odwzorowanie w przeróbce „Nizin“, ogłoszonéj p. t. „Chłopski adwokat“ (1890, str. 77). Miłość macierzyńska namiętna, a więc ślepa, będąca nieraz przyczyną poniewierania matek przez synów, a zarazem przyczyną upadku moralnego tychże synów, ponieważ w nich wskutek pobłażania i dogadzania zachciankom hamulce etyczne zostały osłabione, rozdzierająco boleśnie przedstawia się w „Romanowéj“ (1891, str. 86), która pod względem uczuciowym stoi najwyżéj wśród tych trzech utworów, jakie tu wymieniłem.

„Placówka“ Bolesława Prusa dostała się ludowi w przeróbce, dokonanéj przez p. Faustynę Morzycką p. n. „O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził“ (1889, str. 125). Tytuł ten więcéj zapowiada, aniżeli książka dotrzymuje. Wiadomo, że Prus odmalował w Ślimaku typ wieśniaka zdolnego i zapobiegliwego, ale nie chcącego i nie umiejącego zużytkować swoich zdolności z powodu pewnego rodzaju lenistwa, odkładania z dnia na dzień, niezaradności w sprawach bardziéj złożonych i powikłanych. Nie chciał on ojcowizny swojéj odstąpić kolonistom niemieckim, długo i wytrwale opierał się pokusie korzystnéj sprzedaży gruntu, ale nie przedsiębrał nic, coby mu w walce z wrogiém plemieniem mogło zapewnić zwycięstwo. Choć widzi i rozumié korzyści, jakie dać mogą wieśniakom roboty przy budowie kolei, pozwala się ubiedz Niemcom. Choć pilnie się przypatruje, jak ci Niemcy starają się ująć rzeczkę w karby, choć pojmuje ważność takiéj pracy, nie bierze się jednak do niéj; rzeczka mu odrywa kawałek gruntu, a w kotlinie przez nią zalanéj topi się jego synek. I tak na każdym kroku. Błędy wynikłe czy to z jego niedbalstwa, czy to nieopatrzności, czy porywczości usposobienia, oraz klęski nieprzewidziane doprowadzają gospodarstwo zamożnego chłopa do ruiny prawie i czynią go wreszcie skłonnym do odstąpienia gruntu Niemcom. Dopiéro chora żona na śmiertelném łożu zaklęciem strasznéme powstrzymała Ślimaka od tego rozpaczliwego kroku. Na ostatniéj stronicy Ślimak dźwiga się wprawdzie, a Niemiec się wy-

nosi, ale cała powieść dowodzi raczéj, jak sobie jeden chłop z Niemcami poradzić *nie* umiał. Jeżeli to opowiadanie miało być dla ludu przestrogą i wskazówką, to te strony, które Prus jako artysta delikatną odznaczył ironią, powinny były silniéj być uwydatnione, ażeby czytelnikowi nie zdało się, że pomimo lenistwa, niedbalstwa i niezaradności potrafi przecie w końcu Niemcom dać rady. Podobną uwagę można zrobić i co do „Michałka“, gdzie Prus znakomicie odtworzył istnienie uczuć szlachetnych, pełnych poświęcenia w człowieku niepozornym, nierozwiniętym, nie rozumiejącym nawet, że coś dobrego lub nawet wielkiego robi. Delikatne rysy, któremi te dodatnie cechy Michałka są nakreślone, zrozumié czytelnik wyćwiczony w domyślnoności, ale czy one będą również zrozumiałe ludowi, czy raczéj nie przedstawi mu się Michałko, jako istota rzeczywiście głupia, któréj naśladować nie warto?... Nie chcę rozstrzygać tego pytania, ale je stawiam tym, co się wyborem i przeróbkami utworów artystycznych zajmują, by je ludowi uprzystępnić. Być może, iż zamało jeszcze zdajemy sobie sprawę z różnicy zachodzącéj pomiędzy umysłem, który podlegał systematycznéj uprawie i stykał się w życiu z różnorodnemi subtelnościami mowy, a umysłem o wiele prostszym, mogącym miéć bardzo dobre i jasne pojęcia w sferze uczuć i działań sobie właściwych, ale niekoniecznie biegłym w rozróżnianiu delikatnych odcieni mowy artystycznéj. A bez takiego rozróżniania może być zamiar artysty całkiem opacznie wytłómaczony, a więc i cel wydawnictwa chybiony.

II. Powieści pisane przez autorów znanych ze swego talentu na polu beletrystyki ogólnéj, a przeznaczone wyraźnie dla ludu, są w najbliższém pokrewieństwie z grupą poprzednią. Umiejętność władania stylem, plastyka obrazowania, wprawa kompozytorska odznaczają je wybitnie; ale autorowie ich, przyzwyczajeni do zupełnie swobodnego wypowiadania się, nie zawsze umieją się nagiąć do potrzeb umysłu mniéj ukształconego.

Obrazek pani Waleryi Marrené p. t. „O rolę“ (1887, str. 32), przedstawia srogą nieprzyjaźń dwu spokrewnionych sąsiadów, Sochali i Kozika, z powodu kawałka roli przysądzonéj Sochali, nieprzyjaźń zażegnaną w końcu, jak w „Panu Tadeuszu“, jak w „Dęborogu“, miłością wzajemną ich dzieci i wdaniem się rozumnych ludzi (wieśniaka Nogi). Czynniki dodatnie i ujemne są tu prawie zrównoważone w zasadzie, ale w wykonaniu zarysy brutalności silniéj zaakcentowała autorka, niż malowidło uczuć łagodnych i czynów szlachetnych. Maniera pisarska, dodająca nieraz wdzięku powieściom p. Marrené, tu mniéj może odpowiadała celowi, gdy zanadto cieniowała frazeolo-

gicznie myśli przebiegające przez świadomość osób, wprowadzonych na widownię; dobitniejsze szkicowanie sytuacyi byłoby może bardziéj na miejscu.

Powiastka Michała Bałuckiego „Grześ niepiśmienny“ (1889, str. 48) ma zaletę jasności i dobitności, ale w przeprowadzeniu tematu zawadza o nieprawdopodobieństwo. Chciał okazać autor na przykładzie, na jakie przykrości i zawody naraża wieśniaka nieumiejętność czytania i pisania. Grześ zawadyaka wyrósł na tęgiego chłopa, lecz nie miał dosyć cierpliwości do ślęczenia nad abecadłem. W wojsku, chcąc przesłać wieści o sobie rodzinie i ukochanéj Marynce, musiał się upokorzyć przed kapralem Marcinem, którym poprzednio na wsi poniewierał, a którego teraz, jako jedynie piśmiennego, zmuszony był prosić o pisywanie listów. Marcin skorzystał z okazyi, by siebie Marynce zalecić, a Grzesia w jéj sercu i pamięci pogrzebać. Udała mu się ta sztuczka; wracający z wojska Grześ natrafił na wesele Marcina z Marynką. Nie przekonało go to jednak o potrzebie nauki. Znowu poszedł do wojska i znowu został oszukany co do gruntu, który po rodzicach miał odziedziczyć, a to wskutek nieznajomości pisma. Na starość dopiéro zasiadł do abecadła. Gdyby w pierwotnym charakterze Grzesia nie zaszły były już w czasie pierwszego pobytu w wojsku zmiany stanowcze, taki przebieg jego nieuctwa mógłby się wydać prawdopodobnym; ale ponieważ było inaczéj, trudno zrozumiéć, dlaczego chłopak rozgarnięty, poczciwy i ambitny nie miałby wszystkiemi siłami starać się o zdobycie nauki bodaj po pierwszym niefortunnym wyniku nieświadomości. Prędzéj do takiego postanowienia wiodłaby chyba młodość, niż starość. Przytém pomimo nacisku na temat, autor nie uniknął téj niewłaściwości, iż w figurze Marcina przedstawił obosieczność nauki, którą w celach niegodziwych Marcin wyzyskuje. Czyż nie stosowniéj byłoby, żeby umiejący pisać dał tylko dotkliwą nauczkę niepiśmiennemu, zamiast wyrywać mu narzeczoną?...

Adolf Dygasiński, umiejący tak dobrze malować stosunki wiejskie, dał ludowi wyborne, jowialną żartobliwością nacechowane, a pełne rozmaitości, rzeczywiście „Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy“ (1889, str. 93). Rzecz ta już w pierwotném wydaniu dla ogółu p. n. „Beldonek“ znalazła zasłużony rozgłos; a jéj przystępność, jasność, pogodny nastrój, łagodna satyra, dobre połączenie uczuć szlachetnych i ujemnych uczynić ją mogą i ludowi wielce upodobaną. Drugi obrazek tegoż autora: „Małgorzatka, pieszczoszka matusina“ (1890, str. 70) zawiera dużo szczegółów rozumnie pomyślanych i doskonale wykonanych, jako to

figurę ojca Małgorzatki Franka, przetartego w świecie, rozważnego, nie wierzącego w leki babskie czy dziadowskie, ale radzącego wzywać do chorych doktora, daléj figurę matki, zaślepionéj w swéj jedynaczce, chroniącéj ją od pracy, strojącéj, oszukiwanéj w mieście, zmartwionéj stratą pieniędzy; wreszcie figurę saméj Małgorzatki pomimo pieszczot nie zepsutéj, nie leniwéj w pracy, kiedy została sierotą, uczciwéj, statecznéj. Niepotrzebnie tylko wprowadził autor tragiczne zakończenie. Dzielny furman Klimek miał się żenić z Małgorzatką, pan dał mu do ujeżdżenia konie. Klimek w piątek wziął się do téj roboty, pomimo przestrogi starszego furmana, który w końcu powiedział: „Coś ty za furman, kiej wiary furmańskiéj w tobie nie ma.“ Poniosły go konie i o śmierć przyprawiły... Oczywiście, Dygasiński nie chciał bynajmniéj propagować „wiary furmańskiéj“, nie chciał utwierdzenia w przesądzie przeciw piątkowi; pragnął jedynie jako przedmiotowy spostrzegacz zanotować słowa starego furmana. Dla wykształconego czytelnika nicby to nie szkodziło, że bezpośrednio po tych słowach nastąpiła katastrofa; lecz w umyśle wieśniaka dwa te fakty zjednoczą się przyczynowo, utwierdzą go w zabobonie, a jako znajdujące się na końcu książki, utkwią najbardziéj w pamięci i zatrą w niéj wspomnienie rozsądnych słów Franka.

Opowiadanie Bronisława Grabowskiego p. t. „Na służbę bożą“ (1890, str. 46), w tonie spokojnym i powolnym prowadzone, skierowane jest przeciw zwyczajowi, tradycyjnie od wieków trwającemu, przeznaczania dzieci na księży, ażeby się chowały. Stanisław, ślubowany Bogu przez matkę, rósł zdrowo, uczył się dobrze, wstąpił do seminaryum, ale poznawszy ładną sierotkę Jagnę, zapałał ku niéj silną miłością, długo walczył ze sobą, ale w końcu nie chciał serca swego przyniewalać, opuścił seminaryum, zwierzył się proboszczowi ze swych uczuć, zyskał jego aprobatę, i chociaż wieśniacy z początku krzywili się na to niespełnienie woli i ofiary matki, w końcu przecież słowami proboszcza przekonani, wrócili serce swe Stanisławowi, który został nauczycielem wiejskim i ożenił się z Jagną. Wśród szczegółów stosunku kleryka do Jagny jest jeden, który wypadałoby chyba usunąć. Nie wiem, czy w którém mieście, mającém seminaryum, wolno klerykowi wychodzić samemu do ogrodu publicznego, ale w każdym razie zejście się Stanisława z Jagną w takiém miejscu wygląda trochę rażąco.

Młodo zmarła nowelistka, M. z Soleckich Błotnicka, napisała między innemi obrazek z życia wiejskiego p. t. „Krasula“; nie przeznaczała go pewnie dla ludu; styl jéj przetykany, co prawda, zwrotami ludowemi, nie jest, na ogół biorąc, zupełnie odpowiedni dla osób

należycie nieprzygotowanych; przytém szczupła ilość wypadków, a nadmiar analizy psychologicznéj i refleksyi, przewaga rysów ujemnych nad dodatniemi, czyniły tę powiastkę daleką od tego, ażeby ją przeznaczać na lekturę dla wieśniaków. Zabicie męża, marnotrawcy i pijaka, przez żonę za to, że tenże wyprowadził ukochaną krowę na sprzedaż, i uwolnienie Magdy przez sąd, jako niewinną, „bo w gniewie i rozpaczy dopuściła się zbrodni“; nie jest podobno motywem, któryby uzmysławiać ludowi należało. Stąd ogłoszenie „Krasuli“ w zbiorze wydawnictw ludowych (1889, str. 39) za niestosowne uważam.

III. Powiastki pisane przez autorów, którzy na niwie literatury dla ludu oddawna już pracowali, lub też teraz dopiéro gorliwie uprawiać ją zaczęli. W tym dziale wypada nam wspomnieć przedewszystkiém o zmarłym już Janku z Bielca (J. K. Gregorowiczu), który przed 30-tu z górą laty dał się poznać, jako dobry popularyzator w licznych książeczkach, dawniéj szeroko rozpowszechnionych. Reprezentował on przeważnie kierunek moralizujący i informacyjny, lubo niekiedy rzucał dosadne race rubasznéj żartobliwości. Przypominam sobie, że w „Książce dla rzemieślników“, wydanéj wspólnie z Jachowiczem w r. 1857, mieści się wyborne, pełne wesołości opowiadanie o chłopaku oddanym do terminu u szewca, które wartoby przedrukować z pewnemi zmianami. Ogłoszone w r. 1889-ym „Opowiadanie o urwisie Dyrdusiu“ (str. 28), należy także do kategoryi wesołych, lekko traktowanych szkiców, w których autor uwydatnił złe skutki zbyt miękkiego, pieszczonego wychowania, które czyni Dyrdusia z początku „pociechą“, t. j. rozweseleniem rodziców, potém próżniakiem i urwisem, w końcu marnotrawcą i koniokradem. Zbyt dużo tutaj nagromadzono rysów ujemnych, a losy ostateczne osób, wchodzących do powieści, nie usprawiedliwiają wcale tego tonu lekkiego, w jakim opowiadanie rozpoczęte zostało. Śmierć ojca, matki i syna są zapewne przestrogą straszną, ale podobno lepiéj byłoby, gdyby upamiętanie przyszło wcześniéj, gdyby przykład poprawy oddziaływał zachęcająco na czytelnika. Pod względem językowym wypadało koniecznie poprawić takie np. błędne wyrażenie: „O już ja moje nadroższe dzieciątko nie ujrzę więcéj“ (str. 20).

Zygmunt Gloger, który już tyle pieśni ludowych drukiem ogłosił, wydał obecnie zbiór obrazków, przedstawiających wieś wzorową p. n. „Popas w Sławopolu“ (1891, str. 69). W téj małéj książeczce znajdujemy opis aż czternastu przedmiotów, z których każdy na pilną rozwagę czytelnika zasługuje. A więc mamy tu ładnie urządzoną i utrzymaną gospodę z gazetami ludowemi, dobrze prowadzoną szkołę,

ochronkę, straż ogniową, sklep dobrze zaopatrzony, różne fachy rzemiosłowe reprezentowane przez włościan, bogacza wiejskiego, który nie dusi grosza, ale go użycza potrzebującym na umiarkowany procent, ogrodnika, który umiejętną uprawą ziemi dorobił się dobrobytu i służy za wzór sąsiadom, doskonałego kowala Borutę i t. d., — a wszystko to w jednéj wiosce. Zadużo chciał osiągnąć autor, zdaniem mojém, i popadł w dawny błąd stwarzania ideału wsi. Każdy z przedmiotów tu poruszonych mógł wypełnić treść osobnéj książeczki i łatwiéj przez czytelnika mógłby być rozważony. Z powodu obfitości materyału, autor zaledwie szkicował postaci ludzi i ich czynności, a przez to osłabiał wrażenie, jakieby mógł wywołać swojemi spostrzeżeniami i obrazkami. Pod względem językowym grzeszy autor, lubo rzadko, w użyciu przypadków („gdyby *je* nie zdradzały“, str. 3) i przyimków („wyraziłem *do* Ścibora moje zdziwienie“, str. 28).

Z młodszego pokolenia autorów, piszących dla ludu, najświetniéj przedstawił się Brolis, którego opowieść wiejska „Jurgis durnialis“ (1890, str. 44) uważam za najlepszą, jakie się w ostatnich czasach w tym rodzaju ukazały. Talent Brolisa jest jędrny, silny, prawdziwie męski; rysy, któremi kreśli fizyognomie swych osobistości są wyraziste, dobitne, a znamienne; uczucia, które maluje, są zdrowe, uzacniające i krzepiące. Jego Jurgis, tak samo niepozorny i tak samo poczytywany za głupiego, jak Michałko Prusa, jest w stosunku do czytelnika jaśniejszą, zrozumialszą i sympatyczniejszą postacią. Milczący zazwyczaj, umié przecież przeprowadzić swą wolę, gdy idzie nie o niego, ale o siostrę; lekceważony w pospolitych, codziennych stosunkach, zyskuje posłuch w razach niebezpieczeństwa ogólnego np. podczas pożaru, kiedy staje się energicznym dowódcą wszystkich parobków, co przedtém bezskutecznie się tylko ruszali. Ta właśnie siła, ta dzielność i sprawność Jurgisa jest największą zaletą wewnętrzną utworu, który przyciąga ku sobie, przywiązuje, budzi uczucia sympatyczne, wzmacnia poczucie siły, energii i zdrowia w czytelniku. Bohatérowie woli i w życiu i w książce zawsze największy budzili podziw i najskuteczniéj do naśladowania zagrzewali. Ale i wykonanie jest dobre; odpowiada ono treści, jest do niéj harmonijnie zastosowane. Drobne usterki, jak ten np. „Jurgis już wracał na drodze“... (str. 27) łatwo w drugiém wydaniu, którego książce téj życzymy i którego spodziewamy się, poprawić będzie można.

Pod względem treści, drugie po téj pracy miejsce naznaczyłbym utworowi Wiktora Olszewskiego (właściwie M. Brzezińskiego) p. n. „Sprawa o wóz czyli Historya o jednym wójcie i jego pisarzu“ (1888,

str. 53). Mamy tu także przedstawioną postać dodatnią, śmiałą, energiczną, która podejmuje walkę z nikczemnym pisarzem gminnym i zamyśla o wprowadzeniu pożytecznych zmian w wiosce za pośrednictwem zyskania dla swéj myśli przedstawicieli gminy. Nie udaje mu się to odrazu, doświadcza zawodu, posądzony jest o kradzież, siedzi w więzieniu, ale ducha nie traci i przy pomocy rozumnego kowala oczyszcza się z zarzutu i dokonywa w końcu, czego zamierzył. Treść ta, oraz poruszane w ciągu opowiadania różne sprawy gminne, przywiązują ku sobie uwagę czytelnika, a sposób ich opracowania mógłby służyć innym autorom za wskazówkę, jak można utrzymać interes opowieści, bez wyłącznego opierania go na losach miłości dwojga ludzi. Miłość ta jest i w téj pracy, ale miejsce jéj wyznaczone odpowiednie do tego, jakie ona zajmuje w życiu rzeczywistém wieśniaka. Interesy ogólne gminy, ulepszenia w jéj zarządzie stoją tutaj na pierwszym planie, mogą zająć zarówno młodszych, jak i starszych. Drugi obrazek tegoż Wiktora Olszewskiego p. n. „Bandoska“, wcześniéj od poprzedniego napisany i wydany (1887, str. 64), ma zalety żywości i prawdy, ale pod względem tematu jest mniéj cenny. Wypełnia go prawie całkowicie historya miłosna. Hanka, hoża wiejska dziewucha, kochana przez Jaśka, którego biorą w rekruty, uwiedziona przez pisarza dworskiego, kuszona do spędzenia płodu, opiéra się téj myśli w ostatniéj chwili, pielęgnuje dziecko, pracując ciężko, a prowadząc się uczciwie. Jasiek wróciwszy z wojska i poznawszy jéj gospodarność, jéj przywiązanie macierzyńskie i dobre postępowanie, żeni się z nią i wydostawszy od przywłaszczycieli-krewniaków swój kawałek roli, osiada na nim i zostaje szczęśliwym mężem i gospodarzem. Dobrze zrobił autor, że się nie uląkł posądzenia o krzewienie niemoralności, gdy grzeszną bandoskę ukarawszy, uszczęśliwił w końcu, w myśl idei poprawy i przebaczenia, lecz mógł był dzieje miłosne urozmaicić innemi szczegółami z życia wiejskiego. Co do języka, jest on wogóle dobry, należałoby tylko pamiętać, że po przeczeniu kładzie się dopełniacz, nie zaś biernik (str. 43: własną dziecinę) i że przyrostek—*by* w zdaniach względnych zwykle dodaje się do zaimków, a nie do czasowników (a więc, nie: *kto* spojrzał*by* (str. 4), lecz: *ktoby* spojrzał). Co do sposobu wyrażania myśli frazes na początku str. 41, wymagałby zmiany. — Tenże autor opracował podług Fr. Hofmana bardzo interesujące i nauczające: „Przygody myśliwca wśród lodów północy i lasów południa“ (1891, str. 49), oraz wydał „Bajki, nie bajki“ (1889, str. 70).

Powiastka Wicka z Warszawy p. t. „Trzydzieści morgów“ (1890, str. 31) należy do kategoryi utworów kryminalnych, czytywa-

nych niewątpliwie z wielkiém zaciekawieniem we wszystkich niemal sferach, ale raczéj szkodliwych, niż pożytecznych. Cóż z tego, że w końcu przywłaszczyciele cudzéj własności przez sfałszowanie testamentu będą srodze ukarani, gdy wyobraźnia zajmie się głównie dowcipnym sposobem sfałszowania testamentu przez podstawionego Niemca Aplasa na miejsce dopiéro co zmarłego Tomasza?..

Daleko lepiéj w podobnym wypadku postąpiła sobie Iskierka, opowiadając historyę „Młyna na pokusie“ (1889, str. 72). Przywłaszczenie pieniędzy dziedzica przez włościanina, śród okoliczności, które pozwalały utaić kradzież, usuwa ona wdal, jako wspomnienie, dręczące matkę przywłaszczyciela, która mu ten postępek doradziła; nie kreśli szeroko szczegółów, dotyczących tego przedmiotu, lecz opowiada dzieje wnuka bystrego i ochoczego do pracy, ale zaniedbanego. Pod wpływem własnego rozmysłu i przykrych słów pewnego wieśniaka, porzuca on wieś i babkę (co się do naśladowania nie podaje), szuka pracy i nauki, znajduje jednę i drugą, kształci się na mechanika, przybywa do miejsca rodzinnego, buduje młyn i rozpoczyna użyteczną działalność, gdy się od umierającéj babki dowiaduje o czynie swego ojca. Znaczna część pieniędzy nie była jeszcze rozproszona; babka starannie je przechowywała, Paweł więc po jéj śmierci zwraca je synowi owego dziedzica, czém ściąga na siebie niezadowolenie wieśniaków, wśród których rozgłoszone było przez wędrownego dziada, iż zmarła chciała je na kościół oddać. Ludzie nie chcieli do młyna wieść zboża, a małżeństwo przez Pawła zamierzone o mało co się nie rozchwiało. Lecz wtedy odważna dziewczyna ocaliła rozpaczającego Pawła, zapewniając go o swéj miłości. Wzmógł się na siłach, wieśniacze uprzedzenia rozproszył i daléj prowadził swą pożyteczną robotę.

Podobny temat obrobił także znany pisarz ludowy Józef Grajnert, którego dziełko dla pokrewieństwa myśli przewodniéj tutaj mieścimy. Ma ono napis: „Z warsztatu do pałacu czyli jak Tomasz Sośniaczek z biédnego siéroty wyszedł na budowniczego“. (Nakład Edw. Kolińskiego, 1890, str. 32). Jestto opowiadanie, przeznaczone głównie dla młodzieży, zwłaszcza rzemieślniczéj, podające przy sposobności wskazówki pożyteczne co do kształcenia się w ciesiółce, budownictwie i w naukach pomocniczych. Obrazki futoru ukraińskiego, starego poczciwego Detiuka, muzykanta Lejbki, napadu wilków, walki z rozbójnikami i t. p., służą do zainteresowania czytelnika przez oddziaływanie na jego wyobraźnię; a serdeczne, zacne postępowanie bohatéra i tych osób, które mu w kształceniu się pomagają (hr. Eustachy, cieśla, budowniczowie) mają wpływać na serce, gdy znowu zlekka tylko dotknięte usposobienia nieżyczliwe, charaktery próżnia-

cze mają dawać poznać trudności i pokusy, z jakiemi w życiu rzeczywistém walczyć potrzeba. Nie wątpimy, że dążność autora była zacna; ale czy niezbyt łatwo—rozumié się w jego opowiadaniu—biedny siérota przechodzi przez mozoły życia, czy nie zaprędko wchodzi w progi pałacu, kupując wioskę z nadniszczonym dworem?... Czy ta perspektywa zostania bogatym dodatnio naprawdę oddziała na umysł wrażliwego i lubiącego siły swe przeceniać czytelnika?... Język wogóle jest dobry, poprawny; można tylko było uniknąć wyrażenia: „nie ma już więcéj dziadka“ (str. 3) albo niegramatycznéj formy: „wieszając się u *połów* surduta“ (str. 21).

Bardzo dobrze i wyraziście, z talentem charakterystycznym i kompozytorskim napisana jest opowieść p. Maryi Waligórskiéj: „Za smyrą czyli herszt szwarcowników“, nagrodzona na konkursie ludowym w r. 1889, a w skróceniu wydrukowana w wydawnictwie dla ludu (1890, str. 120). Szwarcowanie wódki z Galicyi jest tematem szeroko i prawie wyłącznie tu przeprowadzonym w związku z historyami miłosnemi. Wybornie odmalowana jest rodzina Cyganków, w któréjześrodkowywała się zabawa przemytników i przemytniczych; doskonale skreślone przygody podczas wyprawy po „smyrę“, pobyt i sprawunki w Krakowie, pijaństwo i tany w lichéj szynkowni, niebezpieczeństwa powrotu z pełnemi pęcherzami, utrata większéj części nabytéj wódki, śmierć jednéj z uczestniczek, demoralizacya ogólna, będąca wynikiem życia gorączkowego. Nie wątpię, że opisy tych wszystkich szczegółów z chciwością pochłoną czytelnicy, ale czy z pożytkiem?... Jako obraz życia we wsiach pogranicznych ma ta powieść wartość znaczną, bo nie jest z fantazyi tylko poczerpnięta, ale czy należało ją ogłaszać w wydawnictwie dla ludu; czy rozgorączkowywanie wyobraźni przeważnéj większości wieśniaków, co przemytnictwo znają tylko z posłuchu, jest rzeczą właściwą? Czy niejeden młody umysł nie poczuje jak Julka ochoty do sprobowaniu tego niby lekkiego zarobku przedstawiającego tyle rozmaitości, a choćby nawet niebezpieczeństw?... Wreszcie drukując dla ludu, należało usunąć takie niezrozumiałe dla niego wyrazy jak: nienormalny (str. 44), debaty (str. 96) oraz uprościć styl w wielu miejscach.

Antoszka, która już dawniéj ogłosiła powiastkę: „Poczciwy Marcin i Felek niecnota“, wydała w r. b. „Prawdziwą historyą o Szymku parobku i Zofce Pawelcównéj“ (str. 35). Jak z tytułu już widać, jestto historya miłosna; wierne serce niewieście, tęskniące do biednego parobka, który poszedł w rekruty, główną w niéj gra rolę. Opowiadanie jest żywe, urozmaicone komicznêm przedstawieniem

postaci chłopa, który wróciwszy z wojska, chce imponować ludziom swoją posadą strażnika i uważa się za godnego ręki szlachcianki.

IV. Powieści fantastyczne. Uznano w pedagogice potrzebę kształcenia fantazyi narówni z rozumem i uczuciem; dawniejsze uprzedzenia przeciwko temu rodzajowi karmi umysłowéj znikają, chociaż przez to bynajmniéj się nie powraca do pierwszéj doby romantyki. Idzie teraz bardzo o wybór karmi; nie wszystko co jest fantastyczne, może stanowić pokarm zdrowy i potrzebny. Lot fantazyi powinien być trzymany w karbach rozumu i smaku estetycznego. W wydawnictwach ludowych spostrzegamy w obecnym roku zwrot ku działowi utworów fantastycznych. Mamy ich przed sobą trzy dopiéro; we wszystkich myśl zasadnicza jest rozumna i zacna, obrobienie zaś w dwóch jest prawie zupełnie udatne, w trzecim — nie bardzo, ze względu na czytelników, dla których jest dokonane. Rozpatrzmy pokrótce ich treść. Najprzód ogłoszono: „Duchy czarnego boru czyli kamienne serce“ (1890, str. 50). Zajmująca to powiastka, a raczéj baśń z podań jakoby górali tatrzańskich wysnuta o węglarczyku Marcinku i dwu duchach: Szklarczyku i Sośniaku. Szklarczyk, opiekun hutników, miał to być duch dobry, dopomagający poczciwym i pracowitym góralom, którzy się urodzili w niedzielę w południe; Sośniak zaś to duch zły, obdarzający wielkiemi skarbami tych, co mu swe serce oddali w zamian za kamienne. Marcinek, niezadowolony ze swego biédnego zajęcia, zwracał się po kolei do obu i przeszedłszy szereg smutnych doświadczeń, dopuściwszy się wskutek zatwardziałości serca okrucieństwa względem swéj matki i żony, w końcu wraca na drogę skruchy i pracy, a Szklarczyk mu błogosławi. W świecie fantazyjnym obraca się autor swobodnie i z humorem; opowiadanie jest równe, gładkie, niekiedy malownicze; zainteresować może i zabawić, wpajając równocześnie szacunek dla pracy, rozumu i dobrego serca, a budząc wstręt do lenistwa, nierozsądnego postępowania i nieludzkości. Język wogóle jest bardzo dobry; tylko zazwyczaj mówi się: wierzyć w duchy a nie w duchów (str. 4) i parę przykrych omyłek drukarskich należałoby sprostować: przypomniał zam. przypominał (str. 13), nieużytecznych zam. nieużytych (str. 35).

Bardzo piękną, istotnie poetyczną, a z ludowych wyobrażeń wysnutą jest „Baśń o Sobotniéj Górze“, spisana niegdyś przez Romana Zmorskiego, a obecnie przedrukowana (1891, str. 20). Prostota, szczere serce, wytrwałość dokonywają tego, czego junactwo rycerskie, ani zarozumiałość książkowa zdobyć nie potrafiły. Ta prawda ujęta jest w formę alegoryi o górze, na któréj się znajduje źródło wody żywiącéj.

Według Andersena opracował p. Ignacy Matuszewski baśń p. n. „Królowa śniegu“ (1891, str. 52). O zaletach pisarza duńskiego, z którego baśń poczerpnięta, rozpisywać się nie trzeba. Lotność fantazyi, wielkie urozmaicenie wypadków, wdzięk obrazowania są dobrze znane. Myśl przewodnia „Królowéj Śniegu“, że dobroć i niewinność, nie dbająca wyłącznie o siebie, gotowa poświęcić życie za bliźnich, zasługuje na ciągłe wpajanie w serca; sposób opowiadania wogóle jest jasny i dla umysłu już obytego w świecie alegoryi fantastycznéj nie przedstawia wielkich trudności; ale dla ludu może będzie zbyt trudnym do zrozumienia. Słusznie też dodano na tytule, że to „bajka dla młodzieży“, bo trzeba pewnéj giętkości umysłu, aby się mógł w tym światku z obconarodowéj fantazyi zrodzonym należycie oryentować.

V. W piątéj grupie zawrę wydawnictwa różnorodnéj treści. Bardzo mało dotychczas w książkach dla ludu uwzględniono dzieje. Otóż obecnie zaznaczyć można zwrot w tym kierunku. Prócz dawniejszéj opowieści historycznéj p. t. „Kurpie“ napisanéj przez Tomka Piasta, mamy obecnie bardzo przystępnie, jasno, zrozumiale przedstawione „Opowiadanie o Krzysztofie Kolumbie, czyli o tym, kto pierwszy był w Ameryce“ (1891, str. 63). Autorem jest J. Stasiak. Prócz tego w spisach książek dla ludu widzimy rzecz „Z życia ludów starożytnych. I. Egipcyanie przez R. M.“, jako zapowiedź całego szeregu broszurek.

Z wydarzeń bieżących zajęto się emigracyą ludu do Ameryki. Z pomiędzy kilku broszurek temu przedmiotowi poświęconych wymienię „Listy z Brazylii przez wychodźców do rodzin pisane, zebrał Antoni Potocki“ (1891, str. 56). Są to zgromadzone w jednę całość listy w czasopismach naszych drukowane, oraz opowiadania tych, co świeżo z Brazylii wrócili, zakończone przestrogą, ażeby lud nie dawał się brać na złudne obietnice faktorów i dobrze się namyślił, zanim się odda w ręce „tych faktorów, przewoźników i hersztów“.

Na zakończenie wspomnę o dwu zbiorkach, stanowiących „wypisy“. Jeden z nich zebrała i ułożyła R. M. pod tytułem: „Snopek, książka do czytania dla dzieci wiejskich“ (1888, str. 180 i IV). W dwunastu działach, zaczynając od zajęć i zabaw dziecka wiejskiego, a kończąc na pojęciu o czasie i jego podziałach, autorka zaznajamia z głównemi objawami życia i działania ludności wiejskiéj. Po każdym dziale, przedstawiającym poszczególne zjawiska, następują uogólnienia, ujęte w zwięzłą a przystępną formę. Drugi zbiorek, cieszący się wielkiém powodzeniem, ułożył Wiktor Olszewski (M. Brzeziński) p. n. „Podarunek dla młodzieży. Książka dla tych, co nie chcą być cie-

mnymi“ (w 3-ém wydaniu, 1889, str. 276 i IV). Tu system układu jest inny; autor zapoznaje po kolei z trzema królestwami przyrody, zastanawiając się zarazem nad zastosowaniami lub wyrobami, jakie z tworów natury najpowszechniéj ludzie czynić się nauczyli; a kończy przedstawieniem zjawisk na ziemi i niebie, i ogólném wyobrażeniem o kuli ziemskiéj. Wszystko to zaś robi nie w sposób suchy, dydaktyczny, ale w formie zajmującéj, żywéj, nieraz posługując się poezyą. Bierze wiele, podobnież jak autorka „Snopka“, z innych pisarzów, ale więcéj jeszcze sam obrabia. Oba te zbiorki dopełniają się i mogą stanowić wyborny podarunek nietylko dla dzieci wiejskich, ale dla dzieci wogóle.

Wszystkie prawie wymienione tu książki zaopatrzone są w obrazki. Rysunek ich i wykonanie z każdym rokiem się ulepszały. Gdy w wydawnictwach z przed lat pięciu były one bardzo słabe, to w tych co wyszły w roku bieżącym, są wielce staranne, a nawet prawdziwie wykwintne (np. w „Królowéj Śniegu“). Podobnie rzecz się ma i co do papiéru, który w najświeższych książkach dla ludu nic nie pozostawia do życzenia. A dodać potrzeba, że mimo to cena ich jest nadzwyczaj niska. Wszystkie tu podane utwory (z drobnemi wyjątkami), znajdują się na składzie głównym w „Księgarni tanich wydawnictw“. Z serca życzymy im jaknajwiększego rozpowszechnienia.

P. Chmielowski.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Lorenz Fischer, „Theorie der Gesichtswahrnemung.“ Mainz, Kirchmann. 1891, str. XIV i 392.

Jest-to właściwie traktat o wrażeniach wogóle ze stanowiska teoryi poznania; wrażenia wzrokowe zajmują tu wprawdzie pierwszorzędne stanowisko, ale wynika ono już z samego znaczenia tych wrażeń dla poznania. Niemniéj uwzględnia autor przy uzasadnieniu swojéj teoryi („krytycznego realizmu“) warunki psychologiczne i fizyologiczne. Rozmaite teorye percepcyi zmysłowéj ułożone są w cztery gromady. Pierwszą stanowi realizm krańcowy czyli obiektywizm bezwzględny. Jedynym przedstawicielem tego poglądu, niczém nie różniącego się od naiwnego realizmu niewykształconego ogółu, jest, w dziele Fischera, Pesch (w dziełku *„Das Weltphänomen“*, 1881). Nie dziwi nas, że pogląd ten ma tylko jednego przedstawiciela, trudno bowiem znaleść wśród ludzi piszących w materyach filozoficznych wielu, którzyby wierzyli, iż świat jest takim, jakim go widzimy, t. j. że wyobrażenia nasze niczém nie różnią się od rzeczy. Drugą gromadę poglądów stanowi subiektywizm fizyologii współczesnéj, t. j. oparta na zdobyczach fizyologii doktryna o podmiotowości wrażeń. Autor poddaje tu rozbiorowi i krytyce poglądy Helmholtza, Auberta, Ficka i Bernsteina. W trzeciéj gromadzie spotykamy pod ogólną nazwą filozoficznego idealizmu poglądy Kartezyusza, Berkeleya, Kanta, Schuppego i Wundta. Że autor zestawia razem twórców tak odmiennych systematów filozoficznych, to usprawiedliwienie znajdujemy w tém, iż mowa tu tylko o ich zapatrywaniu się na ujęcie zmysłowe, czyli na teoryą wrażeń. Wyraz „idealizm“ użyty tu jest w znaczeniu teoryi poznania

zmysłowego, nie zaś w metafizycznéni. Wprawdzie nie wszystkich uznaje Fischer za czystych idealistów w teoryi poznania; Kartezyusza i Locke'a nazywa on pół-idealistami, nie wszystkie bowiem pierwiastki wrażenia uważali oni za podmiotowe. W istocie poglądy téj gromady niczém się nie różnią od poprzedniéj; odmienną jest tylko droga, jaką się dochodzi do twierdzenia podmiotowości wrażeń, a którą jest w fizyologii metoda doświadczalna, w filozofii—spekulacyjna. Czwartą wreszcie gromadę — realizm krytyczny — tworzy pogląd samego autora. Uzasadnienie jego stanowi główną część dzieła. „Wrażenie jest bezpośredniém psychiczném ujęciem (*Auffasung*) przedmiotu obecnego świadomości“ (str. 237) tak formułuje go autor.

Wyraz *Auffasung* tłómaczy on łacińskim wyrazem *perceptio*; w ten sposób określenie jego przyjmuje postać tautologii: „percepcya jest percepcyą“; daléj objaśnia on ten termin, jako poznawanie (*Erkennen*) w ogólném znaczeniu wyrazu, co bynajmniéj nie ratuje sytuacyi. Wyrażając językiem ścisłym to, co autor chce przez swoje określenie i dalsze jego rozwinięcie powiedzieć, rzec można, że główną cechą, którą się wyróżnia w jego myśli ujęcie zmysłowe, jest ukryte w niém twierdzenie bytu, bezpośrednio nasuwające się naszéj świadomości (nie zaś przez wnioskowanie przyczynowe, jak twierdzi np. Kant), czém różni się właśnie ujęcie (wrażenie) od wyobrażenia (*Vorstellung*), które może być i halucynacyą, lub obrazem pamięciowym. Niepodobna nie przyznać pewnéj słuszności dążeniu autora do zaznaczenia bezpośredniego charakteru wrażenia zmysłowego; istotnie wiara w rzeczywistość świata ma pewien charakter bezpośredniości wrażenia; odczuwamy dobrze różnicę jéj od téj pewności, jaką posiada prawda wywnioskowana, i dlatego kantonowska rzecz w sobie, jako wynik wniosku przyczynowego, t. j. wniosku od wrażenia do jego przyczyny, nie może nas zadowolnić. Jednakże sposób uzasadnienia tego bezpośredniego charakteru przez Fischera, zostaje w sprzeczności tak z wynikami fizyologii współczesnéj, jak i filozoficznéj teoryi poznania [1]). W żaden sposób nie można przyjąć tłómaczenia autora, że cechą wrażenia jest bezpośredniość (*Unmittelbarkeit*), chociaż względna, gdyż odbywa się ujęcie przez pośrednictwo organów fizyologicznych i psychologicznych, — polegające na tém, iż przedmiot „nie przy pomocy obrazów idealnych, lecz sam dochodzi do świadomości“ („*sondern selbst zum Bewusstsein kommt*“, str. 238), chyba żebyśmy

---

[1]) Zauważmy w nawiasie, że sam autor używa na str. 379 za dowód objektywności rzeczy twierdzenia, że jest ona przyczyną wrażenia, a więc swoim przykładem niechcący potwierdza myśl Kanta.

zgodnie z Czolbem wyobrażali fale światła i dźwięku, same przez się świecącemi i dźwięczącemi i jako takie mechanicznie dostającemi się do mózgu. Omawiając daléj swoje stanowisko, zaznacza Fischer różnicę pomiędzy aktem percepcyi, a samém wrażeniem; ból np. sprawiony przez skaleczenie nożem jest czémś innémi, niż wrażenie noża. Nowsza psychologia fizyologiczna inaczéj się na to zapatruje; ból stanowi charakterystykę wrażenia, określającą przyjemność lub nieprzyjemność jego, a charakterystyka taka jest wspólną wszystkim wrażeniom i stanowi to, co Wundt (*Physiologische Psychologie*) nazywa uczuciowém zabarwieniem wrażenia, nie należy więc do percepcyi, jako aktu poznania, ale do uczuciowości. Dodajmy do tego, że gdybyśmy mogli wystawić sobie istotę, któraby z każdego wrażenia ujmowała tylko tę uczuciową stronę, cały świat téj istoty składałby się tylko z bolesnych lub przyjemnych odczuwań, a więc o nożu miałaby ona tylko takie pojęcie, że jest-to coś bolesnego. Lecz istota taka nie mogłaby wogóle mieć wyobrażenia o świecie, jako czémś zewnętrznėm (a więc i o nożu, jako o przedmiocie), gdyż uczuciowa barwa wrażenia tém się różni od jego treści (jako pierwiastka poznania), że się jéj nie przerzuca po za jaźń, ale odczuwa w niéj.

Jeśli, jak widzieliśmy, w swojéj teoryi poznania Fischer zbliża się do jednego z twórców nowoczesnego materyalizmu (Czolbego), to w metafizyce jest on dualistą. Uznaje on konieczność przyjęcia substancyi niemateryalnéj, z któréjby się wyprowadzały zjawiska duchowe, tak jak materyalne z materyi (str. 275).

Sposób zapatrywania się na wrażenie decyduje o probierzu prawdy. Autor rozróżnia cztery główne formy określenia prawdy. Eleaci, widząc prawdę tylko w rozumie, wnoszą stąd (ponieważ może być tylko jedna prawda) o tożsamości bytu i myślenia. Idealiści określają ją jaką zgodność logiczną naszych wrażeń; stanowisko krytyczne uznaje za prawdziwe takie połączenie wyobrażeń, które odbywa się według reguły powszechnéj (prawda względna — obiektywna w znaczeniu Kanta); czwarte określenie realistycznie-krytyczne, czyli określenie autora brzmi: prawdą jest zgodność treści poznania z pewnym obiektywnym stanem rzeczy (str. 368). Jest tu znowuż *petitio principii*, gdyż właśnie idzie o oznaczenie téj zgodności. Nasza nauka o wrażeniach, kończy autor, oddaje podmiotowi i przedmiotowi, co się każdemu z nich należy (392).

Widzimy, że stanowisko autora odpowiada poziomowi filozoficznie niewykształconego ogółu tak w teoryi ujęcia zmysłowego, jak i w ocenie prawdy (w tém ostatniém autor zbliża się do niektórych przedstawicieli literatury popularnéj, np. Spencera). Nie wyżéj też

stoi on i w krytyce poglądów przeciwnych swemu; często spotykamy tu wyraźne niezrozumienie zagadnienia i zarzuty są niekiedy wprost naiwne. Tak zarzuca on Bernsteinowi sprzeczność pomiędzy twierdzeniem, że wrażenia powstają w ośrodkach nerwowych, a innem, że pojedyńcze części skóry są wrażliwe. Zaletą dzieła jest jasność i obiektywność w części historycznej (jakkolwiek niewyczerpującej) oraz liczne cytacye z autorów, których poglądy krytykuje. Czyni to książkę pożyteczną dla zapoznania się początkowego z zagadnieniem percepcyi wzrokowej, pomimo słabych stron poglądu autora.

Dodajmy tu jeszcze, że jeśli zestawimy realizm naiwny Pescha z realizmem krytycznym Fischera (który mało czem się różni od pierwszego), to otrzymamy z jednej strony dwóch tych autorów, z drugiej— wszystkich prawie wybitniejszych fizyologów i filozofów, a przeciwstawność tych dwóch gromad odźwierciedla przeciwstawność myśli potocznej z myślą umiejętną i metodyczną filozofii i wiedzy ściślej.

Wł. K.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Czterysta powinszowań** na uroczystości urodzin, imienin i nowego roku. Zebrała i ułożyła dla pożytku młodzieży *Bronisława Leśniewska* (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. 183). Większość tych powinszowań, mających oczywiście czysto praktyczne znaczenie, ułożona jest wierszem (do str. 153); jest ich tu 396; pod koniec książki dodane są życzenia prozą wyrażone. Na dwa działy się rozpadają: 1) na Nowy rok, 2) na imieniny i urodziny; w obu idą w następnym porządku: dziadkowi, babuni, rodzicom, wujostwu i stryjostwu, opiekunom i dobroczyńcom, nauczycielom i nauczycielkom. Dużo jest trafnie pomyślanych i dobrze wyrażonych; kilkanaście już to dla błahości myśli, już to dla lichej formy warto było wyrzucić. Nauczycielkom może nie z takim naciskiem wypadało życzyć, żeby wyszły za mąż; wszak te życzenia składają młode dziewczynki; o zamążpójściu nasłuchają się i tak dosyć w domu; pocóż ma im to jeszcze przypominać książka?...

— **Allgemeine Geschichte der Litteratur** p. *Gustawa Karpelesa* we wspaniale ilustrowanem wydaniu księgarni berlińskiej Grote'go zbliża się ku końcowi; otrzymaliśmy niedawno dalsze pięć zeszytów (od VII do XI), obejmujących dzieje literatury włoskiej, hiszpańskiej, portugalskiej, jako dokończenie działu piśmiennictw romańskich, oraz

znaczną część działu germańszczyzny, a mianowicie historyę literatury angielskiéj i niemieckiéj aż do Goethego i Schillera włącznie. Jak poprzednie części pracy, tak i obecne uderzają przedewszystkiém wybornie dobranemi i doskonale wykonanemi ilustracyami, które w wielkiéj obfitości zdobią każdy zeszyt. Szczególniéj pięknemi, a mało u nas, a nawet wśród Niemców znanemi są śliczne polichromowe litografie, przedstawiające zabytki miniaturowego malarstwa irlandzkiego, i anglosaskiego z wieku VII do X-go, jako to „Dawid z orszakiem“ z psałterza rękopiśmiennego, „Święty Dunstan“, arcybiskup kanterburyjski, ornament z rękopismu ewangelii około r. 850. Zresztą wizerunki autorów, podobizny autografów, karty tytułowe pierwodruków dzieł znakomitych, ilustracye artystyczne w utworach wieków dawniejszych przez owoczesnych rysowników dokonane, rysunki teatrów, pomników i t. p. są tak liczne i tak umiejętnie wybrane, że mało które wydawnictwo ilustrowane, pomimo tak wielkiéj ich dzisiaj mnogości, lepszém od obecnego w téj mierze nazwać się może. Tekstu tym razem nie rozbieramy; mógłby on być należycie oceniany przez fachowych jedynie sprawozdawców; zastrzegamy téż sobie po ukończeniu dzieła dopełnienie tych przygodnych wzmianek, jakie w ciągu ukazywania się dzieła zeszytami, podawaliśmy. Tu tylko nadmienimy, że wiadomości historyczno-literackie doprowadzone są do najnowszych czasów, lubo spółcześni autorowie traktowani są znacznie krócéj, aniżeli dawniejsi; że styl wszędzie jest żywy i że z dziedziny poezyi nieraz podawane są charakterystyczne wyjątki. Prawdopodobnie na ostatni zeszyt (czy zeszyty) odłożona została historya literatur słowiańskich, bo niepodobna przypuścić, ażeby miała być całkiem pominiętą, témbardziéj, że p. Karpeles obeznany jest z poezyą polską, a źródeł do poiformowania się o innych piśmiennictwach nie braknie, choćby się tylko chciał posługiwać dziełem pp. Pypina i Spasowicza, oraz pracami p. Bronisława Grabowskiego, zamieszczonemi w „Dziejach literatury powszechnéj z ilustracyami“ wychodzących od lat dziesięciu w Warszawie, a doprowadzonych obecnie do wieku XVII a w niektórych działach do XVIII. Może z ilustracyami tylko będzie trudniéj, gdyż specyalnego dzieła historyczno-literackiego, któreby mieściło wizerunki, podobizny pisma i tytułów nie posiadają jeszcze literatury słowiańskie; potrzeba ich szukać w pracach specyalniejszych np. we „Wzorach sztuki średniowiecznéj“ Rastawieckiego w „Pomnikach dziejowych Polski“, Bielowskiego w wydawnictwie „Złota Praga“, w zbiorach autografów i t. p. Dla firmy bogatéj nie powinny stanowić przeszkody te trudności w odszukaniu i odtworzeniu ilustracyi, trudności, które przy dobréj woli pokonać będzie można.

= **Pan Radca**, powieść. Napisali *Włodzimierz Zagórski* i *Antoni Zaleski* (Warszawa, 1891, str. 222). Jestto rzecz przeważnie publicystyczna, wywołana licznemi krytykami, z jakiemi w ostatnich mianowicie czasach spotykało się Towarzystwo kredytowe ziemskie. Autorom chodziło z jednéj strony o napiętnowanie wzorem i często słowami prof. Stanisława Tarnowskiego „prób rozstroju“, żywiołów anarchicznych, ambicyjek osobistych, mających przedstawicieli w łonie samego Towarzystwa, a z drugiéj chcieli wskazać chociażby z lekka i ubocznie pewne słabe strony w organizacyi tak ważnéj instytucyi. Wybrawszy za głównego reprezentanta fermentu rozkładowego „pięknego radcę“ Alfreda Możdżeńskiego, który z pobudek osobistych stanąwszy przeciwko powszechnie poważanemu, nadzwyczaj pracowitemu radcy Atanazemu Chroniewskiemu, wyzyskiwał drobne urazy współobywateli, ciężkie ich położenie materyalne, wreszcie pretensye do wydobycia się na wierzch i tym sposobem agitacyę celem usunięcia Chroniewskiego z zajmowanego stanowiska rozwinął, grupują około niego cały zastęp rzutkich projektomanów, górnolotnych krasomówców, poczciwych niedołęgów, popychanych przez żony, by wystawić słabość sił umysłowych i brak powagi moralnéj wśród opozycyi. W jednéj pięknie, z wielkiém życiem i dowcipem napisanéj scenie przedstawiają grono sejmikowiczów opozycyjnych w Ratowie, wytykając całe jego niedołęstwo, śmieszność, brak istotnego rozumienia rzeczy, pochopność do podejrzewania swych spółobywateli o najgorsze nawet postępki, lekkomyślność przechodzenia od jednéj opinii do drugiéj i t. p. Ale równocześnie autorowie nie chcąc należéć do liczby satyryków, którzy stan ziemiański z ujemnéj strony malują, nie pozwalają szerzyć się złemu w złotych sercach szlachty, nie pozwalają żadnéj zdrożnéj namiętności rozwinąć się w naturalnych jéj konsekwencyach, lecz owszem coprędéj leją kojący balsam nie na rany, ale zadraśnięcia przez siebie zadane. Nawet ów „piękny radca“, który z początku odgrywał rolę ambitnego samoluba, zaciętego agitatora, nie przebierającego w środkach, potém bardzo płytkiego blagiera i zręcznego wichrzyciela, przemienia się w końcu, pod wpływem parodniowego zatopienia się w cyfry, w poważnego statystę, przez którego autorowie wypowiadają częściowo swoje pragnienia co do reform w Towarzystwie kredytowém, a w końcu pod działaniem pięknych oczu pani Wandy w dziwnie uczuciowego kochanka i bardzo zacnego człowieka. Przyczyną wszystkiego złego w Towarzystwie, zdaniem pięknego radcy, które autorowie podzielać się zdają, jest, „iż radcostwo poczytywaném bywa jako *panis bene merentium*, przez wyborców, którzy nie zważając częstokroć na brak uzdolnienia i wiedzy

wybierają na urząd ten podupadłych obywateli i bankrutów, po to jedynie, by im w Warszawie zapewnić utrzymanie i środki do życia“. Z tego głównego źródła wywodził wszystkie inne ujemności towarzystwa, a mianowicie: biurokratyzm, będący przyczyną powolności w załatwianiu interesów najprostszych, kosztowność administracyi, brak porozumienia pomiędzy obiema naczelnemi władzami Towarzystwa i „niezdrowe“ ich współzawodnictwo, szorstkość wreszcie w załatwianiu spraw, szorstkość, która „zraża, wytwarzając grunt podatny dla wszelkiéj agitacyi“. Żądaniem zaś, które „piękny radca“ stawiał na przyszłość, było, aby Towarzystwo, będące nie instytucyą filantropijną, lecz zakładem finansowym, który winien dbać o to przedewszystkiém, by mu się każdy poniesiony wydatek odpowiednio opiacał, postawiło wymaganie „pewnego *censusu* majątkowego dla wybrańców téj instytucyi“ (str. 138). Mowa, w któréj miał to wszystko „piękny radca“ na wyborach do Towarzystwa wypowiedziéć, pozostała tylko na papierze w biurku autora, bo jak częstokroć u nas się zdarza, sprawy osobiste na tych wyborach wyparły zupełnie z porządku dziennego rzeczy ogólniejszéj natury i dopiéro w powieści podana została na użytek powszechny. W każdym razie „Pan Radca“ jest interesującym przyczynkiem do poznania téj strony życia naszéj szlachty, ktora dotychczas nie była przedmiotem powieściowego malowania, a jakkolwiek autorowie zajęli się bardziéj towarzyskiemi objawami stosunków szlachty z instytucyą, a wewnętrznych téjże spraw zaledwie zlekka dotknęli; dobre i to wszakże na początek, mogący pobudzić innych do szczegółowego rozpatrzenia się w téj dziedzinie i odmalowania jéj w powieści. Znamiona czasu uwidocznione zostały w „Panu Radcy“ z pewnym naciskiem. Jakby dla kontrastu z dawniejszemi i nowszemi obrazami życia szlacheckiego, autorowie starają się przedstawić je jako bardzo skromne, oszczędne; zaznaczają, że na zebraniach szlacheckich pije się cienkie krymskie wino, a wspomnienie o szampanie pojawia się jakby ukradkiem... Rozmowy towarzyskie są pełne ożywienia, a niekiedy prawdziwego dowcipu, tylko mało w nich dbałości o charakterystykę poszczególnych temperamentów; grube jedynie różnice w sposobie mówienia, są uwydatnione; subtelniejszego cieniowania nie ma. Względy psychologiczne, motywowanie rozwoju i przemiany charakterów lub usposobień, niezbyt obchodzą autorów; z nowszéj literatury francuskiéj nie przejęli ani metody powieściopisarskiéj, hołdując dawniejszéj; ale zaczerpnęli parę zwrotów myślowych, a co gorsza kilka galicyzmów, które uparcie powtarzają, nie pomnąc, że takie frazesy jak: „to jest, co najwięcéj zwraca uwagę“ lub tym podobne wcale nie odpowiadają tokowi

stylu polskiego. W niektórych miejscach powieść wygląda tak, jakby ktoś rzecz pomyślaną po francusku z trudem wygłaszał w języku rodowitym. Razi to tém bardziéj, że w całym utworze mamy do czynienia nie ze stosunkami kosmopolitycznemi, lecz ściśle miejscowemi.

— *Nagoda*. **Jak wszystkie** i inne nowele i obrazki (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. 269). Ogólny charakter tych nowel jest taki sam, jak dawniejszego zbioru p. n. „Własnemi oczyma“, który ocenialiśmy zeszłego roku. Pogodny nastrój, jednakowo przyjazne usposobienie dla kobiét i mężczyzn, spółczucie dla cierpienia, zamiłowanie w obrazach łagodnym jedynie smutkiem przejmujących, przebija się wszędzie. Ani wielkich, gwałtownych namiętności, ani przerażających nieszczęść, ani zbyt głębokiego wglądaniu w serca i pod czaszki ludzi nie znajdziemy w opowiadaniach Nagody. Najchętniéj przebywa wśród zamożniejszego towarzystwa, lubo zlekka wydrwiwa utytułowanych, ale nie gardzi i sferą sług miejskich, których losem chce zainteresować warstwy szczęśliwiéj uposażone. W społeczeństwie, będącém polem jéj spostrzeżeń, błąkają się jeszcze tu i owdzie uprzedzenia i przesądy kastowe; wytknąć ich niewłaściwość i nielogiczność uważa sobie autorka za obowiązek. Więc np. rodziną panny Ewy i ona sama zgodziła się na męża doktora, ale pod warunkiem, żeby zaprzestał praktyki i o medycynie już nie myślał. Doktór obiecuje, ale spotkane na ulicy zjawisko patologiczne nie daje mu spokoju, pragnąłby przyjść z pomocą pięknéj dziewczynie o czarnych oczach mającéj kataraktę; ale musi się ukrywać z dobrym swym zamiarem, a to ukrywanie się jest przyczyną zmartwień Ewy, podejrzewającéj męża o niewierność. Wreszcie dokonawszy szczęśliwie operacyi, prowadzi Ewę do swéj tajemnéj pacyentki i zyskuje tę najmilszą dla niego nagrodę, że żona sama go do praktyki lekarskiéj zachęca („Za czarne oczy“). Dobrze maluje autorka grę uczuć o niskiéj skali, nie objawiających się wybuchami, nie zatruwających życia, lecz będących jaśniejszym promykiem wśród ogólnéj szarości („Romans panny Henryki“, „Cała stawka“). Jest pobłażliwą względem tych kobiét, które w zadowoleniu próżności znajdują chlubę, a w pierwszym włosie siwym zawód i karę („Pierwszy śnieg“). Lubi z humorem opowiadać o objawach zazdrości mężczyzn, na urojonéj podstawie opartych („Cudza żona“) i o powstawaniu lepszych, cieplejszych uczuć w sercach samolubnych pod wpływem jakiegoś wspomnienia z lat młodszych („Raz w życiu“). Rozumié i odczuwa przywiązanie samotnego serca, które nie zaznało nigdy upojenia szczęścia i pod koniec życia niezużytkowane swe skarby oddaje bodaj wiernemu zwierzęciu („Na małą

skalę“). Wesoło i dowcipnie kreśli obrazek młodéj impresyonistki-literatki, która chciwie zbiera rysy życia, zapisując je w książeczce, która stara się okazać samodzielną, a nie umié sobie poradzić z licznemi drobiazgami, jakie wiezie w wagonie („W pogoni“). W opowiadaniu „Jak wszystkie“ nakreśliła sylwetkę panny Leny, która pod przewodnictwem cioci Heli, żyjącéj w sferze arystokratycznéj o mało co nie stała się lalką salonową, o mało co nie postradała serca towarzysza lat dziecinnych, pana Adama, tak jéj się podobały tryumfy salonowe. Autorka kończy optymistycznie swą opowieść, utrzymując, że panny dzisiejsze z pozoru tylko są zimne, próżne i lekkomyślne, że byle tylko znalazły w życiu taką istotę, któraby na pozory nie zważała, gotowe wyrzec się najświetniejszéj karyery. W dwu obrazkach z lwowskiego bruku, Nagoda przedstawia biédną dziewczynę wiejską, przybyłą do miasta na służbę, dającą się wyzyskiwać czeladnikowi i opuszczoną („Julka“), oraz młodego stróża, co dla przypodobania się pannie Marcelce ukradł piękną chusteczkę, został przez Marcelkę odtrącony, jako złodziéj i poszedł utopić smutek w kieliszku („Jedwabna chustka“). Nagoda nie odkrywa nam nowych stron życia, ani téż mało znanych objawów duszy ludzkiéj; wszystkie tematy, jakie w swych nowelach obrobiła, były już nieraz opracowywane, czasami z większym niż tu talentem; ale ponieważ robi to niepretensyonalnie, ponieważ posługuje się stylem prostym, gładkim, łatwo dającym się czytać, a językiem poprawnym, opowiadania jéj można uważać za dobry nabytek dla czytelń, a czasu na odczytanie ich użytego nie miéć za stracony. Nie stawia ona sobie zagadnień szerszych, ale obrane opracowuje starannie, po swojemu.

= *John Stuart Blackie.* **O wychowaniu samego siebie.** Przełożył J. K. Potocki. Warszawa. 1891. Dziełko widocznie przeznaczono dla dorastającéj młodzieży. Składa się z trzech rozdziałów, których pierwszy zawiéra szereg wskazówek, ułatwiających kształcenie umysłu. Autor usilnie zaleca rozpoczynanie nauki od bezpośredniéj obserwacyi faktów; celem jéj powinna być klasyfikacya, po któréj następuje rozumowanie czyli badanie przyczyn. Do wydoskonalenia ścisłości rozumowania przyczyniają się studya matematyczne; trudno jednak zgodzić się z autorem, gdy widzi w tych studyach sposób zaradzenia brakowi doświadczenia i przypisuje niemożność odróżnienia istotnych stosunków przyczynowości. Uwagi, dotyczące studyów logicznych i metafizycznych, są wogóle trafne, ze względu jednak na to, że to dziedzina najbardziéj dla młodych umysłów ponęta, wypadało nieco więcéj o tém powiedziéć. Daléj następują: ćwi-

czenie wyobraźni, pamięci, stylu, nauka języków, oraz wybór książek. W drugim rozdziale znajdujemy przepisy, dotyczące zachowania zdrowia i rozwoju cielesnego. Ostatni rozdział, największy, omawia wychowanie moralne. Najpierwszą cnotą jest posłuszeństwo, daléj. zamiłowanie prawdy, pracowitość i t. d. Słusznie bardzo autor gani „pewną kategoryę młodzieńców, na których obliczu, zdawałoby się, czytamy napis: *nil admirari*“, słusznie zaleca ciągłe dążenie do dobrego, obcowanie duchowe z prawdziwemi wzorami moralności, bohaterami wszystkich czasów“. Nie ma pewniejszego sposobu stania się dobrym, a może i wielkim, niż wczesne zapoznawanie się z życiem wielkich i dobrych ludzi“. Treść książki rzeczywiście jest dobra, forma gładka, nader przystępna, przekład poprawny. Młodzież z pożytkiem ją będzie czytała. A jednak przekład téj książki był zbyteczny. Nie zawiera bowiem prawie ani jednéj myśli oryginalnéj, nie jest pisana w sposób bardzo przekonywający, a trzeba znać młodzież: przywiązuje ona wielką do téj strony wagę, lubi i chce, by ją przekonywano.

A. Gr.

= *Boirac Emil.* **Zasady filozofii.** Tłómaczył Adolf Dygasiński. Paprocki, 1891. W chętkę do mędrkowania nie mniéj chyba od od wszystkich innych narodów jesteśmy uposażeni, bodaj jednak, czy nie ponad wszystkie górujemy zasobem wstrętu do wszelkiego systematu. To też polski, lub choć spolszczony podręcznik fiilozofii wyjątkowo pożądaném jest zjawiskiem; za wydawnictwa tego rodzaju tém większa wdzięczność się należy, im mniéj widoków jest na zrobieni na nich interesu -- szczególnie w okresie bieżącym farsy i noweli Podręcznik, o którym tu mówię, wielkiéj jest wartości Jeśli ni imponuje on oryginalnością doktryny, co zresztą od podręcznika szczególnie dla szkoły średniéj przeznaczonego, zgoła wymaganém by nie może, to, natomiast, budzi poszanowanie bogactwem treści jakoté i wielką systematycznością wykładu, dzięki któréj, przedewszystkiém może istotnie pomódz niedoświadczonemu i niewyrobionemu umysłow do zoryentowania się w labiryncie pojęć filozoficznych. Jedną z głó wnych cech charakterystycznych tego dzieła jest bezstronność: Boira czasem z równym, zda się, zapałem szykuje do boju argumenta swyc przeciwników jak i sprzymierzeńców. Doktryna Boirac'a jest eklekty zmem *par excellence*, wktórym przeważają—francuski spirytualizm aka demicki i idealizm leibnitzowski. Punktem wyjścia dla Boirac'a, kamie niem węgielnym jedynéj, racyonalnéj według niego, filozofii jest kart zyańskie: *cogito, ergo sum.* Wyprowadzając „zasady“ swoje z faktu świa domości, autor, naturalnie, najwięcéj miejsca poświęca psycholog

stając jednak w sprzeczności kardynalnéj z badaniami nowych szkół psychologicznych w dziedzinie nieświadomych zjawisk duchowych, które to badania we frazes tylko pięknie brzmiący obróciły ową prawdę rzekomą scholastyków: *non sentimus nisi*... etc. Klasyfikacyą zjawisk duchowych bierze Boirac u Locke'go i Kant'a, teoryą roskoszy i cierpienia—u ewolucyonistów, teoryą instynktu—u Cuvier'a. Uznając niemożliwość poznania bezwzględności i bezwzględnego poznania, nazywa on jednak teoryą monad „jedyném źródłem myśli"; u Leibnitza téż zaopatruje się w mglistą i niewykończoną teoryą przestrzeni i czasu. Monadologiczność—najsłabszym jest punktem filozofii Boirac'a: tu tylko ignoruje on wszystkie zarzuty przeciw hypotezie myśliciela-matematyka niemieckiego, łatającego nieobecność „drzwi i okien" w monadach przez harmonią pierwotną i w ten dopiéro sposób usiłującego prawdziwy infinitywizm w monizm rzekomy przekształcić. Filozofią subiektywną, poznanie własnego swego „ja", wieńczy u Boirac'a etyka, oparta na dogmatach: „swobody woli", troistości skłonności ludzkich (osobiste, społeczne, idealne) i sumienia, które określa on, jako formę rozumu, „rozum praktyczny" (Kant). Ostatni wyraz etyki Boirac'a: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło", jako téż i ostatni wyraz metafizyki jego: wiara w istnienie Boga i nieśmiertelność duszy — czyni zrozumiałém, dlaczego „błogosławieni są ubodzy duchem", którzy bez zaciekań się transcendentalnych to czują i w to wierzą [1]). *I. N.*

— **Po złote runo**. Powieść współczesna przez Teodora Jeske-Choińskiego (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. 261). Utwór powstał widocznie pod wpływem „Ucznia" Bourget'a i „Bez dogmatu" Sienkiewicza, a w szczegółach charakteryzujących bohatéra, Stanisława Radziejowskiego, można dopatrzéć podobieństwo (może całkiem nieświadomie wytworzone) z Maryanem Brochwiczem Orzeszkowéj. Autorowi chodziło głównie o wskazanie zgubnego wpływu doktryn materyalistycznych, albo nawet wogóle nauki spółczesnéj na umysły

[1]) Przekład „Zasad", dobry wogóle, nie wolny jest jednak od usterek, z których pozwolę tu sobie przytoczyć parę znaczniejszych. Na str. 60 czytamy: „W takim razie... zjawisku psychologicznemu zbywa na świadomości" (co zadawałoby kłam doktrynie Boirac'a), kiedy w oryginale stoi: „...brak tam samego zjawiska duchowego, nietylko świadomości". Błędem jest używanie wyrazu sumienie zamiast świadomość (*conscience*). Na stronicy 431 tłómacz wkłada w usta Kantowi twierdzenie, że „przestrzeń i czas istnieją uprzednio a zasadniczo w zjawiskach", kiedy w oryginale mowa jest o „istnieniu ich *in potentia* (w umyśle) przed zjawiskami i niezależności ich od zjawisk".

młodego pokolenia, zwłaszcza z téj warstwy, która ciężko na utrzymanie swoje pracować nie potrzebuje. W tym celu każe bohatérowi przebywać długie lata za granicą na nauce i wchłaniać wszystkie „rozkładowe“ pierwiastki krytycyzmu i pesymizmu, a równocześnie przejmować się wszystkiemi wykwintami dobrobytu materyalnego, gonić za uciechami i użyciem. Skutek tych wędrówek objawił się ostatecznie w niechęci do zmudnéj pracy na roli, by się ostać na odziedziczonym kawałku ziemi i pędzić żywot bez wygód. Radziejowski woli zdobywać „złote runo“ w Monte Carlo, a gdy los niebardzo dopisywał, szukać majątku w bogatém ożenieniu z kobiétą, któréj nie kochał, ale któréj serce pozyskał udaniem szalbierskiém i umiejętną blagą. Dla dopełnienia obrazu złych wpływów nauki nowożytnéj, autor stawia jeszcze drugą figurę, inżyniera Kolasińskiego, potomka rodziny biednéj, plebejuszowskiéj, który przebił się nadzwyczajnemi wysiłkami przez szkoły i akademię, osiągnął patenty i dyplomy, a utracił zdrowie, wiarę we wszystko, zadowolenie z życia, które nędznie zaledwie mógł podtrzymywać pracą, nie odpowiadającą jego zdolnościom i rozleglejszym potrzebom duchowym. Obu tym ludziom wkłada p. Choiński długie tyrady przeciw nauce i materyalizmowi, mieszając ze sobą teorye uaukowe i poglądy praktyczne. Z całego ich postępowania jednak, a nawet z ich własnych słów wynika, że nie „nauka“ bynajmniéj zatruła im życie, ale temperamenty ich i skłonności, które wyszukiwały w „nauce“ pozorów usprawiedliwiających ich pragnienia. Radziejowski raz, w przystępie widać szczerości, powiada wprost, że wziął z nauki to, co mu dogadzało, a tém wyrzeczeniem dostatecznie napiętnował swoje filipiki przeciw umiejętności, jako grubą blagę człowieka, co swoje samolubne i próżniacze pożądania chciałby pokostować modnie wywodami teoretycznemi, które zaledwie poznał z wierzchu. Kolasiński, jest innego rodzaju charakterem; w nim zamiłowanie pracy, odziedziczone po ciężko pracujących przodkach-rzemieślnikach, jest istotne i on téż dźwiga się prędzéj, niż Radziejowski, z pesymistycznéj apatyi, wyrabia sobie filozofię rezygnacyi i choć z goryczą godzi się z życiem. Tylko nieszczerze, jak się zdaje, i on pomstuje na naukę, zarzucając to głównie, że mu obiecywała świetną karyerę, jako potęga nowoczesna, a tych obietnic nie dotrzymała. Sam się on zdradza, że te jego wyrzekania nie mają podstawy, bo, opowiadając o swoim poczciwym ojcu, który z nauką nietylko nowoczesną, ale nauką wogóle nie znał się wcale, tę właśnie karyerę, jako pobudkę do nauki w jego przestrogach i wskazówkach uwydatnia. Nie nauka zatém, ale sam ojciec, a właściwiéj mówiąc, wyobrażenia w społeczeństwie od wieków zakorzenione, a całkiem nie nau

we, wskazały Kolasińskiemu te złudne *fata-morgana*, które się rozwiały po osiągnieniu przezeń patentów i dyplomów. Nauka rzeczywista była i jest przedewszystkiém bezinteresowną; bada świat dla poznania go bez względu na to, jakie wyniki praktyczne z tego badania osiągnąć się dadzą. Oczywiście, ogół t. zw. inteligentny nie może się wznieść na te wyżyny, a potrzeby życia praktycznego znaglają do zastosowania prawd przez naukę teoretyczną zdobytych; i w tych to zastosowaniach tkwi zło lub dobro, stosownie do usposobień i namiętności ludzi, co tych zastosowań dokonywają. Każdy pogląd, każdą teoryę można wyzyskać zarówno w dobrych etycznie lub społecznie celach, jak i w przewrotnych; nie wyłączamy z tego prawidła żadnéj zgoła doktryny religijnéj, filozoficznéj czy społecznéj; dla przekonania się o prawdzie tego twierdzenia, dość się rozejrzéć w dziejach i około siebie. Zdaniem tedy naszém, ta część pracy p. Choińskiego, w któréj szkodliwość nauki spółczesnéj rozwija, jest na fałszywych przesłankach oparta, a więc chybiona; gdyby wszystkie deklamacye przeciw nauce zostały wyrzucone, powieść niczby nie straciła, bo charaktery osób byłyby zrozumiałe i bez nich, a zyskałaby na społecznéj wartości, gdyż nie szerzyłaby zniechęcenia do wiedzy, któréj tak bardzo jeszcze potrzebujemy i potrzebujemy. Odsunąwszy na bok tę część utworu, znajdziemy w nim dobrze postawione charaktery, sceny pełne życia, akcyą wybornie przeprowadzoną, a wreszcie bardzo dobrą myśl dźwignienia bohatéra i uczynienia go w końcu osobistością dodatnią. Artystycznie i psychologicznie przemiana ta nie została należycie przygotowana. Autor zanadto w początku uwydatnił w Radziejowskim egoizm, brak serca, sybarytyzm, nawet najlżejszym rysem nie dając poznać, że w tym eleganckim nikczemniku znajdują się przecie jakieś popędy szlachetne. Jego przyjazd do domu, jego lodowate zachowanie się wobec towarzyszki dzieciństwa Zosi, jego szalbierstwo w podwójnéj grze miłosnéj z panną Sommer i panną Mirską, jego cynizm w wygłaszaniu zdań wprost sobie przeciwnych stosownie do potrzeby chwilowéj, jego obłuda względem rodziców narzeczonéj: są to objawy duszy zepsutéj z gruntu i nie tak łatwo dadzą się zażegnać wpływem dobréj żony, cichéj, gospodarnéj, nie narzucającéj się, wskazówkami przyjaciela, wreszcie odzywającemi się po przodkach dobremi instynktami. Potrzebaby dotkliwszych przejść duchowych, aniżeli te, jakie p. Choiński odmalował, ażeby takiego zgnuśniałego sybarytę, jak Radziejowski, uczynić zacnym i rozumnym obywatelem. Bądź co bądź, społecznie rzecz biorąc, wolimy tę metamorfozę Radziejowskiego, aniżeli takiego ślimaka moralnego, jak Płoszowski. Powieść zresztą „Po złote runo“ odznacza się wielką

żywością opowiadania i zawiera kilka ślicznych opisów miejscowości i zwyczajów (zabawa kwiatowa w Nizzy), poraz pierwszy podobno w naszéj beletrystyce pojawiających się. Czyta się łatwo i pozostawia po sobie ostatecznie wrażenie dodatnie. Język wogóle jędrny i poprawny; tylko nie należałoby „przyjmować“ herbaty, mięsa, owoców i t. p. (str. 40).

= *Eliza Orzeszkowa.* **Czciciel potęgi.** Powieść (Warsz. „Przeg. tygod.“, 1889, str. 314). Nowa ta praca znakomitéj powieściopisarki należy do szeregu utworów, osnutych na tle dziejów starożytnych. Rzecz dzieje się w Lidyi, kiedy ta, straciwszy swą niepodległość, przeszła pod panowanie perskie. Autorka odmalowała rodzinę, która, zatopiwszy się całkiem w robieniu majątku, jako środku wiodącym do używania i mocy, zapomniała o tradycyach ojczystych, pogodziła się z nowym porządkiem rzeczy i w osobie zwłaszcza swéj głowy, Pytyona, zaczęła czcić wszystko, co potężne, a więc i „wielkiego króla“ Kserksesa. Srogim, bolesnym był zawód. Pytyon uprosił sobie za pomocą hojnych podarków, rozdanych wpływowemu otoczeniu Kserksesa, żeby tenże w pochodzie swoim na Grecyę, wstąpił do jego domu. Czuł się rozpromienionym i ubłogosławionym, gdy mógł przed potężnym władzcą rozwinąć cały olbrzymi zasób swych bogactw i nawet w nim wzbudzić zazdrość. W dowód szczególnéj przychylności monarcha perski zabrał naprzód Pytyonowi dwu synów, ażeby ich umieścić w swojéj gwardyi „nieśmiertelnych“, potém czwartego, który sam jeden hołdu, potędze króla nie składał, by go wśród szeregowców na pokutę skazać, wreszcie córkę najdroższą, by ją mieć przy swym boku. Żona Pytyona nie zniosła ciężaru tylu dobrodziejstw, — umarła. A Pytyon „wyglądał jak robak zdeptany, lub drzewo gromem rzucone na ziemię.“ Przekonał się czciciel potęgi, przekonał się dotkliwie, że potęga i sprawiedliwość, potęga i miłość, potęga i szczęście nie zawsze chodzą w parze. Zbyteczném chyba byłoby mówić, że znane zalety pióra nie opuściły autorki i w téj powieści, a temat wstrząsa umysł i serce, nie nie przekraczając granic estetycznych.

= *Józefa Ungra* **Kalendarz Warszawski,** popularno-naukowy **illustrowany** na rok przestępny 1892, wyszedł z pod prasy. Jest-to gruby tom *in* 4-to, zawierający oprócz części kalendarskiéj — cztery życiorysy z portretami, obszerny dział beletrystyczny, w którym się mieszczą utwory prozą i wierszem Gomulickiego, Ursyna, Maski, Zagórskiego, Piątkowskiego, Junoszy, Niemojowskiego, Przybylskiego, Łętowskiego, Stebelskiego i Or-Ota; daléj, są tu cztery artykuły

„naukowe i społeczne“ i przewodnik informacyjny. Kalendarz Ungra jest ozdobiony wielu drzeworytami, liczy 47 rok istnienia, kosztuje 50 kop., a swoim nabywcom daje prawo do otrzymania czterech utworów artystycznych za cenę dwóch rubli.

= **Kalendarz powszechny**, wydawany nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, do którego „jako premium bezpłatne dodają się 2 kalendarze: ścienny i kieszonkowy“, — zawiera obok działu kalendarzowego, pięć utworów poetycznych (których dostarczyli: K. Gliński, A. Lange, J. Nitowski, Or-ot i A. Pilecki), kilka nowelli, rzecz „o rozwijaniu samodzielności“, przepisy hygieniczne dla młodzieży, artykuł o fizyologii roślin, pogadanki rolnicze i t. d. O rysunkach nie zapomniano.

= **Strzecha rodzinna.** Kalendarz na rok przestępny 1892-gi, zebrał i wydał *Edward Koliński*. Jest on przeznaczony głównie dla warstw ludowych, podaje wskazówki pożyteczne gospodarzom rolnym, mieści artykuły treści religijno-moralnéj, rady dla matek o pielęgnowaniu niemowląt, pogawędki popularno-naukowe, powiastki i wierszyki; wszystko to objaśniają liczne drzeworyty. Książeczka, oprawiona w tekturę, kosztuje kop. 15.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Otwarcie osady dla dziewcząt w Puszczy. — Rocznik Towarzystwa osad rolnych. — Odczyty na kasę Mianowskiego.

Nasze Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych rozszerzyło swoją działalność przez otwarcie dawno projektowanego przytułku poprawczego dla dziewcząt. Jak wiadomo, poprawczo-karna kolonia w Studzieńcu, istniejąca od r. 1877, przyjmuje tylko chłopców z mocy wyroków sądowych lub opinii władz administracyjnych. Postęp i pożytek tego zakładu, stwierdzony i przez ogół i przez opinię specyalistów, obznajmionych z rozwojem zakładów wychowawczo-karnych w Europie, skłaniały oddawna kierowników Towarzystwa do rozszerzenia dobroczynnéj działalności przez powołanie do życia drugiéj podobnéj kolonii dla dziewcząt, co zresztą od samego początku powstania instytucyi leżało w jéj programie.

Ofiary prywatne na ten cel, jako to: d-ra Jałowieckiego w kwocie rs. 1,250, zapis ś. p. Klotyldy Sucheckiéj w sumie 1,000 rs. i inne, pozwoliły nareszcie dawny zamiar wykonać. Ustawa nowego przytułku została zatwierdzoną przez ministra spraw wewnętrznych d. 11 stycznia r. z., a Najwyżéj zatwierdzona uchwała komitetu ministrów nadała na własność Towarzystwa osadę Puszcza, zawierającą 16 morgów przestrzeni z domem mieszkalnym. Ponieważ osada była w stanie nader opuszczonym, więc z wiosną wzięto się do jéj uporządkowania, co ułatwiła ofiara prezesa komitetu Towarzystwa, p. Ludwika Górskiego w kwocie 1,000 rs.

Roboty i urządzenia ukończono dopiéro z jesienią i w połowie zeszłego miesiąca osada Puszcza w powiecie skierniewickim, odległa o 5 wiorst od stacyi kolei wiedeńskiéj Radziwiłłów, została otwartą.

Kuratorką nowego zakładu została p. Marya z hr. Łubieńskich Górska, a przyjmowanie wychowanek miało się rozpocząć zaraz. Środki Towarzystwa pozwalają na utrzymanie w Puszczy 50 wychowanek; tymczasem jednak przygotowane jest przyjęcie tylko na 15.

W przyjmowaniu wychowanek w Puszczy przestrzegane będą te same warunki, co i w Studzieńcu. Kandydatki więc nie mogą być dotknięte chorobą umysłową, fizyczną lub kalectwem; nie mogą liczyć mniéj, niż 8 i więcéj, nad 14 lat wieku, w osadzie przebywać będą lat najmniéj trzy. Przy przesyłaniu kandydatki załączyć należy metrykę, świadectwo lekarskie, zaświadczenie o stanie majątkowym i *curriculum vitae.*

Ten nowy zakład karno-wychowawczy, którego zadaniem będzie wydzierać demoralizalizacyi i występkowi młodociane istnienia, zasługuje na szczere powitanie i na czynną życzliwość ogółu. Towarzystwo osad rolnych jest jedną z tych bardzo nielicznych naszych instytucyi, któremi chlubić się przed szerszym światem możemy, bo stoi ona na wysokości swoich zadań i wymagań. Że tak jest istotnie, potwierdziły międzynarodowe kongresy więzienne i zjazdy przedstawicieli zakładów poprawczych, na których działalność Towarzystwa została pochlebnie odznaczoną i zwiedzanie na miejscu kolonii studzienieckiéj przez inspektorów rządowych i przez dyrektorów zagranicznych zakładów poprawczych, którzy zapisali uznanie swoje w książkach zakładu dla jego rozwoju.

Czy ogół nasz popiéra jednak ten zakład, jakby się spodziéwać należało? Rocznik Towarzystwa za rok 1890 nie daje na to zadawalniającéj odpowiedzi. Książka ta, ułożona pracowicie i systematycznie, jest bardzo interesującym, napełnionym cyframi dokumentem. Sądzimy téż, że bez nadużycia uwagi czytelnika kilka dat zaczerpnąć z niéj możemy.

Zakład studzieniecki uwolnił, dodać więc można, że wykształcił praktycznie i poprawił dotychczas 492 wychowańców. Dał więc społeczeństwu téż liczbę rolników (najwięcéj, bo aż 120), ogrodników, kołodziejów, rzeźbiarzów, krawców, felczerów i t. d. Z téj liczby byłych wychowańców już 265 posiada własne warsztaty lub gospodarstwa. Co do ich sprawowania się sprawozdanie podaje, że 359 jest dobre, 13 zadawalniające, 8 złe, 60 niewiadome. Wielu z byłych wychowańców utrzymuje swą pracą i staraniem zgrzybiałych rodziców i niesie pomoc do należytego wychowania młodszego rodzeństwa. Ważném jest pytanie, o ile wychowańcy Studzieńca podlegają recydywie przestępstwa? Odpowiedź i na to pytanie uważać można za dobrą. Recydywistów było dotychczas 24.

A teraz zobaczmy, czy i z jaką gorliwością i punktualnością ogół przykłada się do utrzymania instytucyi, którą przecież, sądzimy, uważać w pewnéj mierze można za asekuracyę od przestępstw, społeczeństwu zagrażających? W r. 1888 umorzono zaległych składek około 24 tysięcy rubli, w następnym cztery i pół tysięcy rubli, w roku sprawozdawczym przeszło 5 tysięcy, a pomimo to pozostało jeszcze do pobrania zalegających składek przesło 17 tysięcy. Cyfra członków zmniejsza się także i wynosi obecnie zaledwie 1221 spłacających po 6 rs. rocznéj składki. A jakie téż miasta i powiaty opłacają składki bez zaległości? Tylko powiaty: wieluński (członków 5), olkuski, mazowiecki i m. Kielce. Dochody Towarzystwa wynosiły w roku sprawozdawczym rs. 38,847, wydatki zaś rs. 40,397, wydano przeto więcéj nad dochód rs. 1,550.

Ogół majątku Towarzystwa, t. j. kapitały wieczyste i zapasowe majątek ruchomy i nieruchomy wynoszą około 180 tysięcy rs. Co do okolic kraju, które dostarczały od początku istnienia zakładu po dziś dzień, małoletnich przestępców, to różnice są bardzo znaczne. I tak: miasto Warszawa i gubernia warszawska w ciągu czternastoletniego istnienia kolonii dostarczyły 226 przestępców, w innych guberniach cyfra waha się między 30 a 60, z wyjątkiem suwalskiéj, w któréj wyniosła zaledwie 9. Żałujemy, że starannie i kompletnie ułożony rocznik Towarzystwa nie opatrzył tak wielkiéj różnicy między temi cyframi wyjaśniającym komentarzem. Trudno przypuścić, ażeby ona oznaczać miała istotną różnicę między moralnym poziomem np. gubernii warszawskiéj i suwalskiéj. Jeżeli więc gubernia warszawska dostarczyła aż 226 przestępców, a suwalska zaledwie 9, to obok znacznie większéj ludności w pierwszéj, działać tu mogły i inne przyczyny: Warszawa i jéj okolice, jako bliskie miejsca instytucyi i jéj działania, lepiéj powiadomione o jéj istnieniu, środkach i celach, więcéj też z niéj korzystały i korzystają niż gubernia suwalska. Zresztą i między poziomem moralności pierwszych a drugiéj, może być znaczna różnica na korzyść ostatniéj. Nie będziemy dłużéj zatrzymywać się nad datami i cyframi rocznika Towarzystwa, który każdy z jego członków otrzymuje, a przejrzéć go z korzyscią może i powinien, naprzód, aby miéć dokładne wyobrażenie o życiu i rozwoju téj poważnie prowadzonéj instytucyi, następnie, ażeby wiedziéć o jéj potrzebach, którym ogół solidarnie zadość czynić powinien. Wyżéj przytoczona cyfra zaległych składek, zmniejszona liczba członków i obawą o samą nawet przyszłość instytucyi, nacechowane sprawozdanie zarządu Towarzystwa, wystarczajądo przekonania, że ogół nasz w tych dobrowolnie przyjętych zobowiązaniach swoich bardzo się zaniedbuje. Sposób zaś przyłożenia się do

rozwoju pożytecznego zakładu w Studzieńcu i świeżo otwartego dla dziewcząt w Puszczy jest prosty i środków przeciętnie zamożnéj ludności nie przerastający, a mianowicie, zapisywać się na członków Towarzystwa, opłacając regularnie 6-cio rublową składkę roczną. Wkrótce także, jak słychać, Towarzystwo urządza w Warszawie szereg odczytów na powiększenie swoich dochodów. Odczyty Towarzystwa ustaliły już sobie opinię zajmujących; miejmy więc nadzieję, że z zadowoleniem spełnionego obowiązku i własnéj korzyści publiczność na nie pospieszy.

Z porą zimową ożywił się nieco ruch intelektualny w Warszawie. Zarząd kasy pomocy naukowéj imienia Mianowskiego urządził w sali Muzeum przemysłowego szereg odczytów o charakterze popularno-naukowym. Mówili więc dotyczas pp.: Dickstein o rozwoju matematyki, Kontkiewicz o węglu, Znatowicz o fosforze. Każdy z wymienionych prelegentów jest specyalistą w traktowanym z katedry przedmiocie. Odczyty téż na rzecz kasy nazwać można pożytecznemi. Publiczność dotychczas nie zbyt tłumnie, lecz, jak na te złe czasy, dość licznie zapełniała salę odczytową. Wnosić stąd można, że tak będzie do końca, bo i cele kasy Mianowskiego i odczyty na uwagę publiczności zasługują.

Zarząd kasy Mianowskiego w tych prelekcyach przedstawił cykl gruntownych wiadomości z wiedzy przyrodniczéj. Imiona prelegentów z góry uprzedziły słuchaczów, że z danéj dziedziny wiedzy przyrodniczéj usłyszą rzeczy ciekawe, fachowo opracowane, co téż odczyty potwierdziły. Zarządowi kasy należy się szczere uznanie za urządzenie tych odczytów.



NEKROLOGIA.

† **Karol Widman**, urodzony w Złoczowie 4 lipca 1821 r., odbywszy studya prawne w uniwersytecie lwowskim, w r. 1844 wstąpił do służby rządowéj, lecz ją w r. 1848 porzucił i rozpoczął zawód publicystyczny, redagując wraz z Janem Zacharyasiewiczem „Postęp.“ Był téż współredaktorem „Gazety powszechnéj“ i „Tygodnika lwowskiego“, następnie zaś jednym z najgorliwszych współpracowników „Dziennika lwowskiego“ i wielu innych czasopism zarówno we Lwowie, jak i Warszawie, pisując artykuły treści politycznéj, społecznéj, ekonomicznéj, archeologicznéj i krytycznéj. Wydawał przez lat kilka „Kalendarz dla nauczycieli.“ Zostawszy radcą magistratu we Lwowie, porządkował gorliwie archiwum tamtejsze i wiele z niego wydobywał wiadomości, które zużytkował między innemi w „Wielkiéj Encyklopedyi Ilustrowanéj“, wychodzącéj obecnie w Warszawie.

† **Aleksander Ładnowski**, aktor i autor dramatyczny, urodzony 1819 r., bardzo młodo wszedłszy na deski teatralne, około lat 60-ciu na nich wytrwał, nie tracąc ochoty ani zamiłowania do swego zawodu, tworząc nietylko typy komiczne na scenie, ale i role naturze swego talentu odpowiednie. W 6-tomowém wydaniu jego „Teatru wierszem i prozą“ (1859—63) mieszczą się najpopularniejsze jego monodramy: „Berek (Icek) zapieczętowany“, „Pan Stefan z Pokucia“ i inne. Jest on także autorem powieści historycznéj p. t. „Eudoksya Czartoryska, czyli Tatarzy na Podolu“ (Rzeszów, 1860). Umarł w Krakowie w początkach listopada r. b.

† **Piotr Stalmach**, urodzony r. 1824 w Bażanowicach pod Cieszynem, zawiązywał towarzystwa, zakładał czytelnie, miewał wykłady o historyi Szląska, wreszcie wydawał dużo książek dla ludu, kancyonał, oraz czasopisma. Zmarł 16 listopada r. b.

† **Ignacy Fonberg**, ur. 1800 r., ukończywszy nauki w uniwersytecie wileńskim i uzyskawszy stopień magistra filozofii, od r. 1822 wykładał tamże jako adjunkt chemię; następnie w akademii medyko-chirurgicznéj od r. 1833 do 1840 jako profesor nadzwyczajny, poczém przeniesiony został do uniwersytetu kijowskiego na profesora zwyczajnego. Ważniejsze jego prace są: „Wykład teoryi gorzenia“ (Wilno, 1821), „O najnowszych odkryciach w chemii“ (w „Dzienniku wileńskim“, 1821), „O rozkładzie soli metalicznych za pomocą magnetyzmu (tamże, 1822), „Słownik wyrazów chemicznych“ (1825), „Wiadomości początkowe z chemii na klasę III szkół powiatowych“ (1827), „Chemia z zastosowaniem do sztuk i rzemiosł“ (3 tomy, 1827). Umarł w Kijowie w początkach listopada r. b.

† **Władysław Krajewski**, dr. medycyny, lekarz zdrojowy w Cieplicach czeskich (Teplitz-Schönau), zmarł dnia 30 września w Krakowie, w wieku lat 52. Autor prac oryginalnych z zakresu nauk lekarskich, oraz stały współpracownik „Kliniki“ i „Medycyny“. Studya lekarskie rozpoczął w Warszawie, ukończył po długiéj przerwie na wszechnicy wiedeńskiéj. Osiadłszy jako lekarz zdrojowy w Cieplicach czeskich, w krótkim czasie zjednał sobie tak rozgłośną popularność, iż zarówno swoim, jak i obcym znany był jako sumienny i biegły specyalista.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński* —Redaktor *P. Chmielowski.*

OGŁOSZENIA.



Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Ноября 1891 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale III-cim i IV-tym 1891 r.

1. **O zanieczyszczaniu i samooczyszczaniu rzek,** odczyt d-ra *Maxa v. Pettenkofer.* Tłómaczył *Emil Sokal.* Warszawa, 1891, 8-o, str. 21.
2. *Wacław Wolski.* **Burza.** Warszawa, nakł. Al. Wyszomirskiego, 1891, w 16-ce, str. 14 (cena 30 kop.).
3. *Ostoja.* **Powieści prawdziwe.** Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-o, str. 322.
4. *O. Leixner.* **Wiek XIX.** Obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacyi, z licznemi ilustracyami, opracował *Fr. Rawita (Gawroński).* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, tom I, zeszytów 6, str. 463; tom II, zeszyt 1, str. 160.
5. *Witold Rubczyński.* **Traktat o porządku istnień** i umysłów i jego domniemany autor Vitelion. Kraków, 1891, 8-o, str. 33.
6. **Popas w Sławopolu** opisał *Zygmunt Gloger* z rys. A. Brzostka. Warszawa, nakł. M. Arcta, 1891, 8-o, str. 71.
7. **Uprawa pszenicy** na gruntach gliniastych wilgotnych, przez *Szymona Gryffa.* Warszawa, 1891, skład gł. w księg. Tanich Wydawnictw, 8-o, str. 26.
8. **Nauka o ziemi,** słońcu, gwiazdach, czyli o budowie świata. Wykład popularny z rys. Napisał *M. Heilpern.* Warszawa, skład gł. w księg. tanich wydawnictw, 1891, 8-o, str. 179 (cena kop. 40).
9. *Dawid G. Ritchie.* **Darwinizm i nauki społeczne.** Przełożył *J. K. Potocki.* Warszawa. nakł. „Głosu", 1892, 8-o, str. 78.
10. *Alfred Konar.* **Bankruci.** Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-o, str. 317.
11. *Maryan Gawalewicz.* **Ćma.** Materyały do powieści. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-o, str. 278.
12. *Adam Krechowiecki.* **Szary wilk.** Powieść historyczna. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-o, str. 420.
13. *Esteja.* **Za oceanem.** Powieść współczesna. Warszawa, S. Lewental, 8-o, str. 329.
14. **Co w wieku pięćdziesiątym** mówić będą o wieku XIX-tym. Przez *Antonima.* Spolszczył *Adam Nowicki.* Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-o, str. 245.
15. **Wisła.** Tom V: lipiec, sierpień, wrzesień 1891. Warszawa, skład gł. w księg. M. Arcta, 8-o, str. 479—732 z rys.
16. **Po złote runo.** Powieść współczesna. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* Warszawa nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-o, str. 261.
17. **Szesnastoletnia uczennica.** Książka dla dorastających panien. Przez Ern. Legouvé. Przełożyła *T. Prażmowska.* Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-o, str. IV i 357.
18. *St. P.* **Beatus** (poemat). Warszawa, 1892, str. 23 (cena kop. 20).
19. D-r *E. Meynert.* **Głupota mody.** Odczyt. Tłómaczenie z niemieckiego. Warszawa nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-o, str. 41.
20. **Królowa śniegu.** Bajka dla młodzieży według Andersena. Opracował *Ignacy Matuszewski.* Warszawa, skład gł. w księg. tanich wydawnictw, 1891, str. 52.
21. **Przygody myśliwca** wśród lodów północy i lasów południa. Podług Fr. Hofmana, opracował dla młodzieży *M. Brzeziński.* Warszawa, skład gł. w księg. tanich wydawnictw. 1891, 8-o, str. 50.
22. **Co robić, gdy kto zachoruje,** napisał *Józef Zielczak.* Wydanie 3-cie, poprawione z 2-ma obr. Warszawa, skł. głów. w księg. tanich wydawnictw, 1891, 8-o, str. 40.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

